

Bestseller sensacyjno-szpiegowski o zamachu na Jana Pawła II

MARCIN
FALIŃSKI

RAFAŁ
BARNAŚ

W CZERWONEJ SIECI

CZARNA OWCA

MARCIN
FALIŃSKI



RAFAŁ
BARNAŚ

W CZERWONEJ
SIECI

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

[WSTĘP](#)

[Stefan](#)

[Jean](#)

[Mehmet](#)

[Alois](#)

[Danczo](#)

[Stefan](#)

[Jean](#)

[Mehmet](#)

[Alois](#)

[Danczo](#)

[Stefan](#)

[Jean](#)

[Mehmet](#)

[Alois](#)

[Danczo](#)

[Stefan](#)

[Mehmet](#)

[Danczo](#)

[Mehmet](#)

Podziękowania

Redakcja: Jacek Ring
Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Zdjęcie na okładce: ©Michael Godek/Moment RF/Getty Images
Korekta: Maciej Korbański, Anna Brzezińska, Słowne Babki
Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Copyright © Marcin Faliński, Rafał Barnaś, 2022
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-193-1

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

WSTĘP

ZSRR – wrzesień 1980 roku

W kawalerce na bulwarze Rakiety w Moskwie ciszę przerwał dzwonek telefonu. Iwan Klimow wstał leniwie z łóżka, podszedł do aparatu i przyłożył do ucha czerwoną słuchawkę.

– Halo!

Przez chwilę panowała cisza.

– Na dzisiaj? – zapytał zdumiony. – W nocy przyleciałem z Buenos Aires, prawie nic nie spałem. Jestem nieprzytomny. Pewnie mnie senność dopadnie za kilka godzin.

Znowu zapadła cisza.

– Dobrze. Zrozumiałem. Tak, rozmawiałem z nim zaraz po lądowaniu, jeszcze na Szeremietiewie. Andriej dzisiaj miał jechać na swoją daczę. Wiem, że do Damaszku wraca chyba za tydzień. Z tego, co mi mówił, to ma teraz krótki urlop. Aha, urlop mu właśnie odwołali. Czyli będzie. Dobrze, dobrze – odpowiedział i odłożył słuchawkę.

Przeciągnął się. Włączył pokryty kurzem telewizor. W pierwszym programie Telewizji Centralnej pokazywali film dokumentalny o robotnikach rolnych w kołchozach, na dalekich obrzeżach Leningradu. Spojrzał przez okno. Wrześniowe słońce powoli wynurzało się zza horyzontu. Zapowiadał się kolejny ciepły dzień końcówki lata. Uchylił drzwi balkonowe. Z zewnątrz dobiegał szum budzącego się miasta.

Iwan Klimow – czterdziestodwuletni oficer I Zarządu Głównego KGB, czyli wywiadu zagranicznego, był drugim z rodziny Klimowów pełniącym służbę w *sowietskiej razwiedkie*. Jego ojciec, nieżyjący już oficer Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, pracujący kiedyś pod przykryciem dyplomatycznym w Montevideo, w Paryżu, a potem w Londynie, zawsze był dla niego wzorem.

Iwan już od najmłodszych lat mieszkał poza granicami ZSRR. Biegle posługiwał się hiszpańskim, francuskim i angielskim. W środowisku uchodził za profesjonalistę o rozległych kontaktach w wielu krajach świata. Obecnie od ponad trzech lat pełnił funkcję radcy politycznego ambasady ZSRR w Buenos Aires. Z żoną Ludmiłą, córką zasłużonego generała Armii Radzieckiej, mieli ośmioletniego syna.

– Co jest tak pilnego, żeby wyciągać mnie w takim momencie?! – mruknął pod nosem. „Przecież Centrala wiedziała, że kiedy wracam z Buenos Aires, zawsze ląduję w nocy. Tak czy owak, muszę się tam zjawić” – pomyślał, skrzywił się i zalał wrzątkiem liście gruzińskiej herbaty. Po jej wypiciu ubrał się w szare spodnie z cienkiej wełny, marynarkę w tym samym kolorze oraz beżową koszulę z szerokim kołnierzykiem. Zawiązał krawat. Włożył modny letni płaszcz i popatrzył w lustro. „Chyba nie jestem za bardzo... jak ten facet z «Vogue’a», który ogłosił kiedyś na łamach pisma, że w modzie nie istnieją już żadne zasady i nastąpiła era wolności, indywidualności i wyrażania siebie poprzez ubiór. Hmm... starzy, zasłużeni towarzysze w Centrali... nie lubią ekstrawagancji i oryginalności w ubiorze”. Uśmiechnął się i mrugnął do swojego odbicia.

Wyszedł na klatkę schodową, trzasnął drzwiami swojego mieszkania i zamknął je na klucz. Odziedziczył je po ojcu i gdy tylko zjawiał się w Moskwie, zawsze tutaj nocował. Kamienica, w której mieszkał na drugim piętrze, została postawiona w latach pięćdziesiątych. Była to solidna budowla z cegły.

Po chwili znalazł się w zadbanej, niewielkiej oficynie. Wychodząc szybkim krokiem z klatki schodowej, spotkał sąsiada, profesora Tolika – wykładowcę Uniwersytetu Technicznego Baumanna, którego stan wskazywał na spożycie większej dawki alkoholu mimo tak wczesnej pory.

– *Dobroje utro, towariszcz akademik!* – powiedział Iwan.

– *Dobroje utro!* – odpowiedział profesor, starając się zachować fason.

„Taki mądry człowiek, a tak się stoczył” – pomyślał Klimow, mijając profesora. Ruszył w stronę przejścia dla pieszych na prospekcie Mira. Spojrzał w prawo na półokrągły szklany gmach hotelu Kosmos, mieniący się w promieniach wschodzącego słońca. Dotarło właśnie do niego, jak czas szybko mija. Hotel wybudowali Francuzi na igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 roku, a oddano go do użytku na wiosnę zeszłego roku. Iwan przypomniał sobie, jak razem z żoną i synem spędzali w kraju krótkie wakacje. Byli wtedy na jego uroczystym otwarciu. „A ja myślałem, że nasz

ostatni wspólny urlop był tak niedawno”. W tym momencie zdał sobie sprawę, że igrzyska zakończyły się już ponad miesiąc temu, jednak nie miał okazji dokładnie ich śledzić. Co prawda różnica czasu, jaka jest między Buenos Aires a Moskwą, miała na to wpływ, lecz głównym powodem była intensywna praca, która w ostatnich miesiącach wypełniała mu życie. Traktował ją jak misję i podchodził do niej z wielką odpowiedzialnością.

Kiedy przeszedł prospekt Mira, znalazł się w tłumie ludzi idących tak jak on do stacji metra WDNH – Wystawy Osiągnięć Gospodarki Ludowej, pamiętającej jeszcze czasy Stalina. Przez ciężkie, masywne drewniane drzwi na sprężynach wszedł do okrągłego pawilonu z napisem: *MPS ZSRR. Metropoliten im. Lenina. Stacja WDNH*. Ruszył w stronę turnikietów. Wrzucił pięć kopiejek i został przepuszczony w stronę ruchomych schodów jadących na dół. Z głośników rozległ się głos:

Uwaga! Obywatele. Na schodach stójcie po prawej. Przechodźcie po lewej. Przepuszczajcie pasażerów z dziećmi. Nie przeszkadzajcie sobie!

Rozejrzał się dookoła. Zobaczył przekrój niemal całego społeczeństwa moskiewskiego. Naprzeciwko schodami jadącymi do góry przemieszczali się ludzie odziani w skromne, acz schludne ubrania. „To pewnie dojeżdżający do Moskwy mieszkańcy okolicznych wsi” – pomyślał. Między nimi dostrzegł osoby ubrane w drogie zagraniczne stroje kupione u spekulantów za obcą walutę, często równowartość miesięcznej pensji przeciętnego radzieckiego obywatela, lub za bony w sklepie walutowym Bieriozka. Zszedł ze schodów. Stał na peronie razem z tłumem. Nadjechał pociąg. Z otwartych drzwi błękitnego wagonu wylał się tłum, który szybko skierował się na schody. Iwan wszedł do środka. „Jakże to wszystko u nas jest niekolorowe. Szare. Nudne. Jak odmienne od barwnych domów w dzielnicy Bocca. Blasku nocnych klubów tanga, gwarnych restauracji, gdzie podają wycinane z całych wołowych półtuszy wielkie, soczyste steki, a do tego serwowane w dzbankach czerwone wino z okolic Mendozy”. Ze wspomnień wyrwał go kobiecy głos dobiegający z głośników:

Uwaga! Drzwi się zamykają. Następna stacja Szczerbakowska.

Kiedy dotarł do stacji Turgieniewska, ruszył w kierunku Kirowskiej. Tutaj miał przesiadkę. W niszy na końcu tunelu przejściowego, którego ściany wyłożone były szarym marmurem, zobaczył popiersie Siergieja Kirowa. Przypomniawszy sobie, że kiedy jeszcze żył Stalin, a on był mały, ojciec zabronił mu wymawiać to nazwisko. Dopiero po śmierci Ojca Narodu zaczęto wspominać o Kirowie jako wybitnym komuniście, który zginął z rozkazu Stalina. Z czasem został zrehabilitowany i zajął miejsce wśród innych zasłużonych komunistów. Gdy nadjechały błękitne wagony kolejki metra, Iwan wszedł do jednego z nich.

Uwaga! Drzwi się zamykają! Następna stacja Dzierżyńska –
oznajmił zdecydowany kobiecy głos dobywający się z głośników.

W wagonie nie było zbyt wielu pasażerów. Zwrócił uwagę na młodą kobietę siedzącą naprzeciw. Trzymała w dłoniach książkę *Kapitanowie piasków* napisaną przez brazylijskiego komunistę Jorge Amado. Była to w ostatnich latach w Związku Radzieckim jedna z bardziej znanych zagranicznych publikacji. „Nie wiedziałem, że ta książka ciągle jest popularna” – pomyślał i przypomniał sobie, jak sam ją czytał z zapartym tchem. Choć tak naprawdę bardziej podobał mu się film amerykański nakręcony na jej podstawie, który oglądał w Buenos Aires.

Kiedy pociąg metra dojechał na stację Dzierżyńska, Klimow ruszył do wyjścia. Gdy wyszedł na zewnątrz, znalazł się na dużym placu, gdzie stał ogromny pomnik mężczyzny z kozią bródką i w długim szynelu. Za nim, znany w całej Moskwie, całym kraju, a może i na świecie, wznosił się budynek KGB. Iwan poszedł przez środek placu. Po prawej stronie stała kamienica Muzeum Politechnicznego, a z lewej migąły szklane okna megasklepu Dziecięcy Świat. Skierował się do posterunku ochrony, który mieścił się za grubym szkłem. Po wylegitymowaniu się podszedł do masywnych drewnianych drzwi. Pociągnął za uchwyt, wszedł do środka i skierował się wprost do windy.

* * *

– Andriej! Andriej! Obudź się! Telefon do ciebie! – powiedziała Tatiana zdecydowanym głosem, potrząsając śpiącego męża za ramię.

– Ale o co chodzi? Która godzina? Czy ja nie mogę, do cholery, wyspać się na urlopie?! – zamruczał z ciągle zamkniętymi oczami.

– Chyba już szósta...

– Dopiero, kochanie. Dopiero!

– Z pracy do ciebie dzwonią!

Mężczyzna w tym momencie poderwał się i szybko poszedł do komody, na której stał aparat telefoniczny. Podniósł leżącą słuchawkę.

– Andriej Woronow. Słucham? Dobrze! Zrozumiałem! – odezwał się po chwili. – Tak. Przyjadę samochodem. Będę na ósmą.

Odłożył słuchawkę i zaczął dłońmi masować rozespaną twarz.

– Dzwonili z gabinetu starego. Mam pilnie stawić się dzisiaj na ósmą – oznajmił żonie, która właśnie wróciła do łóżka.

– A ja myślałam, że ten tydzień spędzimy w ciszy i spokoju, z dala od twojej pracy – powiedziała i przykryła się kołdrą po samą szyję.

Nic jej nie odpowiedział. Nałożył pantofle leżące pod łóżkiem i poszedł do łazienki. Po kilku minutach skierował się pośpiesznie do kuchni. Tam wyciągnął z fińskiej lodówki Rosenlew kilka plasterków słonego sera i butelkę z mlekiem. Z chlebaka wyjął bochenek, z którego odkroił dwie kromki. Nalał do szklanki mleko, położył na chleb plasterki sera i zaczął szybko jeść.

Dacza znajdowała się w urokliwej okolicy porośniętej starymi drzewami, nieopodal niewielkiego jeziora w Tomilinie – dwadzieścia pięć kilometrów na południowy wschód od Moskwy. Kupił ją kilka lat temu za oszczędności i spadek po ojcu, który przypadł mu jako jedynemu spadkobiercy. Tutaj on i jego rodzina czuli się najlepiej. W ciszy i spokoju, blisko natury. Z dala od bliskowschodniego czy afrykańskiego gorącego klimatu, który Tatiana zawsze źle znosiła. Obiecał jej, że już niedługo, gdy wróca z Syrii, zamieszkają tu na stałe.

Andriej Woronow był synem generała Armii Radzieckiej – jednego z najbardziej zaufanych ludzi Breżniewa, z którym ten znał się jeszcze z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Od czterech lat pracował w ambasadzie radzieckiej w Damaszku jako konsul, w randze pierwszego sekretarza. Region ten poznał dość dawno. Jako młody chłopak często towarzyszył ojcu podczas jego wyjazdów służbowych na Bliski Wschód. Pod sam koniec ostatniego roku studiów historycznych na Uniwersytecie

Łomonosowa w Moskwie został funkcjonariuszem I Zarządu Głównego KGB. Potem ukończył Instytut Krasnoznamienski KGB.

Mając liczne znajomości, szczególnie przez ojca, szybko zaczął piąć się po szczeblach kariery. Stał się cenionym ekspertem od spraw Bliskiego Wschodu. Poza tym jako oficer operacyjny brał udział w misjach specjalnych w różnych zakątkach świata. Jego żona Tatiana, którą poznał podczas studiów, zajmowała się głównie domem i wychowaniem ich czternastoletniej córki. Wcześniej był na placówkach dyplomatycznych w Kairze i Ankarze. Biegłe mówił po angielsku i turecku, ale znał też arabski. W środowisku, dzięki swoim koneksjom, uważany był za jednego z najbardziej zaufanych oficerów radzieckiego wywiadu. Przed wyjazdem do Damaszku pełnił służbę w wydziale XX odpowiedzialnym za kontakty z organami bezpieczeństwa krajów zaprzyjaźnionych. Blisko współpracował ze służbami w NRD, Bułgarii, Syrii i Iraku.

Na ciemnopopielaty garnitur zarzucił ortalionowy płaszcz. „Krawat zawiążę w samochodzie” – pomyślał Woronow, wciskając go do kieszeni. Gdy wyszedł na zewnątrz daczy, poraził go blask wschodzącego wrześnie słońca. Otworzył bramę na niewielkim podjeździe i wsiadł do samochodu, niebieskiego waz 2103 żiguli – poza granicami znanego bardziej jako łada 1500. Właśnie zdał sobie sprawę z tego, że nie jest to jego ulubiona alfa romeo giulietta, którą od trzech lat jeździł po syryjskich, irackich i libańskich drogach i do której bardzo się przyzwyczał. Różnica w komforcie jazdy była duża. Najbardziej lubił w alfie pokrytą skórą, czerwoną, miłą w dotyku kierownicę, mocne punktowe reflektory marki Cibié i elegancką tapicerkę z wysokogatunkowego materiału. Teraz, siedząc w swoim „moskiewskim samochodzie”, odczuwał tę różnicę. Popatrzył w lusterko wsteczne. Zapiął jeszcze dwa najwyższe guziki w białej koszuli non-iron kupionej w duńskim sklepie wysyłkowym dla dyplomatów Justensen. Ruszył w kierunku trasy Noworiazańskiej. Dochodziła siódma. Miał więc czas. Zwykle w dni powszednie dojazd do Centrali zajmował około czterdziestu pięciu minut. Na trasie Noworiazańskiej nie było zbyt wielu samochodów. Mijał okoliczne szare bloki tworzące podmoskiewski krajobraz. Po chwili zjechał na prospekt Wołgogradski. Wokoło zaczęły dominować bloki pamiętające czasy Stalina i Chruszczowa.

„Ciekawe, dlaczego tak pilnie mnie wzywają do biura samego szefa I Zarządu Głównego. Z pewnością to coś ważnego”. Cały czas od momentu wyjazdu z daczy powracały do niego takie myśli. Planował, że ten tydzień

urlopu spędzi tylko z żoną i córką. Dlatego gdy wychodził, żona poszła spać nadąsana. „No tak. Ma prawo być zła. Ostatnio coraz mniej poświęcam jej czasu” – wrócił myślami do Tatiany.

Wjechał na plac Tagański. Tutaj ruch samochodów był już większy. Po prawej stronie minął Teatr na Tagance, a po lewej cerkiew. Zjechał w niewielką uliczkę zabudowaną starymi budynkami, jeszcze sprzed rewolucji. Minął plac Nogina. Stąd miał już prosty wjazd na plac Dzierżyńskiego, przy którym stał budynek Centrali KGB.

Andriej zaparkował samochód i ruszył w stronę posterunku ochrony.

* * *

Długi korytarz ze ścianami wyłożonymi szarym kamieniem i podłogą z drewnianym parkietem w kształcie jodełki ciągnął się przez wiele metrów. Na ścianach w ramach za szkłem wisiały portrety najbardziej zasłużonych oficerów KGB. Iwan Klimow miarowym krokiem szedł w kierunku biura dyrektora I Zarządu Głównego KGB. Czuł podekscytowanie. Wiedział, że spotkanie na takim szczeblu oznacza rozmowę o czymś bardzo ważnym dla socjalistycznego państwa. Czymś ściśle tajnym i być może zakrojonym na szeroką skalę. Nie czuł stresu, bo skomplikowane operacje specjalne przeprowadzał już wielokrotnie. Teraz to była bardziej zwykła ciekawość.

Gdy dotarł na miejsce, w poczekalni przed gabinetem generała stał już major Andriej Woronow. Kiwnęli sobie głowami. Znali się bardzo dobrze. Razem uczestniczyli w kilku przedsięwzięciach wywiadowczych. W tym samym roku skończyli szkolenie w Instytucie Krasnoznamienskim. Ufali sobie i darzyli się wielką sympatią. Zawsze gdy byli w Moskwie w tym samym czasie, umawiali się na spotkanie na dacz w Tomilinie. Teraz stali w milczeniu i co chwila na siebie spoglądali. Po kilku minutach weszli do gabinetu. Dyrektor I Zarządu Głównego KGB generał Władimir Krukow i naczelnik Wydziału XII pułkownik Jurij Forin przywitani się z nimi.

– Dobrze, że już jesteście, towarzysze. Czekamy jeszcze na pułkownika Gienadija Bykowa – odezwał się Krukow i wskazał na fotele ustawione naprzeciw jego masywnego drewnianego biurka.

„Jeszcze Bykow?! Naczelnik Wydziału V też tutaj będzie? To oznacza, że będziemy rozmawiać o naprawdę poważnych rzeczach. A Forin? Światowa gospodarka czy co?” – pomyślał Klimow i spojrzał porozumiewawczo na kolegę. Wydawało mu się, że Woronow pomyślał to

samo. Iwan i Andriej, widząc, w jakim są gronie, zrozumieli, że mają do czynienia z czymś ściśle tajnym. Doskonale zdawali sobie sprawę, że są wśród najbardziej zaufanych ludzi szefa całego KGB.

Wydział V zajmował się częścią krajów Europy Zachodniej. Mogło to oznaczać, że rozmowa będzie dotyczyła operacji wywiadowczej właśnie w tym regionie. Kiedy wreszcie dotarł naczelnik piątki, na moment zapadła cisza. Wszyscy czekali na rozpoczęcie nadzwyczajnej narady, czyli słowa Krukowa. W gabinecie unosił się zapach tytoniu dobrej marki wymieszany z ledwo wyczuwalnym aromatem kawy.

– Towarzysze. Jesteśmy już wszyscy. – Krukow zawiesił głos, chcąc podkreślić wagę sprawy. – Spotykamy się w tym pięcioosobowym, zaufanym gronie, bo musimy na polecenie samego przewodniczącego KGB podjąć stosowne działania i zareagować na wydarzenia, jakie dzieją się ostatnio w bratnich, socjalistycznych krajach. – Znowu przerwał i popatrzył uważnie na zebranych. – Kierownictwo partii i państwa oceniło niedawno jednoznacznie, że wydarzenia te mają podłoże dywersyjne. Jeśli nie zareagujemy szybko i zdecydowanie, proces ten będzie się szerzył jak ten rak po naszym zdrowym internacjonalistycznym organizmie. A jak zapewne wiecie, towarzysze, z nowotworem trzeba zdecydowanie. Trzeba go usunąć cięciem chirurgicznym.

Zebrani pokiwali głowami w geście zrozumienia.

– Wiemy, że w bratniej Polsce od kilku lat dochodzi do wystąpień wichrzycieli i podżegaczy, a zwłaszcza niedawno, w sierpniu. Te wydarzenia, jak oceniam, wzmogą ruchy wywrotowców wspieranych przez znane nam doskonale zachodnie ośrodki. A polscy towarzysze niestety zawodzą. Nie dają sobie rady. Jestem po długiej rozmowie z przewodniczącym. – Ponownie zawiesił głos, tym razem na dłużej. –

Pewnie się, towarzysze, dziwicie, dlaczego wśród nas jest naczelnik Forin. – Spojrzał na Klimowa i Woronowa. – *Ale... spakojna*, o tym za chwilę. – Zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

Wszyscy siedzieli w napięciu, jakby przeczuwając coś wyjątkowego, w czym będą uczestniczyć. Klimow przypomniał sobie, o czym kiedyś opowiadał mu ojciec. Było to w czasie, gdy w 1956 roku wybuchło powstanie antyradzieckie na Węgrzech, kiedy późniejszy szef KGB był jeszcze ambasadorem w Budapeszcie. Obrazy wieszanych na budapeszteńskich latarniach komunistów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa tak bardzo utkwily mu wtedy w pamięci, że potem, kiedy trafił do Centrali,

każdy potencjalny przejaw buntu w krajach demokracji ludowej traktował bardzo poważnie. Nie chciał nigdy więcej zaznać tego, czego był świadkiem po obu stronach Dunaju. Powstanie Solidarności w Polsce, a teraz porozumienia sierpniowe sprzed kilku dni i wybór papieża Polaka parę lat wcześniej były właśnie tymi czynnikami, które obecnie mogły zachwiać obozem państw socjalistycznych. „Zapewne przewodniczący zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli ten proces nie zostanie przerwany, Związek Radziecki może czekać konfrontacja siłowa, do jakiej doszło w Budapeszcie” – analizował w myślach, jednak rozważania te przerwał mu tubalny głos Krukowa.

– Ważne jest, abyście wiedzieli, że to nasze dzisiejsze spotkanie tak naprawdę nigdy się nie odbyło. Żaden ślad nie może do nas prowadzić. Żaden dokument nie ma prawa się zachować. Czy to jasne, towarzysze? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź, bo ją znał. – Ważne jest również, żeby wykorzystać potencjał naszych sojuszników w realizacji pewnego żywotnego dla naszej socjalistycznej ojczyzny przedsięwzięcia. Tak żeby ślady się rozmywały. *Towariszczu poniali?* – Tym razem popatrzył uważnie na swoich oficerów, którzy pokiwali głowami. – Gdy biskup Rzymu z dalekiego kraju zamilknie, dywersanci stracą swoją moc. – Po tym zdaniu zrobił kolejną już pauzę.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. W tym momencie dla uczestniczących w odprawie oficerów radzieckiego wywiadu wszystko stało się jasne. Choć nie dali tego po sobie poznać, zatkało ich. Po chwili Krukow, który zdawał sobie sprawę, że to może być dla nich duże zaskoczenie, znowu zabrał głos.

– Towarzysze... Wiecie, że ta operacja wymaga wielotorowego, symultanicznego działania. Nie możemy poczynić jakiegokolwiek pochopnego kroku. Podkreślam, wymagać to będzie specjalnych kontaktów i umiejętności. Kierownictwo naszej służby, na mój wniosek i za aprobatą przewodniczącego, wybrało majorów Klimowa i Woronowa, jednych z naszych najlepszych oficerów. Oni uruchomią działania, które finalnie doprowadzą do zrealizowania celu. Bo rozumiem, że wiemy, jak tu siedzimy, jaki to cel? Klimow i Woronow, rozumiecie?

– Tak jest, towarzyszu generale – odpowiedzieli prawie jednocześnie.

Krukow wstał i podszedł do dużego okna, z którego roztaczał się widok na plac Łubiański. Odsunął ciężką zasłonę. W gabinecie zrobiło się jaśniej. Stał tak w bezruchu zapatrzony na przejeżdżające samochody, nad którymi górował ciemnoszary posąg Feliksa Dzierżyńskiego. Zaciągnął się w tym

czasie kilka razy papierosem, który kończył swój krótki żywot. Odwrócił się i usiadł ciężko za biurkiem. Poprawił wiszącą na oparciu granatową marynarkę. Zgasił marlboro w mosiężnej popielnicy ozdobionej elementami o symbolice wojskowej.

– To świetnie, że to rozumiecie, towarzysze... Wracając do sprawy, koordynacją działań zajmie się ze względu na odpowiedzialność terytorialną Wydział V, a nad wszystkim będzie osobiście czuwał towarzysz naczelnik.

W tym momencie spojrzął na Bykowa, który przysłuchiwał się rozmowie i skrupulatnie notował coś w swoim okazałym notesie oprawionym w skórę.

– Towarzyszu pułkowniku. Proszę o kilka słów wprowadzenia do tematu.

– Towarzyszu generale, na wasze polecenie zrobiliśmy w wydziale krótką analizę sytuacyjną. Pierwsza sprawa. Z uzyskanych wieloźródłowych informacji wynika, że większość polskich duchownych, którzy wyjechali do Rzymu, jest uwikłana w przeróżne zależności z polskimi władzami. Zdecydowana większość z nich współpracuje z Departamentem I MSW, czyli z polskim wywiadem. – Spojrzął na Krukowa kiwającego głową. – Druga sprawa. Naszym najcenniejszym człowiekiem w Watykanie, zwerbowanym jeszcze przez naszą służbę na Syberii, jest dyrektor Domu Pielgrzyma w Rzymie. Zakładam, że to właśnie informacje między innymi od tego źródła w zasadniczy sposób mogą wpłynąć na planowanie działań operacyjnych. Drugim takim źródłem, mającym wpływ na działania planistyczne, a później może i realizacyjne, może być jeden z agentów naszej bratniej Stasi... – Przerwał i spojrzął na Krukowa.

– Tak. Jakiś czas temu rozmawiałem na ten temat z Markusem – wtrącił Krukow. – Wiem, że naszym wschodnioniemieckim sojusznikom udało się zainstalować swojego człowieka w bezpośrednim otoczeniu *papy rzymsko*.

Woronow dobrze pamiętał, jeszcze z okresu służby w Wydziale XX, że szefa wschodnioniemieckiej Stasi i szefa KGB łączyły zażyłe relacje, więc nie zaskoczyła go informacja, jaką przekazał Krukow.

– To wstępnie tyle, towarzyszu generale – zakończył Bykow.

– Dziękuję, towarzyszu naczelniku. Oczywiście, jeśli zajdzie potrzeba, wprowadzimy w sprawę Wydział XX, choć mamy tu towarzysza majora,

który ma dobre rozeznanie w tym temacie – powiedział Krukow i popatrzył na Woronowa. – Ale przy tej okazji jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa. – Zaczął przyglądać się po kolei każdemu ze swoich rozmówców, kiwając w swoim stylu lekko głową. – Nasi polscy sojusznicy absolutnie nie mogą się o tym przedsięwzięciu dowiedzieć. To chyba jasne? – Znowu nie czekał na potwierdzenie oficerów. – *Da*. A jak potencjał operacyjny wygląda z waszej perspektywy, towarzyszu naczelniku? Jakie wnioski płyną z analizy przeprowadzonej w waszym wydziale? Chyba kilka dni wam starczyło? – zwrócił się do Forina kierującego Wydziałem XII, serdecznie się do niego uśmiechając.

Ten, jakby wyrwany z głębokiego zamyślenia, spojrzął na wszystkich nieco rozbieganym wzrokiem spod swoich okularów z lekko przyciemnionymi szklami. Zawsze sprawiał wrażenie nieco nieobecnego, zostającego z tyłu, ale tak mogli myśleć tylko ci, którzy go nie znali. Kierowany przez niego wydział był jednostką organizacyjną radzieckiego wywiadu odpowiedzialną za sprawy ekonomiczne. Forin dysponował dużym rozeznanieniem operacyjnym w instytucjach międzynarodowych i bankach zachodnich. Posiadał także swoje źródła informacji wśród osób zajmujących się sprawami finansowymi Stolicy Apostolskiej. Miał teraz ogromne znaczenie dla całej operacji.

– Tak jest, towarzyszu generale. Starczyło... – Forin zrobił przerwę jak wytrawny mówca i odważemnił się takim samym uśmiechem Krukowowi. – Towarzysze. Obecna sytuacja nam sprzyja. Dysponujemy od kilku lat potwierdzonymi agenturalnie informacjami, że ówczesny papież Paweł VI, chcąc ratować finanse Watykanu, wprowadził tam mafię sycylijską. Można postawić tezę, że obecny prezes Banku Watykańskiego to człowiek uwikłany w niebezpieczne zależności. Potwierdzają to doniesienia zachodniej prasy o aresztowaniu w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych bankiera, niejakiego Michele Sindony. Jeden z naszych agentów przekazał nam dokumentację jasno pokazującą, że zdefraudował on pieniądze nie tylko Banku Watykańskiego, ale i mafii. Dlatego zapewne wolał być sądzony za oceanem niż we Włoszech.

– Pewnie w pięknej, słonecznej Italii nie przeżyłby on ani jego rodzina nawet jednego dnia. – Krukow zaśmiał się rubasznie, przerywając wypowiedź Forina. – Dobrze, dobrze. Kontynuujcie, towarzyszu – dodał już poważnym tonem.

– Pewnie tak, towarzyszu generale. Chciałbym dodać, że według naszego rozpoznania oraz informacji Wydziału I pracującego na kierunku północnoamerykańskim i Wydziału XI, łącznikowego z krajami naszego obozu, Bank Watykański wykorzystywany jest przez CIA do sponsorowania tej... Solidarności w Polsce. Zapewne dzięki temu chwilowo rozkładany jest nad nim swoisty parasol ochronny. Ale takich parasoli jest więcej. Jednym z nich jest włoska loża masońska Propaganda Due, zrzeszająca najważniejszych włoskich polityków.

– Potwierdzam, towarzyszu generale – wtrącił Bykow. – Jej szef, niejaki Licio Gelli, ma ogromne wpływy we włoskim rządzie. Z tego, co ustalaliśmy, wynika jednak, że pętla na jego szyi coraz bardziej się zaciska. Nasz rezydent w Rzymie potwierdził to bezsprzecznie również u naszych dyplomatów przy Villi Abamelek. A poza tym, towarzysze, w kierowanym przeze mnie wydziale teczki pełne są notatek na temat wielu dewiantów i zbrodniców z samej kurii rzymskiej, godzących się na wszystko, byle tylko móc zaspokajać swoje zachcianki – dodał z nieukrywanym zadowoleniem.

– Towarzyszu naczelniku. Bez takich wydziałowych partykularyzmów... – wtrącił Krukow, by po chwili dodać: – Ale wy, towarzysze, dzisiaj poetycko nastawieni, jak widzę, no, no. – Obaj naczelnicy spojrzeli na niego trochę zdziwieni. – No, te parasole ochronne, zaciskająca się pętla na szyi. – Zaśmiał się, znowu wstał i podszedł do odsłoniętego okna. Na placu Łubiańskim zaczynał się dzień. – Dobrze – rzucił Krukow, nie odwracając się od okna. Może towarzysze przebywający za granicą nie wiedzą, więc ich wprowadzę. – Zaciągnął ponownie zasłonę i usiadł za biurkiem. –

Aktualny papież nie jest im na rękę. Początkowo w kurii myśleli, że gdy zda sobie sprawę z tego, w jakie trafił miejsce, to spokornieje. Zgadza się? – Krukow spojrział na Bykova i Forina, a ci skinęli głowami. – Czas jednak pokazał, że jest poza ich kontrolą. Co ważne, instytucje watykańskie nie ufają włoskim służbom, i to z wzajemnością. To spowoduje zamęt, a nam ułatwi zacieranie śladów. Podsumowując, działania należy rozpocząć jak najszybciej. Skierujemy całe nasze zasoby wywiadowcze do tej operacji. Stłamsimy w zarodku rodzące się ruchy antysocjalistyczne inspirowane przez wrogie nam siły. To teraz może wy, towarzysze, macie coś do powiedzenia? Proszę się oczywiście skupić wyłącznie na kierunku zarysowanym tu przeze mnie i towarzyszy naczelników, czyli Watykanie – zwrócił się do Klimowa i Woronowa.

Pierwszy odezwał się Klimow:

– Towarzyszu generale. Chciałbym wyrazić podziękowanie, że mogę uczestniczyć w takim doniosłym przedsięwzięciu i wraz z...

– Towarzyszu majorze, do rzeczy. Podlega pod was działalność prawie w całej Ameryce Południowej. O tym mówcie, to nas teraz interesuje – udzielił mu reprimendy szef.

– Tak jest, towarzyszu generale. Przez naszą agencję wśród tamtejszego duchowieństwa różnego szczebla, głównie pochodzenia włoskiego, zwłaszcza w Argentynie, mamy ułatwiony dostęp do Watykanu. Część z katolickich księży czy zakonników uwikłana jest w różne zdarzenia... powiedzmy o podłożu seksualnym, w tym pedofilskim...

– *Wot! Rmskije gołubyje malcziki* – wtrącił Krukow i pokiwał głową.

– Dokumentacja takich zdarzeń ułatwiła nam ich werbunek. Dzięki właśnie tym źródłom udało nam się odpowiednio wcześniej dowiedzieć o procederze prania pieniędzy w Banku Watykańskim, o czym wspomniał już towarzysz Forin. W konsekwencji rezydentura w Buenos Aires przekazała do Centrali naprowadzenia na kandydatów do werbunku z grona bankierów z Europy Zachodniej uwikłanych w ten proceder.

– Tak... Pamiętam. Sprawy są bardzo obiecujące – wtrącił znowu Krukow i spojrzał na Woronowa, który nie do końca wiedział, od czego ma zacząć.

Widząc jego wahanie, Krukow naprowadził majora:

– Przed wyjazdem na placówkę realizowaliście interesujące przedsięwzięcia w Bułgarii i na kierunku tureckim. Mówcie, towarzyszu majorze.

– A tak, tak. Dzięki owocnej współpracy z naszymi bułgarskimi sojusznikami z PGU nawiązaliśmy liczne kontakty z tureckimi ekstremistami. Pogranicza bułgarsko-greckie i bułgarsko-tureckie okazały się prawdziwym antycznym rogiem obfitości... – spojrzał z lekkim uśmiechem na Krukowa, ale ten odwzajemnił się tym samym – ...jeśli chodzi o werbowanie agentów. Zwłaszcza na odcinku greckim, gdzie, jak wiemy, w obozach dla uchodźców operują oficerowie CIA. Pozwoliło to nam na ciekawe plasowania naszych współpracowników na styku ze służbami amerykańskimi. Ponadto, odkąd nasi bułgarscy sojusznicy rozpoczęli twarde działania wobec swoich dysydentów na emigracji, uruchomili rodzaj programu... jak by to określić? Hmm... O! *Kontraktnoje ubijstwo*. W tym wypadku towarzysze w Sofii postawili również na osoby

pochozące z ekstremistycznych ugrupowań tureckich. A to daje nam, towarzysze, wobec postawionego przez kierownictwo zadania duże pole manewru – zakończył już pewnym głosem Woronow.

– *Da.* Dziękuję towarzyszom. Czyli wiemy, co mamy robić i kto ma to robić. Następna narada w tej sprawie za tydzień. Aha. W związku z tym prośba do towarzyszy Klimowa i Woronowa. W tym czasie załatwcie wszystkie formalności u nas w kadrach i w MSZ. Wasze odwołania z placówek już poszły. Myślę, że miesiąc wam wystarczy na załatwienie na miejscu spraw osobistych i służbowych w Buenos Aires i Damaszku. Obowiązki przekazecie swoim zastępcom w rezydenturach. Rozumiemy się?

– Tak jest – odpowiedzieli jednocześnie obaj oficerowie.

– To świetnie. Czyli po następnej odprowie wracacie za granicę. A w tym czasie – popatrzył na Bykowa i Forina – towarzysze naczelnicy przygotowują stosowne materiały i określą siły i środki do przeprowadzenia całej operacji. Dodam, że kierownictwo partii i państwa oczekuje efektów w ciągu... pół roku. Dziękuję – zakończył.

Cała czwórka wstała. Krukow podszedł do nich i uściskał każdemu dłoń. Zaczęli wychodzić po kolei.

Gabinet generała wypełniał dym papierosowy podświetlany padającymi przez niewielką szparę w zasłonach promieniami słonecznymi. Blaskiem rozbłysła ściana nad biurkiem Krukowa, na której wisiał portret sekretarza generalnego KC KPZR Leonida Breżniewa. Mogło się wydawać, że obrzucał opuszczających gabinet zamyślonym spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

ROZDZIAŁ 1

Stefan

Polska – październik 1970 roku

Parowóz OKz32, przystosowany do obsługi górskich linii kolejowych, miarowo wyrzucał z komina kłęby dymu. Ciągnął za sobą pięć wagonów. Wjechał na dworzec kolejowy w Nowym Targu. Zatrzymał się z piskiem hamulców. Konduktor wyskoczył zwinnie z ostatniego wagonu na betonowy peron. Nieliczni pasażerowie zaczęli wsiadać i zajmować miejsca. W przedziale było czysto i schludnie. Cztery siedzenia z lewej i cztery z prawej ustawione naprzeciwko siebie miały ciemnozielony kolor i wyściełane były przyjemnym w dotyku materiałem. Nad każdym siedzeniem znajdowały się miejsce na bagaż i wieszak na ubranie.

Młody, postawny mężczyzna trzymający w jednej dłoni sfatygowaną torbę podróżną, a w drugiej „Gazetę Krakowską” przesunął w prawo rozsuwane drzwi i wszedł do przedziału. Torbę położył pod swoimi nogami, jakby chcąc ukryć przed innymi pasażerami jej podrzędną jakość. Zdjął szarą, wytartą kurtkę i zajął miejsce przy oknie. Do przedziału nikt już nie wszedł. Mężczyzna wziął do rąk gazetę. Spojrzał na pierwszą stronę. „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” – z ironią przeczytał w myślach napis znajdujący się na samej górze pierwszej strony i zaczął pobieżnie przeglądać nagłówki:

Prezydent Pompidou zakończył podróż po ZSRR. Stolica bratniej Bułgarii serdecznie powitała przewodniczącego rady państwa PRL. Willy Brandt w sprawie dysydencji w szeregach FDP.

Skrzywił się, jakby właśnie pożałował wydanych pięćdziesięciu groszy. Upewnił się jeszcze, czy faktycznie jest dzisiaj wtorek, trzynasty października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Zwinął gazetę i położył ją na torbie pod nogami. W tym momencie pociąg szarpnął i powoli ruszył. Mężczyzna spojrzął przez okno. Po wyjątkowo chłodnym wrześnie w góry wreszcie zawitała złota polska jesień. Drzewa zmieniły barwy na pomarańczowo-żółto-czerwone. Świat stał się jakby bardziej kolorowy i radosny.

Stefan Chrobak nie czuł jednak tego optymizmu. Wiedział, że po przyjeździe na dworzec w Krakowie czeka go kolejna walka o przetrwanie. Chociaż miał przed sobą już ostatni rok studiów na wydziale górniczym AGH na specjalności eksploatacja podziemna, to perspektywy wcale nie rysowały się obiecująco. Kariera naukowca wiązała się z ciężkimi warunkami bytowymi, których on już zbyt długo doświadczał w swoim życiu. To była ta sama bieda, która towarzyszyła mu od urodzenia i która sprawiała, że nie miał teraz już nikogo bliskiego. „Skoro wykładowca na uczelni zarabia mniej niż milicjant, a nauczyciel mniej niż traktorzysta, to co mi po tych studiach?” – przypominał sobie temat często poruszany w rozmowach z kolegami w akademikach.

Po chwili, gdy pociąg mijał Czarny Dunajec, solidna żeliwna konstrukcja mostu pamiętająca czasy cesarza Franciszka Józefa mignęła mu przed oczami. „Tutaj nic się nie zmienia i pewnie prędko nie zmieni. Trzy lata temu remontowali ten most, tylko jak był jeden tor, tak jest dalej...” – Westchnął, patrząc przez przybrudzone okno w swoim przedziale. Spojrzął obojętnie na oddalające się miasto. Dotarło do niego, że po śmierci matki zupełnie nic już go tutaj nie trzyma. Jedyna bliska mu osoba nie doczekała przydziału mieszkania, więc nawet nie będzie miał się gdzie zatrzymać, jeśli tu przyjedzie. Nie ma już swojego miejsca na ziemi. W tym właśnie momencie znowu o niej pomyślał. Usiadł i dłońmi zaczął masować skronie, jakby chciał przywołać te wszystkie wspomnienia, które z czasem staną się coraz bardziej odległe i ulotne.

To, co zachował w pamięci z wczesnego dzieciństwa, to niewielka drewniana chatka nad potokiem Jaszczce, w Ochotnicy Górnej – wsi rozłożonej na stokach Gorców. Ojciec zginął przygnieciony drzewem podczas wycinki, gdy Stefan miał dwa lata. Jak przez mgłę przypominał sobie babcię. Jej przygarbioną sylwetkę i chropowate dłonie, którymi często głaskała go po głowie. Ciągle miał przed oczami moment, gdy pewnego

ranka nie podniosła się już z łóżka. Jej zimne, bezwładne ciało leżało w izbie na wąskim łóżku, przykryte białą pierzyną. Po śmierci babci razem z matką wyjechali do Nowego Targu. Tam zamieszkali w niewielkim pokoiku w domu państwa Koprowskich. Matka rozpoczęła pracę jako gosposia, a z czasem zaczęła pracować w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego „Podhale”. Od tego okresu jego wspomnienia z Ochotnicy Górnej przeplatają się z opowieściami matki.

Matka często wracała do czasów, kiedy mieszkała w Ochotnicy Górnej. Prawdopodobnie chciała w ten sposób złagodzić traumę, jaka jej towarzyszyła od tamtego czasu. Usprawiedliwić swoją bezsilność i dać synowi do zrozumienia, by dzięki nauce i pracowitości odmienił swoje życie. Jej marzeniem było, żeby zdobył wykształcenie, toteż pracowała ponad siły, aby zapewnić środki na dodatkowe lekcje niemieckiego i francuskiego. Uważała, że znajomość języków obcych da mu możliwość wyjazdu na Zachód, gdzie będzie mógł rozpocząć nowe, lepsze życie. Dlatego najpierw skończył najstarszą szkołę średnią na Podhalu – liceum imienia Seweryna Goszczyńskiego. Pamiętał później łzy radości matki, gdy jej powiedział, że dostał się w Krakowie na studia. Potem przyszedł ten najtrudniejszy moment. Jej choroba i śmierć, które zjawiły się tak nagle. Zbyt późna diagnoza. Potem powolne dogorywanie. Dosięgały go wtedy często myśli depresyjne i ogarniał wielki smutek, jakiego wcześniej nie zaznał. Czuł się taki bezsilny. Od jej śmierci minęły już dwa lata.

Pociąg powoli wspinał się na przełęcz w Sieniawie. Do uszu Stefana dochodził głośny dźwięk miarowej pracy parowozu. Dym z jego komina co chwila przelatywał za oknem. Mężczyzna przysnął oparty o zimną szybę, od której oddzielił się swoją wysłużoną kurtką.

Nagle coś go obudziło. Do przedziału weszła młoda, piękna kobieta o kruczoczarnych włosach i piwnych oczach. Stefan, jakby wyrwany ze swoich myśli, dopiero zauważył, że pociąg stoi na stacji Raba Wyżna.

– Do Suchej czy dalej, do Krakowa? – zapytała kobieta delikatnym głosem w gwarze góralskiej.

– Do Krakowa... – odpowiedział trochę zmieszany i zaskoczony jej bezpośredniością.

– A to pan z daleka? – Uśmiechnęła się, wykazując ciągłe zainteresowanie towarzyszem podróży.

Zdjęła granatowy płaszcz. Białe, obcisłe półgolf z rękawami do łokcia podkreślał jej kobiece kształty. Stefan dyskretnie zaczął się przyglądać

współpasażerce. Utkwił wzrok na wysokości jej dużego biustu podtrzymywanego sztywnym stanikiem. Poczł przez chwilę jakby lekkie podniecenie. Potem patrzył długo na nieco smagłą twarz dziewczyny i wydatne, pociągnięte czerwoną szminką usta. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że przypomina mu kuzynkę matki, o której słyszał wiele opowieści, lecz której nigdy nie widział. Jej obraz opisywany przez matkę tak utkwił mu w pamięci, że teraz nie mógł oderwać wzroku od młodej, czarnowłosej góralki. Miał wrażenie, jakby przed nim siedziała nieżyjąca od wielu lat ciotka. Jednak to, co poczuł, było zupełnie inne, niż mógłby poczuć, myśląc o ciotce.

– A pani dokąd się wybiera? – zapytał, ciągle wpatrując się w jędrny biust pod białym półgolfem.

– Jaka tam pani? Kryśka jestem. – Wyciągnęła do niego swoją delikatną, zadbaną dłoń.

W tym momencie wstali jednocześnie, niemal wpadając na siebie. Jej piersi otarły się o jego ramię.

– Stefan – przedstawił się i poczuł, że całe jego ciało oblewa jakieś ciepło.

– Jadę odwiedzić swoją mamę w Chabówce. Teraz mieszkam w Rabie Wyżnej, bo znalazłam pracę w szkole – dodała.

– Ja do Krakowa jadę na studia... – powiedział, akcentując słowo „studia” i licząc, że zrobi tym wrażenie na dziewczynie.

– Kraków jest naprawdę piękny. Miasto, dużo możliwości. Nie to co tutaj. Byłam tam ostatnio parę razy na kursie pedagogicznym – odparła, spoglądając na niego czarnymi, rozmarzonymi oczami.

– Przecież to niedaleko! Jakby co, to zapraszam do Krakowa. Może zostawię ci w razie czego numer telefonu do mojego akademika? – rzekł z nadzieją w głosie.

– W razie czego? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– No wiesz... – Trochę się zmieszał. – No, jakbyś przyjechała do Krakowa i miała ochotę na wspólny spacer.

– Jasne... Dawaj!

Wyciągnął z torby sfatygowany zeszyt i długopis. Wyrwał kartkę, złożył na pół i napisał numer telefonu do akademika, a na samej górze swoje imię i nazwisko.

– Mam nadzieję, że się odezwiesz. W recepcji zostaw wiadomość, kiedy będziesz, a na pewno odbiorę cię z dworca. – Podniósł się lekko i pochylił

nad nią, zerkając znowu na jej jędrne piersi.

– Dziękuję. Teraz muszę jeszcze coś zrobić, póki mam chwilę wolnego.
– Uśmiechnęła się i wyciągnęła stertę kartek. – Coś tu remontują przed Chabówką. Wiesz, to jeszcze po tej dotkliwej lipcowej powodzi. Pewnie tory podmyło. Zanim ruszymy ze stacji, to trochę czasu minie. Ostatnio godzinę tutaj stał – wyjaśniła.

Stefan domyślił się, że są to zapewne sprawdziany jej uczniów. Dopiero teraz się zorientował, że stoją od ponad dziesięciu minut na stacji.

– Czego uczysz?

– Geografii – odparła, nie odrywając oczu od kartki, którą właśnie sprawdzała.

– To pewnie czytałaś w ostatniej „Panoramie” artykuły o dwóch wybitnych przywódcach: Naserze z Egiptu i generale de Gaulle’u, którzy w tym roku zmarli. No i o tym sukcesie naszego kraju – powiedział jakby podekscytowany.

– Sukcesie? Jakim sukcesie? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– No co ty, nie śledzisz gazet?! Polska po latach negocjacji odniosła sukces. Podpisano w końcu z Republiką Federalną Niemiec układ o normalizacji stosunków. Niemcy Zachodnie zaakceptowały trwałość i nieodwracalność zachodnich granic na Odrze i Nysie Łużyckiej – mówił, jakby czytał nagłówki gazet.

– Aha, to! Coś było o tym w telewizji. Wiesz, ja bardziej interesuję się Polską i tym, co się dzieje w naszym kraju. Takimi raczej przyziemnymi sprawami, nie tak jak ty w wielkim mieście.

– A jakimi przyziemnymi sprawami się interesujesz, Krysiu? – zapytał z uśmiechem, a jego wzrok mimo woli skierował się na biust dziewczyny.

– A że jedzenie coraz droższe. Co z tego, że obniżyli ceny lodówek, pralek i telewizorów. Ich do gara nikt nie wrzuci, żeby się najeść. Dobrze, że dziadkowie mają gospodarkę, bo ciężko by było. No i rodzina w Nowym Jorku podeśle czasem parę dolców.

– A to fajnie masz. Nie próbowałaś do nich wyjechać?

– Dokąd?

– No do... Nowego Jorku.

– Paszportu nie dali. Wiesz, wujek z ciotką prowadzą na Greenpoincie sklep spożywczy Podhale. Miałabym nawet gdzie pracować. Ale niestety. Władza ludowa mnie kocha i nie chce się mnie pozbyć. No dobra, wracam do moich sprawdzianów – rzekła z uśmiechem.

Stefan, nie chcąc jej przeszkadzać, odchylił się na oparcie swojego siedzenia. Co jakiś czas dyskretnie na nią zerkał. Jakby chciał ją dokładnie zapamiętać. Każdy szczegół jej ciała. Każdy fragment ubrania. Obserwując dziewczynę, przypominał sobie pewną rodzinną opowieść. Usłyszał ją pierwszy raz, kiedy chodził do szkoły średniej. Ta historia najbardziej utkwiała mu w pamięci ze wszystkich opowieści wujków, ciotek i kuzynów. Znowu zamknął oczy i oddał się wspomnieniom. Tego dnia matka miała więcej czasu niż zwykle. Wróciła z pracy w kombinacie po pierwszej zmianie. Koprowscy gdzieś wyjechali, więc nie musiała im usługiwać przy posiłku. Usiadła na starym zniszczonym fotelu i zaczęła opowiadać:

W sobotę rano 23 grudnia 1944 roku razem z Józką, moją kuzynką, zabrałyśmy się saniami z jej szwagrem z Jamnego do Ochotnicy Dolnej. Przy potoku Lubańskie miałyśmy wziąć mięso od naszej stryjenki. Chciałyśmy ją odwiedzić tydzień wcześniej, ale nie było możliwości, by się tam dostać. Pojutrze Boże Narodzenie, a my jeszcze nic nie przygotowałyśmy. Józka zostawiła czwórkę swoich dzieci z teściową i mężem. Ciebie jeszcze nie było na świecie. Jej szwagier zostawił nas przy potoku i miał po nas niedługo przyjechać. Kiedy szwagra nie było już długi czas, pożegnałyśmy się ze stryjenką i pieszo ruszyłyśmy w drogę powrotną. Śnieg był duży. Było zimno. Jak przeszłyśmy kilometr od kościoła w Ochotnicy Dolnej, usłyszałyśmy odgłosy jadących samochodów. Po chwili rozległy się strzały. Zaczęłyśmy uciekać w stronę zamarzniętego potoku. Gdy przeszłyśmy po lodzie i wdrapałyśmy się na górę, stanęłyśmy za dużą jabłonią. Józka cały czas odmawiała różaniec. Nie da się opisać odgłosów, jakie słyszałyśmy. Serie z broni maszynowej cały czas dudniły mi w głowie. Wybuchy granatów. Pisk płaczących matek błagających, by oszczędzono ich dzieci. To były odgłosy, których nie umiem wymazać z pamięci. Po takim krzyku przerażonej kobiety następowała seria z pistoletu maszynowego, a potem zapadała cisza. Po chwili znowu to samo. Przerażający krzyk matek, płacz dzieci, męskie złowrogie głosy, strzały i wybuchy – to wszystko mieszało się ze sobą.

Zapamiętał, że w tym momencie w jej oczach pojawiły się wielkie łzy, które spłynęły po policzkach. Dopiero po dłuższej chwili się uspokoiła. Potem wytarła łzy chusteczką. Po krótkiej przerwie, jakby chcąc nabrać oddechu, zaczęła opowiadać dalej:

Nie pamiętam, jak długo stałyśmy oparte o pień jabłoni. Gdy zaległa zupełna cisza, zauważyłam, że mam przemarzniete stopy i prawie ich nie czuję. Józka cały czas się modliła, ale nie wiem, jaka to była modlitwa, bo bardziej przypominało to jakiś niezrozumiały bełkot. Powoli wychyliłyśmy się zza pnia. Nad wsią unosił się dym. Zaczęłyśmy schodzić z góry, ucieczka na którą uratowała nam życie. Brnąc w śniegu, podeszłyśmy do domów. Nie da się tego opisać. Nie da się tego wytłumaczyć, czy jest się ateistką, czy gorliwie wierzącym. Nie da się usprawiedliwić okrucieństwa, do jakiego zdolni są niektórzy ludzie.

Przy pierwszym gospodarstwie zauważyłyśmy leżące ciała kobiety, mężczyzny i małego dziecka. Prawdopodobnie zginęło rzucone o ścianę domu, bo miało roztrzaskaną główkę. Józka, widząc dziecko w podobnym wieku jak jej własne, zaczęła głośno płakać. Podbiegła do leżącego chłopczyka, ale zaraz odbiegła, jakby próbowała mu pomóc, choć było już zbyt późno. W końcu obydwie zaczęłyśmy płakać z wielkiej bezsilności. Poszłyśmy dalej, gdyż już nic nie dało się zrobić.

Przed kolejnym domem leżało ciało mężczyzny w średnim wieku. Zastygło w pozycji, jakby chciał otworzyć zabarykadowane drzwi, za którymi Niemcy zamknęli jego żonę i dzieci, po czym wszystko podpalili. Pozostały jedynie dym i swąd palącego się mięsa, który sprawił, że zaczęłam wymiotować. Józka, gdy do niej dotarło, co oznacza ten zapach, również nie wytrzymała.

Wtedy matka przerwała opowieść. Pamiętał do dziś, jak na niego spozrzała. Z taką wielką dumą, nadzieją i miłością. Jakby chciała mu tym spojrzeniem powiedzieć, że wszystko się ułoży. Kiedyś nie będą rozmawiali o smutnych sprawach w niewielkim, wynajmowanym pokoju u państwa, dla których była jedynie gosposią. To jej spojrzenie, które zapamięta do

końca życia, było pełne nadziei i radości. Chyba już nigdy nie patrzyła w taki sposób.

Później kontynuowała swoją opowieść:

Przemarznięte i jakby w amoku dotarliśmy do domu, gdy było już ciemno. Jak się później okazało, szwagier Józki nie przyjechał po nas o umówionej porze, bo oblewał zakup krowy. O tym, co się wydarzyło, usłyszał później. To była wigilia Bożego Narodzenia, której nigdy nie zapomnę. Pamiętam, jak Józka po powrocie rzuciła się do swoich dzieci i zaczęła je tulić. Jakby je straciła i dopiero co odzyskała. Podobno za żadne skarby nie chciała ich wypuścić z objęć. Najbardziej tuliła Władka, który był w wieku martwego chłopczyka widzianego we wsi. Józka miała takie piękne czarne warkocze. Ciemne oczy. Była piękna, pobożna i bardzo pracowita. Swoje dzieci uczyła pacierzy, pracowitości i szacunku do innych.

Stefan pamiętał, że w tym momencie matka wstała i spod łóżka wyciągnęła butelkę. Widniał na niej napis „Wódka czysta”. Nalała zawartość do niewielkiej literatki. Wzięła kilka łyków, jakby chciała się znieczulić przed dalszą opowieścią:

Po wojnie spokój nie wrócił. Z nieurodzajnej ziemi położonej na małych pagórkach ciężko było zebrać plony. Każdy pracował od rana do wieczora, a i tak starczało jedynie na przetrwanie. Wtedy urodziłeś się ty. W lecie, gdy miałaś pół roku, Józka powiedziała mi, że jest w ciąży. Tak bardzo się cieszyła. W tym czasie w Jaszczce pojawiła się banda Ognia. Jedynie ze słyszenia znałyśmy historie o tym, jak jego ludzie przychodzą do domów. Próbuje wymusić, by przepisać na nich prawa własności ziemi, tartaków czy całych gospodarstw. Pewnego dnia Józka poszła do lasu nazbierać ściółki do obory. Zupełnie przypadkowo trafiła na kilku ogniowców. Początkowo minęli się bez słowa. Kiedy wracała do domu, prawdopodobnie szli za nią. Wystraszyli się, że znalazła ich kryjówkę i może ich zdekonspirować. Kiedy dotarła do domu, wtargnęli do izby i na oczach dzieci wyprowadzili ją siłą za stodołę,

gdzie rozległo się kilka strzałów. Nie wiem do dzisiaj, kto wydał rozkaz, aby ją zamordować, ani ilu było oprawców. Pamiętam tylko dwa lub trzy strzały, które echo poniosło po górach. Wtedy nie pomyślałam, że te dwa strzały pozbawiły życia moją najbliższą kuzynkę, którą traktowałam jak własną siostrę. Po jakimś czasie przybiegł mały Władek, krzycząc i płacząc wniebogłose, że jego mamusia nie żyje. Ta bezradność w oczach dziecka jest nie do zniesienia. Ciebie zostawiłam w kołysce samego i wszyscy pobieглиśmy za stodołę domu Józki. Jej bezwładne, pokrwawione ciało leżało otoczone przez płaczące dzieci i bezradnego męża, który właśnie wrócił z pola. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie wiemy, kto to zrobił. Być może ten ktoś żyje pośród nas. Ktoś, kto zabrał dzieciom dzieciństwo, a mężowi żonę.

Stefan otrząsnął się z zamyślenia. Zauważył, że pociąg jedzie do tyłu.

– Cholera, przespałem Chabówkę! – mruknął pod nosem.

Zauważył, że Krysi już nie ma. Był sam w przedziale. Zaczął żałować, że nie powiedział jej nic na do widzenia. „A może ona już się nie odezwie? Przecież wychodząc, mogła powiedzieć cokolwiek. Trącić mnie w ramię i się pożegnać”. Posmutniał. Wstał i usiadł na przeciwległym siedzeniu, aby nie jechać tyłem do kierunku jazdy. Czuł się jakoś dziwnie, bo wspomnienia nieżyjącej matki i ciotki uderzyły w niego ze zdwojoną siłą. „Dobrze, że temu Władkowi życie jakoś się ułożyło i został leśniczym” – pomyślał z ulgą, choć od dłuższego czasu nie utrzymywał kontaktu z rodziną z Ochotnicy Górnej.

Zawsze się zastanawiał, jak to się stało, że jego matka, prosta kobieta urodzona w biedzie, skończyła wieczorową szkołę średnią i znała się na tak wielu rzeczach. Zawsze gdy przychodziło mu to na myśl, dochodził do wniosku, że tylko determinacja i chęć polepszenia sobie bytu dodawały matce energii i siły. „Ale już jej nie ma”. Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Choć od pogrzebu minęły niemal dwa lata, ten ból nadal tkwił w nim bardzo głęboko.

Dalszą część drogi spędził na wpatrywaniu się w malownicze, jesienne, beskidzkie krajobrazy. Obserwował, jak swoim tempem żyją mijane wiejskie stacyjki i te większe stacje, jak w Jordanowie, Makowie Podhalańskim czy Suchej Beskidzkiej. Tuż przed stacją Kraków Główny

dotarło do niego, że zgodnie z grafiką jutro, czyli czternastego października, musi iść do pracy. Od kilku lat był kelnerem w klubie Pod Jaszczurami, gdzie zarabiał na podstawowe opłaty. Pomagało mu to przetrwać. Nic poza tym. Tysiąc pięćset złotych miesięcznej wypłaty oraz zapomoga po matce to i tak było za mało, żeby zmienić coś w swoim życiu. Stefan doszedł do takiego wniosku w dziwny sposób. Jakiś czas temu widział w gazecie reklamę węgierskiej lodówki Lehel za siedem tysięcy czterysta złotych. Szybko obliczył, że dopiero po wielu latach mógłby odłożyć na jej zakup.

Kiedy matka żyła, wiele razy chciał zrobić jej niespodziankę i kupić jakiś drogi prezent, jednak nie zdążył. Głównie to ona wspierała go finansowo, a gdy wyjeżdżał, niezauważenie wsuwała mu do kieszeni pieniądze. Teraz było już za późno, by się jej odwdzięczyć.

Tuż przed przerwą wakacyjną był bliski zakupu na raty magnetofonu ZK-140 na licencji Grundiga. Zawsze marzył o takim. Jednak rata dwieście dziesięć złotych miesięcznie okazała się za wysoka. Wycofał się z tego pomysłu w ostatniej chwili i od tamtego czasu szerokim łukiem omijał sklepy ZURT-u. Było mu wstyd, że jego entuzjazm, którym zaraził pomagającą mu ekspedientkę, przerodził się we frustrację, a potem w zwykłą obojętność. Nie zjawił się na umówione spotkanie, żeby sfinalizować zakup.

A teraz stawał przed nowym wyzwaniem. Koniec studiów i niepewna przyszłość. Co do tego Stefan nie miał złudzeń. Marzył jedynie o tym, żeby stać się majątnym człowiekiem, który może sobie na wszystko pozwolić. Coraz częściej wmawiał sobie, że mógłby zrobić wszystko, żeby być zamożny.

* * *

– Towarzyszu majorze, oczywiście, że możemy uaktywnić się stosunkowo szybko na tym kierunku – odpowiedział starszy inspektor w Inspektoracie Kierownictwa Służby Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie. – Mam już paru kandydatów na oku, towarzyszu majorze. Tak, oczywiście, pełną dokumentację z pierwszymi propozycjami prześlę do Centrali do końca roku. Czekam na oficjalne pismo od was, ale już niezależnie od tego działam. Czołem. – Odłożył czarną, ebonitową słuchawkę telefonu.

Kapitan Mieczysław Tortak od początku swojej służby w Departamencie I MSW przesyłał do Centrali wywiadu w Warszawie zawsze wysoko oceniane naprowadzenia na kandydatów do służby, współpracowników czy nawet agentów. Sprzyjał temu akademicki i turystyczny charakter Krakowa. Kilka wyższych uczelni oraz hotele, restauracje, prostytutki i turyści z Zachodu, którzy gubili w ich objęciach dokumenty i trzeźwy osąd sytuacji. Jego największym sukcesem był udział w werbunku realizowanym przez kolegów z Wydziału VI wobec attaché obrony ambasady Włoch, który pewnej listopadowej nocy podróżował z Krakowa do Zakopanego w towarzystwie jednej z ekskluzywnych prostytutek. Pan pułkownik miał pecha. Spowodował wypadek, będąc pod wpływem alkoholu, w którym poważnie została ranna jego towarzyszka podróży. Natomiast Tortak postarał się dodatkowo, aby rowerzysta, którego Włoch potrącił, formalnie też zginął. Formalnie, bo rowerzysta wraz z całą czteroosobową rodziną na trzy miesiące został wywieziony do nadmorskiego domu wypoczynkowego należącego do MSW. Po powrocie attaché do Rzymu polski wywiad uzyskał bezpośredni dostęp do włoskiego Ministerstwa Obrony oraz struktur wywiadu wojskowego tego ważnego członka NATO. Obecne zadanie wyglądało na łatwe. Ale nie to było w nim istotne. W niedawnej rozmowie na Rakowieckiej Tortak dowiedział się nieoficjalnie od naczelnika Wydziału VII, czyli zajmującego się wywiadem naukowo-technicznym, że mówi się w kierownictwie wywiadu o potrzebie wzmocnienia w niedalekiej przyszłości właśnie tych działań. Potwierdzenie takie uzyskał u swojego znajomego, naczelnika Wydziału V, odpowiedzialnego za kraje niemieckojęzyczne i skandynawskie.

– Mieczu, podobno w Komitecie Centralnym rosną wpływy tego towarzysza ze Śląska i jego ekipy. Chodzą słuchy tutaj i u nas, w terenie, że mają stawiać na gospodarkę, rozwój, eksport, inwestycje, nawet na jakieś otwarcie się na Zachód! Rozumiesz? To jest dla nas szansa. Dla całego wywiadu, żeby w końcu działać na pełną skalę. Jak Niemcy czy Francuzi – mówił ów znajomy.

Dlatego Tortak od tego czasu zbierał intensywnie wszelkie skrawki informacji osobowych, które mogłyby go ukierunkować na cenne naprowadzenia. Była to jego szansa na awans, a zwłaszcza na wyjazd za granicę na placówkę. To ustawiłoby jego i dzieciaki. Marzył o domu, który pobudowałyby na zakupionej kilka lat temu działce niedaleko Wieliczki, z pięknym widokiem na Beskidy. Dzieciom mógłby zapewnić

w przyszłości mieszkania i dobry start w dorosłe życie. Poza tym wiedział, że jeśli nie sprawdzi się w pracy za granicą, nie awansuje powyżej stanowiska starszego inspektora.

ROZDZIAŁ 2

Jean

Francja – lato 1944 roku

– Estera! Estera! Nie biegnij tak, bo jesteś jeszcze słaba! – krzyknął chłopak w okularach.

Poprawił opadający na czoło ciemny beret.

– Tak się o mnie martwisz, Jean?! – Zatrzymała się i gwałtownie odwróciła. – Choć, pocałuj mnie, kochanie! – dodała i wpadła w jego objęcia.

Piwnie oczy chłopaka błysnęły. Jak zawsze je zmrużył, wskutek czego wyglądał, jakby ciągle się nad czymś zastanawiał. Przejechał dłonią po ciemnych włosach, które zaczesywał do góry, żeby zamaskować przerzedzoną czuprynę. Z wysiłku poczerwieniał mu nieco orli nos. Chłopak tak jak i ona był drobnej budowy ciała, jednak trochę wyższy.

– Estero, kochanie. Przecież byłaś tyle tygodni chora. Tyle czasu siedziałaś w mieszkaniu. Nie powinnaś tak się męczyć – mówił z troską, nie wypuszczając jej z uścisku.

– Jean. Jestem taka szczęśliwa! To lato, te zapachy. Moje ukochane miasto. Zrozum.

Wyrwała się z uścisku chłopaka. Podniosła lekko i zalotnie białą, zwiewną sukienkę z dużym dekoltem. Potem jak baletnica okręciła się dwa razy wokół własnej osi.

– Ależ ja dawno nie tańczyłam, kochanie! – dodała. – Ale mam ochotę iść do jakiegoś *foyer. Danses, danses, danses...* – powtarzała, podśpiewując pod nosem jakąś piosenkę.

– Dobrze, dobrze. Chodź, usiądziemy tu na ławce, na skwerze. Mam dla ciebie dwie pomarańcze. Musisz je zjeść dla zdrowia. – Wskazał na płócienną torbę przewieszoną przez ramię.

– O, *mon chéri*. – Pocałowała go namiętnie w usta.

Gdy usiedli na ławce wtuleni w siebie i Estera zaczęła obierać pomarańczę, Jean rozejrzał się wokoło. Siedzieli na niewielkim skwerze nieopodal placu Bellecour, w Lyonie. Nad nimi górowała bazylika Notre-Dame de Fourvière. Niedaleko wody Saony łączyły się z wodami Rodanu, sprawiając, że cały ten teren przypominał półwysep. Przez chwilę przyszło mu nawet na myśl, by pójść jak dawniej na plac Bellecour i zobaczyć posąg Ludwika XIV na koniu, graczy w bule, i poczuć tę rozległą przestrzeń. Jednak szybko z tego zrezygnował w obawie o bezpieczeństwo Estery.

– Co tak nagle spochmurniałeś, kochanie? – zapytała, wkładając cząstkę pomarańczy do jego ust.

– Nie, nic takiego. Musimy za chwilę wracać – odpowiedział, gryząc owoc.

– Ostatnio tak marsową minę miałeś... pod koniec maja, podczas tych strasznych bombardowań. – Usiadła mu na kolanach i mocno go przytuliła.

Jean doskonale pamiętał to, o czym wspomniała Estera. Strach o bezpieczeństwo jej i rodziny, jaki mu wtedy towarzyszył, był nie do opisania. Majowe naloty dywanowe prowadzone przez Amerykanów uświadomiły mu, jak kruche może być życie. Wcześniej, gdy bomby zrzucały przez Brytyjczyków, w radiu podawano zakodowane ostrzeżenia. Ludność cywilna kryła się w schronach, bunkrach i piwnicach. Wtedy jednak nikt się nie spodziewał zmasowanego ataku powietrznego na miasto. Bomby zrzucały z wysokości czterech tysięcy metrów nie zawsze trafiały w wyznaczone cele. Spadały również na budynki cywilne. Siały wielkie spustoszenie. Wśród nich były bomby z zapalnikiem czasowym, które wybuchały, gdy wszyscy myśleli, że niebezpieczeństwo dawno już minęło. Jean pamiętał bardzo dobrze, jak o tym pisała sympatyzująca z kolaboracyjnym rządem Vichy katolicka gazeta „Le Nouvelliste”:

Lyon został zbombardowany przez lotnictwo angloamerykańskie. Duża część miasta zniszczona, w tym zabytkowe kościoły i budynki uniwersytetów. Co najmniej pięćset pięćdziesiąt ofiar śmiertelnych i wielu rannych.

Pamiętał też, jak na pierwszej stronie gazety pojawił się artykuł zatytułowany *Miasta męczenników*. Marionetkowy francuski rząd marszałka [Philippe'a Pétaina przekonywał społeczeństwo, że hitlerowcy to nic takiego. Jednak tylko nieliczni Francuzi ulegli tej iluzji. Społeczeństwo wyniszczane przez ogólny terror było zdeterminowane i nie chciało się cofnąć już przed niczym. Jean z jednej strony cieszył się z tego. Z drugiej jednak tak bardzo bał się o Estere...](#)

– Ej... jesteś tutaj ze mną? – Odezwała się w pewnym momencie, szturchając go w ramię. – Bo ja właśnie odlatuję z tobą do gwiazd... –

Wstała i tak szybko wykonała kilka obrotów, że sukienka odsłoniła jej zgrabne nogi.

– Kocham cię, głuptasie – powiedział Jean i złapał ją za dłoń.

Jean Legrand urodził się w Marsylii w 1924 roku w rodzinie pracownika banku należącego do rodziny Bonnasse. Ze strony matki miał odległe polskie korzenie. Jego pradziad był powstańcem listopadowym, który wyemigrował do Francji i osiadł w Burgundii, gdzie założył rodzinę. Jean znał trochę język polski. Choć w zasadzie były to tylko pojedyncze słowa czy jakieś frazy, które potrafił wymówić. Lepiej mu szło ze zrozumieniem języka przodków. Do wybuchu wojny mieszkał z rodzicami w La Panier, najstarszej dzielnicy miasta, blisko portu, w rejonie nabrzeża Saint-Jean. Potem wraz z rodziną przeniósł się do Lyonu. Od ojca dowiedział się ze smutkiem, że w 1943 roku Niemcy wyburzyli sto pięćdziesiąt domów przy nabrzeżu, gdyż nie mogli kontrolować wąskich uliczek. Wyburzono również jego rodzinny dom. Jedyne budynki, który przetrwał – opowiadał ojciec – to Hôtel de Cabre przy 27 Grand Rue. W Lyonie cała rodzina mieszkała u ojca jego matki. Podejrzewał, że rodzice działali w ruchu oporu, choć nigdy mu tego nie powiedzieli. Nie dziwił się im i nawet sam myślał, aby przyłączyć się do jakiejś grupy bojowej. To przekonanie narastało u niego, kiedy oglądał niemiecki terror. Tak jak wśród innych mieszkańców miasta rosła w nim nienawiść do szefa gestapo w Lyonie Klausea Barbiego. Nastroje antyniemieckie skutkowały polowaniami na ludzi urządzanymi przez żandarmerię i gestapo. Większość zatrzymanych kierowano do niemieckiego więzienia Montluc. Ten dziewiętnastowieczny budynek cieszył się złą sławą w Lyonie. Od 1921 roku mieściło się w nim ciężkie więzienie wojskowe, a Niemcy przejęli je po likwidacji Wolnej Strefy w lutym 1943 roku. Drugim więzieniem było więzienie Saint Paul prowadzone przez Francuzów.

Od dwóch lat Jean był zakochany z wzajemnością w pięknej dziewczynie, Esterze Reza – tutejszej Żydówce, która wraz z rodziną ukrywała się w sąsiedztwie mieszkania jego dziadka.

* * *

– Jean, to ty?! – Usłyszał głos ojca w przedpokoju.

– Tak, tato!

– Dobrze, że jesteś, bo mam do ciebie sprawę – powiedział uspokojony powrotem syna. – Poza tym mama już przygotowała obiad – dodał. W mieszkaniu rozchodził się wyraźny zapach pieczonego w piekarniku ciasta.

Jean wszedł do dużego pokoju dziennego. Przy stole siedział ojciec. Na widok syna wziął do ręki butelkę z brązowego szkła z beżowymi nalepkami i nalał białego wina.

– To jeszcze z przedwojennych zapasów dziadka z winnicy w Côte de Beaune. Siadaj i zjedz posiłek.

Na stole stał duży, okrągły półmisek z *quiche* – francuską odmianą tarty, a obok na talerzu leżała pokrojona w cienkie plastry wędlna z cielęciny i wieprzowych podrobów – *andouillette à la lyonnaise*. W koszyczku leżały duże kawałki bagietki. Chłopak, widząc to, usiadł szybko i zaczął nakładać sobie jedzenie. Napił się wina i przez kilka minut zjadał wszystko w milczeniu. Ojciec z uśmiechem przyglądał się mu, popijając zimne wino.

– To jaką masz sprawę do mnie? – zapytał po zaspokojeniu pierwszego głodu.

– Posłuchaj, synu. Jak wiesz, sytuacja jest w mieście trudna. Terror się nasilił. Chciałbym, abyś pomógł naszej organizacji w pewnej sprawie.

– Będziemy coś wysadzać?! Jakież magazyny, składy broni? Bo chłopaki zdobyły sporo materiału wybuchowego. Dostaliśmy też ostatnio trochę tego towaru w angielskich zrzutach.

– Ani niszczenie wojskowych obiektów, ani przerzut pilotów. To coś bardziej dla nas, tutaj w Lyonie – wyjaśnił ojciec.

Jako że Jean miał polskie korzenie, francuski ruch oporu wydelegował go jako łącznika do polskiej organizacji o kryptonimie „Monica”, skupiającej prawie piętnaście tysięcy osób, głównie Polaków. Monica podlegała pod sztab polskiego Naczelnego Wodza w Londynie. Zajmowała się dywersją, przerzutem ludzi do Hiszpanii, wyszukiwaniem alianckich

pilotów. Współpracowała ściśle z brytyjskim SOE – Kierownictwem Operacji Specjalnych.

– Front jest coraz bliżej. Wyzwolenie rychło nastąpi, ale Niemcy nasilili działania represyjne. Szacujemy, że przez Montluc przeszło w ostatnich miesiącach prawie dziesięć tysięcy więźniów. Od samego kwietnia śmierć poniosło tam ponad sześćset osób. Barbie nakazał służbom bezpieczeństwa intensywniej wywozić naszych obywateli do niemieckich obozów we wschodniej Europie.

– Mamy im w tym przeszkodzić?

– Jeśli udałoby się choć jeden transport zatrzymać, to uratowalibyśmy... to wyrwalibyśmy z faszystowskich łap z tysięcy osób. Może nawet więcej!

– Na dworcu kolejowym Perrache nic nie zrobimy, bo za dobrze jest pilnowany.

– A jakiś wiadukt? Może most? – zapytał ojciec.

– Wiadukt albo most, mówisz. Hm...

– Może tunel?

– Dobrze. Sprawdzimy, tato.

– Aha. Jean. Jeszcze jedna sprawa. Proszę cię, uważaj na siebie. Pamiętaj, że życie jest najważniejsze. Wojna się kończy.

– No co ty, tato! Mam bardzo mocne papiery...

– Chodzi mi o Esterę. Jeśli wpadniesz z nią, to pojedziesz na wschód albo cię te faszystowskie skurwysyny rozstrzelają na miejscu.

– Oj, tato. Tyle razy o tym rozmawialiśmy!

– Tak. Ale dzisiaj mnie zaczepił właściciel tego sklepu z narzędziami i pytał, z kim się prowadzasz. Kto to jest? Twój nauczyciel ze szkoły i ksiądz też pytali. Mówili, że nie kojarzą tej dziewczyny z dzielnicy! A ksiądz pytał, skąd przyjechała! Mało to gestapo ma konfidentów wśród nas?! Pomyśl o czymś innym, synu! Nie tylko sercem. Proszę cię! – Prawie krzyknął.

– Nic mi się nie stanie. Zobaczysz! Niedługo będziemy wolni – odpowiedział pewnie Jean. – Idę zająć się sprawą.

– Jean, jeszcze jedno. Jak by ci to powiedzieć? Ale to jest... nasza sprawa. Może Polacy nie muszą o tym wiedzieć...

– Tato! – Jean mu przerwał i wstał od stołu. – To moi przyjaciele! Rozumiesz? Jak tak możesz mówić! Razem krew przelewaliśmy. Razem się narażaliśmy. Ja im ufam, a oni ufają mnie. Jesteśmy jak bracia.

Po chwili w mieszkaniu rozszedł się głuchy dźwięk zatrzaśniętych drzwi i następujący po nim hałas kroków zbiegającego po drewnianych schodach Jeana. A potem trzasnęły drzwi w bramie kamienicy.

* * *

Jean, idąc na spotkanie z Esterą, był tego dnia wyjątkowo dobrze nastawiony. Prawie od tygodnia obserwowali z kolegami z Moniki dworzec Perrache i wyjeżdżające z niego pociągi. Sprawdzili oddalony na północ od miasta o ponad dwadzieścia kilometrów nieduży most w Anse, przerzucony przez rzekę Azergues. Jednak szybko doszli do wniosku, że łatwo go będzie odbudować. Dlatego wrócili do pomysłu wysadzenia mostu na Saonie, prawym dopływie Rodanu. W tym celu od wczoraj przy nabrzeżu stała barka, a w zasadzie wielka, płaskodenna łódź drewniana wypełniona materiałami wybuchowymi ze zrzutów oraz ładunkami wyjętymi z min przeciwczołgowych.

Jean minął most na Rodanie i skierował się na południe. Przed budynkiem Hôtel de Ville minął karmiących gołębie niemieckich żołnierzy, którzy przy kilku ciężarówkach zapewne czekali na ewakuację niemieckich gości urzędujących na stałe w hotelu. Do Place de la République, gdzie się umówił z Esterą, miał kilkaset metrów. Po kilkunastu minutach był na miejscu. Po drodze zaczepiło go dwóch niemieckich żołnierzy na motocyklach BMW, kiedy kupował w kiosku cukierki dla swojej dziewczyny. Usiadł na murku przy niewielkiej fontannie. Zaczął rozglądać się po wszystkich wylotach ulic, które rozchodziły się gwiazdźście z placu. Ale widział tylko przemykające pojedyncze samochody. Wypatrywał, czy w podcieniach sklepowych markiz rozłożonych nad chodnikami nie dostrzeże ciemnowłosej dziewczyny w białej, przewiewnej sukience. Minęła już dwunasta. Po kilku minutach zaczął bardziej nerwowo spoglądać na duży, owalny zegar na narożnym budynku. Wstał. Przeszedł obok ostrzyżonych na kształt kul drzewek. Wrócił. Usiadł. Poczuł jakiś nieokreślony lęk. Zaczął jeść z papierowej torebki jeden po drugim kwaskowe, kolorowe cukierki. „Gdzie ona jest, co się dzieje? Nigdy się nie spóźniała!” – myśli kłębiły się w jego głowie. Czas płynął, ale on tego nie czuł. Minęła pierwsza. Nagle zerwał się i zaczął biec w kierunku swojego domu.

Zapomniał o zacumowanej na rzece barce, którą miał sprawdzić, spacerując po bulwarach z Esterą. Chciał biec jeszcze szybciej. Jednak opadał z sił. Zatrzymał się. Był blisko swojego domu. Odsapnął. Po kilku minutach wbiegał już po schodach. Szarpnął za klamkę i z łoskotem otworzył drzwi. Zobaczył siedzącą przy stole płaczącą matkę i stojącego w oknie ojca palącego papierosa.

– Coś się stało?! – krzyknął, wbiegając do przedpokoju.

– Synku! – Matka się poderwała. – Kochany synku! – Objęła go i mocno przytuliła.

– Mamo, co się stało? Powiedz, proszę!

– Jean, posłuchaj. Usiądź – powiedział ojciec i odwrócił się. – Dzisiaj rano były łapanki w naszej dzielnicy. Szukali ukrywających się... Żydów.

– Estera?! Tak?! – krzyknął chłopak.

– Tak. Esterę też zatrzymano. Całą jej rodzinę. Wszystkich...

– Jak to się stało?! Wiecie coś?! Mówcie, do cholery! – krzyknął ponownie, tym razem ze łzami w oczach.

– Nie wiadomo. Sprawdzamy. Świadkowie mówili, że to podobno ten nowy ksiądz ich wydał czy wskazał, ale to nic pewnego. Zresztą nie tylko ich i podobno nie tylko ten ksiądz. Rozmawiałem z majorem Mary, ostatnio ujawniono kilku księży kolaborantów w naszym okręgu.

Jean poderwał się. Podbiegł do ojca.

– Tato! Trzeba ją uwolnić! Rozumiesz?! Uwolnić. Możemy razem...

– Jean, posłuchaj! Uspokój się, Jean! Oni są w więzieniu Montluc. Nie da rady wyciągnąć ich stamtąd. Gdyby trzymali ich w Saint Paul, to może coś by się dało zrobić. Ale od Niemców?! To niewykonalne!

– Ale tato! Czy ty nie rozumiesz... – Szarpnął go za ramię.

– Rozumiem, synu, bardzo dobrze rozumiem. Musisz wiedzieć coś jeszcze... Widzisz, oni ich szybko wywiozą zapewne na wschód. Nawet nie zdążymy dotrzeć do kogoś...

Chłopak wybiegł z mieszkania. Matka podeszła pospiesznie do okna i krzyczała do niego, widząc, jak biegnie po ulicy. On jednak się nie odwrócił. Zniknął za rogiem.

* * *

– Masz, Jean, sam popatrz, ilu Niemców wokół stacji, żandarmi, esesmani, Wehrmacht. Jak mrówek, a właściwie parszywych wszy do zgniecenia. –

Franek podał Jeanowi lornetkę.

– Ale ja... Chłopaki, musimy ją wyrwać z łap tych faszystów! Nie możemy jej tak zostawić! – odpowiedział Jean, zanim jeszcze zaczął obserwować dworzec Perrache.

Intensywnie patrzył przez lornetkę. Wszyscy stali pochyleni, chowając się za kominy.

– Jean! Uważaj! Ustaw się tak, aby jakiś refleks świetlny nas nie zdradził! – rzucił jeden z obserwujących.

Każdy z nich gotów był w razie dekonspiracji biec po dachach kamienic, gdzie musieliby wykonać kilka śmiertelnie niebezpiecznych skoków. Trasę ucieczki dobrze znali. Wiedzieli, gdzie są drabinki, wejścia na dachy, gzymsy i balkony. Wielokrotnie w wolnym czasie trenowali takie manewry. Ale jeszcze nie mieli okazji wykorzystać swoich umiejętności. Często żartowali, że kiedyś to może stanie się dyscypliną olimpijską i wtedy będą zdobywać medale dla wolnej Polski i wolnej Francji. Obaj Polacy patrzyli jeden na drugiego. Wyczuwalne były między nimi napięcie i niepewność.

– *Putain!* Jean! Do jasnej cholery! Nie wychylaj się tak! Zauważą cię – rzucił Franek.

– Czekaj. Muszę wszystko dokładnie zobaczyć i szybko zaplanować!

– Ale co my we trzech możemy zrobić? Człowieku! Za mało ustaleń, żeby coś wykombinować. Ale skoro się tak upierasz... Hmm... Można by coś w lokomotywę wsadzić. Albo jakaś inna akcja na torach...

– Nie upieram się, tylko musimy coś zrobić! Po prostu musimy! – Jean był nieugięty i nie odrywał oczu od lornetki.

– Tylko co, Jean!? Jak dotrzemy do lokomotywy albo pod skład? W parowozach jeżdżą zawsze uzbrojeni *Bahnschutze*. Mamy iść na nich z taką bronią?! To byłoby samobójstwo! – przerwał mu drugi kolega i wskazał na zdobycznego walthera P38 wciśniętego za pasek spodni i zasłoniętego czarnym swetrem.

– Mnie wystarczy. Mamy coś lepszego niż ten twój zasrany niemiecki pistolet – odpowiedział z pewnością w głosie Jean, odwrócił się i przyklęknął. – Wiemy, że to pociąg numer 14 166 i ma ruszyć dzisiaj w godzinach południowych. Tak?

Chłopcy przytaknęli.

– Jedzie na północ w kierunku Chaumont, tak?

Ponownie przytaknęli.

– No i co z tego wynika? – zapytał Franek.

- Ano to, że wysadzimy naszą barękę przed jego odjazdem.
- Czy ty, kurwa, zwariowałeś, Jean?! Ładunki trzeba podłożyć pod stalowe filary na styku z podporami. Nie wiesz, jakie są zasady przy takich metalowych konstrukcjach?! Tyle razy na szkoleniach ci z SOE to tłumaczyli. Inaczej będą tylko fajerwerki, a nie poważna dywersja.
- Poza tym jak to chcesz zrobić?! W dzień? – wtrącił Olek. – Most jest pilnowany przez Wehrmacht i żandarmerię. A nas jest tylko trzech. Możemy co najwyżej... skołować jeszcze ze dwa steny i parę granatów zaczepnych. To wszystko... z naszego arsenału. Nie mówiąc o tym, że powinniśmy mieć zgodę przełożonych!
- Pomożecie mi czy nie?! Jest jakaś szansa! Proszę...
- Pomożemy. Ale wyjdzie z tego, zobaczysz... *la grosse merde* – odpowiedział Franek.
- Eee! *Garçons!* – krzyknął nagle Olek, który wziął wcześniej lornetkę od Jeana.
- Wskazał palcem w kierunku dworca kolejowego.
- Jean i Franek zaczęli intensywnie się przyglądać. Pod dworzec podjechało kilkanaście wojskowych ciężarówek Opel Blitz konwojowanych przez dwa odkryte steiry 1500 wypełnione żandarmami, dwa motocykle BMW z koszami oraz czarnego citroëna 7CV. Z łoskotem opadały tylne klapy. Zaczęto wypędzać z ciężarówek grupki ludzi. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Wszyscy krzyczeli przerażeni. Ich rozpaczliwe prośby, płacz, wołania mieszały się z ujadaniem owczarków niemieckich, które Niemcy wyprowadzili ze steyrów. Padały pojedyncze strzały. Jakiś oficer SS prawie w biegu wyskoczył z citroëna i zaczął wydawać głośno rozkazy. Ludzi zapędzono na dworzec, a ciężarówki szybko odjechały.
- Pewnie wracają skurwiele po następnych – powiedział Olek, przekazując Frankowi lornetkę. – Popatrz na biedaków stłoczonych przy dworcu i tych dwóch, którzy leżą zastrzeleni przy bocznicy. Jeszcze ich krew nie zastygła. W tego drugiego z pół magazynka musieli wywalić. Podziurawiony jak sito. Pewnie chcieli prysnąć. Trudno na to patrzeć. Na mnie możesz liczyć, Jean. Idę z tobą – dodał po chwili i popatrzył na kolegę.
- Jean. Widziałeś tam na bocznicy? Podstawiono dziesięć wagonów trzeciej klasy. Na moje oko, chłopaki, to wejście może z tysiąc osób do tego składu – rzucił Franek.

– Chodźmy już. Nie ma czasu! Liczy się każda minuta – zdecydował Jean, a jego koledzy bez słowa skierowali się do drzwi prowadzących na strych kamienicy.

* * *

W formowanym konwoju numer siedemdziesiąt osiem miano załadować tego dnia siedmuset pięćdziesięciu więźniów, w tym trzysta kobiet, dwanaścioro dzieci i ponad czterystu trzydziestu mężczyzn. W czterech wagonach mieli jechać Żydzi złapani głównie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy w regionie Rodan-Alpy. Pięć pozostałych wagonów przeznaczonych było dla innych narodowości, w tym Polaków. Jeden wagon przeznaczono na bagaże.

* * *

– Jean, jesteś pewien, że to zadziała? – dopytywał się Franek majstrujący coś przy zapalniku czasowym w piwnicy nadbrzeżnego budynku. – Możesz w ostatniej chwili zrobić korektę, ale uważaj, bo polecisz do Świętego Piotra jak nic.

– Oblóż je mocno laskami dynamitu i zwiąż wszystko sznurkiem. Dopiero potem włóż w środek. Będzie lepszy efekt – doradzał Jean, wskazując na metalowe wiadro.

– Jasne. Jak pierdolnie, to Niemcy z butów wyskoczą na przyczółkach mostu!

– Chodźmy! Olek na pewno już na barce wszystko przygotował. To im piękna „Jacqueline” zaraz przypierdoli. Popamiętaj ją.

– Tylko, Jean, jesteś pewien... że zdążysz? – Chłopak w odpowiedzi pokiwał z przekonaniem głową. – W takim razie powodzenia, przyjacielu. Spotykamy się u ciebie w mieszkaniu. A potem dorwiemy w dzielnicy tego klechę, co ich wydał. Powiesimy skurwiela za jaja na najbliższej latarni. A najlepiej kilku od razu, szkoda czasu na te kolaboracyjne ścierwa. – Klepnął go mocno w ramię. – Aha, przykryj dokładniej węglem nasz upominek – dodał, wskazując na przygotowany inicjujący ładunek wybuchowy ukryty w wiadrze. – Tak na wszelki wypadek, jakby ktoś cię zaczepił na nabrzeżu.

Barka o dźwięcznej nazwie „Belle Jacqueline” stała zacumowana obok kilku innych jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed mostem Kitchener-Marchand. Kręcili się przy nich członkowie załogi i jacyś robotnicy przenoszący skrzynie z pokładów do zaparkowanych dwóch ciężarówek Berliet. Między nimi przecisnął się Olek. Z Frankiem odczekali jeszcze kilka minut. Potem powoli oddalili się z rejonu mostów.

Tymczasem Jean odcumował barcę, która po chwili zaczęła wolno i bezszelestnie przemieszczać się z nurtem rzeki w kierunku mostu kolejowego. Sprawdził czas. Miał jeszcze kilka minut. Spokój, który odczuwał, wzmagało równomierne chybotanie się barki. Jakby na chwilę zapomniał o celu wyprawy. Popatrzył na otaczające wzgórza kamienice. Trochę zatęsknił do rodzinnej Marsylii, białych murów domów nagranych słońcem, szpalerów zielonych drzew, bryzy od morza, nawet do dźwięków statków wchodzących do portu i z niego wychodzących, do tego śródziemnomorskiego kolorytu. Przypomniał sobie wyprawy z ojcem na niewielkim kutrze dziadka do Camargue, terenu położonego w delcie między dwiema głównymi odnogami Rodanu.

Ocknął się po chwili z krótkiego letargu. Barka minęła most Kitchener-Marchand, po którym spacerowali piesi i przejeżdżały niespiesznie samochody. Brakowało jeszcze około pięćdziesięciu metrów, jak ocenił chłopak. Jednak nagle wydarzyło się coś, czego się nie spodziewał, czego z kolegami w ogóle nie przewidzieli, choć powinni. Barka zaczęła lekko skręcać. Ponieważ nie miała żadnego napędu i była zwykle ciągnięta przez inne barki albo holownik, Jeanowi pozostał wysłużony drewniany ster. Jednak w momencie, gdy go chwycił, nurt przyspieszył, bo zbliżało się ujście do Rodanu. Spojrzał na zegarek. Wiedział, że nie ma czasu na zmianę ustawień zapalnika. Barka, zamiast iść równo, mocno skręciła na sterburtę. Jean nie zastanawiał się. Liczył na jakiś łut szczęścia. W końcu nigdy go nie zawiodło. Dlaczego teraz miało go opuścić?! Właśnie teraz, kiedy najbardziej go potrzebował. Nie dla siebie, tylko dla ukochanej.

Skoczył bez namysłu do rzeki i zaczął szybko płynąć w kierunku brzegu. Na początku pod wodą, potem się wynurzył. Walczył z silnym nurtem, który ciągnął go w kierunku mostu kolejowego. W tym czasie burta odwracającej się bokiem barki była kilkanaście metrów od kamiennobetonowej podpory mostu. Wydawało się, że lada moment uderzy i roztrzaska się o nią. Nie dotarła. Nastąpiła eksplozja. Z okolicznych domów posypały się szyby. Potężny słup ognia wystrzelił wysoko

w powietrze. Po chwili szczątki płonącej barki zaczęły spadać na stalowe przęsła i do rzeki. Pałące się, osmołowane długie deski lądowały na kratownicy mostu. Niektóre dosięgły torów. Kilkanaście sekund po eksplozji na obu przyczółkach wyroili się pilnujący przeprawy kolejowej niemieccy żandarmi. Kilku z nich odruchowo zaczęło strzelać z broni maszynowej w kierunku rzeki i podpór. Zapewne myśleli, że to pletwonurkowie dywersanci spowodowali ten wybuch. Jednak szybko przestali, gdy popatrzyli na dryfujące w kierunku Rodanu resztki barki. Inni wbiegli na most i butami zaczęli gasić ogień na paru płonących na torowisku deskach. Szybko się z tym uporali. Przeprawa kolejowa po kilku minutach była bezpieczna. Natomiast po sąsiednim moście zaczęli biegać ludzie. Na nabrzeżu rozległy się krzyki. W oddali zawyły syreny samochodów żandarmerii, dobiegały od strony dworca Perrache. Pierwsi pojawili się motocykliści, którzy zatrzymywali przechodniów i blokowali ulice w rejonie mostowych przyczółków.

Jean wychodził oszołomiony z wody. Ślizgał się na kamiennym nabrzeżu. Ponownie osunął się do wody. Po kilku próbach w końcu się wygramolił. Usiadł w kucki. Drżał z zimna i ze zdenerwowania. Od fali uderzeniowej dzwoniło mu cały czas w uszach. Spojrzał ze smutkiem na nienaruszony most. Patrzył na niego tępym wzrokiem, siedząc w bezruchu. Aż w końcu usłyszał przeciągły gwizd lokomotywy. Po chwili na most wtoczył się ostrożnie transport numer 14 166, w którym jechała jego kochana Estera. Jean zakrył mokrymi dłońmi twarz i zaczął płakać. To, co go utrzymywało tego dnia przy życiu, czyli nadzieja na udaną akcję dywersyjną, zniknęło w momencie przedwczesnej eksplozji. Zastąpiło ją poczucie bezgranicznej bezsilności. Nie wiedział, co ma dalej robić.

ROZDZIAŁ 3

Mehmet

Turcja – lato/jesień 1972 roku

Wznosząca się ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza, łagodnie zakończona na szczycie góra Zurbahan dla mieszkańców dystryktu Hakimhan, w prowincji Malatya, w środkowej Turcji, była czymś wyjątkowym. W jej najbliższym otoczeniu panuje surowy klimat – zimy są przenikliwe i mroźne, a lato jest upalne i suche. Od wieków darzono ją respektem i szacunkiem. Dominująca nad okolicznymi jałowymi wzniesieniami, pokrytymi kamieniami, skalnymi wychodniami, gdzieniegdzie kępami kolczastych krzewów, poprzecinana wąwozami i urwiskami, była traktowana przez ludzi ze sporą dawką mistycyzmu. Kiedy ustępowały upały albo zimowe chłody, pojawiały się tu i ówdzie zielone kępy traw, rozrastające się w całe połacie. Między nimi wyrastały skromne czerwone i żółte polne kwiaty. Ludzie doceniali, że jej jaskinie dawały schronienie podczas wojen i konfliktów. Stąd brały się wierzenia, że góra ta stoi na straży spokoju i bezpieczeństwa mieszkańców pobliskich wiosek.

Zurbahan również „żywiła” ich setki lat. W jej wnętrzu odkryto kiedyś bogate złoża dolomitu, toru i żelaza. Eksploatowane kopalnie dawały im pracę i zarobki. Wybijająca z jej stoków krystalicznie czysta woda źródłana nawadniała sady morelowe i orzechowe na nachylonych poletkach w dolinach u jej podnóża. Pośród wyjałowionej słońcem ziemi bujna roślinność sadów sprawiała wrażenie oazy na pustyni.

Przekazywane z pokolenia na pokolenie legendy mówiły, że na szczycie góry znajdują się trzy grotty wypełnione skarbami. Aby jednak otworzyć

wrota każdej z nich, trzeba było wypowiedzieć magiczne słowa. Chociaż wielu śmiałkom udawało się wejść do którejś groty, to nikt nie zdołał wynieść z niej kosztowności. Stąd wielu okolicznych mieszkańców ciągle wierzyło, że kiedyś los się do nich uśmiechnie, Zurbahan okaże się łaskawa i obdarzy ich wielkim bogactwem i dostatkiem.

* * *

Elif od dziecka słyszała legendy związane z górą Zurbahan. Jako mała dziewczynka skrycie marzyła, że kiedyś uda się jej odnaleźć mityczne skarby. Dla niej życie u podnóża góry było nadzieją na lepszą przyszłość i odmianę losu. Z czasem jednak okazało się pasmem cierpień i niedostatku. Tak naprawdę radosne momenty nadchodziły tylko wtedy, gdy mogła spoglądać na górę podczas wschodu i zachodu słońca. Wówczas promienie rozświetlały jej stoki na czerwono, a zarysy skał się wyostrzały, nadając górze groźniejszy wygląd.

Z ojcem, matką i dwoma braćmi – Hamzą i Mehmetem – mieszkali we wsi Kozluk na południe od Malatyi. Ich dom zbudowany był z kamienia wzmocnianego błotem i zaprawą, nie miał podłogi, kanalizacji, bieżącej wody ani elektryczności. Rodzice Elif byli analfabetami. Nie czekało ich lepsze jutro, podobnie jak większości mieszkańców tego surowego, nieurodzajnego regionu. Pewnego dnia szczęście jednak uśmiechnęło się i do nich. Ojciec Elif dostał pracę górnika w firmie wydobywczej Bilfer obsługującej kopalnię Deveci. W związku z tym cała rodzina przeniosła się do Hekimhan. Wtedy pojawiła się nadzieja na lepszą przyszłość. Comiesięczny przyływ gotówki stopniowo poprawiał ich byt.

Ale ta idylla nie trwała długo. Podczas zawału w kopalni ojciec zginął przygnieciony skałami. Matka została sama z trójką dzieci. Było im bardzo ciężko. Elif wiedziała, że muszą być silni. Hamza zawsze ją wspierał i pracował ponad siły, żeby wspomóc rodzinę. Mehmet był inny – inteligentny, opanowany, ale miał w sobie coś, czego ona nie potrafiła lub nie chciała przyjąć do wiadomości. Był zimny i bezwzględny we wszystkim, co robił. Pomagał rodzinie z całych sił, lecz nigdy nie okazywał przy tym emocji. Martwiło ją, że odkąd rozpoczął naukę w liceum Kamela Mustafy w Malatyi, odciął się od rodziny i otoczył gronem kolegów. Prezentowali oni niezrozumiałe dla niej poglądy. Byli dumni, pewni siebie

i podobnie jak Mehmet wydawali się bezwzględni w swoich przekonaniach. Ich życie wypełniała wiara w Koran i potęgę Turcji.

Osowiła siedziała na wypalanej przez słońce drewnianej ławce przed niewielkim, ceglany domem w Hekimhan i oddawała się rozmyślaniom. „Co mnie czeka w przyszłości? Skończyłam siedemnaście lat, a nie mam jeszcze męża. Może wyjadę do Niemiec Zachodnich, jak moja koleżanka ze swoim mężem? To przecież nie jest trudne. Wystarczy być pracowitym”. Po chwili wróciła myślami do Mehmeta. „Kim są jego nowi koledzy, z którymi spędza więcej czasu niż z rodziną? Czy mają jakieś plany wobec niego?” W głębi ducha czuła, że znajomości Mehmeta są na rękę jej i całej rodzinie. Odkąd zaczął się obracać w tym środowisku, przynosił do domu żywność i zawsze miał przy sobie pieniądze. Poza tym często nie było go w domu, więc było mniej osób do wykarmienia.

W pewnym momencie Elif przywróciło do rzeczywistości skrzypienie otwieranych drewnianych drzwi. Z domu wyszła jej matka, ubrana w długą zieloną spódnicę, jasną koszulę z rękawami do łokci i biały hidżab zakrywający włosy, uszy i szyję.

– Samo się nie zrobi! – warknęła, wskazując dłonią na blachę ułożoną na ceglach, pod którą palił się ogień.

– Już idę! – odpowiedziała Elif.

Matka stała przy blasze z płaską drewnianą misą i rozrobionym ciastem.

– *Buyurun* – powiedziała chłodno, podała jej miskę i weszła z powrotem do domu.

– *Teşekkürler!* – podziękowała jej córka z przekąsem.

Nienawidziła stanowczości i oschłości matki. Nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie wreszcie za mąż, bo wtedy już nie będzie musiała jej słuchać.

Wstała i uklękła obok paleniska. Oderwała kawałek ciasta i zaczęła go rozprowadzać po drewnianej płaskiej misce. Ulepiła okrągły, cienki placek i umieściła go na rozgrzanej blasze. Po chwili przewróciła na drugą stronę, a potem zdjęła i odłożyła na leżące przy palenisku białe płótno. Podobnie zrobiła z kolejnymi kawałkami ciasta. Powietrze wypełnił zapach świeżego, typowego tureckiego pieczywa. W tym momencie poczuła, że robi się coraz głodniejsza.

Ostatnio było ich stać jedynie na te placki z mąki i wody, spożywane z warzywami z ich ogródka i popijane kozim mlekiem lub herbatą. Tylko

od święta mogli sobie pozwolić na *lahmacun* – cienki placek z mięsnym nadzieniem i przyprawami.

Nieopodał, w niewielkiej zagrodzie, od czasu przeprowadzki hodowali kilka owiec i kóz, głównie dla mleka. Mięso z nich przeznaczone było na specjalne okoliczności. Jedną z nich było Şeker Bayramı, czyli święto przypadające tuż po zakończeniu ramadanu. Wtedy po trzydziestodniowym poście można było wreszcie świętować i najeść się do syta. W tym roku święto wypadło ósmego listopada, a więc zostało do niego jeszcze sporo czasu.

– Ech... ciekawe, czy na dzisiaj wystarczy tych placków? Ciasto już się skończyło, a nie za wiele upiekłam – mruknęła Elif do siebie.

Głód stawał się coraz dotkliwszy. Od czasu do czasu czuła przeszywający ból brzucha. Dyskretnie zaczęła podjadać pieczone ciasto, lecz bez warzyw i aromatycznej herbaty nie smakowało jak zawsze. Podniosła się, zabrała białe płótno z plackami i weszła do chaty. Ogień pod blachą powoli przygasał.

Ich dom składał się z przedsionka i dużej izby, z której było przejście do trzech niewielkich pokoi. W narożniku izby stał niewielki blaszany piec opalany drewnem. W stronę sufitu odchodziła od niego metalowa rura, która na zewnątrz przechodziła w nieco przekrzywiony, niski komin. Obok pieca stała zbita z desek skrzynia, w której leżały porąbane kawałki drewna. Na podłodze leżały przetarte, wyblakłe wełniane dywany z postrzępionymi brzegami. Przy ścianie ułożono kilka koców przeznaczonych do siedzenia, na których stały wielkie poduchy podparte o nierówną ścianę. Całe wnętrze domu było pomalowane na jasnoniebieski kolor. Światło dzienne wpadało przez jedyne dość duże okno. Jego pokrzywione framugi oblażyły w wielu miejscach z lakieru. Szpary między ścianą a oknem zimą trzeba było zatykać płótnem i kawałkami wełny, by mróz nie wdzierał się do środka. Zapach, jaki się unosił w pomieszczeniu, przypominał mieszaninę stęchlizny ze spalenizną. Był tak intensywny, że nie zagłuszyły go wnoszone właśnie przez Elif parujące placki.

* * *

– Wielka Turcja się odradza! Dokonamy tego wspólnie z pomocą Allaha! – wykrzyczał Mustafa pewnym i donośnym głosem.

– *Harika Türkiye!* – wyrwał się donośny okrzyk z kilkudziesięciu młodych gardeł, a potem dwukrotnie go powtórzono.

– Teraz właśnie jest czas na zmiany! Na nowy, silny kraj! Silniejszy niż kiedykolwiek! Kiedy przyjdzie czas, ojczyzna wezwie nas do działania! Musicie być przygotowani! Już teraz! – krzyczał ciągle jak w jakimś transie. – Coś wam jeszcze powiem. – Przerwał na chwilę, ale zaraz kontynuował, tyle że niższym tonem: – Mimo sukcesów naszej ojczyzny na arenie międzynarodowej obecna sytuacja wewnętrzna jest trudna. Najpierw rządząca ponad dziesięć lat Partia Demokratyczna dopuszczała się stosowania represji wobec swojego narodu. Sami pamiętacie, co się działo. Cały kraj pogrążał się powoli w kryzysie gospodarczym. Potem był wojskowy zamach stanu. Tego psa premiera Menderesa i jego dwa przyboczne ministerskie kundły skazali na śmierć. Później znowu był chaos.

Mężczyzna zrobił dłuższą przerwę. Poprawił dłonią gęste czarne włosy. Popatrzył w niebo, jakby szukał tam boskiego znaku, a potem na zgromadzonych, których oczy spoglądały na niego z jakimś bezgranicznym zaufaniem. Wziął głęboki oddech, spuścił głowę i zaraz ją podniósł.

– Potem konflikt z Cyprzem, po puczu nacjonalistów greckich na Cyprze nastąpił desant naszych oddziałów na wyspę. Znowu wyrwaliśmy braci z greckiej niewoli. Ale wciąż nie poprawiał się los całych mas naszego narodu. Wiecie, jak żyją wasze rodziny, wasi sąsiedzi. Dlatego organizacja Szare Wilki, która liczy już prawie sto tysięcy osób, musi się temu przeciwstawić. Nie możemy się powstrzymywać przed likwidacją wrogów naszego narodu. Jak zajdzie potrzeba, musicie być gotowi zabijając skorumpowanych działaczy związkowych, kłamających dziennikarzy, lewicowych aktywistów i te... kurdyjskie psy.

Wśród młodych mężczyzn stojących wokół niego w kilku rzędach i słuchających go z uwagą co jakiś czas wybuchał entuzjazm. Teraz zaczęli niczym w transie wznosić okrzyki aprobaty i zagrzewać się wzajemnie do śmiertelnej walki ze wskazanymi wrogami narodu. W powietrzu zaczął unosić się kurz z klepiska. Ciemne spodnie zebranych stawały się coraz brudniejsze. Zmieniały kolor na szary. Tym samym jasnym kurzem pokryły się ich buty. Wytarte na rękawach, powyciągane marynarki, które zapewne niejedno już przeszły, też powoli robiły się szare. Można było odnieść wrażenie, że jedynie jasne koszule mężczyzn były w miarę wolne od wszechobecnego pyłu.

Powoli okrzyki cichły, zamieniając się w zbiorowy kaszel wywołany przez drapiący w gardła kurz. Zebrani przecierali łzawiące oczy. W końcu zaczęli trochę się oddalać od centrum tumultu. Jednak nie ci, którzy stali najbliżej przemawiającego. Ci jakby nie zwracali uwagi na kurz w ustach, oczach i we włosach.

W pierwszym rzędzie stał brat Mustafy – Yusuf wraz ze swoim najlepszym kolegą – Mehmetem. Poznali się w szkole średniej w Malatyi. Byli od tego czasu prawie jak bracia. Starszy od nich Mustafa stanowił dla nich wzór przywódcy duchowego, przewodnika po życiu. To właśnie on zaszczerpił im ideę Wielkiej Turcji. Wielokrotnie przysięgali mu wierność.

Obozy organizowane nad brzegiem jeziora Hazar, otoczonego majestatycznymi górami Taurus, dawały młodym mężczyznom i chłopcom poczucie pewności siebie i przynależności do organizacji, która nigdy nie zostawi ich w potrzebie. Czuli się tu wyjątkowo. W czasie długich rozmów przy ogniskach wpajano im, że dzięki przynależności do Szarych Wilków będą kimś innym. Nie zwyczajnymi uczniami, bezimiennymi mieszkańcami okolicznych wiosek, pracującymi ponad siły robotnikami w kopalniach, rolnikami walczącymi z przeciwnościami półpustynnego górskiego terenu i surowym klimatem. Staną się ważnym ogniwem w odbudowie Wielkiej Turcji. Czuli się wybrani, bo w środkowej Turcji było wielu tak biednych jak oni mężczyzn. Jednak to właśnie oni zostali wybrani do wielkich celów. To dawało poczucie wyjątkowości.

Ideologia ta, ugruntowana religijnie, dawała potężny oręż w indoktrynacji nie tylko dorosłych mężczyzn, ale i kilkunastoletnich chłopców, tworząc z nich bezwzględne skrzydło Partii Ruchu Narodowego. Jej członkowie w większości wywodzili się z rodzin żyjących w skrajnej nędzy. Studiowany na obozach Koran stanowił ważny element integracji. Skoszarowani w namiotach z grubej wielbłądziej wełny w słabo zalesionym terenie, tuż przy brzegach jeziora, całymi dniami uważnie słuchali swoich nauczycieli. W przerwach spożywali zapewnione przez organizatorów posiłki. Pieczony na ognisku baran albo koza stanowiły nie lada rarytas. Potem rozwożeni byli do swoich wiosek. Dla wielu z nich była to jedyna szansa na wyrwanie się z wszechobecnej biedy. Rodzice chłopców cieszyli się, że być może ich dzieci spotka lepszy los od tego, jaki im był dany. Nikt z nich nie zastanawiał się, jakie konsekwencje dla młodych ludzi może przynieść tak silna indoktrynacja. A może po prostu jako prości ludzie tego

nie rozumieli. Wypierali jakiegokolwiek myśli o płynących zagrożeniach. Bieżące korzyści były oczywiste. To wystarczało.

* * *

– Nie ma piękniejszego miejsca na świecie! – odezwał się Yusuf, widząc Mehmeta opartego o młody cedr i wpatrującego się w głębię jeziora Hazar.

Gładka tego dnia szmaragdowa tafla i wysoki wał górskiego pasma na odległym drugim brzegu tworzyły wrażenie wielkiej przestrzeni, a także dawały poczucie wolności i spokoju.

– Tak. To prawda. Turcja jest taka wielka, taka piękna. Góry, morza, pustynie, jeziora, zielone doliny, rwące, zimne górskie rzeki. Wielkie miasta z ich portami, ze światłami nocnego życia Stambułu, Izmiru, Trabzonu... A my tacy biedni tutaj jesteśmy – odpowiedział Mehmet ze smutkiem i z pewną melancholią w głosie, nie odwracając ani na chwilę wzroku od jeziora.

– To вина tych dywersantów i zdrajców. Zobaczysz, to się wkrótce zmieni. Mustafa mówi, że za jakiś czas, kiedy się ich pozbędziemy z kraju, powróci okres dawnej świetności. Z pomocą Allaha dokonamy tego. Wierzę w to, bracie!

– Ja też w to wierzę! – syknął przez zęby Mehmet.

Wyraz twarzy miał obojętny i sprawiał wrażenie nieobecnego lub głęboko zamyślnego. Czasami tylko przymykał powieki, jakby chciał wyraźniej zobaczyć szczyty Taurusu. Pocierał co chwila zaczerwienione oczy, starając się usunąć z nich resztki pyłu.

– Za jakiś czas, gdy przyjdzie nasza kolej, będziemy mogli oddać przysługę ojczyźnie. Kiedy przywrócimy jej należną świetność, nasze życie się odmieni. Przekonasz się... – powiedział pewnym głosem po dłuższym milczeniu Yusuf. – Ja już jestem gotowy do działania. Powiedz Mustafie, że już mogę działać... – dodał, a Mehmet spojrzał na niego zimnym, pozbawionym emocji wzrokiem.

– On o tym już wie, bracie. Za jakiś czas zaczniemy działać. Obiecuję ci. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Musimy czekać na odpowiedni moment. – Poklepał przyjaciela po ramieniu i uśmiechnął się, chyba pierwszy raz tego dnia.

W tym momencie usłyszeli dźwięk silników samochodowych. Warkot stawał się coraz głośniejszy. Nadjeżdżało kilka, może kilkanaście pojazdów.

Zaraz też z obozowiska zaczęły dochodzić krzyki. Słysząc było nawoływania. Nagle padło kilka pojedynczych strzałów. Krzyki przybrały na sile. Po chwili usłyszeli przeciągłą serię z broni maszynowej.

– To wojsko! Musieli odkryć nasze obozowisko! – zawołał Yusuf.

W tym momencie Mehmet bez zastanowienia wyciągnął z kieszeni nóż i skierował się w stronę obozowiska. Yusuf jednak złapał go za ramię i zdecydowanym ruchem pociągnął ku sobie. Mehmet się zachwiał.

– Nie mamy szans! Kraj potrzebuje cię żywego! Musimy uciekać! Pamiętasz, co mówił mój brat?!

Mehmet popatrzył na niego ponurym wzrokiem. Schował nóż do kieszeni. Obydwaj zaczęli spoglądać z niepokojem w kierunku, skąd dochodziły odgłosy walki. O ile wcześniej to były zwykłe krzyki, o tyle teraz zaczęło dochodzić do ich uszu wycie i głośne jęki. Przerywane były odgłosami strzałów. Stali nieruchomo. Nie byli na to przygotowani. Nie wiedzieli, jak mają się zachować. Przykucnęli na brzegu. W pewnej chwili zza kępy drzew wybiegł Mustafa w rozdartej, pokrzwawionej koszuli i bez jednego buta. Kilkanaście metrów za nim wyskoczył rosły mężczyzna w zielonym wojskowym mundurze, stalowym hełmie na głowie i z karabinkiem automatycznym HK Gewehr 3 w rękach. Długą lufą rozchyłał zasłaniającą drogę gałęzie krzaków.

Zatrzymał się na moment. Złożył się do strzału i przez chwilę celował. Puścił krótką serię, po czym znowu ruszył. Jednak w pewnym momencie potknął się o kamień. Upadł głucho i wypuścił broń z rąk, a następnie sturlał się na brzeg jeziora.

– Wzdłuż jeziora! Szybko! Biegnijcie! – krzyknął uciekający do zastygłych w bezruchu zaskoczonych młodzieńców.

Mehmet ruszył w kierunku podnoszącego się żołnierza, chcąc dopaść jego broni, a po drodze dźgnąć go ścisłanym w dłoni nożem. Jednak Yusuf, widząc jego zamiar, ponownie szarpnął go za ramię. Wydawało się, że Mehmet jest w jakimś amoku. Ze spokojnego, podziwiającego jezioro i góry młodego mężczyzny stał się w mgnieniu oka zranionym drapieżnikiem gotowym do walki. Yusuf to widział. Mocniej ścisnął go za ramię i jeszcze raz szarpnął. Mehmet spojrzał na niego.

– Dobrze. Już dobrze... Opanuj się! – krzyknął i jakby się uspokoił. – Uciekamy! – dodał i przyjaciele, nie zastanawiając się ani chwili, gwałtownie ruszyli przez nadbrzeżne zarośla.

Słyszeli, jak nadbiega więcej żołnierzy i jak krzyczą ze złości, widząc leżącego towarzysza, szukającego broni, która wpadła między nadbrzeżne kamienie. Młodzieńcy uciekali tak szybko i w takim popłochu, że nie zastanawiali się, czy ktoś za nimi biegnie. Mustafa, który biegł pierwszy, po drodze wyrzucił but przeszkadzający mu w ucieczce. Za nim, w pewnej odległości, podążali Mehmet i Yusuf. Przez kilkadziesiąt metrów nie oglądali się za siebie. Słyszeli jedynie okrzyki żołnierzy. W końcu Yusuf odwrócił się i spojrzął przez ramię do tyłu. Zauważył, jak jeden ze ścigających ich żołnierzy mierzy do nich z karabinu. Puścił krótką serię. Pociski ze świstem przeleciały obok nich. Po chwili padła druga seria. Kątem oka Yusuf zauważył, jak ramię brata odskakuje na bok, a on przewraca się i uderza głową o kamienisty brzeg jeziora. Biegąca za nim dwójka minęła go i dopiero po kilkunastu metrach zatrzymała się na moment, jakby dopiero do nich dotarło, co się stało. Yusuf, który był bliżej, chciał wrócić do rannego brata. Tym razem to Mehmet go zatrzymał.

– *Yusuf koş!* – Mustafa krzyknął do brata, by ten uciekał i nie wracał po niego.

– Pamiętaj, co ci mówił?! W razie zagrożenia jeden z was musi przeżyć! – krzyknął szybko Mehmet i ruszył dalej.

Yusuf po krótkim wahaniu ruszył za kolegą. Wbiegając na niewielkie wzgórze porośnięte niskimi, pojedynczymi drzewami, odwrócił się i zobaczył, jak grupa wojskowych dobiega do brata. Ten zaczął się szarpać. Próbował kopać. Żołnierze rzucili się i obezwładnili Mustafę, a następnie tłukli go kolbami karabinów po całym ciele.

Yusuf z Mehmetem przebiegli jeszcze kilkaset metrów, gdy nagle pojawiła się wojskowa ciężarówka, która coraz bardziej przyspieszała, kierując się prosto na nich. Przez chwilę się zawahali. Z jednej strony jezioro Hazar, z drugiej pojazd, który był coraz bliżej. W tym momencie wskoczenie do jeziora i próba odpłynięcia zakrawały na szaleństwo. Zaczęli odsuwać się od wody i kierować się w głąb lądu. Ciężarówka była już niebezpiecznie blisko. W końcu zauważyli pagórki, nieco wyższe, porośnięte dużymi drzewami. Szybko tam pobiegli. O kilkanaście metrów udało im się wyprzedzić ciężarówkę, która gdy tylko przecięli jej drogę, raptownie skręciła w ich kierunku. Manewr ten był jednak tak nagły, że na szutrowej nawierzchni wpadła w poślizg. Siła odśrodkowa odrzuciła ją na skraj niedużego wąwozu. Zatrzymała się gwałtownie, wzbijając tuman pyłu. Był tak gęsty, że prawie w nim zniknęła. Jej przednia ośka zawisła

w powietrzu. Silnik zgasł. Wskoczyło z niej kilku żołnierzy, którzy zaczęli gestykulować, jakby zupełnie stracili zainteresowanie uciekinierami. Po chwili znowu rozległ się ryk silnika. Żołnierze przystąpili do wypychania pojazdu. Opony zaczęły wyrzucać w powietrze żwir i piasek. Powiększyła się chmura kurzu. Po kilku próbach udało się ciężarówkę wypchnąć na drogę. Żołnierze zaczęli rozglądać się i szukać dwóch uciekinierów. Jeden z nich, trzymając w dłoni pistolet, krzyknął i wskazał na strome wzgórze.

W tym czasie Yusuf i Mehmet wspinali się po stoku na szczyt. Pomagali sobie, łapiąc się drzew. Gałęzie krzewów uderzały ich w twarze i ręce. Żołnierze oddali na oślep kilka serii w ich kierunku. Pociski rozбивały się o twarde konary i skały. Potem pościg ruszył pod górę.

Yusuf złapał za ramię Mehmeta i dał znać, by ten na chwilę się zatrzymał. Zaczął intensywnie nasłuchiwać.

– Słyszysz?! – zwrócił się szeptem do przyjaciela.

– Co niby?!

– Nie przywieźli psów. Mamy szansę! – powiedział zdyszany i dał znać, że mogą znowu biec.

Ciągle słyhać było dźwięk rozchylanych gałęzi. Żołnierze nie odpuszczali.

– Rozdzielili się i chcą nas otoczyć – szepnął Yusuf. – Biegnijmy dalej!

Po kilkudziesięciu metrach uciekinierzy dotarli do szczytu. Zaczęli zbiegać. Przed nimi pojawił się bardziej zalesiony teren, porośnięty dębami i migdałowcami. Wbiegli do lasu, nie zważając na pnie, od których trochę bezwładnie się odbijali. Wyraźnie opadli z sił. W środku lasu teren zaczął stromiej opadać. Skręcili w prawo i po chwili znaleźli się na niewielkiej polanie. Spojrzeli na słońce.

– Tam! – Mehmet wskazał dłonią. – Kierujmy się na południe. Nie wolno nam stracić orientacji, bo możemy przez pomyłkę zawrócić i natknąć się na nich.

Ruszyli. Po chwili znowu zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać. Panowała zupełna cisza. Popatrzyli na siebie. Zrozumieli, że jeśli wciąż będą kierować się na południe, to wkrótce będą bezpieczni. Znowu ruszyli po krótkim odpoczynku. Biegli jeszcze przez pewien czas, nie oglądając się za siebie. Kiedy dotarło do nich, że już nic im nie grozi, zatrzymali się i oparli o pień rozłożystego dębu. Usiedli.

– Mustafa! Bracie! – szepnął Yusuf, ciągle głośno dysząc.

Z ust zaczęła mu cieknać spieniona ślina. Przed oczami stanął mu Mustafa leżący nad brzegiem jeziora, maltretowany przez żołnierzy. Jego zakrwawione ramię i okrzyk, by uciekali, wryły mu się tak bardzo w pamięć, że nie potrafił teraz myśleć o niczym innym. Mehmet położył mu rękę na ramieniu. Popatrzyli na siebie. W swoich oczach zobaczyli złość, przerażenie i bezsilność.

– Już teraz wiesz, że nie możemy z naszymi braćmi zejść z obranej wcześniej drogi – rzekł Yusuf, a Mehmet pokiwał głową.

ROZDZIAŁ 4

Alois

Szwajcaria – wiosna 1962 roku

Kamienna lawina z dużymi zamrożonymi bryłami śniegu z hukiem zsunęła się po oblodzonej grani. Z wielką siłą zaczęła sunąć w dół, odbijając się od skalnych uskoków wystających spod resztek śnieżnych płatów topniejących we wczesnowiosennym słońcu. Gdy jej czoło się przewaliło, tuż za nią przeszła fala drobnych kamieni, bryłek zamrożonej ziemi i kawałków lodu. Pokryła ona mieniące się w promieniach słonecznych ostatnie białe połączenie śniegu znajdujące się poniżej.

W tym momencie jeden ze wspinających się mężczyzn zaczął się ześlizgiwać. Lina asekuracyjna przesuwiała się niebezpiecznie coraz szybciej i szybciej. Mężczyzna rozpaczliwie próbował wbić czekan w podłoże, żeby znaleźć jakiś punkt oparcia. Bezskutecznie. Ponawiał próby raz za razem. Ostry uskok skalny nieubłaganie się zbliżał, a za nim były już tylko kilkusetmetrowa przepaść i pewna śmierć.

– *Hilfeeee! Hilfeeee!* – rozległo się przeraźliwe wołanie o pomoc.

Drugi ze wspinających się mężczyzn, który znajdował się poniżej, jakby oszołomiony schodzącym wcześniej osuwiskiem, dopiero teraz zaczął ścisnąć w dłoniach linę asekuracyjną, która przez chwilę była zupełnie poza jego kontrolą. Zdawał sobie sprawę, że nie zdoła jej dłużej utrzymać w rękach, obwiązał się nią więc wokół pasa i zaparł silnie nogami o wystającą skałę. Czekał na gwałtowne mocne szarpnięcie. Lina napięła się, szarpnęła i uniosła go lekko. Jednak nie na tyle, aby stracił równowagę. Mężczyzna przywiązany na drugim końcu liny zawisł nad przepaścią, machając chaotycznie czekanem, jakby wciąż chciał go w coś wbić.

– Hans, ratuj mnie! *Bitteeee!* Słyszysz?! Hans! Hans!

Wspinacz asekurujący rozpaczliwie próbował utrzymać się w pionie. Spojrzał ku górze na zaczep asekuracyjny, który był przymocowany do metalowego haka wbitego w skałę. Szarpnął pokryty rdzawym nalotem hak. Ten ani drgnął. Przeszło mu przez myśl, że jeśli zaczep nie wytrzyma, to obaj spadną w przepaść. Ale nie miał wyjścia. Zdawał sobie sprawę, że długo nie utrzyma liny. Metalowym karabińczykiem wczepił ją w hak i po chwili zaczął z całych sił ciągnąć.

– Jeszcze trochę, Alois! Jeszcze trochę! Zaraz cię wyciągnę! Wszystko będzie dobrze, Alois. Jeszcze trochę wytrzymaj! – krzyczał, coraz mocniej pociągając linę.

Prawie bezwładne ciało Alois przewiązane liną w pasie zaczęło stopniowo sunąć w górę. W pewnym momencie lina zsunęła się na bok i zaczęła ocierać się o ostry skalny występ, co utrudniało podciąganie mężczyzny. Ten, widząc to, zaczął poruszać nogami, aby rozbijać się i tym samym ułatwić Hansowi pracę. Ale przesuwająca się na boki lina z jednej strony pomagała we wciąganiu, lecz z drugiej coraz mocniej uderzała o skalną krawędź, która z każdym ruchem rozcinała pojedyncze włókna.

– Lina nie wytrzyma! W każdej chwili może pęknąć! Hans! Słyszysz?! Nie wytrzyma! Pospiesz się! – krzyczał Alois.

– Już niedaleko! Zaraz będziesz przy uskoku! Jeszcze moment! – mówił zdyszany Hans i kilkoma mocnymi szarpnięciami podciągnął go, jakby poczuł przypływ energii.

Kiedy Alois znalazł się na wysokości uskoku, zaparł się nogami, by odsunąć linę od wystającego, chropowatego skalnego podłoża. Ścisnął mocno w dłoni czekan, wbił go w czapę lodu i wdrapał się z powrotem na skalną krawędź. Hans głośno dyszał. Odetchnął i oparł się o skałę. Poprawił kask ochronny na głowie.

– Hans! Uratowałeś mi życie! Nigdy ci tego nie zapomnę! Nigdy... – rzucił Alois drżącym głosem.

Przez chwilę stali oparci o skały. Patrzyli nieruchomo w kierunku przepaści. Spojrzeli w końcu na siebie. Dopiero teraz, kiedy opadła już trochę adrenalina, zaczęło do nich docierać, jak niewiele zabrakło do tragedii. Gdy odczekali chwilę, Hans, wciąż sapiąc ze zmęczenia, powiedział w końcu z uśmiechem:

– Alois, ty tak na poważnie czy dla żartu pojechałeś po tym lodzie i spadłeś w przepaść? Przyznaj się!

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli gromkim śmiechem. Zwinęli linę, potem usiedli i zaczęli w milczeniu podziwiać górski pejzaż, jakby nigdy wcześniej nie widzieli otaczających ich grani. Widok z masywu Monte Rosa w kantonie Valais był niezwykły. Ośnieżone skaliste szczyty i jeden wyrastający jak samotna piramida – dostojny Matterhorn. Po kilku minutach, gdy już odpoczęli, założyli okulary przeciwsłoneczne z charakterystycznymi skórzanymi osłonami. Potem poprawili wysokie nad kostkę skórzane trzewiki z czerwonymi sznurówkami i wełniane skarpety. Ruszyli drobnym krokiem w dół.

Schodzili w milczeniu. Na ramionach mieli zawieszoną linę, która niedawno uratowała życie Alois. W dłoniach ściskali czekany, którymi co chwila się podpierali. Przy pasie pobrzękiwały metalowe karabińczyki, młotki skalne i haki. Po godzinie intensywnego marszu ich oczom ukazała się dolina Matteredal. Po przejściu kolejnych kilkuset metrów w oddali zaczęły majaczyć budynki ich rodzinnej miejscowości Zermatt. Gdzieniedzie przebijające wiosenne kwiaty w kontraście ze śnieżnymi płatami oddawały klimat i urok szwajcarskiej aury o tej porze roku.

– Hans, nie mów ojcu o tym, co się dzisiaj wydarzyło w górach. Proszę cię – odezwał się w pewnym momencie Alois.

– Nie powiem. Nie martw się. Ale tak między nami mówiąc, od początku wiedziałem, że to nie jest najlepszy pomysł, abyś wspinał się w tak wymagających warunkach.

– Wiem, wiem. Ale... – Zawiesił głos. – Wiesz, jaki on jest. Zawsze wszystko musi być po jego myśli. Według niego wypada, żebym za rok wspinał się na Matterhorn. A przynajmniej spróbował podjąć takie wyzwanie. Tego wymaga się od prawdziwych mężczyzn, którzy skończyli dziewiętnaście lat.

– Matterhorn... Ech... to bardzo wymagająca i niebezpieczna góra – odparł Hans i się zamyślił.

– A czy ty wiesz, że ojciec ostatnio ubzdurał sobie, że Sandra ma śpiewać w chórze tak jak on? Wynajął nawet nauczyciela śpiewu i ten katuje ją w każdy czwartek.

– Przecież twoja siostra – z całym szacunkiem – nie umie śpiewać. Kiedyś, gdy pomagała w pensjonacie, słyszałem jej zdolności wokalne w kuchni. Trudno było to znieść, chociaż trochę zagłuszał ją brzęk garnków obijanych w czasie ich mycia. – Hans się uśmiechnął.

– Ale to jeszcze nic! Najmłodszemu bratu kazał przyuczać się do zawodu kucharza. Stwierdził, że to usprawni rodzinny biznes, i dlatego czeka go świetlana przyszłość. A przecież on ma dopiero dziewięć lat! Nawet Frank, szef kuchni, patrzył na ojca ze zdziwieniem. Jednak nie śmiał mu się przeciwstawiać.

– Tak. To cały twój ojciec. Cały on... co zrobić. Trudno go zmienić. Jest uparty i taki pozostanie do końca swoich dni. Ech...

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, Hans – szepnął Alois.

– Alois... pracuję już u was kilka lat i wiem, jaki on jest. Gdy tylko się dowiedział, że jestem przewodnikiem górskim i zajmuję się wspinaczką, od razu mnie poprosił, żebym szkolił i ciebie. Problem w tym, że jemu zależało, byś od razu zaczął wspinaczkę wysokogórską z dolną asekuracją.

– Bo wiesz. Według niego to mnie zahartuje i ułatwi przyjęcie do Gwardii Papieskiej w Watykanie. To było zawsze jego marzenie. Mieć syna gwardzistę. Czasem nawet myślę, że syn urodził mu się tylko po to, żeby zostać gwardzistą.

Alois spojrzał na starszego o dziesięć lat Hansa. Zawsze wydawał mu się taki niezależny, wolny, pozbawiony wszelkich ograniczeń. Nawet przynależność do Socjaldemokratycznej Partii Szwajcarii była jego zdaniem przejawem niezależności. Chociaż Hans nie afiszował się ze swoimi poglądami, to najbliżsi jego znajomi – w tym Alois – wiedzieli o nich.

– Nie martw się. Następnym razem pójdziemy na mniej wymagającą wyprawę. Może już zejść wszystkie te cholerne lawiny i lawinki. Wiesz, kiedy zieleń nabierze tego... – przerwał, jakby szukał odpowiednich słów – tego jasnego kontrastu, a hale zapachną wiosenną świeżością – dodał po chwili i uśmiechnął się do swojego towarzysza, kładąc delikatnie dłoń na jego ramieniu.

– Zdecydowanie. Odwiedzimy przy okazji moich dziadków w ich gospodarstwie na hali.

– A właśnie. Dawno o nich nie mówiłeś i chyba też dawno ich nie odwiedzałeś. Co u nich dobrego?

– Nic się nie zmieniło. Jak to w gospodarstwie. Wciąż hodują krowy. Teraz jest ich chyba coraz mniej, bo dziadek podupadł na zdrowiu. Nie ma tyle siły co kiedyś. Jedyne niezmienny jest ten wspaniały widok sprzed ich domu – odpowiedział Alois z lekko sentymentalną nutą.

* * *

Był niedzielny poranek, kiedy ojciec głosem nieznanym sprzeciwu zapowiedział Alois, żeby na wszelki wypadek przypomniawsobiesobiejeszcze raz historię Gwardii Szwajcarskiej. W razie gdyby ponownie mieli go przepytować przed przyjęciem w biurze rekrutacyjnym Watykanu, w szwajcarskim Glarus. Chłopak niechętnie, ale siedział przy swoim biurku pochylony nad zapisanymi notatkami, które robił kiedyś w bibliotece w Bernie:

...powstała w 1506 roku, kiedy to z Lucerny na zaproszenie papieża Juliusza II przybyło do Rzymu stu pięćdziesięciu szwajcarskich żołnierzy. W tym czasie najemni żołnierze ze Szwajcarii cieszyli się uznaniem. Była to najlepsza forma zarobku dla mieszkańców przeludnionych i słabo rozwiniętych gospodarczo kantonów. W 1527 roku Rzym został splądrowany przez wojska hiszpańskie i niemieckie Karola V. Szwajcarzy pozostali lojalni wobec papieża.

Rzucił ze złością zeszyt na łóżko i stanął w otwartym oknie. W ostrych promieniach słońca szczyty pokryte śnieżnobiałą pokrywą lodową wręcz oślepiały. Alois zmrużył, a po chwili zamknął oczy. Jego myśli odpłynęły do Hansa. Do tego, co z nim niedawno przeżył. Jaki był mu bliski. Podświadomie miał nadzieję, że usłyszy jego kroki na schodach. Że nagle otworzy drzwi do jego pokoiku. Uśmiechnął się do tych myśli. Z jakąś nadzieją w duszy nabrał powietrza w piersi, rzucił się na łóżko i kontynuował lekturę:

...6 maja 1527 roku wstawili się bohaterską obroną placu Świętego Piotra, kiedy to trzy czwarte gwardzistów zginęło, broniąc papieża. Dzięki temu Klemens VII wraz z kardynałami ukrył się w Zamku Świętego Anioła, gdzie zdołał przeczekać oblężenie. Dla upamiętnienia tych wydarzeń dzień ten jest dniem zaprzysiężenia rekrutów. Jednocześnie jest to Dzień Gwardii.

...Treść przysięgi gwardzistów brzmi: Przysięgam wiernie, uczciwie i sumiennie służyć panującemu papieżowi i jego

prawowitym następcom, z całej siły, a jeśli zajdzie taka potrzeba, oddać nawet życie. Kandydaci na gwardzistów rekrutowani są trzy razy w roku.

...Współczesne umundurowanie Gwardii Szwajcarskiej zostało zaprojektowane na bazie rysunków Rafaela Santi.

W pewnym momencie głos ojca oderwał go od nudnego studiowania historii Gwardii:

– Alois! Zbieraj się! Wszyscy jesteśmy już gotowi. Czekamy na ciebie na dole. Pospiesz się!

Jak co niedziela w kościele Świętego Maurycego w Zermatt rodzina Elsmanów uczestniczyła we mszy świętej. Stefan Elsman jako głowa rodziny i osoba znana w lokalnej społeczności śpiewał w przykościelnym chórze. Będąc szanowanym przedsiębiorcą, zawsze starał się pokazywać wśród mieszkańców alpejskiej miejscowości. Podkreślał swoją katolickość, czasem wręcz ortodoksyjność, a także zaangażowanie w tutejsze sprawy. Jego żona i dzieci, jak zawsze od kilkunastu lat, siedzieli w tej samej ławie kościelnej, w tym samym ustawieniu, w tym samym miejscu. Alois, najstarszy syn, stał tuż przy matce, dalej stali siostra i najmłodszy brat. Jak zawsze miał na sobie spodnie w kant, niebieską wyprasowaną koszulę, granatową marynarkę i czarne, wypastowane buty. Co jakiś czas rozglądał się za Hansem. Wiedział, że ten rzadko chodzi do kościoła, lecz instynktownie ciągle liczył, że się pojawi.

Gdy wpatrywał się w obrazy, ołtarz i witraże, przypominały mu się czasy dzieciństwa, kiedy pełen wiary przychodził tu z rodzicami. Wtedy wierzył szczerze i całą swoją dziecięcą duszą. Pamiętał, że gdy miał dziesięć lat, zaczął zadawać ojcu nurtujące go pytania o życie, wiarę i miłość. Nigdy jednak nie dostawał odpowiedzi, które rozwiąłyby jego wątpliwości. Teraz, w głębi ducha, nie cierpiał tych coniedzielných przedstawień, w których musiał uczestniczyć.

Kiedyś ojciec uderzył go skórzanym pasem od spodni, gdy zakwestionował świętość Świętego Maurycego – patrona tutejszego kościoła. Ten moment tak utkwiał mu w pamięci, że mimo wielu starań nie potrafił o nim zapomnieć. Maurycy był rzymskim oficerem w Legionie Tebańskim, który stacjonował w III wieku na terenie dzisiejszej Szwajcarii. Był to pierwszy chrześcijański legion utworzony w Tebaidzie w Górnym

Egipcie. Przeniesiono go do Europy, by walczył z barbarzyńcami. Przed jedną z bitew Maurycy odmówił złożenia ofiary pogańskim bogom i podobnie jak inni żołnierze poniósł śmierć męczeńską. Młody Alois nie mógł zrozumieć tego, że wystarczy zginąć, by zostać świętym. „No bo jak można zasłużyć na coś takiego, nie czyniąc dobra, a jedynie umierając. Śmierć to zło, a nie dobro. Nie trzeba czegoś dokonać, przysłużyć się światu i ludziom?” – zastanawiał się. Nurtowała go przez całe lata jeszcze jedna kwestia. „Dlaczego świętym został tylko Maurycy, a inni żołnierze, którzy z nim zginęli, już nie?”

Ojciec uznał wtedy jego przemyślenia za bluźnierstwo. Dlatego postanowił spuścić mu tęgie lanie, aby wybić mu z głowy, jak to określił, „podszepty szatana”. Od tamtej pory Alois nie dzielił się już z nikim swoimi przemyśleniami. Dostosował się do surowych reguł panujących w rodzinnym domu. Często, żeby uciec od tej bezduszności, zatapiał się w świat marzeń i fantazji.

Wszystko się zmieniło, gdy w ich pensjonacie zatrudnił się Hans. Jego sposób bycia zaimponował Alois tak bardzo, że każdą wolną chwilę chciał spędzać właśnie z nim. Często szukał pretekstu, żeby pracować na tej samej zmianie w pensjonacie. Długie rozmowy po pracy stały się niemal tradycją. Natomiast wspólne wyjścia w góry sprawiały, że stawali się sobie coraz bliżsi. Rozumieli się bez słów. To dla niego, w tajemnicy przed całą rodziną, zrobił na drutach szalik, w którym później Hans chodził całą zimę. Nikt nawet się nie domyślał, że to prezent od Alois. To był taki ich sekret, którego obaj strzegli, a który ich bardzo jednoczył. Tworzył niewidzialne dla świata zewnętrzne więzi.

Sposób postrzegania otaczającej rzeczywistości, jaki Hans mu zaszczepił, wydawał się lepszy od tego, który znał dotychczas. Dawał mu poczucie wolności i spełnienia. Nowy przyjaciel stał się dla niego bratnią duszą, najbliższą mu osobą. Tylko on rozumiał jego spojrzenie na wiele spraw. Również socjaldemokratyczne poglądy Hansa zaczęły kształtować jego światopogląd. Jedyne, czego ciągle Alois nie potrafił zrobić, to przeciwstawić się woli ojca. Często wyobrażał sobie, jak podąża własną drogą, bez sztywnych zasad i reguł. Bez zabobonów i strachu przed konserwatywnym społeczeństwem. Jak wyjeżdża do Zurychu i żyje tam razem ze swoim przyjacielem, bez żadnych ograniczeń czy ciągłego poczucia winy. Bliskość Hansa – choć obecnie bardzo ograniczona –

dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Dzięki niemu czuł się po prostu szczęśliwy. Świat był dla niego jakiś... piękniejszy.

Z zamyślenia wyrwał go głos ojca wybijający się ponad inne w kościelnym chórze. Ocknął się. Od niechcienia spojrzął w lewo, na drugą stronę kościoła, i poczuł dziwne ciepło rozchodzące się po całym ciele. Ogarnął go wewnętrzny spokój, bo właśnie w ławie bocznej, tuż pod wielkim oknem z witrażem, usiadł Hans. Spojrzął na niego i delikatnie się uśmiechnął. Alois odwzajemnił uśmiech. Po chwili odwrócił głowę w stronę ołtarza, jednak co jakiś czas zerkał ukradkiem na przyjaciela.

– Pewnie przyszedł, bo wiedział, że i ja będę... – szepnął do siebie i w tym momencie poczuł się taki szczęśliwy, taki potrzebny.

Zaczęła wzbierać w nim energia dająca siłę do przenoszenia gór. Dotarło do niego, że może to właśnie jest ten czas, by powiedzieć ojcu, że wyjeżdża na studia do Zurychu. Uwolni się wreszcie. Teraz, gdy spoglądał na niego dumnie stojącego wśród innych chórzystów, zrozumiał, że zdoła to zrobić. Pierwszy raz w życiu da radę przeciwstawić się jego woli. Po chwili jednak przypomniał sobie o rozpoczętym procesie rekrutacji do Gwardii Papieskiej. Marzeniu ojca. Sama myśl o jego reakcji na rezygnację z tego rozwiązała jego dobry humor. „A może się nie dostanę i problem sam się rozwiąże?” – pomyślał Alois z nadzieją.

Po mszy świętej wyszedł jak zawsze razem z matką i rodzeństwem, by poczekać na rozchwytywanego przez miejscowych ojca. Hans stał oparty o jeden z dwóch filarów przed głównym wejściem do kościoła. Alois zatrzymał się na chwilę naprzeciwko niego.

– W następną sobotę idę na *Bauernhof* dziadków. Masz wtedy wolne? – zapytał.

– Tak – odpowiedział krótko.

To jedno krótkie słowo znaczyło dla Alois dużo więcej niż tysiące innych wypowiedzianych przy różnych okazjach. Brzmiało mu w uszach jeszcze długo po tym, jak przyjaciel zniknął z pola widzenia. Po chwili do rodziny dołączył uśmiechnięty ojciec. Miał na sobie gustowny płaszcz, a pod nim dobrze skrojony garnitur.

– A więc teraz, moi drodzy, chodźmy na herbatę do hotelu Walliserhof – powiedział głosem nieznanym sprzeciwu.

Alois rzygał na ten coniedzielny herbaciany rytuał, któremu, odkąd sięgał pamięcią, zawsze oddawała się jego rodzina. Po kilkunastu minutach spaceru dostojnym krokiem, przerywanego krótkimi wymianami słów czy

pogawędkami z napotkanymi znajomymi, znaleźli się na miejscu. Usiedli przed zadaszonym wejściem do hotelu i zamówili jak zawsze po filiżance herbaty dla każdego. Ojciec siedział przodem do wejścia. Mimo że miało to być w jego zamyśle spotkanie rodzinne, nie przestawał zagadywać spacerujących. Cała rodzina siedziała cicho, słuchając go brylującego wśród innych klientów restauracji hotelowej.

W pewnym momencie przy sąsiednim stoliku usiadł dobry znajomy ojca Alois – Kurc Riedel, którego syn od kilku lat był gwardzistą w Watykanie. Gdy tylko Stefan go zauważył, od razu rozpoczął rozmowę. Po wymianie grzeczności i serdeczności Alois usłyszał, jak Riedel mówi:

– W przyszłym tygodniu wszystko będzie jasne. Chłopak ma dziewiętnaście lat, czyli tyle, ile trzeba. Pochodzi z dobrej, katolickiej rodziny. Jest stanu wolnego. Skończył dobre szkoły. Będzie dobrze, Herr Elsmann. Niech się pan nie martwi.

Uśmiechnął się do rozpromienionego ojca Aloisa, który z dumą spojrzał na syna.

– Wierzę w ciebie, synu. – Wstał z krzesła i poklepał go po ramieniu. – Jak wszystko dobrze pójdzie, to w przyszłym tygodniu będziemy świętowali twoją promocję.

* * *

Gospodarstwo dziadków Alois stało na południowym stoku, nad doliną Mattertal. Rozpościerały się stamtąd imponujące widoki na ośnieżone szczyty i zielone, alpejskie hale. Niewielki dom miał duży ogródek, w którym teraz zieleniły się sadzonki truskawek. Obok znajdowała się obora – mieszkanie krów rasy hérens. Były to masywne zwierzęta o zadziornym charakterze, u których w stadzie panowała hierarchia. Wszelkie spory rozwiązywane były poprzez wzajemne bodzenie się rogami. Kiedy Alois był dzieckiem, pamiętał, jak dziadek woził je do Martigny na tak bardzo popularne w kantonie Valais coroczne walki krów. Kiedyś nawet jego pupilkom udało się wygrać całe zawody. Ale gdy kilka lat temu podupadł na zdrowiu, zrezygnował z udziału we wszelkich konkursach i w znacznym stopniu zmniejszył pogłowie bydła.

Wizytę u dziadków Alois szczegółowo zaplanował. Ojcu powiedział, że odwiedzi ich przy okazji, podczas cotygodniowej górskiej wyprawy. Wiedział, że on gardził swoimi teściami i uważał ich za ludzi zacofanych

i nic nieznaczących w lokalnej społeczności. Każda wizyta u nich musiała być przez niego zaakceptowana. Uzależniona od niego finansowo matka już dawno pogodziła się z tą sytuacją. Była najmłodszą córką. Urodziła się, gdy rodzice mieli już ponad czterdzieści lat. Teraz, kiedy jej najbardziej potrzebowali, nie mogła im pomóc, gdyż nie chciała prowokować rodzinnych awantur, podczas których mogłyby ucierpieć dzieci.

Hans w ten dzień miał wolne w pracy, więc nikt nie interesował się tym, co robi. Umówili się z Alois przy miejscu postojowym dla dorożek. Stamtąd ruszyli wydeptaną ścieżką, która prowadziła ostro w górę, na wzniesienie powyżej Zermatt. Po męczącym nieco wyjściu z doliny zatrzymali się tylko raz na stromym stoku, z którego widać było Matterhorn i kościół Świętego Maurycego. Alois wyjął z niewielkiego plecaka dwie kanapki i dwie butelki swojego ulubionego napoju Rivella Blau – charakterystycznego szwajcarskiego specjału, wytwarzanego z serwatki mlecznej. Poczęstował Hansa. Po dwudziestominutowej przerwie kontynuowali marsz. Podczas drogi rozmawiali głównie o ostatniej przygodzie, jaka ich spotkała na lodowcu Monte Rosa. Jeszcze raz zgodzili się, że życie jest takie krótkie i kruche. Alois był szczęśliwy, zupełnie zapomniał, że już niedługo ma zapaść decyzja o przyjęciu go do Gwardii Papieskiej. W głębi duszy liczył, że mu się nie uda. Ojciec to zrozumie i zaakceptuje, a on z Hansem wyjedzie do Zurychu.

Po czterech godzinach dotarli do gospodarstwa dziadków. Ciepłe wiosenne słońce rozpromieniało zielone wzgórza i pokryte śniegiem skaliste szczyty. Dziadkowie przywitali ich przed domem, siedząc na wysłużonej drewnianej ławce. Babcia jak zawsze była w ciemnobrązowej spódnicy i koszuli w podobnym kolorze. Przewiązała się w pasie jasnym fartuchem, a na głowie miała białą chustę związaną z tyłu. Podobnie dziadek jak zawsze miał na sobie szarą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokcia i brązowe przetarte spodnie. Na głowę włożył ciemny берет. W ustach trzymał fajkę, a z niej co jakiś czas wydobywał się dym, który jakby zagłębiał się w bujne siwe wąsy i kozią bródkę. To był obraz, który Alois zawsze miał przed oczami, kiedy o nich myślał. Jednak od kilku lat, ile razy ich odwiedzał, na ławeczce nie widział już tych zawsze uśmiechniętych, pełnych życia ludzi, lecz dwoje spracowanych staruszków. Niezmienne jednak było to, że na widok wnuka bardzo się cieszyli. I tym razem uściskali go serdecznie.

– *Ist alles in Ordnung?* – zapytał zatroskany Alois, widząc, że dziadkowie siedzą bez werwy, jakby przygnębieni.

– *I bi chrank.* – Dziadek odpowiedział miejscową gwara, że jest chory, i spuścił wzrok.

Alois zapytał, co się dokładnie stało. Jednak wyjaśnienia babci były lakoniczne. Domyślił się, że to po prostu starość wyszała z dziadka siły. Coś, na co ludzie nie mają wpływu.

Siedzieli od kilku godzin przed domem, przy stole zastawionym gorącymi i parującymi wciąż *rösti* – plackami ziemniaczanymi, a także kawałkami pokrojonej pieczeni wołowej, serami o lekko orzechowym smaku i alpejskim bukicie oraz rano wypieczonym chlebem. W pewnym momencie usłyszeli, a potem zauważyli, że od wschodu nadciąga burza. Mimo nalegań i ostrzeżeń dziadków zaryzykowali i szybko ruszyli w drogę powrotną.

Byli w połowie drogi, gdy niebo gwałtownie pokryło się ciężkimi chmurami. Zaczęły coraz bliżej bić pioruny, a huk potęgowało echo odbijające się od okolicznych szczytów. Lunał deszcz. Zdawali sobie sprawę, że robi się niebezpiecznie. Wiedzieli, że gdzieś w tej okolicy jest niewielki szałas pasterski. Dostrzegli go i pobiegli w tamtym kierunku.

Mimo że duże zadaszenie skutecznie chroniło przed deszczem, postanowili wejść do środka. Chata była zamknięta na drewniany skobel. Odsunęli go. Weszli i usiedli na dwóch pniach, które stały oparte o ścianę. W środku na dużym stole stały wiadra na mleko. W rogu znajdował się duży kocioł. Przy ścianie niewielkie posłane łóżko. Było tu czysto i schludnie. Zdjęli z siebie mokre anoraki z kapturami. Alois spojrział na Hansa. Ten siedział wyprostowany, a jego mokra koszula przyłgnęła do ciała, uwydatniając szerokie barki, umięśniony tors i ręce. „Ależ on jest męski!” – pomyślał Alois, nie mogąc oderwać wzroku od przyjaciela. Hans zaczął zaczesywać do tyłu gęste blond włosy. Spoglądał przed siebie. Alois przesunął bliżej pienek, na którym siedział. Zaczęły targać nim emocje, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył. Wszystko, co czuł, co tłumił w sobie przez tyle lat, teraz nagle eksplodowało w nim z siłą tak ogromną, że nie potrafił już tego kontrolować.

– Hans... – odezwał się w końcu cicho.

– Tak?

Przysunął głowę do niego, jakby chciał mu coś szepnąć. Jego usta prawie dotykały ucha Hansa.

– Muszę ci coś powiedzieć... Coś naprawdę ważnego.

Minęła może godzina, kiedy rozległo się głośnie ujadanie. Zerwali się na równe nogi. Zaraz potem w drzwiach ukazał się wysoki pasterz, który wrócił do chaty ze swoim psem – wielkim i masywnym, wyglądem przypominającym nowofundlanda.

– Siedźcie, siedźcie. Widzę, że już się wysuszyliście. Od zachodu się przeciera. Deszcz już coraz mniejszy. Zaraz się skończy. Będziecie mogli ruszać – powiedział, jakby dając im do zrozumienia, żeby lepiej już sobie poszli.

Alois zerwał się, jakby wyrwany z jakiegoś transu. Włożył na siebie przesuszoną kurtkę, chwycił plecak i wyszedł spod zadaszenia. Hans zrobił to samo i ruszył za nim. Szli, nie odzywając się do siebie. Kiedy weszli na drogę w kierunku zejścia do Zermatt, rozdzielili się, żegnając się jak zawsze bardzo serdecznie. Tuż przed skrętem do pensjonatu Alois spotkał siostrę. Sandra, gdy zobaczyła brata, podbiegła do niego.

– Dobrze, że jesteś! Cała rodzina się niecierpliwi. Ojciec już się nie może doczekać, aż wrócisz. Dostałeś list. Zostałeś przyjęty do Gwardii Papieskiej. Pojedziesz do Watykanu. Do papieża. Cieszysz się?!

Chłopakowi pociemniało przed oczami.

Danczo

Bułgaria – wiosna 1977 roku

Dwudziestotrzyletni Danczo Kowaczew był tego dnia wyjątkowo zmęczony. Zaliczył zaległe egzaminy na wydziale filologicznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w siedemdziesięciotysięcznym Szumenie. Specjalizował się w mediewistyce. W zasadzie był studentem czwartego roku w Braclawskiej Szkole Naukowej, czyli międzywydziałowym centrum naukowym.

Od kilku dni nie dosypiał, tylko uczył się całymi nocami. Był teraz sam w mieszkaniu, znajdującym się w siedmiopiętrowym bloku przy ulicy Dedeagacz, w dzielnicy Tracja, zwanej żartobliwie „Warna zachód”. Nazwano ją tak, bo znajdowała się we wschodniej części miasta, przy wylotówce w kierunku Warny i nie uświadczono w niej sklepów, barów ani restauracji. Była zupełnie niezintegrowana z miastem. Typowa socjalistyczna sypialnia wzniesiona w połowie lat sześćdziesiątych. Danczo miał jeszcze wieczorem pojechać do Drudży, gdzie mieszkała Marika – jego dziewczyna, z którą ostatnio dużo się kłócił. Pochodziła z rodziny uchodźców, którzy po pierwszej wojnie światowej zbiegli przed tureckimi prześladowaniami z Tracji Białomorskiej w Grecji.

Danczo, leżąc na łóżku w ubraniu i butach, już prawie zdecydował, że pojedzie do Mariki, kiedy nagle, przed wpół do dziesiątej w nocy, jego blok zaczął drgać. Chłopak zerwał się i podbiegł do okna. Dostrzegł, że komin w osiedlowej kotłowni dziwnie się rusza, by po chwili runąć z hukiem. „Trzęsienie ziemi! Co robić?!” Usłyszał za sobą skrzypienie przesuwającej się szafy. Przytrzymał ją. W dużym pokoju chwilę później usłyszał jakieś

uderzenie, głuchy huk i dźwięk rozbijanego szkła. Pobiegł tam. To telewizor spadł z szafki. Danczo bez namysłu chwycił gruby wełniany koc i wybiegł z mieszkania. Na korytarzu spotkał przerażonych, krzyczących sąsiadów, kobiety trzymające na rękach płaczące małe dzieci i wrzeszczące dziewczyny. Wszyscy gromadzili się na schodach, a potem, przepychając się, biegli na dół. On także zbiegał po kilka stopni przykryty kocem, tak jakby miał on go uchronić przed spadającym tynkiem czy kawałkami betonu. Przez głowę przeszła mu myśl: „Gdzie jest matka? Czy nic jej się nie stało? Może jeszcze nie wróciła z mszy?” Matka Dancza była ewangeliczką. Chodziła na spotkania do piwnicy domu przy ulicy Piotr, w centrum miasta, niedaleko szkoły wojskowej. Danczo miał nadzieję, że trzęsienie zastało ją w autobusie albo na ulicy. Wybiegł wraz z innymi przed blok. I tak jak inni rozglądał się dookoła. Po kilku minutach wydawało się, że na zewnątrz wyszli wszyscy mieszkańcy osiedla. Stali bezradni, patrząc to na siebie, to na drżące co jakiś czas budynki. Niektórzy zabrali ze sobą tak jak on koce, poduszki, jakieś torby. Nastąpiła cisza. Ustały krzyki i płacz. Ale ludzie stali dalej w bezruchu. Jakby nasłuchiwali, czy nie nadchodzą kolejne wstrząsy. Trwało to kilkanaście minut, może nawet pół godziny. Nagle jakiś mężczyzna zaczął coś krzyczeć, przykładając do ucha mały radioodbiornik tranzystorowy:

– Ludzie! Ludzie! To było trzęsienie ziemi! Mówią, że jego epicentrum znajdowało się w Karpatach Wschodnich... Podobno w Bukareszcie tysiące osób zginęło pod gruzami lub jest zaginionych... – relacjonował, a inni słuchali w skupieniu. – Mówią, że u nas nie ma na razie ofiar, tylko zawaliło się kilka domów na prowincji, w kierunku drogi na Russe – zakończył.

Po ludziach przeszedł najpierw szum, potem coraz głośniejsze zaczęły dyskusje, jakby nabierając odwagi. Danczo przestraszył się, ponieważ jego ojciec pojechał właśnie na działkę, do swojego dawnego domu w Smiadowie, które znajdowało się na trasie do Russe. Był to niewielki budynek, który został po jego pięciohektarowym gospodarstwie.

Chłopak usiadł w końcu na zaczynającej się zieleni pierwszej wiosennej trawie, oparł się o niewielki murek i nakrył kocem. Noc zapowiadała się chłodna. Inni ludzie wokół niego, jakby uspokojeni, zaczęli spokojnie rozmawiać, zastanawiać się, co będzie dalej. Jednak nikt nie odważył się wrócić do mieszkania. Paraliżował ich strach. Danczo przypomniał sobie opowieści ojca, który jako mały chłopiec przeżył silne

trzęsienie ziemi w 1928 roku w Rakowskim koło Płowdiw, na południu kraju. Ojciec wiele razy wspominał, że wtedy jakimś cudem uniknął wraz z rodzicami śmierci. Ponieważ jego rodzice byli katolikami, tak jak większość mieszkańców tej miejscowości, spora część osób ruszyła po pierwszych wstrząsach do kościoła, żeby się pomodlić. W czasie mszy nastąpiły wstrząsy wtórne. Cały kościół Świętego Archanioła Michała zawalił się, grzebiąc wielu mieszkańców Rakowskiego.

Teraz on przeżywał to samo, choć zdawał sobie sprawę, że nie było to tak silne trzęsienie ziemi jak to w 1928 roku. Siedząc zawinięty w koc od kilku godzin, Danczo rozmyślał o swoim życiu. Przypomniał sobie wyprawę morską z bratem dziadka, który wraz z ciotką przeniósł się po wojnie z Rakowskiego do niewielkiej wsi rybackiej Achtopol, położonej na skalistym półwyspie, u podnóża łańcucha górskiego Strandza. Było to kilka lat temu, zimą, kiedy o skały rozbił się turecki statek handlowy. Wtedy do morza dostały się beczki z sodą kaustyczną, co spowodowało katastrofę ekologiczną. To, co zobaczyli, przypominało jakiś armagedon. Chyba wszystko, co żyło w morzu, zginęło i wypłynęło na powierzchnię. Młody Danczo nie mógł zrozumieć, dlaczego władze zatuszowały i przemilczały to wydarzenie. Widok zdechłych ryb czy kalmarów wyrzuconych na plażę, a potem rozkładających się w nieprawdopodobnym smrodzie i rozdziobywanych przez mewy i wszelkie inne ptactwo, pozostał mu na długo w pamięci. Było to też swoistym preludium do jego osobistej tragedii. Jeszcze tej wiosny stryj, który był rybakiem, wypłynął z ciotką na połów i nigdy nie powrócili. Pochłonęły ich morskie głębiny.

– A może to wszystko, co dane mi było doświadczać, to jakieś znaki od Boga? – szepnął do siebie.

Dotarło do niego, że te jego złe doświadczenia są jak biblijne drogowskazy. Widział przecież apokalipsę w Achtopolu. „To ta sama apokalipsa, jakiej doświadczył w wizjach Święty Jan” – przemknęło mu przez myśl.

– Czyżby Bóg chciał, żebym żył? – znowu szepnął, ale jeszcze ciszej, jakby przestraszył się tych słów.

„A może chce, bym wykonał misję dla wiary, dla świata, dla ludzi – pomyślał i poczuł nagle jakąś irracjonalną bliskość z religią katolicką. – Bóg ocalił mojego ojca katolika z trzęsienia ziemi, a teraz mnie... Czy daje mi znaki, jaką drogą mam podążać?” W tym momencie doznał czegoś,

czego nie potrafił zrozumieć ani wytłumaczyć. Swego rodzaju oświecenia. Pojął, że droga, jaką powinien podążać, jest inna od tej obranej obecnie.

– Powiniennem być bliżej Boga. To moje przeznaczenie – wyszeptał tym razem z pewnością w głosie.

* * *

Danczo nie spał tej nocy, a następnego dnia miał umówione spotkanie z kolegą, którego znał jeszcze z ostatnich klas nauki w Szkole Podstawowej numer 2 imienia dr. Petara Berona. Ali Dimitrow pochodził z Mineralnych Bani koło Haskowa na południu Bułgarii i był narodowości tureckiej. Ale dla niepoznaki przedstawiał się czasem jako Andriej. Jednak bardzo się lubili z Danczem. Może dlatego, że zarówno Danczo, jak i on byli nieco odmienni. Danczo pochodził z ewangelicko-katolickiej rodziny, Ali natomiast był muzułmaninem. Danczo podejrzewał, że jego kolega może być zaangażowany w działalność nielegalnej partii czy jakiejś organizacji tureckiej. Ale nie przeszkadzało mu to specjalnie.

Umówili się w restauracji Dniepr, bardzo popularnej wśród młodzieży. Ali się spóźnił, co nie było niczym nadzwyczajnym. Wszedł nieco zasapany. Jak zwykle dużo opowiadał o pokątnym handlu, choć prawdziwe żniwa przypadały dopiero na wakacje, kiedy to razem z Danczem jeździli wzdłuż wybrzeża i skupowali od turystów z bloku wschodniego wszystko, co się da. Na ich liście najwyżej znajdowały się namioty i wszelki sprzęt kempingowy, który z zyskiem sprzedawali Jugosłowianom albo kierowcom tureckich ciężarówek. Nie gardzili kosmetykami i lekarstwami, zwłaszcza z Polski, słodyczami z Czechosłowacji, butami z NRD i różnymi sweterkami z Węgier. Wszystko znajdowało nabywców. Jednak najbardziej Danczo nie mógł się zawsze nadziwić, skąd polscy turyści brali na sprzedaż tyle amerykańskich dżinsów takich marek, jak Lee, Wrangler czy Rifle. Cieszyły się one dużą popularnością wśród Bułgarów, więc nie mieli problemów z ich upłynianiem. Zyski z tej działalności dzielili równo, co pozwalało im na niezłe życie studenckie.

– Danczo! *Priyatelyu kak si?* – powitał go Ali.

– *Zdrawej stari prijatelju!* – odpowiedział Danczo i uśmiechnął się.

Przywitali się serdecznie. Potem zamówili kebabcze, dwie szopskie sałatki oraz białe, pszenne pieczywo. Wzięli jeszcze po dwa kieliszki rakii. Kelner po chwili zjawił się z czterema kieliszkami bułgarskiej wódki.

- *Nazdrawe* – powiedział Danczo.
- *Nazdrawe* – odpowiedział Ali i przysłonił drugą dłonią usta. – Allah nie widzi! – Uśmiechnął się, mrugnął do kolegi i wychylił kieliszek.
- Ali, jak interesy? Masz pieniądze?
- Wszystko już poszło. Ale ostatnie pieniądze będę miał dla ciebie dopiero w sobotę wieczorem. Wiesz, jeden z kierowców ze Stambułu miał kurs do Bukaresztu, ale przez tę tragedię nie pojechał. Okropne rzeczy pokazują w telewizji. Straszne jest to, co tam się wydarzyło. A co, masz jakieś wydatki? Marika w ciąży? Jakaś żeniaczka się szykuje? He, he...
- Co ty opowiadasz?
- No co, piękna z niej dziewczyna. A w ogóle coś ty taki smutny? Coś się stało?
- Nie, nic. Jak by ci powiedzieć...
- No, wyduś to w końcu z siebie.
- Ale nie śmiej się... Wiesz, po tym wczorajszym trzęsieniu mam takie jakieś przemyślenia.
- Jakie przemyślenia?
- Egzystencjalne.
- Jakie, Danczo?
- Egzystencjalne. Czuję, że... oddaliłem się od Boga.
- Co?! Co ty opowiadasz?! Danczo! Co z tobą? Przestraszyłeś się trzęsienia ziemi? Że spędziłeś noc na podwórku?
- Nie, to nie tylko to. Czuję po prostu ostatnio, że potrzebuję z Nim jakiejś bliskości.
- Jak na ewangelika to dziwne. Naprawdę dziwne. Nie poznaję cię, przyjacielu.
- Wiesz, że mój ojciec miał rodziców katolików z Rakowskiego. Może właśnie ta część katolicka teraz się we mnie odezwała?
- No i co? – Ali się niecierpliwił.
- Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz.
- Ali kiwnął głową.
- Chciałbym jechać do Rzymu, do Watykanu.
- Co ty, Danczo?! Księdzem chciałbyś zostać?! Zakonnikiem?
- Sam czasem nie wiem. Ale jakbym tak w Biblioteczce Watykańskiej mógł pracować, czytać, studiować stare pisma, dotykać ich, czuć ich zapach... – Rozmarzył się.
- Wiesz co? Napij się. Może ci przejdzie.

- Eeee tam. Nic nie rozumiesz. Dużo bym dał, aby tam pojechać.
- *Dobre, brato Danczo*. W sobotę przyniosę ci do klubu pieniądze. Od razu ci się polepszy.
- Jakiego klubu?
- No nie... Haaalo, Danczo! Dupce przy hotelu Madara. Zapomniałeś?
- Aaaa. Tak, tak. – Ali pokiwał z dezaprobatą głową. – Wiesz co, a możemy się spotkać wcześniej? Nie wiem, czy mam ochotę iść do klubu nocnego.
- Możemy. Dlaczego nie. A gdzie proponujesz?
- Umówiłem się o piątej z Mariką w Dziewiątce, przy placu Dziewiątego Września.
- Aaaa, tam. *Neka mi bude priyatel*. Ale naprawdę się o ciebie martwię. W tym momencie kelner przyniósł zamówione jedzenie.

* * *

Wydział filologii mieścił się na północno-wschodnich obrzeżach miasta, w dużym domu jednorodzinnym, między głównym gmachem a akademikiem. Danczo umówiony był na wpis do indeksu zdanych egzaminów u kierownika centrum naukowego. W sekretariacie czekał chwilę. Wszedł.

– Kowaczew. Gratuluję. Najwyższe oceny – powiedział przygarbiony kierownik siedzący za biurkiem zawalonym różnego rodzaju dokumentami i książkami.

Na kolorowych okładkach woluminów przeważały wizerunki władców, świętych, średniowiecznych fortyfikacji i ikon. Wszystko leżało w wyjątkowym nieładzie.

– Staram się, profesorze. Chciałbym kontynuować w przyszłości swoje studia. Najchętniej... za granicą.

– Za granicą mówisz, Kowaczew. No, no. Wysoko mierzysz. A gdzie chciałbyś studiować, jeśli to nie tajemnica? W Polsce, na Węgrzech?

– To byłoby wspaniałe. Mają tam stare uniwersytety i biblioteki. Ale mnie się marzy... – Zawiesił głos. – Mnie się marzy Rzym, profesorze.

– Hm. Rzym ci się marzy, Kowaczew. – Mężczyzna pokiwał głową i jakby uciekł myślami. – W sekretariacie jest dla ciebie informacja. Nie wiem, czego dotyczy.

– Dla mnie? Skąd?

– Z bulwaru Słowiańskiego. No idź, idź już, bo mam sporo pracy. Widzimy się jutro na seminarium.

Danczo chwilę stał w milczeniu ze zdziwioną miną. Potem obrócił się i wyszedł. Od sekretarki dostał kartkę z numerem telefonu, pod który miał zadzwonić. Zdenerwował się, bo doskonale wiedział, co mieści się w mrocznym, zbudowanym na początku wieku budynku przy bulwarze Słowiańskim.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku gmachu głównego, gdzie znajdował się aparat telefoniczny. Wybrał wskazany numer. Mężczyzna, który odebrał, zaproponował mu, aby spotkali się tego samego dnia późnym popołudniem w najbardziej znanej i eleganckiej szumeńskiej restauracji Debreczyn.

* * *

– Co my tu mamy, Kowaczew? Danczo... Pozwólcie, że będę mówił do was po imieniu – rzekł mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Tak, proszę.

Mężczyzna wyjął tekturową teczkę, a z niej kilka kartek maszynopisu i zaczął czytać:

...urodzony w mieście Kolarowgrad...

– Szumen, kapitanie Nikołow. Szumen... – przerwał mu Danczo.

– Niech będzie. Czasy wypaczeń dawno minione. Podobacie mi się, Danczo. Odważni jesteście. Kontynuując:

...ojciec Iwan, do 1944 roku obrabiał po przedwczesnej śmierci rodziców pięć hektarów ziemi. Nazwany kułakiem i zdziercą. Kowaczew nie spieszył się z zapisaniem się do rolniczego, spółdzielczego gospodarstwa pracy. Na własny rachunek hodował na przydomowej działce świnię, ale tylko dla siebie. Nie wywiązał się z obowiązku dzielenia się ze spółdzielnią mięsem. Dostał wyrok dziewięciu miesięcy odsiadki.

– Czyli... wróg władzy ludowej. Tak? – Kapitan się zaśmiał.

– Ale to żadna tajemnica dla Służby Bezpieczeństwa. Pisałem o tym w ankiecie – odpowiedział Danczo.

– Żadna. Macie rację. Ale to może miejscowym zostawię. A ja, widzisz, Danczo... Hmm. A ja, widzisz, przyjechałem do ciebie specjalnie z Sofii. – Popatrzył na chłopaka, a ten jakby stracił rezon i się przestraszył. – Jesteście, Danczo, inteligentnym, młodym człowiekiem. Powinniście cieszyć się z rozmowy z kimś ze stolicy. – Znowu roześmiał się i przywołał kelnerkę. – Co wy tu macie dobrego na obiad? Nieważne. Podajcie coś najlepszego, miejscowego. Aha, i butelkę dobrej rakii – dodał, a kelnerka odeszła. – A teraz coś, co nie wszyscy, nawet w Szumenie przy bulwarach Słowiańskich, wiedzą...

– To kim jesteście, kapitanie Nikołow? – przerwał mu chłopak.

– O właśnie. Masz rację. Dobre pytanie, Danczo... *Shestnadeseti Otdiel na Pyrwo Gławno Uprawlenie Dyrżawne i Sigurnosti*. Pewnie o tym nie słyszałeś.

– Nie, nie słyszałem o żadnym Wydziale Szesnastym Pierwszego Zarządu Głównego Służby Bezpieczeństwa – odpowiedział mocno zdziwiony. – To... może... wywiad? – zapytał po chwili ściszym głosem.

– O! Widzisz. Naprawdę mi się podobasz, Danczo. Domyślny jesteś. A może za bardzo domyślny?

– Nie wiem. Po prostu taki jestem. Skoro towarzysz kapitan z Sofii przyjechał, to chyba nie w jakiejś drobnej sprawie. Bo to koledzy towarzysza kapitana mogliby załatwić.

– Załatwić... Mówisz, Danczo, jak cygański handlarz końmi na Bit-Bazarze w Sofii... – Nikołow wziął głębszy oddech. – No dobrze. Zbliżyliśmy się do sedna sprawy. To bardzo dobrze, że o nas nie słyszałeś. Bo my, drogi Danczo, realizujemy dla naszej socjalistycznej ojczyzny... tylko ostre zadania za granicą.

– Nie rozumiem, towarzyszu kapitanie.

– Zrozumiesz, zrozumiesz. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Obytym w kontaktach z cudzoziemcami. Znasz... trzy języki obce, w tym łacinę. Ale wracając do tego, co nie wszyscy w Szumenie wiedzą i niech tak pozostanie:

...Iwan ożenił się w 1950 roku z niejaką Penką, córką pastora ewangelickiego, który w 1949 roku był podejrzanym w procesie przeciwko całemu kierownictwu Zjednoczonych Kościołów Ewangelickich. Ale nie postawiono mu jak innym zarzutu

szpiegostwa na rzecz obcych wywiadów. Jednak ujawniono niewyjaśnione kontakty z korespondentami imperialistycznych i wywrotowych agencji i gazet, takich jak United Press, Reuters oraz „New York Times”.

Kapitan przerwał i popatrzył na chłopaka.

– Danczo. Ja mam w dupie to wszystko. Dla mnie ważne jest, że jesteście dobry Bułgar, że macie dobre pochodzenie, że cechuje was otwarty umysł i jesteście zdolni. A ja wiem, że macie zmysł do kombinowania.

– Ale tego chyba wam na wydziale nie opowiadali – rzucił chłopak, a kapitan kolejny raz roześmiał się głośno.

– I jesteście, Danczo, dowcipni. O, idzie nasza miła kelnerka z zamówieniem. – Odwrócił się do pustawej w środku tygodnia sali restauracyjnej.

Dziewczyna zaczęła ustawiać w glinianych miseczkach zupę, na większym półmisku ziemniaki w białym śmietanowym sosie z kawałkami boczku i kurczaka, a do tego na niewielkich talerzykach sałatki z poszatowanego ogórka i gęstej śmietany. Odeszła, by po chwili wrócić z butelką zimnej wódki i dwoma kieliszkami.

– Danczo, zjedz obiad, bo tak na głodniaka i bez wódki to rozmowa nie będzie się kleić. – Chłopak znowu popatrzył badawczo na oficera bułgarskiego wywiadu, który po chwili napełnił kieliszki wódką. – Za spotkanie, Danczo, i za współpracę. – Opróżnił kieliszek i zabrał się do nakładania posiłku, nie zwracając uwagi na reakcję chłopaka.

– Współpracę?

– Co się dziwisz? Chcesz pojechać do Rzymu, studiować pisma w Bibliotece Watykańskiej? No, odpowiedz mi, Danczo. Chcesz?

– Chcę. Watykan to serce katolicyzmu. Ale skąd...? Przecież...

– A ja ci to umożliwię, rozumiesz? – odparł kapitan, udając, że nie słyszy pytania chłopaka.

Ostatnie słowa tak ucieszyły Dancza, że trudno było mu to ukryć. Wydarzenia układały się w jeden ciąg, który mógł doprowadzić go do pełnego oddania się Bogu. Najpierw cudowne ocalenie z trzęsienia ziemi, a teraz realna szansa wyjazdu do miejsca, które wydawało mu się tak magiczne i nieosiągalne, że nawet o tym nigdy wcześniej nie śmiał myśleć,

co najwyżej mógł pomarzyć. Chwilę się zastanawiał, co ma odpowiedzieć, by dać wyraz swojej chęci i zadowoleniu, choć czuł się zobowiązany wobec swoich rodziców i dziadków, którzy byli wrogo nastawieni do jakichkolwiek układów z komunistyczną władzą.

– Tak. Rozumiem, ale nic za darmo, towarzyszu kapitanie – odpowiedział po chwili, kiedy poczuł, że się uspokoił.

– Ma się rozumieć. Jako... handlowiec chyba wiesz to doskonale. Ale o tym następnym razem. Może w Sofii, co? Byłeś w Sofii?

– Tak, ale tylko raz, na wycieczce szkolnej.

– W takim razie zapraszam jeszcze przed wakacjami, bo pewnie jak zwykle będziesz mocno zajęty... interesami na wybrzeżu. Nie martw się, o tym też wiem tylko ja.

– A co ja tam miałbym... robić?

– Jak to co?! Pomieszkaś w stolicy w dobrym hotelu, na przykład w Moskwie. Na wysokim piętrze, co? – Mrugnął porozumiewawczo. –

Będziesz miał widok na katedrę. Zobaczysz przy bulwarze Antona Iwanowa, jak nam Japończycy zaprojektowali hotel Vitosha New Otani. Pozwiedzasz. Poznasz trochę świata poza tym twoim zapyziałym Szumenem, w którym tylko resztki zamku i ten meczet Tombul-Dżamijaz z siedemnastego wieku. A ty, Danczo, raczej średniowiecze i chrześcijaństwo? – Uśmiechnął się nieco szyderczo i znowu rozlał rakiję do kieliszków. – Inaczej będziesz jak ci nasi *kukeri* z Riły i Pirinu, wędrujący po górach od wioski do wioski w maskach. Bo jak nie dojdziemy do porozumienia, Danczo, to tyle będziesz miał do roboty w naszym kraju – dodał już poważnie, a wcześniejszy uśmiech zniknął nagle z twarzy kapitana Nikołowa.

ROZDZIAŁ 6

Stefan

*Polska, Niemcy – wiosna 1971 roku,
wiosna 1981 roku*

Stefan Chrobak wyciągnął z portfela kartkę potwierdzającą odbiór paszportu. Zatrzymał się na moment przed wejściem głównym do Wydziału Paszportów KW MO przy placu Wolności w Krakowie. Potem zdecydowanym krokiem ruszył i wszedł do budynku. Nie mógł się już doczekać, aż dopełni tych wszystkich formalności, by wreszcie zrealizować swój cel i wyjechać na Zachód. Wyrwać się z biedy i marazmu, które towarzyszyły mu, odkąd sięgał pamięcią. Po śmierci matki w Polsce nie trzymało go już zupełnie nic.

W środku od razu skierował się do wskazanego w zawiadomieniu pokoju. Otworzył drzwi, ale widząc, że mężczyzna za biurkiem trzyma przy uchu ebonitową słuchawkę, zaczął się wycofywać. Ten dał mu jednak znak, by wszedł do środka.

– Tak, towarzyszu, pozdrawiam! – Mężczyzna zakończył rozmowę telefoniczną i odłożył słuchawkę na widełki.

– Przyszedłem odebrać paszport. – Stefan podszedł do biurka i położył na nim kartkę potwierdzającą odbiór dokumentu.

– Proszę, niech pan siada. – Urzędnik wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka i wziął kartkę do ręki.

Przez moment przyglądał się jej i milczał.

– Paszport nie będzie wydany. Przykro mi, Chrobak. Dostałeś pan odmowę.

– Jak to nie będzie wydany? Może mi pan powiedzieć, co się tutaj dzieje? Do żony chcę wyjechać, do Ludwigshafen!

– Niech się pan uspokoi. Emocje tu nic nie dadzą.

– Jak mam się uspokoić? Przecież to miała być formalność! Niech pan spojrzy, co tu napisano! – Wziął do rąk potwierdzenie i przeczytał urzędową formułkę: *Odbiór dokumentu*. – Nie widzi pan, co tu jest napisane? Na podstawie tego papierka mam odebrać paszport. – Chrobak podniósł głos.

– Krzykiem nic tutaj nie zwojujecie, Chrobak! – powiedział spokojnie mężczyzna, widząc coraz bardziej rozgniewanego chłopaka. – Wiecie, Chrobak. Nie tacy jak wy tutaj przychodzą. Myślą, że się im należy, że naszym psim obowiązkiem jest im dać ten paszport. Powołują się na znajomości w partii, Kościele i cholera wie gdzie... – Zawiesił głos i spojrzał prosto w oczy coraz bardziej zdezorientowanego Stefana. – A my, kurwa, nic nie musimy! Rozumiesz? – dodał po chwili.

– Moja żona jest w Ludwigshafen! Czeka tam na mnie! Ja muszę...

– Dobra, dobra. Słyszałem. A właśnie, skoro o żonie mówicie. Jeśli wyjedziecie do Niemiec, to co będzie z Krystyną, tą ładną góralką? Już się nie spotykacie czy jak?

W tym momencie Stefana zamurowało. Zupełnie nie wiedział, jak ma zareagować. Po chwili milczenia cicho zapytał:

– Skąd pan wie o Krystynie?

– Ja wiem więcej, niż wam się, Chrobak, wydaje. – Urzędnik się uśmiechnął i wziął do rąk leżącą na biurku gazetę „Echo Krakowa”.

Otworzył na pierwszej stronie i jakby od niechcienia przeczytał nagłówek napisany czerwonymi literami:

– *Zamach stanu w Argentynie*. Hmm. Co to się na tym świecie dzieje! – Przerwał na dłuższą chwilę. – Ciągnie was na Zachód, Chrobak. Ciągnie. A tam chaos i bałagan. Sami widzicie. – Zamilkł na chwilę. – To co, kochacie żonę czy nie? Bo ta ładna góralka po jej wyjeździe bywała u was kilka razy. Nie mylę się? – Zmienił temat i popatrzył przenikliwie na Stefana.

– To już jest skończone! – odburknął Stefan.

– Skończone to powinny być niedługo wasze studia, tak? – Zajrzał do teczki i przeczytał: – *...ostatni rok na wydziale górniczym AGH na specjalności eksploatacja podziemna, średnia z całych studiów cztery i pół, praca obroniona na pięć.*

Zamknął teczkę i rzucił ją na biurko.

– Brawo. Nie można zmarnować takiego potencjału, Chrobak – dodał, lekko się uśmiechając.

– Skąd pan to wszystko wie?

Stefan siedział coraz bardziej przybity całą sytuacją. Mężczyzna za biurkiem widział, że wygląda, jakby stracił już jakąkolwiek nadzieję na uzyskanie paszportu. Milczał, znowu wpatrując się w pierwszą stronę „Echa Krakowa”.

– Podobacie mi się, Chrobak – odezwał się, odkładając gazetę z powrotem na biurko. – Obrotni jesteście. Potraficie zadbać o siebie. Z Eriką Hosse, ubiegłoroczną absolwentką Akademii Ekonomicznej, byliście parą prawie dwa lata. To dobra dziewczyna – Niemka z Opola. Zgadza się? – Popatrzył na Stefana, a ten przytaknął. – Potem była ta góralka. A jak tak sobie myślę, Chrobak, że kiedy okazało się, że Erika planuje wyjazd do rodziny w RFN, wróciliście do niej. Szybki ślub w styczniu, żeby dostać paszport. Mam rację?

– O co chodzi? Do czego pan zmierza?

– Zmierzam do tego, że rozsądny z was młody człowiek. Myślicie przyszłościowo i racjonalnie.

Kapitan Mieczysław Tortak zdał sobie sprawę, że pozyskanie młodego górala będzie łatwiejsze, niż mu się wydawało. Przez dwa lata wspólnie z oficerem Centrali Departamentu I MSW prowadził rozpracowanie Eriki Hosse. Kiedy po analizie sprawy wydawało się, że miesiące prób podejścia do Niemki poszły na marne, w orbicie zainteresowania polskiego wywiadu pojawił się jej partner, a obecnie mąż – Stefan Chrobak. Wyrachowany, doświadczony przez życie, a przede wszystkim przedkładający pieniądze ponad uczucia i sentymenty. Sprawa szybko zyskała wysoki priorytet i była realizowana pod kątem ukadrowienia, przeszkolenia, a następnie plasowania na terenie Niemiec Zachodnich.

– Chcę dać wam szansę, Chrobak. Pomóc wam zdobyć ten paszport. Żebyście wyjechali do żony, a przy okazji przysłużyli się ojczyźnie. – Tortak postanowił zagrać w otwarte karty.

– Co mam zrobić, żeby go dostać? – W oczach Stefana znowu pojawiła się nadzieja.

– Trafić do elity. Wspierać Polskę na Zachodzie i jeszcze dostawać za to dobre pieniądze.

– To chyba nie jest trudne! – odpowiedział szybko Stefan, gdy tylko usłyszał dwa magiczne dla niego słowa: Zachód i pieniądze.

– Powiem wprost. Jestem oficerem Departamentu I MSW. Wiecie, co to takiego?

– Z Warszawy? Z ministerstwa?

– Tak, z Warszawy.

– Nie, nie wiem.

– W takim razie spotkajmy się, powiedzmy... w najbliższy piątek o dziesiątej w hotelu Polonia, przy ulicy Basztowej. Wszystko wyjaśnię.

– Dobrze – odparł Stefan bez chwili zawahania. – A co z paszportem? – dodał po chwili.

– Jak się dogadamy, to dostaniecie bez problemu i pojedziecie sobie do tej swojej Eriki i wymarzonego... rajchu. Ale oczywiście, jak mówiłem, na pewnych zasadach i dla obopólnej korzyści. To chyba rozsądne rozwiązanie?

– Tak. Tak, oczywiście. Mogę już iść?

– Oczywiście. Tylko pamiętajcie, Chrobak. Morda w kubeł. Nie było tej rozmowy. Inaczej wszystko spieprzycie i gównem wyjdzie z waszego wyjazdu i dojdziecie na koncie. A jak się do tego Erika dowie... o tej góralce, co ją dmuchałeś już po ślubie, to kopnie cię w dupę. – Spojrzał na Stefana. – Tak, tak. To też wiemy. Ale ja ci powiem szczerze. Ja nie ksiądz z waszego Podhala. Mnie to nie przeszkadza, kogo tam w akademiku posuwacie, ale waszej Erice... może przeszkadzać, prawda? No, powiedzcie!

– Tak – odparł cicho.

– A więc wszystko jasne. Będzie dobrze. Wierzę w ciebie, Stefan, i nie zawiedz mnie. Widzimy się w piątek. Idź już. – Chłopak wstał i skierował się do drzwi. – Aha, jeszcze jedno – powiedział Tortak, kiedy Stefan łąpał za klamkę. – Z tym księdzem z Podhala żartowałem, oni też te wasze... Maryny smyrają po zadku, a nierzadko lądują z nimi w łóżkach na plebaniach. I żeby tylko Maryny. Niektórzy młodych Janicków tys sakramencko lubią. No, zmiataj, zmiataj. – Uśmiechnął się.

* * *

Stefan wykorzystywał każdą chwilę wolną od pracy w Państwowym Przedsiębiorstwie Robót Górniczych na szkolenia. Już ponad półtora roku

w trybie indywidualnym pogłębiał wiedzę na temat pracy operacyjnej wywiadu, form łączności osobowej i bezosobowej, zasad szyfrowania i deszyfrazu, sporządzania analiz i pisania różnych form informacji, poznawał tajniki budowy tras sprawdzeniowych i sposobów walki z obserwacją. Jednak na ostatnim szkoleniu, w lokalu konspiracyjnym Departamentu I MSW w Krakowie, kapitan Tortak zapowiedział mu, aby załatwił sobie tydzień urlopu. Nie chciał jednak powiedzieć Stefanowi nic więcej.

Zielonym fiatem 125p jechali od kilku godzin z Krakowa. Całą drogę oficer rozmawiał ze Stefanem po niemiecku. O pracy, życiu, żonie Stefana, która mieszka w Ludwigshafen, jej koneksjach rodzinnych, jej pracy w banku, o samochodzie, jaki Stefan chciałby sobie kiedyś kupić. Ale najwięcej czasu spędzili na analizowaniu tego, co się stało na niedawno zakończonej olimpiadzie w Monachium.

– Widzisz, Stefcu. Nie tacy mocni ci Niemcy czy Żydzi z Izraela. Garstka chłopaków z Palestyny ich wyruchała. Mieli sposób, przygotowali się. Dobre planowanie i determinacja w realizacji celu. Płynie z tego nauka również dla ciebie.

– To ja miałbym jakichś zamachów dokonywać? Porywać ludzi?

Tortak się roześmiał. Popatrzył na swojego podopiecznego.

– Kto wie, Stefan, kto wie. – Znowu się uśmiechnął.

Zatrzymali się tylko raz przed Wielbarkiem, kiedy Tortak zmienił tablice rejestracyjne na olsztyńskie. W końcu minęli Szczytno.

Była już chłodna, wczesnojesienna, mazurska noc. Po wyjechaniu z miasta zatrzymali się za Lemanami i skręcili w lewo, w szutrową drogę prowadzącą do jeziora. W niewielkim zagajniku Tortak zatrzymał się i zgasił światła. Sprawdził czas. Wyjął ze schowka latarkę, włączył ją i zaświecił w oczy Stefanowi.

– No, Stefan. Komfort jazdy musisz na trochę obniżyć. Zmiataj do bagażnika.

– Nie rozumiem.

– Co tu do rozumienia. Włóż do kufra, i tyle.

– To w ramach szkolenia? – zapytał niepewnie Stefan.

– A czego? Przecież cię nie porywam! – Tortak się uśmiechnął i zachęcił chłopaka latarką, aby wsiadał do otwartego bagażnika. – Masz tu jeszcze kominiarkę. Jak się zatrzymamy i podniosę klapę, to ją włóż.

Po chwili oficer zatrzasnął bagażnik. Ruszył. Po dziesięciu minutach pokonał dość szybko ostre zakręty we wsi Stare Kiejkuty. Jechał wzdłuż ogrodzonego jeziora, a następnie ogrodzonego lasu. Zwolnił i mignął kilka razy długimi światłami. W odpowiedzi po lewej trzy razy zaświecił ktoś latarką. Fiat jeszcze bardziej zwolnił, po czym skręcił w lewo, do bramy w ogrodzeniu. Tortak uchylił bardziej okno. Obok żołnierza w mundurze polowym i z kałasznikowem na plecach stał podoficer. Uśmiechnął się na widok Tortaka. Skinął głową do żołnierza, a ten sprawnie otworzył bramę.

Tortak ruszył przez czarny las rozświetlany światłem reflektorów. Koła stuknęły na nierównej powierzchni betonowych płyt spotykanych na dużych budowach. Kilka zakrętów, które znał na pamięć, i zatrzymał się przed ładną, dużą willą.

– Jesteśmy na miejscu. Wychodź – powiedział zaraz po otwarciu bagażnika. – Ale tu jest powietrze. Jest czym oddychać, a nie jak w tym naszym śmierdzącym przypaloną pomidorową Krakowie.

Stefan się wygramolił. Stał i popatrzył na budynek. Jego jasne oczy spoglądały z zaciekawieniem.

– Gdzie jesteśmy? Co to za dom? – spytał niepewnie.

– Jesteśmy w Ośrodku Kształcenia Kadr Wywiadu. Przed nami siedem intensywnych dni szkolenia. Spodoba ci się tutaj. Zobacysz. Tylko pamiętaj! Nie odsłaniaj zasłon, nie wychodź sam z budynku. A jak będziemy wychodzić razem, to za każdym razem musisz mieć kominiarkę na twarzy. Jasne?

– Tak – odpowiedział nieco przestraszony.

Weszli do środka. Tortak wskazał Stefanowi jego pokój. Sam poszedł do sąsiedniego.

– Gdy się rozgościsz, to daj znać. Zadzwoń i przywiozą nam kolację. Potem wypijemy coś dobrego. Przy okazji opowiem ci szczegółowo o programie szkolenia. Czasu jest już naprawdę niewiele. Niedługo przecież przierzucamy cię do Niemiec.

– Mam pytanie.

– Słucham.

– To coś specjalnego? Dlaczego akurat tutaj mnie przywiozłeś?

– Wiesz... Hmm... Musisz, Stefan, poczuć trochę więzi z nami. Zrozumieć, czego częścią jesteś. Jutro wieczorem pójdziemy w szczególne, bardzo symboliczne miejsce. Mamy tu taki drewniany obelisk Światowida. Wiesz, kto to był Światowid? A właściwie czym on był?

- Tak. Słowiański bóg o czterech twarzach... Czy coś takiego?
- Zgadza się. W dodatku spoglądających na cztery strony świata – dodał Tortak. – Rozumiesz, dlaczego tu jest?
- Chyba się domyślam.
- To świetnie. – Tortak klepnął chłopaka w ramię. – A co do programu szkolenia – powiedział po chwili przerwy – zaczniemy jutro od nadawania i odbierania zaszyfrowanych meldunków już na prawdziwej stacji radiowej. Potem specjaliści przeszkolą cię z budowy i obsługi specjalnie dla ciebie skonstruowanego radia, oraz sposobów montażu dipola, czyli jego anteny. No i codziennie strzelanie na strzelnicy oraz walka wręcz.
- A jednak.
- Co a jednak?
- No... to Monachium.
- Aaa! To! No wiesz... Po kolacji pogadamy przy porządnym kieliszku. *Ist alles richtig?* – Mrugnął do chłopaka.

* * *

Po przyjeździe do Ludwigshafen Stefan wraz z żoną zamieszkali w trzypokojowym, należącym do matki Eriki mieszkaniu w dzielnicy Hemshof, w północnej części miasta. Ich pierwsze wspólne lokum znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie zakładów chemicznych koncernu BASF. To pozwoliło Stefanowi nawiązać wiele kontaktów towarzyskich z pracownikami słynnego koncernu. Sam rozpoczął pracę w firmie IB – Industrielle Bergbaudienstleistungen GmbH, która świadczyła usługi w kopalniach krajów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ponieważ był specjalistą od materiałów wybuchowych, zajmował się tworzeniem metryk strzałowych – dokumentów opracowywanych dla miejsc, gdzie wykonywane są prace strzałowe.

Oboje zmienili nazwisko na Kafer.

Dużo podróżował. Przede wszystkim do Włoch, gdzie rozwinął współpracę z kopalniami węgla kamiennego na Sardynii, jak również kamieniołomami wydobywającymi marmur w Carrarze w Toskanii. Nauczył się włoskiego, którym obecnie płynnie się posługiwał. Regularnie przekazywał informacje, stając się cennym źródłem dla pionu ekonomiczno-prognostycznego, ale też innych jednostek organizacyjnych

Departamentu I MSW, zajmujących się działaniami wywiadowczymi w zakresie przemysłu ciężkiego, elektromaszynowego i chemicznego.

Jego żona, po urodzeniu dwóch córek bliźniaczek, z rekomendacji swojej siostry rozpoczęła pracę w centrali Deutsche Banku we Frankfurcie nad Menem. Dziećmi zajmowała się jej matka, co pozwoliło Ericie poświęcić się pracy. Szybko pięła się po szczeblach kariery, by w końcu zostać specjalistką zajmującą się otwieraniem nowych placówek DB na całym świecie. Ekspansja banku poza granice RFN zmuszała ją do licznych wyjazdów. W roku 1977 uczestniczyła w przełomowym uruchamianiu przedstawicielstw DB w Mediolanie, Tokio i Moskwie. Szczególnie ważna była ekspansja na Wschód i wejście na rynek Związku Radzieckiego. W tym procesie dużą rolę odegrała grupa kapitałowa Golden Ring Capitals Co. z siedzibą w Nassau, która pośredniczyła w tym przedsięwzięciu.

Erika o wielu projektach opowiadała w domu. Tym samym była cennym źródłem informacji dla Stefana.

Mimo stabilnej pozycji materialnej Stefan był niezadowolony i ciągle było mu mało. Zaczął na własny rachunek wykonywać zlecenia w kopalniach i kamieniołomach. Ciągle czekał na – jak to mówił – złoty strzał, który pozwoli mu zarobić duże pieniądze, wyjechać na jakąś egzotyczną wyspę i zacząć wreszcie cieszyć się życiem.

Z upływem lat relacje z żoną stawały się coraz chłodniejsze. A od czasu przeprowadzki do nowo kupionego domu w malowniczym Mauden Eriki już nie dziwiło, że Stefan bez słowa opuszcza ją i dzieci wcześniej rano w dzień wolny od pracy. Podczas wyjazdów służbowych zdradzał ją z sekretarkami i asystentkami. Nie stronił okazjonalnie od prostytutek. Zdawał sobie sprawę, że rozwód jest kwestią czasu, a wtedy zostanie z niczym. Chciał się zabezpieczyć na tę ewentualność. Gromadzone na koncie funduszu operacyjnego pieniądze, jakie otrzymywał później specjalnym kanałem, w przeliczeniu na marki niemieckie stanowiły niewielką sumę.

* * *

Stefan miał tego dnia spotkać się z kurierem z Centrali. Tak jak sugerował oficerowi prowadzącemu, była to kobieta, co stanowiło dla niego dobrą legendę. Poza tym miał jechać później do jednego ze swoich współpracowników, by obmyślić linię obrony, gdyby wyszło na jaw, że na

własny użytek korzystali z firmowego sprzętu, świadcząc usługi w ramach ich prywatnej firmy zarejestrowanej we Włoszech. Erika, widząc, że Stefan wkłada kurtkę i zamierza wyjść z domu, powiedziała:

– Widziałam się we Frankfurcie z facetem, który pośredniczył w uruchomieniu naszej placówki w Moskwie. Pytał o ciebie. Prawie zapomniałam ci o tym powiedzieć.

– Nie wiem, o kim mówisz. Kto to był?

– Klimow z Golden Ring Capitals. Pytał, czy byłaby możliwość spotkania się z tobą. Pewnie mu chodzi o twoje kontakty we Włoszech.

– Czego ode mnie może chcieć ten Rusek?

– Rosjaninem to był chyba jego dziadek, a on już jest z drugiego pokolenia urodzonego w Stanach, zdaje się... Przynajmniej tak kiedyś opowiadał.

Stefan stanął przy drzwiach wyjściowych. Nie miał ochoty na spotkania z nieznajomymi.

– Powiedz mu, że jestem zajęty. Nie mam czasu się spotkać w najbliższych dniach. Wiesz, ile mam zajęć. Wszędzie czegoś ode mnie chcą. Na Sardinii, w Belgii, we Francji i tutaj, w Zagłębiu – rzucił jak zwykle obojętnym, zmęczonym głosem.

– Dobrze, ale on bardzo nalegał. Z tego, co pamiętam, to mówił, że to jakiś nowy projekt i że można dobrze zarobić. Tak kazał mi przekazać – powiedziała Erika.

Właśnie przygotowywała jedzenie dla ich ośmioletnich bliźniaczek, które nawet w niedzielę nie mogły dłużej pospać.

– A tak w ogóle to pamiętasz czasem o swoich dzieciach? – powiedziała z wyrzutem, jednak w tym samym momencie usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Wyszła z kuchni do salonu, by pogłośnić radio. Właśnie z głośnika niosła się piosenka *Johnny Blue* śpiewana przez Lenę Valaitis, która na początku kwietnia miała reprezentować Niemcy Zachodnie w Konkursie Piosenki Eurowizji w Dublinie. Erika usiadła na fotelu i zaczęła nucić pod nosem smutną, nostalgiczną piosenkę o nieszczęśliwym życiu, w którym najważniejsza jest nadzieja. „Jakże nastrój ten piosenki pasuje do mojej sytuacji” – pomyślała ze smutkiem.

* * *

Bmw serii 5 pędziło trzypasmową Innere Kanalstraße w Kolonii, wymijając inne pojazdy jadące po prawej stronie. Właśnie mignęła nowo budowana wieża telewizyjna Colonus, której oficjalne otwarcie planowano mniej więcej za trzy miesiące. Siedzący za kierownicą Stefan miał marsową minę. Ostatnio wiele spraw go zaprzętało. Przede wszystkim dochodzenie w IB, gdzie odkryto nieprawidłowości podczas wewnętrznej kontroli. Dobrze wiedział, że jeżeli kontrolerzy dotrą do zleceń, które wykonywał na własną rękę, nie rozliczając się z materiałów, będzie w potrzasku. Poza tym była kochanka, z którą spotykał się podczas wyjazdów do kopalni węgla kamiennego na Sardynii, zagroziła, że jeśli nie zostawi dla niej żony, to ujawni całą prawdę o ich związku. Oznaczałoby to dla niego rozwód i utratę dużej części majątku.

– Wpierdoliłem się po uszy! – warknął przez zęby.

Właśnie wjeżdżał na most Zoobrücke na Renie, skąd rozpościerał się piękny widok na miasto, a przede wszystkim na kolońską katedrę. Do domu pozostało mu jeszcze ponad dwie i pół godziny drogi. Miał dużo czasu na przemyślenia, ale w zasadzie nurtowało go jedno pytanie: w jaki sposób szybko zarobić dużą kasę. W tym momencie przypomniał sobie rozmowę z Eriką. „Czego może chcieć ode mnie ten Klimow? A przede wszystkim: na ile wycenia moją pomoc?”

Po chwili przyszedł mu do głowy szalony pomysł. „A może by tak bez słowa zabrać oszczędności i uciec dokądś z kochanką z Sardynii?” Na chwilę myśl ta poprawiła mu humor, jednak szybko zdał sobie sprawę, że ma tutaj zbyt wiele zobowiązań, od których trudno będzie mu się uwolnić. Oszczędności pozwoliłyby mu żyć gdzieś daleko jedynie przez kilka lat. Poza tym jego praca dla Departamentu I MSW nie mogłaby zostać zakończona z dnia na dzień, a ucieczkę pewnie uznano by za zdradę.

Stefan zdawał sobie sprawę, że małżeństwa z Eriką nie uda mu się już odbudować. „Kiedyś byliśmy szczęśliwi. Co się stało, że tak wiele się zmieniło?” Przypomniał sobie czas, kiedy Erika dostała pracę w Deutsche Banku. Wtedy zaczęła podróżować służbowo. Jej wyjazdy do wielu krajów i ciągła nieobecność w domu doprowadziły do tego, że zaczęli się od siebie oddalać. Stefan szybko znalazł pocieszenie w ramionach sekretarek i asystentek, które przewijały się w jego pracy. Potem, gdy zaczął współpracować z innymi kopalniami, za granicą poznawał coraz to nowe kobiety. W końcu pogubił się w tych relacjach i przestał być ostrożny. Erika każdą wolną chwilę starała się spędzać z dziećmi, którymi podczas jej

nieobecności opiekowała się babcia. Dlatego od jakiegoś czasu ich małżeństwo istniało jedynie na papierze. Sukcesy zawodowe Eriki odnoszone w Deutsche Banku rekompensowały jej zupełny brak zainteresowania ze strony męża.

Po powrocie do domu Stefan poruszył z Eriką temat ewentualnego spotkania z przedstawicielem Golden Ring Capitals. Była trochę zdziwiona tym, że zmienił zdanie od porannej rozmowy, i mimo późnej pory zatelefonowała do Klimowa, a ten zaproponował spotkanie za trzy dni w Heidelbergu, w lobby hotelu Ritter.

* * *

Hotel Ritter mieścił się w najstarszym zachowanym budynku w mieście. Bogato zdobiona fasada wyróżniała go wśród innych zabudowań. Na szczycie widniał napis *Soli Deo Gloria* wykonany złotymi literami, co w tłumaczeniu z łaciny znaczyło: *Jedynemu Bogu cześć i chwała*.

Stefan wszedł do restauracji, wewnątrz zachowane było w osiemnastowiecznym stylu. Na tle białych ścian stały masywne drewniane i marmurowe rzeźby. Sufit podtrzymywały kwadratowe ciemnobrązowe belki. Gdy tylko przekroczył próg lokalu, od stolika nakrytego białym obrusem wstał mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Podszedł do niego.

– Herr Stefan? – Uśmiechnął się.

– Tak. Dzień dobry. Jestem mężem Eriki. Zapewne pan Iwan Klimow? – odpowiedział Stefan.

– Tak, tak. Proszę usiąść. Czego się pan napije? Kelner zaraz przyniesie kartę win i menu.

Po chwili przy stoliku wyrósł kelner w eleganckim smokingu.

– Co pan nam zaproponuje? – zapytał z uśmiechem Klimow.

– Dzisiaj mogę panom z czystym sumieniem polecić *Schweinshaxe*. To przepyszna pieczona w piecu golonka podawana z gotowanymi ziemniakami i kiszoną kapustą.

– Faktycznie dobra. Wczoraj ją jadłem. Aha, i butelkę austriackiego wina do tego. Proszę dobrać coś odpowiedniego – wtrącił Klimow.

Stefan zgodnie z jego sugestią zamówił golonkę, a Klimow sznycel wiedeński. Kiedy kelner odebrał zamówienia i odszedł w stronę kuchni, Klimow zwrócił się do Kafera:

– Poprosiłem o spotkanie z panem, ponieważ grupa kapitałowa, którą reprezentuję, ma pewne zobowiązania wobec swoich inwestorów, a pan może nam w tym pomóc.

– Zamieniam się w słuch.

– Świetnie. Słyszał pan, co ostatnio się działo w świecie finansów? – zapytał Klimow, na co Stefan spojrział na niego pytająco. – Chodzi o bankructwa banków, które lawinowo ogłaszały niewypłacalność. Głównie we Włoszech. Wie pan, o czym mówię?

– Nie interesowałem się tą sprawą. Szczerze mówiąc, to wciąż nie bardzo rozumiem, w czym mogę pomóc. Zajmuję się zupełnie inną branżą.

– Spokojnie. Zaraz wszystko wyjaśnię. Główny gracz to Instytut Dziej Religijnych, czyli mówiąc wprost, Bank Watykański, i jego szef. Wie pan, panie Kafer, banki to duże pieniądze. Nic w przyrodzie nie ginie. A ja wiem, że pan chciałby dobrze zarobić, ale nie zawsze się to udaje tak, jak pan sobie wymarzył.

– To ciekawe. Skąd pan, panie Klimow, zna moje marzenia? Zaintrygował mnie pan.

– Panie Stefanie, ja wiem dużo więcej. To mój zawód. Jeśli chce się robić duże interesy, to potrzeba do tego wiele informacji. Różnych informacji. Czasami nawet z życia prywatnego... naszych kooperantów czy osób, z którymi współpracujemy.

– Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

W tym momencie zapanowała cisza. Po chwili Klimow nachylił się w stronę swojego rozmówcy, jakby chciał mu coś powiedzieć w sekrecie.

– Na przykład wiem o tej wewnętrznej kontroli w IB.

Stefan zmrużył oczy. Początkowy dobry nastrój szybko go opuścił. Pochylił się jak przed chwilą Klimow i odpowiedział takim samym tonem:

– Ja chyba naprawdę tracę czas.

– Panie Stefanie. Jak mówiłem, pan chce dobrze zarobić, a my dobrze płacimy. W dodatku możemy panu pomóc... – Klimow zamilkł, a po chwili dodał: – Główny kontroler spółki IB to, powiedzmy... znajomy mojego znajomego. Myślę, że bylibyśmy w stanie pomóc w tej, delikatnie mówiąc, niezręcznej dla pana sytuacji. A niedelikatnie, to w sytuacji, która doprowadzi do wyrzucenia pana z firmy, a może nawet skierowania sprawy do prokuratury.

– Słucham? To brzmi jak szantaż! – Stefan nerwowo poruszył się na krześle.

– Jaki szantaż?! Panie Stefanie. To propozycja pomocy w tej sprawie, to taki, dajmy na to... gest przyjaźni. Oczywiście na poczet naszych przyszłych interesów.

– Przyszłych interesów? Jest pan pewien, panie... Klimow, że będziemy prowadzić ze sobą jakieś interesy?

– Po pierwsze, mam na imię Iwan. Po drugie, panie Stefanie, pewny to ja jestem tylko śmierci. A po trzecie, zależy nam, żeby miał pan czystą głowę i nie zaprzętał sobie myśli jakimiś głupotami. Panie Stefanie, tu chodzi o duży i poważny biznes. Hmm... z poważnymi ludźmi. A oni muszą być pewni, że nic nie będzie przeszkadzać w realizacji tego przedsięwzięcia.

W tym momencie przyszedł kelner z dwoma dużymi talerzami i winem. Rozstawił wszystko, nalał wina. Mężczyźni zaczęli jeść. Po chwili Klimow uniósł kieliszek i powiedział:

– To co, panie Stefanie? Aby wszystko się panu ułożyło!

Kafer popatrzył na swojego rozmówcę i wspólnie wznieśli toast.

– Jak już zrozumiałem, nie spotkaliśmy się tu w sprawie pomocy z waszej strony w moich, nazwijmy to, zawodowych kłopotach? Za to nie proponuje się, jak to pan określił, dobrych pieniędzy, za które realizuje się marzenia.

– Oczywiście, że nie. Jak panu smakuje ta ich golonka? Skończymy i wszystko wyjaśnię – odparł Klimow i nożem wskazał na stół.

– Dziękuję. Naprawdę wyśmienita – odpowiedział Stefan.

Mężczyźni zajęli się jedzeniem. Po kilku minutach Klimow przetarł usta białą serwetką.

– Wracając do sprawy – zaczął spokojnie. – Wiemy, że zajmuje się pan ładunkami wybuchowymi w różnych kopalniach. Przekazano nam, że jest pan specjalistą od eksplozji w trudnych warunkach terenowych. Zgadza się?

– Powiedzmy.

– Chodzi nam o to, żeby zainstalował pan taki ładunek w pewnym miejscu. A potem w odpowiednim czasie go zdetonował.

– Co to ma być? – zapytał nieco obojętnie Stefan, choć przeszył go dreszcz niepokoju. – Chyba nie Bank Watykański. – Zaśmiał się.

– Niezupełnie, ale blisko – odpowiedział Klimow i spojrzął na Stefana z poważną miną. – Podkreślam, że sprawa jest bardzo dużej wagi i wymaga całkowitej dyskrecji. A to pociąga za sobą pewne konsekwencje.

– Tak więc dobrze płacicie nie tylko za detonację, ale i za... milczenie?
Dobrze myślę?

– Tak.

Klimow wyjął z neseseru pióro Parker, czystą, niedużą kartkę i zaczął coś pisać. Po chwili schował pióro, a odwróconą kartkę położył na stoliku.

– Reasumując, panie Stefanie. Za założenie ładunków i ich zdetonowanie... w odpowiednim czasie oferujemy jednorazową zapłatę. Rzecz jasna, tak jak zaznaczyłem, pomoc w pana firmie i wyciągnięcie pana z problemów... ma pan od nas gratis. – Klimow przesunął w jego stronę kartkę. – Oczywiście płacimy w markach niemieckich – dodał.

Stefan zaczął liczyć zera, które po jedynce ustawiły się w długim rzędzie. Naliczył sześć. „O kurwa! Ja pierdolę! Płacą równy milion marek” – zaklął z wrażenia w myślach.

– Zgadza się! – powiedział bez wahania. – Proszę podać szczegóły.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Klimow zabrał kartkę ze stołu. – Obiekt znajduje się na terenie Włoch. O dokładnej lokalizacji poinformuję niebawem. Mogę tylko powiedzieć, że jest to stary budynek wielkości kościoła czy... banku. Ale to panu chyba obojętne?

– Nie do końca. Chodzi o konstrukcję budynku. To istotna sprawa – wyjaśnił Kafer.

ROZDZIAŁ 7

Jean

Francja – lato 1974 roku, jesień 1980 roku

Upalne sierpniowe słońce rozgrzewało tysiące nagrobków ustawionych rzędami na równo skoszonym trawniku. Bezwietrzna pogoda potęgowała upał panujący na cmentarzu La Doua w Villeurbanne pod Lyonem, gdzie spoczęli żołnierze z różnych krajów, polegli podczas obu wojen światowych.

Niewysoki, tęgi mężczyzna podszedł do trzech nagrobków ustawionych w jednym rzędzie. Pochylił się nad usytuowanym w środku. Zapalił białą, ozdobną świecę i postawił ją na trawie, tuż przy płycie z szarego piaskowca. Na jego owalnej twarzy malował się smutek. Piwne oczy za grubymi szklami okularów wypełniły się łzami. Mimo niebieskiej, przewiewnej koszuli i szarych, lnianych spodni upał dawał mu się we znaki. Na łysiej głowie pojawiały się krople potu. Wyciągnął z kieszeni spodni bawełnianą chusteczkę i otarł nią spocone czoło.

Długo wpatrywał się w nagrobek, na którym widniał napis: *Pamięci Estery. Estera Reza 1927 Lyon – 1944 Auschwitz-Birkenau.*

– Minęło już trzydzieści lat, Estero, jak cię straciłem. Moja kochana Estero – wyszeptał pod nosem.

Po chwili spojrzął na dwa nagrobki stojące obok. „Was też mi brakuje, Franku i Olku” – powiedział w myślach. Wiedział, jak niewiele zabrakło, by jego najlepsi przyjaciele z organizacji „Monica” przeżyli wojnę. Zginęli kilka dni przed wyzwoleniem miasta przez Francuskie Siły Wewnętrzne i amerykańską 36. Dywizję Piechoty – na początku września 1944 roku.

Tuż po tym, jak Estera została wywieziona do obozu koncentracyjnego, obaj pomogli mu ją pomścić. Odnaleźli księdza, który wydał gestapo jej rodzinę, i powiesili go na latarni. Na szyi zawiesili kartę z napisem – *zdrajca*. Od tamtego momentu miał wobec nich dług wdzięczności, którego nigdy nie spłacił. Potem często wspominał te chwile radości po wyzwoleniu, ale i czas zemsty. Chociaż *l'épuration*, czyli czystki, były oficjalnie zakazane, to zdarzało się wiele samosądów na konfidentach gestapo. Cała sytuacja się uspokoiła, dopiero kiedy Lyon odwiedził Charles de Gaulle. Jean dobrze pamiętał ten moment. Wspólnie z rodzicami – zasłużonymi działaczami francuskiego ruchu oporu – wiwatował na cześć generała. Nie umiał jak inni się cieszyć. Tragiczne przeżycia były zbyt świeże, wciąż odczuwał ból po stracie Estery i przyjaciół.

– Monsieur Jean Legrand? – odezwał się nagle obcy męski głos za jego plecami.

– A kto pyta? – odpowiedział nieco instynktownie.

Był zupełnie zaskoczony i wyrwany z jakiegoś ośpienia. Odwrócił się i zobaczył nieznanego mężczyznę.

– Tak.

– Nazywam się Raymond Thomas.

– Przepraszam, ale... nic mi to nazwisko nie mówi.

– Szukałem pana... od wielu lat. Niedawno się dowiedziałem, że symboliczny grób Estery jest tutaj. Pomyślałem, że w rocznicę jej śmierci może się pan tu zjawić. Gdyby pana nie było, przygotowałem krótki list. – Mężczyzna wyciągnął dłoń, w której trzymał plastikową torebkę z odręcznie napisanym listem w środku.

– O czym pan mówi? Nie rozumiem. Kim pan w ogóle jest? – zapytał Jean i popatrzył badawczo na mężczyznę.

– Już wyjaśniam, panie Legrand – odparł nieznanemu po dłuższej chwili wahania, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń na przywitanie. – Chcę jedynie wypełnić ostatnią wolę... Estery.

– Czy ja dobrze słyszę? – spytał z niedowierzaniem Legrand, patrząc nieznanemu głęboko w oczy. – Pan ją znał? – dodał po dłuższej przerwie.

– Od razu wyjaśnię. Chwileczkę. Tak... poznałem Eserę. Jechałem z nią razem tym pociągami o numerze 14 166.

– W konwoju... siedemdziesiąt osiem? – Zdziwienie nie zniknęło mu z twarzy.

– Tak... W tym strasznym konwoju śmierci. – Nieznajomy zawiesił głos, a po chwili powiedział już nieco pewniej: – Zanim nas rozdzielili, coś mi przekazała. Coś ważnego dla niej i jak rozumiem... dla pana. W razie gdyby nie przeżyła, miałem odszukać pana i mu to oddać.

Legrand stał w milczeniu. Nawet nie drgnął. Pot spływał mu ze skroni na policzki. Wpatrywał się w nieznajomego pytającym wzrokiem. Ten, widząc wciąż nieukrywane zaskoczenie Legranda, szybko dodał:

– Estera podała mi pana imię, nazwisko i adres zamieszkania. W powojennym zamęciu nie było jednak łatwo pana odnaleźć.

– Dlaczego akurat panu coś przekazała?

– To proste. Stwierdziła, że jako nie-Żyd mam większe szanse na przeżycie niż ona.

Thomas wyciągnął z kieszeni spory, srebrny medalion na łańcuszku i otworzył go. W środku było zdjęcie młodej dziewczyny o kruczoczarnych włosach i dużych piwnych oczach, wtulonej w uśmiechniętego młodzieńca.

– Proszę, to dla pana.

Jean wziął do rąk otwarty medalion. Spojrzał na zdjęcie. Następnie zamknął go i mocno zacisnął w dłoni. Do oczu napłynęły mu łzy.

– Zawsze go nosiła przy sobie. Dostała go ode mnie na szesnaste urodziny. – Popatrzył jakby spokojniejszy na nieznajomego. – Przepraszam. Jak pan się nazywa?

– Raymond. Raymond Thomas...

– Monsieur Raymond. Po jej śmierci mogłem jedynie kilka lat temu przywieźć garść ziemi z Auschwitz i posypać nią jej nagrobek. Tyle mi z niej zostało. Ten wisiorek znaczy dla mnie więcej, niż pan myśli. – Spojrzał na Raymonda, a na jego twarzy malowała się ulga.

Uklęknął, otworzył medalion i szepnął:

– Dziękuję, kochana. Dotarł do mnie.

Wstał i otrzepał nogawki spodni.

– A jak panu udało się przeżyć ten konwój? – zapytał po chwili milczenia.

– To prosta historia. W okolicach Chaumont pociąg miał krótki postój. Nieopodal był las. Widząc, że strażnik nie patrzy w moim kierunku, rzuciłem się do ucieczki. Usłyszałem jedynie świst kul przelatujących nad moją głową. Gdy znalazłem się w lesie, byłem już bezpieczny.

– Co za przypadek! A wie pan, szukałem po wojnie jakichś informacji na temat losów pasażerów konwoju numer siedemdziesiąt osiem. Trafiłem

nawet na świadków, którzy powiedzieli, że jednemu mężczyźnie udało się uciec z pociągu. Nawet szukałem go jakiś czas. Czyli wychodzi na to... że pana.

– Tak. Wychodzi na to, że właśnie mnie.

Thomas zdenerwował się, ale starał się tego nie okazywać. Czekał w napięciu na dalszą część opowieści. Mimo przygotowywania się do tej rozmowy nogi lekko się pod nim ugięły. „Na pewne sprawy nigdy nie można być do końca przygotowanym” – pomyślał.

– Ale nie znalazłem pana. A teraz stoi pan przede mną, tutaj, przy grobie mojej Estery. Obok grobów moich towarzyszy broni. Jesteśmy tu wszyscy, można by rzec. – Uśmiechnął się szeroko. – Wiele osób opowiadało mi, że więźniowie byli zarobaczeni, brudni, śmierdzący, głodni. W jakimś miasteczku, w czasie postoju, chyba właśnie w Chaumont, Czerwony Krzyż dostarczył im wodę. Mogli się umyć.

Thomasowi ulżyło. Wewnętrzne napięcie uszło momentalnie. Teraz uważnie ważył każde słowo Legranda.

– W miejscowym obozie jenieckim zrobili wśród Amerykanów i Brytyjczyków zbiórkę mydła, miodu i konserw. Samochód to przywiózł, ale pociąg odjechał już w kierunku Belfort i Epinal. Wiem, że konwój dotarł do tego ich piekielnego... *Konzentrationslager* Natzweiler w Alzacji. Zrobiono selekcję. Jako Żydówka Estera pojechała do Auschwitz. Miałem nadzieję, że może z innymi kobietami wysłali ją do Ravensbrück. Ale niestety nie. – Legrand znowu posmutniał i zamilkł. Po chwili ocknął się. Podszedł do Raymonda i chwycił go z całych sił za ramiona. – Proszę! Niech pan mi powie, co dokładnie mówiła? Co wspominała? Czy była smutna? Dobrze ją traktowali? Czy cierpiała w jakikolwiek sposób?

– Wszystko panu opowiem. Wszystko, co pamiętam z tamtego czasu.

– Monsieur Raymond. A może inaczej... – Jean cmoknął i przyłożył palec do ust. – Hm... Mieszkam w Marsylii. Dam panu swój adres. Proszę mnie odwiedzić. Koniecznie. Mam tak wiele pytań, jak pan widzi. –

Wręczył Thomasowi swoją wizytówkę. – A jak ja mogę się z panem skontaktować, jakby...

– Mieszkam w Paryżu, ale często jestem w interesach w Marsylii. Będę... pojutrze. – Thomas chciał uniknąć podawania na tym etapie znajomości swojego adresu i numeru telefonu.

– Pojutrze? – zapytał z niedowierzaniem Legrand. – *Fantastique!* Chodźmy, kierowca na mnie czeka. Może pana gdzieś podwieźć?

– Nie, nie. Dziękuję. Zaparkowałem swój samochód przed główną bramą.

* * *

Raymond Thomas po ucieczce z pociągu ukrywał się. Po zakończeniu wojny przeniósł się do przemysłowego regionu Nord-Pas-de-Calais. Zamieszkał w Lille, gdzie rozpoczął pracę jako górnik w kopalni węgla kamiennego. Podczas zawału stropu został ciężko ranny i przez kilka dni był odcięty od świata wraz z innym górnikiem, Pierre'em Mrockiem, pochodzącym z rodziny polskich emigrantów. Przeczując, że nie przeżyje do czasu dotarcia ekipy ratunkowej, poprosił Mrocka, by ten spełnił jego ostatnią wolę. Opowiedział mu o medalionie otrzymanym podczas transportu od młodej Żydówki z Lyonu, Estery Reza. Miał oddać go jej ukochanemu – Jeanowi Legrandowi. Niestety, nie znalazł chłopaka w Lyonie. Thomas podał Mrockowi miejsce ukrycia przedmiotu w swoim mieszkaniu w Lille i poprosił go o znalezienie Legranda. Po kilku godzinach Raymond Thomas już nie żył.

Po ocaleniu Pierre Mrocek zmagał się z traumą. Nie był już w stanie zjeżdżać windą do kopalni. Cierpiał na pogłębiającą się klaustrofobię. Z czasem dostał pracę w jednej z firm transportowych działających przy kopalni Charles Ledoux w Condé-sur-l'Escaut. Potem kilka razy zmieniał miejsce zatrudnienia. Nie mógł się wciąż odnaleźć w życiu. Lata mijały. Trochę zapomniał o swoim zobowiązaniu podjętym kilkaset metrów pod ziemią.

Po „odwilży” w Polsce w 1956 roku Mrocek postanowił wrócić do ojczyzny jako repatriant. Rozpoczął studia na Politechnice Częstochowskiej na wydziale budowy maszyn i na ostatnim roku studiów został przyjęty do pracy w Kopalni Węgla Kamiennego Walenty-Wawel w Rudzie Śląskiej. Klaustrofobia, z jaką się ciągle zmagał, nie pozwoliła mu na pracę konserwatora maszyn górniczych pod ziemią.

Na studiach osiągał bardzo dobre wyniki. Płynnie mówił po francusku i niderlandzku. Uczył się niemieckiego. To spowodowało, że zainteresował się nim Departament I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pod koniec studiów został zaproszony na rozmowę, na której przedstawiono mu szanse i możliwości, a przede wszystkim prestiż, jaki daje praca w wywiadzie. Zgodził się zostać oficerem. Pracując na Śląsku, odbywał szkolenie

wywiadowcze w trybie indywidualnym. Przygotowywany był do pracy w rezydenturze nielegalnej na kierunku francuskim, szwajcarskim i krajów Beneluxu.

W czasie procesu rekrutacji, pytany przez oficerów Departamentu I o swoje kontakty we Francji, Mrocek opowiedział historię Raymonda Thomasa, któremu obiecał wypełnić ostatnią wolę. Przekazał dane mężczyzny, którego miał odnaleźć, i tożsamość kobiety, która zginęła w Auschwitz.

W tym samym czasie do wydziału konsularnego Ambasady PRL w Paryżu wpłynął wniosek wizowy złożony przez Jeana Legranda. Jako cel podróży do Polski podał wizytę w Auschwitz-Birkenau i odszukanie symbolicznego grobu obywatelki Francji Estery Reza. Po otrzymaniu informacji z rezydentury Departamentu I MSW w Paryżu Centrala wywiadu powiązała informacje zawarte w teczce personalnej Pierre'a Mrocka i wniosku o wizę obywatela Francji zamieszkałego w Marsylii.

Podczas wizyty Legranda w Polsce poddany on został kontroli operacyjnej. Zanotowano między innymi, że podczas swojego pobytu w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau mimo surowego zakazu zabrał do woreczka ziemię z terenu obozu. Nie podjęto jednak żadnych czynności poza rejestracją fotograficzną tego zdarzenia i zebraniem dokładnego opisu od wywiadowców z Biura B MSW, czyli pionu obserwacji Służby Bezpieczeństwa.

Z czasem okazało się, że Jean Legrand jest bardzo wpływowym bankierem i zasłużonym działaczem kombatanckim ruchu oporu we Francji. Postanowiono wykorzystać ten zbieg okoliczności i podjąć próbę nawiązania z nim dialogu operacyjnego.

Po dwuletnim przeszkoleniu Mrocek został uplasowany we Francji na danych legalizacyjnych Raymonda Thomasa, który wracał po latach włączył po świecie, od Polinezji Francuskiej po Gujanę Francuską. Zaczął budować swoją legendę przedsiębiorcy działającego w branży maszynowej. Choć mieszkał w Paryżu, ze względu na realizowane na rzecz polskiego wywiadu zadania operował głównie w Hawrze, Saint-Étienne i Tuluzie. Odwiedzał również kraje Beneluxu i Szwajcarię.

W sprawie Legranda Centrala zaleciła mu szczególną ostrożność przez wzgląd na jego wysoką pozycję społeczną i zawodową. Mrocek, czyli już Thomas, miał się do niego zbliżyć dopiero wtedy, kiedy jego legenda

będzie głęboka, wiarygodna i nie wzbudzi najmniejszych wątpliwości. Zwłaszcza ze strony *Service de Documentation Extérieure et de Contre-espionnage* – francuskiego kontrwywiadu.

Kiedy na początku lat siedemdziesiątych Legrand uzyskał zgodę na postawienie symbolicznego nagrobka dla Estery Reza na cmentarzu La Doua w Villeurbanne, zdecydowano, że Thomas powinien nawiązać z nim kontakt. Wcześniej, wykorzystując informacje Thomasa o polskich korzeniach Legranda, zaczęto zapraszać go na różne imprezy okolicznościowe w polskiej ambasadzie w Paryżu.

* * *

Masywny peugeot 604 prowadzony przez Jeana Legranda przejechał most nad Canal du Midi, a po chwili przeciął rzekę Aude. Jechał powoli między łagodnymi wzgórzami. Liczne winnice rozświetlało zachodzące za góry jesienne słońce. Droga była wąska i zdawało się, że ginie wśród niekończących się rzędów winorośli, których liście powoli żółkły. Jean się zastanawiał, jaki ten 1980 rok będzie dla winogron, ile było słonecznych dni w czasie ich dojrzewania. Czy bukiet win z regionu Corbières będzie głęboki? Legrand dzierżawił jedną z winnic swojemu znajomemu, Jacques'owi – miejscowemu potentatowi branży winiarskiej. Sam nie miał czasu na jej doglądanie, zajęty był pracą w banku. W końcu w oddali, na niewielkim wzgórzu, ukazały się zabudowania miejscowości Montbrun-des-Corbières z górującą nad nią wieżą kościoła Saint-Roch. Samochód, mijając samotną pośród winnic kamienną kaplicę Notre-Dame-de-Colombier, zwolnił, a Jean zaczął się intensywnie rozglądać. Po chwili znowu przyspieszył. Po kilku minutach zniknął wśród gęstej zabudowy Montbrun. Nie zauważył w okolicy żadnego samochodu.

Legrand odniósł wrażenie, że miejscowość jest zupełnie opustoszała po niedawno ukończonym winobranii. Minał kamienny obelisk poświęcony mieszkańcom, którzy zginęli podczas pierwszej wojny światowej. Wjechał w wąską uliczkę prowadzącą do jego domu. Zatrzymał auto na niewielkim, równoległym do ulicy podjeździe przed domem. Nad drzwiami widniała kamienna tablica z datą 1794. Zabrał bagaże. Otworzył drzwi i wszedł do kuchni będącej zarazem jadalnią. Postawił w rogu dwa futerały z bronią myśliwską. Obok rzucił dużą torbę z mundurem polowym *armée de terre*, wojskowymi butami i zapasem amunicji. Potem wszedł do sąsiedniego

pokoju. W kominku z czerwonego granitu rozpałił ogień. Następnie wrócił do kuchni i usiadł przy stole. Wyciągnął z marynarki paczkę gitanes'ów z charakterystyczną cygańską tancerką na opakowaniu i wyjął z niej papierosa. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze kwadrans. Zgodnie z ustaleniami wyszedł na zewnątrz i uchylił na oścież zielone okiennice. Po kilku minutach obok domu przejechało wolno żółte renault 14, które zaparkowało po chwili pod kościołem. Akurat dwa dzwony na metalowym podwyższeniu kościelnej wieży wybijały równą godzinę.

Z renault wysiadł mężczyzna i skierował się do domu Jeana. Wszedł bez pukania. Zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko gospodarza. Jean otworzył butelkę czerwonego wina Minervois Corbières i nalał bez słowa do kieliszków. Mężczyźni patrzyli na siebie chwilę. Pierwszy pokiwał głową i odezwał się bez przywitania:

– Jean! Do cholery. Co ty ostatnio robisz? Chyba nie tak się umawialiśmy.

– Klimow! Wywołałeś spotkanie, więc się widzimy. O co ci, do cholery, chodzi?

– Nie o tym spotkaniu mówię! Miałeś informować każdorazowo o swoich wyjazdach do Argentyny. I to na etapie planowania, czyli przed. I co? Poinformowałeś? Nie pamiętam... – Zawiesił głos i wypił jednym haustem wino.

Jean nic nie mówił, przyglądał się rubinowej barwie wina, kręcąc kieliszkiem. Potem stuknął o jego brzeg. Rozległ się charakterystyczny dźwięk.

– Byłeś w zeszłym miesiącu w Buenos Aires na Plaza de Mayo, w siedzibie Banco de la Nación Argentina, zgadza się? – Jean kiwnął głową. – Coś masz mi do powiedzenia?

– No tak, Iwan, masz rację. Przepraszam. Ale ostatnio miałem naprawdę dużo na głowie. Nie mogę się z tym wszystkim pozbierać. Musisz to zrozumieć! Wiesz, jaką mam pozycję...

– Pierdolisz, Jean! Teraz ty zrozum. Nasi z rezydentury w Buenos dali znać do Centrali w Moskwie i... miałem przejebane. Wściekli się.

– No wiesz, zdarza się tak czasem... – Legrand znowu zaczął kręcić kieliszkiem.

– Posłuchaj. Chroniliśmy ci dupę przez tyle lat. Gdyby nie my, dawno byś siedział w pierdłu w towarzystwie napalonych na bogatego bankiera Algierczyków czy Marokańczyków. Wyobraź sobie konferencję prasową

paryskiej policji, poprzedzoną tytułami prasowymi w stylu: *Dyrektor z Banku Bonnasse w Marsylii prał w Argentynie pieniądze mafiosów z Banku Świętego Ambrożego w Mediolanie*. Tym bardziej że jakiś czas temu przedstawiono raport, z którego wynikało, że kasa z tego... świętojebliwego banku wyparowała w cudowny sposób. I wiesz, że teraz śledczy zaczynają węszyć w tej sprawie.

– Iwan. Ale ja jestem czysty. Nic mi nie udowodnią. Ja tylko transferowałem pieniądze swoich klientów!

– Ty myślisz, że oni są idiotami? Naprawdę? – Wypił resztkę wina i zdecydowanym gestem postawił na stole kieliszek. – Jak wybuchła afera, to nagle zaczęłeś latać do Argentyny likwidować depozyty, które chuj wie, na kogo były zakładane. Szybko dojdą do ciebie, a zaraz potem do mnie! A to już prosta droga do pełnej dekonspiracji naszych działań... A ty sobie, kurwa, lecisz bez konsultacji z nami do Buenos! – Uderzył dłonią w blat stołu.

– Mówiłem ci... – odburknął Jean i zapalił papierosa.

Klimow wstał i oparł się o okap nad kuchnią. Zaczął stukać nerwowo palcami w drewnianą belkę. Założył ręce na piersi i odwrócił się do Legranda.

– I co z tego, że mówiłeś. Teraz my musimy cię z tego wyciągnąć. Ale ostrzegam, tym razem cena będzie dużo wyższa. Taka jest decyzja Moskwy. Nieodwołalna.

– Nie wiadomo, czy ja w ogóle chcę, żebyście mnie z czegoś wyciągali – odpowiedział Legrand i lekko się uśmiechnął do Iwana.

Klimow popatrzył na niego ciężkim wzrokiem. Jakby mógł, to udusiłby go na miejscu. Ale wiedział, że jest on wyznaczony do operacji. Jego likwidacja mogłaby ją opóźnić lub bardzo utrudnić. A do tego grozić ujawnieniem kontaktów bankiera z radzieckim wywiadem.

– Michele Sindona sam oddał się w ręce FBI po tym, jak uciekł z Włoch do Ameryki. I żyje sobie szczęśliwy. Chociaż przez niego upadło parę banków, a zwłaszcza Franklin Bank w Nowym Jorku – powiedział Jean i zaciągnął się mocnym papierosem.

– I widzisz, Jean. A dlaczego ten wielki, ochraniający przez lata bankier uciekł do Stanów? Bo się bał, że go zajebią ci wszyscy, którzy przez niego stracili pieniądze. Tylko jest jedna różnica. Ty masz dużą rodzinę, prawda? Ich nigdzie ze sobą nie zabierzesz. A poza tym trudno uciekać z kilkorgiem dzieci, ich żonami i wnukami. Może im się krzywda stać, prawda?

Jean jakby nagle stracił pewność siebie. Teraz coraz bardziej ścisnął papierosa i częściej się zaciągał. Gitanes w końcu zgasł. Wyjął następnego i zaczął obracać go w palcach. Starał się ukryć emocje. Znowu zapadła cisza. Legrand nerwowo przygryzł wargę. Tym razem to Klimow nalał wina do kieliszków, widząc zdenerwowanie gospodarza.

– Wiesz co? Trochę ci się dziwię – zaczął Rosjanin. – Doskonale zdajesz sobie sprawę, że w tym całym procesie prania pieniędzy uczestniczą ludzie z Watykanu. Ktoś, komu szwaby zabiły w czasie wojny ukochaną kobietę, pomaga ich wspólnikom. Przecież to właśnie dzięki tym katolickim hipokrytom wielu faszystów wyjechało do Ameryki Południowej.

– Kogo masz na myśli?

– Choćby takiego Alois Hudala.

– Aaaa, biskupa Alois Hudala.

– Tak! Niemieckiego agenta, który zorganizował przerzut znanego ci Klausea Barbiego – kata Lyonu, i ten żyje sobie teraz spokojnie gdzieś za oceanem.

Jean wstał. Wziął przygotowane w kuchni kawałki drewna i poszedł do sąsiedniego pokoju dołożyć do kominka, który już pracował pełną parą. Po chwili wrócił.

– O czym ty mówisz, Iwan? Katolików mam w dupie. Czego ode mnie chcesz?

– Jean... znamy się od lat. – Przechylił kieliszek. – Hm, znacznie łagodniejsze niż to tutaj, z okolic Montbrun.

– Tak. Tutaj korzenie winogron z większym trudem i głębiej przebijają się do wody, bardziej pracują, aby zaczerpnąć łyk życiodajnego dla nich napoju – wyjaśnił nieco górnolotnie Legrand.

– A więc znamy się od lat. Sam dobrze wiesz, ile razy wyciągałem cię z bagna. Dlatego mam dla ciebie propozycję.

– Jaką propozycję?

– Ty wiesz, Jean, że my mamy długie ręce. Po prostu wyciągniemy cię z tego bankowego szamba.

– Po prostu wyciągniecie? Z dobrego serca? – zapytał drwiącym głosem Legrand.

– Na początek zetrzemy wszelkie ślady, usuniemy dowody, a jeśli będzie trzeba, to uciszymy na zawsze niewygodnych świadków twoich oszustw i prania brudnych pieniędzy.

– Rozumiem. Jaka jest cena tego waszego sprzątnięcia?

– Chyba ci się w sumie opłaca, Jean. – Klimow się uśmiechnął. – Posłuchaj. Masz znajomych w Rzymie, często tam jeździsz. Chcemy, żebyś pojechał do Włoch, do sanktuarium w Mentorelli, i zrobił tam, powiedzmy... rekonesans. Jako stary partyzant i członek ruchu oporu nie będziesz miał z tym problemu.

– Coś słyszałem o tym miejscu. Gdzie to jest dokładnie? – Kłamał, bo kilka razy tam był na spotkaniach z różnymi hierarchami z Watykanu.

– To z pięćdziesiąt kilometrów od Wiecznego Miasta, w Górach Prenestyńskich. Chcemy wiedzieć wszystko o tym miejscu. Jak najłatwiej się tam dostać. Ochrona, zabezpieczenia. Jak wygląda rytm dnia na wzgórzu. Jakie budynki otaczają to miejsce. Czy okna jakiegoś hotelu, pensjonatu, czy po prostu mieszkań do wynajęcia wychodzą na ogrody. Wszystko! – podkreślił zdecydowanym tonem Rosjanin, zamyślił się i po chwili dodał: – Ale to nie wszystko, Jean. We Włoszech zrobisz jeszcze rekonesans dwóch obiektów. Kościoła Świętego Tomasza na obrzeżach Rzymu oraz... – zawiesił głos, a Legrand popatrzył na niego z ciekawością i jednocześnie ze strachem – ...rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo.

– I po co to wam?

– O szczegółach później...

– Ale ja nie o tym – przerwał mu Legrand. – Po co to Związkowi Radzieckiemu?! Czy to coś zmieni?!

– Jean. To już wielka polityka. A my jesteśmy w tej grze trybami, ważnymi trybami, które mogą coś zmienić w tym świecie. Dlatego ty masz tylko wykonać swoje zadanie. I powiem ci coś, choć chyba nie powinienem. Takie jest oczekiwanie nie tylko Centrali, ale i najwyższych czynników u nas.

– Ach tak! W takim razie muszę się zastanowić, jeśli mam zmieniać losy świata – powiedział Legrand z lekką ironią w głosie.

– Zastanów się, Jean. Lepiej, żebyś się zgodził. Nie chcielibyśmy, żeby tobie albo twoim bliskim stała się krzywda. Być może będziesz dalej robił karierę. Może wielka polityka i Paryż się o ciebie upomną? A jeżeli się nie porozumiemy, to w Moskwie nie wyrażą zgody na zapewnienie tobie ochrony nie tylko przed wścibskimi dziennikarzami, ale i śledczymi z Paryża i Rzymu.

Słowa Klimowa zabrzmiały złowieszczo, lecz Jean starał się zachować spokój. Zacisnął zęby, a po dłuższej chwili powiedział:

– Dobrze. Zastanowię się.

– Mówiłeś przez telefon, że będziesz tu jeszcze dwa dni, zgadza się? – Jean kiwnął głową. – Pojutrze zapraszam cię tradycyjnie na polowanie. Wspomniałeś, że jesteś w dobrej formie. Być może uda się ustrzelić dzika, tak jak ostatnim razem.

– Tak, Iwan. Ręka wciąż pewna.

– No właśnie. Posłuchaj. Zatrzymałem się w Carcassone. Będę u ciebie około trzeciej nad ranem. Jadę jeszcze teraz do Castelnau-d’Aude po to wino. Bardzo mi smakuje.

Klimow wstał. W drzwiach się odwrócił.

– Przemyśl dobrze to, o czym rozmawialiśmy.

* * *

Klimow po zakupie wina podszedł do telefonu znajdującego się koło merostwa. Wrzucił kilka franków i wybrał numer. Po chwili uzyskał połączenie.

– Wszystko załatwione?

– *Tak* – Usłyszał odpowiedź.

– Pojutrze nad ranem. W miejscu, o którym rozmawialiśmy.

– *Po zjeździe z drogi głównej od Lézignan-Corbières?*

– Tak. A kto to jest? Miał papiery przy sobie?

– *Nikt nie będzie go szukał. To chyba jakiś Cygan z Walencji.*

– Hiszpan?

– *Tak.*

Klimow odłożył słuchawkę.

* * *

– Jean, uważaj. Tam! – szepnął Klimow i wskazał palcem.

Ciemny punkt przypominający dzika znajdował się w niedużej odległości. Stał w bezruchu.

– To jakiś krzak? Górka kamieni? Czy co? Jesteś pewny? – dopytywał się Jean.

– Mówię ci, podszedł przed chwilą. Widziałem. Słowo daję... Słowo czekisty. Strzelasz czy nie, Jean? Tylko nie narzekaj potem, że nie miałeś szczęścia! – kontynuował Klimow.

– *C'est bon*. Nie gadaj już tyle, Iwan, bo nam spieprzy gdzieś w dolinę. Nie dogonimy go i całe podchody nocne na nic – odpowiedział.

Legrand przymierzył. Nabrał powietrza i pociągnął za spust. Rozległ się huk. Dzik po wystrzale nie wybiegł zza krzaków winorośli, więc wszystko wskazywało na to, że został trafiony.

– Chyba go trafiłeś! – krzyknął triumfalnie Iwan. – Ale będzie z niego kielbasy! Połowa mięsa dla mnie, pamiętaj. Za wystawienie! Chodź, Jean!

Ruszyli w kierunku, gdzie powinno znajdować się zastrzelone zwierzę. Legrand szedł powoli. A Klimow w euforii wyprzedził go o kilkadziesiąt kroków, co nie było specjalnym wyczynem przy budowie ciała Legranda. Jakby chciał pierwszy dotrzeć na miejsce. W pewnym momencie krzyknął z całych sił:

– *Putain. Merde*. Choć tu szybciej, Jean! Coś ty narobił!

Jean zaczął biec w jego kierunku. Gdy znalazł się na miejscu, zamiast dzika zobaczył leżącego mężczyznę o śniadej karnacji, ułożonego na wznak tuż za krzewami winorośli. Breneka trafiła go centralnie w głowę, całkowicie ją masakrując. Widać było tylko rozbryźnięty mózg i czaszkę. W biały, elastyczny golf ofiary wsiąkała krew.

– Spójrz na te złote łańcuchy i buty z metalowymi ozdobami. Jakiś Cygan? Co on tu, kurwa, robił? Przecież już po winobranii. Nie żyje! – powiedział Klimow. – Palców do szyi przykładać nie trzeba, żeby zbadać puls. – Wskazał głową na ofiarę.

– Zabiłem go! Zabiłem – jęknął Jean. – Mówiłeś, że to dzik!

– Tak, ale nie przy tym krzaku.

– Jak nie przy tym?!

– No nie przy tym, Jean. I tyle. Teraz to już nieważne.

Legrandowi napłynęły łzy do oczu. Ręce zaczęły mu drżeć. Odłożył broń. Wziął pod ramiona bezwładne, zmasakrowane ciało i zaczął je ciągnąć w stronę samochodu.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? On już nie żyje! Nie rozumiesz?! Nie żyje. Zostaw go. Słyszysz?! – krzyknął Klimow.

Jean, nie zwracając na niego uwagi, dysząc ciężko, ciągnął ciało w kierunku zaparkowanego niedaleko na bocznej drodze swojego peugeota 604. Gdy dotarł na miejsce, otworzył tylne drzwi samochodu i ułożył bezwładne ciało ofiary na siedzeniu. Klimow podążał za nim, wziąwszy z miejsca wypadku jego broń.

– On nie żyje. Mówiłem ci! Opanuj się. Już go nie uratujesz! Jean! Lepiej przełóżmy go do bagażnika, żeby nikt go nie zobaczył.

Legrand cały czas był w szoku. Jakby nic nie słyszał, co Rosjanin do niego mówi. Usiadł koło samochodu. Oparł się plecami o tylny próg i zasłoniwszy oczy, zaczął płakać.

– Jean, pozbieraj się. Uspokój. Słyszysz?! Wstań i pomóż mi.

Legrand się podniósł. Otworzył pojemny kufer peugeota. Razem wyciągnęli ciało mężczyzny z tylnej kanapy i ułożyli w bagażniku. Jean wziął w ręce kawałek szmaty i nerwowo wycierał krew z tylnego siedzenia. Po chwili oparł się o drzwi samochodu i znowu zaczął płakać.

– Zabiłem człowieka! Zabiłem go!

– Uspokój się! O tym, co się tu stało, wiemy tylko ja i ty. Nikt więcej się nie dowie. Wracajmy do twojego domu w Montbrun. Spróbuję ci jakoś pomóc.

Kiedy dotarli na miejsce, weszli do środka. Legrand usiadł przy stole i zakrył twarz zakrwawionymi dłońmi. Zaczął coś mamrotać pod nosem.

– Iwan... Jeśli go zakopimy, to na pewno *patron*, u którego pracował, zgłosi jego zaginięcie. Rozpoczną się poszukiwania. Uważam, że najlepiej będzie, jak zostawimy ciało gdzieś w zupełnie innym miejscu.

– Wtedy wilki je rozszarpią i rozwleką po okolicy. Zacznie się śledztwo.

– Zaraz będzie dzień... – stwierdził Legrand, wycierając bawełnianą chusteczką okulary. – Zgłoszę się na policję. To przecież był wypadek. Nie chciałem go zabić...

– Racja – przerwał mu Iwan. – Problem w tym, że jak zaczną się kręcić koło ciebie nie tylko jako myśliwego mordercy, ale także jako dyrektora banku, trafią na nasze sprawy. A wtedy to sam wiesz...

Legrand, słysząc, co do niego mówi Klimow, zaczął się cały trząść ze zdenerwowania. Jego twarz zdradzała maksymalne przerażenie i rozpacz. Klimow podszedł do niego. Na rękach miał lateksowe rękawiczki wyciągnięte z apteczki, trzymał plastikowy worek.

– Zdejmuj z siebie ubranie. Jesteś cały w jego krwi. Jak pozbędziemy się ciała, trzeba będzie wyczyścić twój samochód.

Legrand posłusznie zdjął buty, spodnie i mundur. Podał Klimowowi. Wiedział, co to dla niego oznacza. Przez moment spojrzął na leżącą na sofie broń owiniętą folią. Przez myśl przeszło mu, aby wziąć ją do rąk i strzelić sobie w głowę. „A moja żona? Dzieci? Co z nimi się stanie? Nie, to żadne wyjście” – zreflektował się.

– Ubierz się, Jean! Zaraz pojedziemy pozbyć się ciała – ponaglił go Rosjanin. – Zabiorę narzędzia ze schowka.

Po chwili wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę Tuchan oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów. Po półgodzinie jazdy w milczeniu Legrand zapytał:

– Dokąd my właściwie jedziemy, Iwan?

– W rejon Château d’Aguilar. To opuszczone miejsce. Poza zbieraczami winogron nikt tam nie zagląda. To ruiny zamku. W dodatku mamy szczęście. Zaczyna padać deszcz. Rozmyje wszelkie ślady. Będzie dobrze, *monsieur le directeur!*

Legrand nie odpowiedział. Wpatrywał się w drogę rozświetlaną reflektorami samochodu, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej skąpana w deszczu. Wciskała się w wąską dolinę pomiędzy coraz wyższe góry. W końcu dotarli do Tuchan, niewielkiego miasteczka znajdującego się w kotlinie między Mont Tauch a górującymi nad okolicą ruinami zamku Aguilar. Klimow zwolnił. Jechali wąską ulicą między kamiennymi domami.

– Cholera. Przegapiłem skręt w kierunku zamku – powiedział Iwan i wykręcił na placu, gdzie w pogodne dni starsi mieszkańcy grywali w bule.

Jedynym przejawem życia była niemłoda już kobieta, która próbowała wepchnąć pijanego mężczyznę przez drzwi.

– Pewnie dziadek przesadził z *eau-de-vie* – rzucił Legrand, jakby się ożywiając.

– A co to za wynalazek?

– Takie miejscowe, powiedzmy... brandy. Paskudne. Robią je z resztek po winogronach, które fermentują, a potem są destylowane. Nie polecam – odpowiedział Legrand.

Samochód zaczął podskakiwać na nierównej kamiennie-szutrowej drodze. Powoli pięła się między polami krzewów winorośli. Dotarli w końcu na niewielki parking u podnóża wzgórza zamkowego. Deszcz przybierał na sile. Od strony Mont Tauch zaczęło intensywniej błyskać. Coraz głośniejsze wyładowania atmosferyczne dodawały wszystkiemu grozy.

– Dobra. Jesteśmy na miejscu. Zabieraj Cygana z bagażnika i idziemy w górę. Jakaś nieckę ziemną znajdziemy, to go tam zakopujemy. Ja wezmę narzędzia – zarządził Rosjanin.

– Dlaczego ja?

– A kto go odstrzelił, Jean? Zbieraj się z tym, bo w nas zaraz jakiś piorun pierdolnie przy tych skałach!

Legrand nic nie odpowiedział. Szarpnął mocno ciałem zabitego mężczyzny, z którego zwisały resztki głowy roztrzaskanej przez brenekę. Nagle puścił zwłoki, które upadły bezwładnie na mokrą ziemię. Zaczął wymiotować. Wymiociny zmieszały się z wodą wartko spływającą spod zamkowych murów i krwią ze zwłok. Po chwili wszystko się rozmyło.

– Jean, kurwa. Skończyłeś już to swoje *dégobillage*? Dawaj, pomogę ci.
– Klimow chwycił ciało za nogi i skierowali się w górę.

Po kilkudziesięciu metrach się zatrzymali. Rzucili zwłoki obok narzędzi – kilofa i łopaty.

– Zabieraj się do kopania, a ja kilofem zmiękczę ziemię! – Klimow przekrzykiwał głośny szum deszczu i coraz częstsze wyładowania atmosferyczne.

– Nikt go tu nie znajdzie?! – odkrzyknął Legrand.

– A kto? Nawet ci, co muscaty zbierają z tych nielicznych płożących się krzaków, nie przyjdą tutaj. Nic tu nie ma! – Klimow odruchowo przysiadł po uderzeniu pioruna w pobliżu.

Obaj zaczęli kopać. Legrand odrzucał na bok rozbite kawałki ziemi z kamieniami. Klimow jak w transie uderzał raz po raz kilofem.

– Pospiesz się, kurwa! Bo nam się bajoro robi w tym dołku! – pokrzykiwał Rosjanin, widząc, jak strumienie wody wpadają do miejsca pochówku.

– Widzę. Ale nie nadażam. Może wystarczy? Wodę mam już do kolan!

– Dobra, wychodź i wrzucamy go. Tylko mu nie narzygaj do miejsca wiecznego spoczynku.

Legrand wygramolił się z dołu. Razem z Klimowem wepchnęli ciało, które wpadło do brunatnobeżowej wodnej mazi. Jedyne resztki roztrzaskanej głowy unosiły się na powierzchni wody wypełniającej dół. Mężczyźni zaczęli go zasypywać. Po piętnastu minutach nie było śladu. Woda zmywała pozostałości rozkopanej ziemi wraz z okruchami skał.

Trochę ucichło. Burza kierowała się wyraźnie w stronę Pirenejów.

* * *

Mimo okresu przedświątecznego ulica Grand Rue nie była zatłoczona. Raymond Thomas zgodnie z obietnicą czekał na Jeana przy Hôtel de Cabre.

Kiedy ten się wreszcie zjawił, w oczy rzucił się jego nieco niechlujny wygląd, który nie pasował do wpływowego dyrektora banku. Z tygodniowym zarostem wyglądał, jakby uszło z niego życie.

– Dziękuję, że jesteś, Raymond – odezwał się, widząc czekającego przyjaciela.

– Nie ma sprawy, Jean. Umówiliśmy się, więc jestem.

– Wiesz, budynek tego hotelu to jedyne, co pozostało z czasów wojny w tej okolicy. – Wskazał dłonią. – Teraz tylko ten niewielki hotelik przypomina mi dzieciństwo. Choć i tak, gdy byłem mały, to znajdował się kilkadziesiąt metrów dalej. Chodźmy. Zapraszam cię do portu, muszę z tobą porozmawiać.

Ruszyli wzdłuż ulicy Bonneterie, która prowadziła wprost do Vieux-Port, czyli starej części portu w Marsylii. Po chwili ich oczom ukazały się dziesiątki jachtów zacumowanych na zimę w marinie. Unosiły się lekko na falach. Linki miarowo uderzały o strzeliste maszty, grając szczególną muzykę. Po przejściu kilkadziesiąt metrów pirssem Jean wskazał na zacumowany jacht.

– Moja kobieta już na mnie czeka. – Mężczyzna się uśmiechnął.

– Tak, tak. Pamiętam dobrze. Dziewięć metrów dziewięćdziesiąt centymetrów długości, model Centurion 32 ze stoczni [Henri Wauquiez](#), napęd żaglowo-motorowy – dodał Thomas.

– Brawo, Raymond. Zapraszam na pokład!

– Trudno nie zapamiętać. Wciąż o niej opowiadasz. – Uśmiechnął się i klepnął go w ramię.

Jacht wyglądał jak zawsze imponująco. Wydłużony dziób nadawał mu szczególny szyk. Rufa z płaskim, nachylonym do przodu zakończeniem, a na niej nazwa jachtu zapisana grubymi, wyraźnymi literami – „Esterá”. Weszli na pokład. Jacht ledwo wyczuwalnie się zabujał.

– Zimno dzisiaj jak cholera. Wejźmy do środka, bo zamarzniemy. Pamiętasz, jak latem popłynęliśmy na wyspę If? – powiedział Jean, odsuwając wejście do kabiny.

– Tak. I zwiedzaliśmy tę piekielną twierdzę z *Hrabiego Monte Christo*. – Thomas się uśmiechnął. – Obiecałeś, że na wiosnę popłyniemy do Monte Carlo. Pamiętaj, nie odpuszczę ci. Zwłaszcza że po drodze mamy zawiąnąć do Saint-Tropez. Trzymam cię za słowo.

– Pewnie, że popłyniemy. Niech tylko trochę się ociepli. W kwietniu albo maju. Napijmy się, przyjacielu. Rozgość się. Siadaj. – Legrand

wskazał wygodne, miękkie, niebieskie kanapy i zasunął drzwi do kabiny.

Wyjął z tekowej szafki butelkę martella i dwa pękate kieliszki. Postawił je na stoliku i nalał solidne porcje alkoholu. Spojrzał na Raymonda smutnym wzrokiem. Widać było, że zbiera myśli, by wyrzucić z siebie coś, co nie daje mu spokoju.

– Przyjacielu, na zdrowie – powiedział, a po chwili ponownie napełnił kieliszki. – Pamiętam, że na ciebie zawsze mogłem liczyć. Muszę ci teraz coś opowiedzieć. Coś bardzo ważnego. – Przerwał na dłuższą chwilę.

Miał skupioną i zmartwioną minę. Popatrzył na Thomasa. Potem zakręcił kieliszkiem, zbliżył go do nosa i wciągnął zapach koniaku.

– Raymond. Jestem w potrzasku.

– Co się stało? Ty? Nieraz powtarzałeś, że zawsze jest jakieś wyjście! Nawet gdy miałeś te problemy w Argentynie.

– Tak, ale sytuacja, w której się znalazłem, jest beznadziejna i naprawdę, uwierz mi, absolutnie bez wyjścia. To koniec mojej kariery. Jest tylko jedno wyjście.

– Jakie?

– Moja śmierć rozwiąże wszystkie problemy.

– Uuuuu. Śmierć to nie jest wyjście, przyjacielu. Nie martw się. Coś razem wymyślimy. Dobra. W takim razie zacznij od początku. Powiedz, o co chodzi. Bo widzę, że naprawdę to coś poważnego.

Legrand znowu napełnił kieliszki, po czym opowiedział Thomasowi, jak pewnego dnia Rosjanie z KGB zaproponowali mu pomoc w wyjściu z niezwykle trudnej sytuacji. Jak latami pomagali mu i chronili go, kiedy prowadził nielegalne interesy we Francji, Włoszech i w Argentynie. A obecnie dodatkowo wiedzą, że zabił niewinnego człowieka. Ale najgorsze, że ukrył ten fakt, i teraz jest w potrzasku. Nie wie, co zrobić. Na koniec opisał Thomasowi swoje ostatnie zadanie.

– Sanktuarium w Mentorelli? Co tam się mieści? Dlaczego to dla nich takie ważne miejsce? – spytał Thomas.

– Raymond! W Mentorelli znajduje się rezydencja papieża, często tam bywa. Nie rozumiesz, o co im może chodzić? Przecież to oczywiste! Poza tym Castel Gandolfo i ten rzymski kościół Świętego Tomasza. To też ich interesuje. Mówiłem ci.

– Tak, mówiłeś. Ale myślisz, że też w tym samym kontekście?

– Nie wiem. Po prostu wspominali, żeby przy okazji zrobić rozpoznanie tych miejsc. Ale zdecydowanie najbardziej interesuje ich Mentorelli!

– Może to jakaś zasłona dymna, może nie chcą ci wszystkiego powiedzieć?

– Nie wiem, Raymond. To mnie przeraża. Co mam robić?!

– Hmm... – Thomas pokiwał w milczeniu głową i opróżnił wielki kieliszek.

Mehmet

Turcja – zima 1979 roku/wiosna 1980 roku

Ahmet Sari, dziennikarz gazety „Cumhuriyet”, wolnym krokiem wyszedł ze stambulskiej siedziby redakcji i skierował się w stronę swojego samochodu. Granatowy garnitur i śnieżnobiała koszula dodawały mu elegancji. A okulary w grubych czarnych oprawkach i równo przyszczyżone wąsy podkreślały jego wysoki status społeczny i zawodowy.

Gazeta, w której pracował, była dość poczytna i opiniotwórcza w Turcji. Prezentowała poglądy liberalne, świeckie i wolnorynkowe. Sari znany był jako sprzymierzeniec rozdziału religii od państwa i krytyk politycznego ekstremizmu. Jednak wyróżniało go to, że był zwolennikiem dialogu. Ostatnie dni były bardzo napięte. Właśnie wracał z rozmowy z redaktorem naczelnym, z którym omawiał swój artykuł mający się ukazać w jutrzejszym wydaniu.

Jego niebieskie renault 5 o numerze rejestracyjnym 45SL002 było jednym z niewielu pojazdów stojących o tej porze na parkingu. Otworzył drzwi i włożył do środka niewielką walizkę podróżną. Zanim usiadł za kierownicę, przeciągnął się, unosząc ręce, jakby chciał nabrać sił przed czekającą go jazdą.

– Ależ jestem dzisiaj zmęczony – mruknął pod nosem, siedząc już za kierownicą.

Po chwili uruchomił silnik i ruszył przez ulice dzielnicy Şişli.

– Tą trasą na pewno będzie dzisiaj jechał! – powiedział Yusuf, skręcając białym samochodem marki Anadol w ulicę Teşvikiye Cadessi.

Zaparkował tuż przy niewielkim sklepie z owocami. Mehmet milczał. Siedział na miejscu pasażera, nie okazując emocji. Rękę trzymał w plastikowej torebce i ścisnął rękojeść samopowtarzalnego pistoletu CZ75 – słynnej czeskosłowackiej czetki – z podpiętym piętnastonabojowym magazynkiem. Było późne popołudnie. Marcowe słońce chyliło się ku zachodowi. Pogoda była wyjątkowo pochmurna, zimna z lekkimi opadami deszczu. Latarnie uliczne oświetlały ruchliwe skrzyżowanie.

Przez dłuższą chwilę milczeli, wpatrując się w przejeżdżające samochody.

– Gdyby coś mi się stało, proszę cię, przyjacielu, zaopiekujcie się moją matką, siostrą i bratem – odezwał się w pewnym momencie Mehmet.

– Bracie, przecież wiesz, że możesz na nas liczyć. Tydzień temu wysłaliśmy im pieniądze, tak jak prosiłeś. Twoja siostra wie gdzie dostanie życie z mężem i dziećmi pod Stuttgartem, a matka z bratem żyją spokojnie w Malatyi.

– Są bezpieczni?

– Tak. Jesteście przecież dla mnie jak rodzina – odpowiedział Yusuf i po chwili dodał: – Pamiętasz, jak udało nam się uciec przed zasadzką nad jeziorem Hazar? Wtedy zrozumiałem, że naszym przeznaczeniem jest dokonywać wielkich rzeczy. Wtedy stałeś się naprawdę moim bratem.

– Yusuf... Powiedz mi, dlaczego właściwie Mustafa wyjechał do Francji?

– Tobie mogę powiedzieć. Tam jest wielu braci. Wspólnie będą działali w naszej sprawie. A gdy w Turcji wszystko się ułoży po naszej myśli, to wrócą z Francji i Niemiec Zachodnich, by od nowa budować ojczyznę.

Czas zaczynał się im dłużyć. Mehmet wciąż uparcie wpatrywał się w skrzyżowanie i ulicę, skąd miał nadjechać samochód, na który czekali. Wycieraczki co kilka sekund zgarniały nową partię wody. Zaczynał się niecierpliwić. Kiedy tylko pojawiał się jakiś samochód podobny do oczekiwanego, łapał za klamkę, by być gotowym do ataku. Gdy okazywało się, że to nie ten, na który czekają, kłął pod nosem.

– Jest już zmrok i gdyby nie świecące latarnie, to w tym deszczu nic byśmy nie widzieli o tej porze. Jesteś pewny, że dzisiaj będzie jechał? – ponownie zapytał Mehmet.

– Tak, bracie. Na pewno. Prędzej czy później wróci do swojego apartamentu. Musimy czekać cierpliwie. Nie ma wyjścia.

Jednak odpowiedź Yusufa ani trochę nie uspokoiła Mehmeta.

* * *

– Co za przygnębiająca pogoda – mruknął do siebie Sari.

Wycieraczki miarowo zbierały z przedniej szyby drobne krople deszczu, teraz bardziej przypominającego mżawkę. Sari marzył jedynie o tym, żeby znaleźć się w swoim domu, gdzie czekała na niego żona i kilkoro znajomych, którzy mieli ich dzisiaj odwiedzić. Droga mijала spokojnie. Myślami był już z rodziną przy wspólnej kolacji. Wreszcie wjechał na ulicę Teşvikiye Cadessi, skąd do jego domu pozostało tylko kilkaset metrów.

* * *

Mehmet coraz bardziej nerwowo zaczynał się wiercić w fotelu. W końcu wysiadł z samochodu i mimo siąpiącego deszczu zaczął krążyć po ulicy, nie zważając na kręcących się w pobliżu klientów sklepu z owocami. Przechodził na drugą stronę, potem wracał. Kiedy miał już wsiąść do samochodu, zatrzymał się jeszcze tuż przed jego maską, by po raz kolejny spojrzeć w kierunku skrzyżowania i ulicy Teşvikiye Cadessi. W tym momencie zauważył niebieskie renault 5. Popatrzył nienawistnie w kierunku nadjeżdżającego pojazdu. Podbiegł bliżej krawędzi jezdni. Chcąc mieć stuprocentową pewność, sprawdził numery rejestracyjne. Zaczął literować je na głos:

– *Dört. Beş S, L, sıfir, sıfir...* – Nie dokończył.

Dotarło do niego, że jego najważniejsze zadanie dla organizacji rozpoczęło się właśnie w tym momencie. Nie wtedy, kiedy zobowiązał się do jego wykonania, nie kiedy czekał na informację o terminie i nie przed chwilą, gdy siedział z Yusufem w samochodzie.

Samochód jechał powoli, ale i tak zwolnił przed skrzyżowaniem. Mehmet ruszył w jego kierunku. Wyciągnął zdecydowanym ruchem broń z reklamówki. Nie miał w głowie planu, jak odda strzały, jak się do nich złoży. Nie miał przygotowanych żadnych wariantów, gdyby coś poszło nie po jego myśli. Pędził do samochodu z jedną myślą – strzelić, żeby zabić.

* * *

Sari kątem oka zauważył, że ktoś biegnie w kierunku jego samochodu. Trudno mu było ocenić, czy ten ktoś się zbliża do niego, czy jedynie przebiega przez ulicę. Odwrócił głowę w prawo, by móc się dokładniej przyjrzeć. Zauważył szczupłego, wysokiego mężczyznę w czarnych spodniach i jasnej marynarce, który trzymał jakiś ciemny przedmiot w prawej dłoni. Skierował wzrok przed siebie. W tym momencie rozległ się huk roztrzaskiwanej bocznej szyby. Rozbite szkło rozsypało się we wnętrzu pojazdu.

* * *

Mehmet energicznie przeładował broń i włożył ją w wybitą dziurę w bocznej szybie renault. Oddał dwa strzały. Trafiły Sariego w prawe ramię. Śmiertelnie przestraszony kierowca był w takim szoku, że zamiast wcisnąć pedał gazu, lewą ręką, która nie ucierpiała, desperacko próbował wyrwać pistolet z rąk napastnika. Ten jednak odsunął się, przymierzył i strzelił w tułów kierowcy. Pocisk kalibru dziewięć milimetrów przeszył serce. Zaraz potem padły dwa kolejne strzały oddane jakby na oślep. Krew ofiary prysnęła na szyby. Bezwładne ciało Sariego osunęło się na drzwi samochodu. Mehmet odskoczył od pojazdu, który zjechał na pobocze i z hukiem uderzył w pobliską latarnię.

Napastnik szybko pobiegł w stronę białego anadola, którego wycieraczki teraz pracowały szybciej. Yusuf czekał z włączonym silnikiem, co chwila nerwowo podwyższając jego obroty. Kiedy tylko Mehmet wskoczył do środka, auto szybko ruszyło w kierunku dzielnicy Harbiye. Po chwili zniknęło wśród innych pojazdów na placu Taksim. Liczne dźwięki klaksonów i głośnie praca szybko poruszających się wycieraczek zagłuszały myśli w głowie Mehmeta o tym, co przed chwilą się stało. Patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie. Widok czerwonych świateł samochodów zlewał mu się w głowie z kolorem krwi rozpryskanej na szybach renault. Tracił kontakt z otoczeniem. Nie zwracał uwagi na pokrzykiwania kolegi, pytania o przebieg zamachu i jego szturchanie w ramię. Siedział sztywno i nieruchomo.

* * *

Duszną i wilgotną celę wojskowego więzienia w Maltepe pod Stambułem napawała Mehmeta obrzydzeniem. Niewielkie pomieszczenie bez okna wypełniał smród stęchlizny i ludzkich odchodów. Ściany niedbale pomalowano na kolor szarzielony i szarobiały. Przy jednej z nich znajdowała się niewygodna prycza z szarym, przetartym kocem i niewielką, zniszczoną poduszką, w kącie – umywalka z zardzewiałym, przeciekającym kranem. Obok niej ziała w podłodze dziura latryny.

Zdawał sobie sprawę, że ciągle wzbudza zainteresowanie mediów. Traktował to jako jedyną, ostateczną kartę przetargową. Jego oświadczenie tuż po zatrzymaniu, że działał sam i jego jedynym motywem zabicia dziennikarza „Cumhuriyet” były pobudki osobiste, cytowały wszystkie tureckie gazety i stacje telewizyjne. Teraz jednak, gdy zbliżał się termin rozprawy sądowej i obwieścił publicznie, że wyjawí całą prawdę, wiedział, że nie ma już odwrotu. Swoim wyznaniem chciał dać do zrozumienia „braciom”, żeby nie zostawiali go w potrzebie.

Przez cztery miesiące spędzone w więzieniu przez głowę przewinęły mu się tysiące myśli. „A jeśli mnie zostawią samemu sobie? Co stanie się z moją rodziną w Hekimhan?” To pytanie zadawał sobie coraz częściej. „Czy iść na współpracę z sądem? Wydać ich, by wyjść wcześniej z więzienia?” Szybko jednak odpędzał od siebie takie myśli, ponieważ znał siłę i wpływy organizacji, której był członkiem. Zerwał się nagle z pryczy i zaczął walić z wściekłością w kran, bo dźwięk kropel cały czas uderzających o dno metalowej umywalki był wprost nie do wytrzymania. Spojrzał z obrzydzeniem na otwór w podłodze. Nachylił się nad nim i zwymiotował całą zawartość żołądka. Położył się na pryczy i zwinął w kłębek. Czołem oparł się o zimną ścianę. Zamknął oczy. Zasnął.

Po kilku godzinach zerwał się zlany zimnym potem. Śniły mu się koszmary. Usiadł i zaczął pocierać dłońmi twarz pokrytą zarostem. „Jakim sposobem policja trafiła na mój ślad? Kto mnie zdradził?” Ta myśl nie opuszczała go od chwili, kiedy spokojny i zrelaksowany grał w karty na placu Bajazyda. Zupełnie nie spodziewał się aresztowania. Teraz pytanie to z każdym dniem, każdą nocą, każdym koszmarem dręczyło go coraz bardziej.

Z informacji, jakie otrzymał od Mustafy i Yusufa, wynikało, że jest poza wszelkimi podejrzeniami. Miał zachowywać się naturalnie. Wierzył naiwnie, że stojąca za nim organizacja jest na tyle silna, że nie da mu zrobić krzywdy. Dlatego po zamachu żył jak każdy student. Jakby nic się nie stało.

Zaliczył drugi rok na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu w Stambule. Czuł się pewnie. Szczególnie gdy po zamordowaniu znanego i wpływowego dziennikarza jego notowania wśród Szarych Wilków znacząco wzrosły.

Z głębokich przemyśleń wyrwał go odgłos przekręcanej zamka. Niespodziewanie o tej porze otworzyły się drzwi celi. Do środka wszedł jeden ze strażników, którego Mehmet widywał już wcześniej. W ręce trzymał zielony, płócienny worek. Rzucił go na łóżko więźnia. Potem wychylił się na korytarz i popatrzył w obie strony.

– Przebieraj się! Twoi bracia już na ciebie czekają na zewnątrz! Uciekniesz stąd – szepnął, wciąż stojąc w drzwiach celi. – Tylko doprowadź wcześniej do porządku zarost i włosy. Maszynkę z żyłką, pędzel, mydło i grzebień masz w środku.

Mehmet był w szoku. Patrzył tępo na mundurowego. Nie odezwał się ani słowem. Pomyślał, że to jakaś prowokacja. Nawet się nie ruszył.

– *Giyin!* – krzyknął strażnik, by Mehmet się ubierał. – Daj znać, jak będziesz gotowy! – Zatrzęsnał drzwiami.

Zdezorientowany więzień zaczął nerwowo wyciągać z torby rzeczy: przybory toaletowe, zielony wojskowy mundur oficerski i nowe skórzane buty. Szybko się ogolił, umył włosy, wytarł je w koc i uczesał. Potem zaczął się ubierać, spoglądając co chwila nerwowo na drzwi. Podszedł do nich i puknął kilka razy. Otworzyły się.

– Świetnie wyglądasz. No to co, panie oficerze? Idziemy na nocną inspekcję? – Strażnik uśmiechnął się i skinął zachęcająco głową.

Mehmet wyszedł na obskurny i obdrapany korytarz. Stało tutaj dwóch żołnierzy, którzy byli wtajemniczeni w zorganizowanie ucieczki. Ci jednak nie poszli razem z nimi, zostali na korytarzu. Zachowywali się tak, jakby pilnowali jego celi. Mehmet i strażnik, nieniepokojeni przez nikogo, wyszli na więzienny dziedziniec. Strażnik rozejrzał się, a potem obaj ruszyli do tylnego wyjścia prowadzącego poza wysokie mury więzienia. Kilka razy mijani niżsi rangą żołnierze salutowali „oficerowi”.

Znaleźli się poza więzieniem. Strażnik machnął ręką. Podjechał do nich volkswagen golf w kolorze kremowym. Strażnik otworzył tylne drzwi i wskazał dłonią Mehmetowi, by wszedł do środka. Rozejrzał się jeszcze wokoło i zajął miejsce obok niego.

– Witamy pana oficera! – odezwał się Yusuf siedzący z przodu obok kierowcy.

Samochód ostro ruszył ciemną ulicą.

– Jak to zrobiliście?! Jestem wolny?! Naprawdę wolny? – zapytał zdziwiony Mehmet.

– Miałeś szczęście, bracie, wielkie szczęście, że Abdul był strażnikiem w tym więzieniu. To jeden z nas. – Yusuf uśmiechnął się rozbawiony całą sytuacją. – Poza tym nie jesteś jedynym, który opuszcza w ten sposób mury tego paskudnego miejsca!

– Ale co teraz ze mną będzie? Dokąd mnie wieziecie? – zapytał ciągle niemogący dojść do siebie Mehmet.

– Na razie ukryjemy cię w jakimś lokalu przejściowym. Potem zobaczymy, jakie będą dalsze instrukcje kierownictwa. Jedno jest pewne, mój drogi bracie, jesteś chyba najbardziej poszukiwanym zbiegiem. – Yusuf znowu się roześmiał, zakładając na nos lenonki.

* * *

Minęło kilka miesięcy od spektakularnej ucieczki Mehmeta z więzienia. Tureckie środki masowego przekazu jakby zapomniały o tym zdarzeniu. Zbliżała się wiosna 1980 roku. Obecny tryb życia uciekiniera opierał się głównie na oglądaniu telewizji i czytaniu gazet. Chodził spać bardzo późno i budził się zwykle po dziesiątej. Miejsce zamieszkania zmienił w tym czasie kilka razy. Był jednym z najbardziej poszukiwanych przestępców w Turcji i co za tym idzie, nie mógł się swobodnie poruszać. Jedzenie i artykuły pierwszej potrzeby dostarczano mu regularnie. Z czasem takie życie stało się nie do zniesienia. A teraz ciepłe promienie słoneczne, pachnąca zieleń, śpiew ptaków i głosy rozmów spacerowiczów potęgowały uczucie wykluczenia i osamotnienia. Pewnego dnia poprosił zaopatrującego go członka organizacji, by ten przekazał Yusufowi, że chce się z nim pilnie spotkać. Po dwóch dniach jego przyjaciel pojawił się w lokalu konspiracyjnym.

– Czy coś się stało, Mehmet, że pilnie wywołujesz spotkanie? – zapytał Yusuf, zamykając drzwi niewielkiego mieszkania w dzielnicy Beşiktaş.

– Bracie! – Mehmet na niego spojrział. – Chciałbym dalej działać dla naszej sprawy. Teraz jednak nie mogę nic zrobić. Gdy tylko wychylę nos z kryjówki, zostanę aresztowany. Nie mogę odwiedzić matki ani brata. Jestem zupełnie bezradny. Czuję się jak w więzieniu, a właściwie w areszcie domowym, rozumiesz?

– No cóż, taki jest nasz los. Wielu musi się ukrywać... – Yusuf zawiesił głos. – Co w tej sytuacji proponujesz?

– Pozwól mi wyjechać. Gdzieś daleko, naprawdę daleko, gdzie nie będą mnie ścigać. Gdzie będę miał swobodę działania. Tak jak Mustafa, który prowadzi pracę wśród naszych braci we Francji.

– Jesteś niezwykle zasłużony dla organizacji. Wykazałeś się odwagą i nigdy nas nie zdradziłeś. Skontaktuję się z Mustafą i dowiem się, czy będziemy mogli ci jakoś pomóc. Daj mi na to kilka dni.

– Mustafą? – zdziwił się Mehmet.

– Tak, Mustafą. Jest naszym duchowym przewodnikiem. Mimo że znajduje się daleko, to do niego zwracam się ze wszystkim. On decyduje o naszym losie.

– Powiedz mu, że przecież Turcja i nasza sprawa potrzebują mnie walczącego nie tylko tutaj, ale wszędzie na świecie. Proszę, zrób coś, bo inaczej zwariuję. Dłużej tu nie wytrzymam!

– Dobrze. Spokojnie, Mehmet. Pomyślimy. Już ci mówiłem. Dam ci niedługo odpowiedź. Obiecuję.

– Dziękuję ci, bracie, dziękuję ci, Yusuf.

– Pamiętasz, jak uratowałeś mi życie nad jeziorem Hazar? Gdy żołnierze złapali Mustafę, chciałem wrócić i mu pomóc. Gdybyś mnie wtedy nie powstrzymał, ci skurwiele na pewno by mnie zastrzelili. Pewnie Mustafa też by zginął. Jestem twoim dłużnikiem.

Mehmet się nie odezwał. Patrzył zimnym wzrokiem przed siebie, jakby to, co powiedział Yusuf, w ogóle do niego nie dotarło.

* * *

Tydzień później wieczorem Mehmet usłyszał stukanie do drzwi mieszkania. Trzy uderzenia, przerwa, dwa uderzenia, przerwa i znowu trzy. Taki znak ustalono z kilkoma członkami Szarych Wilków, którzy znali kryjówkę Mehmeta. Po chwili uchylił drzwi zabezpieczone łańcuchem. Jeszcze miesiąc temu bez wahania otworzyłby je i zdjął łańcuch. Teraz jego nieufność wzrastała. Zamykał się w sobie. Zauważył to również Yusuf, który martwił się stanem psychicznym przyjaciela. Dostrzegał, że Mehmet dziczeje, dziwnie się zachowuje, trudno do niego dotrzeć z racjonalnymi argumentami.

W drzwiach stał niewysoki, krępy mężczyzna. Mieszkaniec lokalu konspiracyjnego Szarych Wilków widział go pierwszy raz w życiu. Mężczyzna bez słowa wszedł. Mehmet zamknął za nim drzwi, a potem zablokował je trzema zamkami i łańcuchem.

- Ali Dimitrow – przedstawił się gość, wyciągając na powitanie rękę.
 - Mehmet – odpowiedział gospodarz i uściśnął mu dłoń.
 - Przysyła mnie do ciebie Yusuf.
 - Z czym cię przysyła Yusuf?
 - Z propozycją.
 - Jaką?
 - Coś taki niecierpliwy?
 - A posiedź tutaj... – Nie dokończył.
 - No tak. Wiem, że jesteś zasłużonym bojownikiem o Wielką Turcję. Ale powiem krótko. Tutaj, w kraju nic już nie możesz dla niej zrobić, przyjacielu. Ale ja chcę i mogę ci pomóc.
 - W jaki sposób? – zapytał coraz bardziej zaintrygowany Mehmet.
 - Przede wszystkim w miarę możliwości sprawię, byś już więcej nie czuł się jak zaszczute zwierzę w klatce. – Rozejrzył się wymownie po niewielkim pokoju. – Zasługujesz na coś lepszego niż ta ponura nora.
 - Tyle to wiem i bez ciebie.
 - Posłuchaj. Na początek musisz mi zaufać. Tak jak Yusuf mi niedawno zaufał, kiedy zaproponowałem, że pomogę takim jak ty, ukrywającym się i poszukiwanym w Turcji.
 - Zaufać? Wiele wymagasz. Co z tego będę miał?
 - A co będziesz miał z ukrywania się w Turcji, z życia w ciągłym strachu i niepewności? Ile tak wytrzymasz? Znam takich jak ty. Jeszcze, bo ja wiem... kilka miesięcy, a sam pójdiesz na posterunek policji i oddasz się w ich ręce. A tego byśmy nie chcieli, prawda?
 - Prawda.
 - Właśnie. Pamiętaj, że zbyt wiele osób zaangażowało się w twoje uwolnienie. Jesteś dla wielu z nas przykładem, zwłaszcza dla młodych chłopaków. Dla takich samych jak ty jeszcze niedawno. – Gość szybko wyjaśnił mu sytuację i spojrzał pytająco na Mehmeta.
- Mehmet się nie odezwał. Wiedział, że jego pozycja jest beznadziejna i że nie chce wracać do obskurnego więzienia pod Stambułem. Nieznajomy miał absolutną rację. Czuł, że jest na skraju wyczerpania nerwowego.

Ali Dimitrow kontynuował:

– Jeśli mi zaufasz, zabiorę cię z Turcji. Będziesz mógł służyć ojczyźnie poza jej granicami. Będziesz pracował dla mnie i dla naszych sojuszników.

Kiedy kończył zdanie, z kieszeni marynarki wyciągnął paszport turecki. Otworzył go na pierwszej stronie i wręczył Mehmetowi, któremu od razu rzuciło się w oczy jego nieco zmienione zdjęcie. Poniżej widniało imię i nazwisko – Batur Ozgun.

– Czyli ten, co jest prawdziwym wojownikiem. Hmm... całkiem ładnie – mruknął Mehmet pod nosem.

– To twoja nowa tożsamość, jeśli mi zaufasz – powiedział Dimitrow spokojnie, dostrzegając w oczach Mehmeta lekkie podekscytowanie w związku z szansą na zmianę dotychczasowego życia.

Mehmet milczał ze spuszczoną głową. Potem popatrzył na sufit. Jakby coś mówił do siebie. Zrozumiał, że to dla niego jedyna okazja na zmianę beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł, że nad Bosforem nie ma już dla niego żadnej przyszłości. Po chwili spojrzał nieznajomemu prosto w oczy.

– Zaufam ci. Chcę stąd wyjechać.

– Dobry wybór. Cieszę się, że jesteś rozsądny – odparł Dimitrow. – Za dwa dni czekaj na mnie w tym mieszkaniu. Spakuj tylko najpotrzebniejsze rzeczy, naucz się nowych danych i zapamiętaj wszystko z paszportu. Trochę już podróżowałeś po Europie. – Uśmiechnął się. – Aha. Tu masz farbę do rozjaśnienia włosów i nożyczki do ich przycięcia. Ogol się dokładnie i zostaw jedynie wąsy. Dopasuj wygląd do zdjęcia z paszportu. W środku jest jego powiększenie – dodał i postawił na stole dużą torbę. – Masz tu też bardziej eleganckie ubranie, podobne do tego ze zdjęcia, i okulary ze szklami pół dioptrii. Jakoś się przemęczysz. Od dzisiaj jesteś handlarzem z Grand Bazaar w Stambule. Wiozę cię do Mineralnych Bani koło Haskowa, do rodziny w Bułgarii i... w interesach. Jasne?

– Do Bułgarii?

– Tak, do Bułgarii. Wielu z nas tam mieszka, wielu nam pomaga, naszej organizacji.

– Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

Dimitrow popatrzył na niego. Pokiwał głową.

– Za dwa dni. Do widzenia... Batur.

* * *

Ali Dimitrow zjawił się po dwóch dniach, żeby zabrać ze sobą Mehmeta. Zgodnie z zaleceniami Mehmet dokonał kilku zmian w swoim wyglądzie. Przed blokiem czekał na nich szary citroën CX z charakterystycznymi błotnikami sięgającymi do połowy tylnego koła.

– Daj walizkę – powiedział Dimitrow, wziął ją od Mehmeta i otworzył bagażnik.

Wnętrze bagażnika wypełnione było różnokolorowymi kuponami tureckich materiałów, reklamówkami z džinsami, koszulkami, jakimiś butami i paroma butelkami raki – tureckiej wódki o anyżowym aromacie. Po chwili ruszyli w kierunku granicy turecko-bułgarskiej. Kilkanaście kilometrów przed granicą Dimitrow zatrzymał auto na poboczu.

– Słuchaj uważnie... Batur. Przed nami bardzo ważny moment. Wszystko na granicy jest, powiedzmy... dogadane. Powinniśmy przekroczyć ją bez większych problemów. Pamiętaj jednak, że sytuacja może się rozwijać dynamicznie i musimy być przygotowani na każdą okoliczność.

– Rozumiem. Ale jeśli...?

– Nie martw się o żadne ale – przerwał mu Dimitrow i ruszył dalej.

Dimitrow wiedział, że o tej porze zarówno po stronie tureckiej, jak i bułgarskiej będą ludzie, którzy znają jego i jego samochód. Jedyne, czego mógł się teraz obawiać, to jakiejś nieprzewidzianej okoliczności. Nagłej inspekcji czy dużego zamieszania w związku z wykryciem kontrabandy. Wtedy jedne samochody są puszczane bez kontroli, a drugie sprawdzane bardzo szczegółowo. Jako wieloletni przemytnik dobrze wiedział, że podczas takich sytuacji nawet najlepiej przygotowana operacja może wziąć w łeb. Dodatkowo na granicy często zmieniały się układy i wpływy. Dlatego zawsze podczas przemytu, mimo wielu udanych akcji, dopadał go stres. Tym razem było podobnie. Nie bez przyczyny wybrał bardziej ruchliwe przejście graniczne w Kapikule, sąsiadujące z bułgarską miejscowością Kapitan Andreewo, niż to na wysokości Malko Trnowo. Tutaj sunęły ciężarówki do Rumunii, Węgier czy Polski. Tędy odbywał się ruch dyplomatów krajów socjalistycznych z bliskowschodnich placówek dyplomatycznych. Codziennie były autobusy turystyczne oraz te wiozące robotników z Europy Wschodniej na kontrakty w Iraku czy Syrii bądź z tych kontraktów.

Jechali szeroką dwupasmową jezdnią, wzdłuż której na rzędzie masztów powiewały tureckie flagi. Po prawej zza drzew wystawała wysoka, okrągła

wieża obserwacyjna z czerwonym neonem *Turkiye*. Minęli dużą betonową bramę. Sunęli powoli drogą ograniczoną z obu stron długimi wałami. Podjechali pod biało-czerwono-zielony szlaban. Pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczyli budynek z płaskim dachem i z wielkim białym napisem *Народна Република България*. Citroën Dimitrowa zajął miejsce w kolejce samochodów ustawionych do kontroli. Niewielki korek mógł oznaczać, że na granicy nie było żadnego zamieszania. Gdy przyszła jego kolej, zauważył, że zgodnie z przewidywaniami na posterunku tureckim jest znany mu człowiek. Przekazał paszporty. Wymienił porozumiewawcze spojrzenia ze znajomym i ruszył w stronę części bułgarskiej. Tutaj sytuacja się powtórzyła. Pogranicznik zerknął jedynie na paszport i machnął ręką, żeby jechali. Powiedział coś jeszcze do celnika. Wolno opuścili przejście graniczne.

– Najbardziej lubię takie momenty jak ten. Ale wciąż jesteśmy w zamkniętej strefie nadgranicznej. Jeszcze sprawdzą nas na drogowym punkcie kontrolnym za kilkanaście kilometrów, więc się nie przestrasz zasieków w poprzek drogi i żołnierzy z bronią maszynową – powiedział Dimitrow, z którego wyraźnie zeszło napięcie.

* * *

Zatrzymali się dopiero przed cerkwią w Haskowie. Dimitrow sprawdził czas na zegarku.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał Mehmet.

– Jeszcze nie. Wiozę cię do Mineralnych Bani, to niedaleko. Ale tam nie będzie czasu na pożegnania. Przekażę cię moim dobrym znajomym. Resztę dowiesz się już od nich. Jesteś bezpieczny.

– Tutaj? W komunistycznym kraju bezpieczny? Chyba żartujesz?

– Nie, nie żartuję. Już ci mówiłem. Jest nas tu wielu. Przekonasz się. Poza tym moi... znajomi zaopiekują się tobą. Obiecałem, że cię bezpiecznie wyciągnę z Turcji, i obietnicy dotrzymałem.

– Ale mówiłeś, że będę pracować dla Wielkiej Turcji...

– A myślisz, że co ja robię w Bułgarii?! Ty też będziesz mógł coś zrobić dla swojego kraju. Zapalisz? – Dimitrow poczęstował Mehmeta tureckim papierosem. – Pal, bo szybko takiego nie zapalisz. No, chyba że ci podrzucę coś z przemytu. – Uśmiechnął się i mrugnął. – Aha, wyjmij swoją walizkę z bagażnika i trzymaj ją na kolanach.

Po kilkunastu minutach skierowali się do Mineralnych Bani. Za nimi ruszyła biała zastawa, a po chwili dołączyło do niej niebieskie żiguli. Oba samochody na sofijskich numerach rejestracyjnych. Trzymały się za Citroënem w odległości około stu metrów. Po piętnastu minutach Dimitrow zatrzymał się przed wejściem do kompleksu basenów uzdrowiskowych, które przygotowywały się na letni sezon. Krzątali się tu jacyś robotnicy, coś wnosili, malowali metalowe ogrodzenie. Dimitrow nie wyłączył silnika. Mehmet wysiadł.

– Trzymaj się, bracie. Zaraz ktoś cię stąd zabierze – rzucił Dimitrow.

Citroën odjechał. Mehmet był trochę zaskoczony rozwojem sytuacji, ale nie miał wyjścia. Rozejrzał się. Postawił na chodniku walizkę. Wyjął paczkę Marlboro i zapalił. Po kilku minutach podjechała do niego biała zastawa. Wsiadło z niej dwóch mężczyzn. Jeden z nich odezwał się po turecku:

– Witamy w Bułgarii. Pewnie już wiesz, że tutaj możesz czuć się swobodnie – powiedział i dał znak, by Mehmet zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

– Mam pytanie... – rzucił niepewnie Mehmet.

– Kim jesteście? Dokąd jedziemy? Co będzie z tobą dalej? – odpowiedział kierowca, a Mehmet niepewnie pokiwał głową.

– Będzie czas opowiedzieć trochę o tym po drodze... Mehmet – włączył się drugi z mężczyzn.

– To już nie Batur?

– Batur też. Zresztą zobaczymy – odparł mężczyzna.

– Jak mam się do was zwracać?

– Do mnie... kapitan Nikołow. – Uśmiechnął się. – A kolega dziś robi za kierowcę. Tylko ze mną będziesz się kontaktował w przyszłości.

Mehmet był zaskoczony. Nie wiedział, co powiedzieć. Przez myśl mu przeszło, żeby uciec. Patrzył badawczo na kierowcę i Nikołowa. Potem spojrzął na klamkę w drzwiach i przez boczną szybę...

Widząc to, kapitan się odwrócił.

– Mehmet. Spokojnie. Wiem, co ci chodzi po głowie. Chcesz uciekać. Proszę bardzo. Możemy cię nawet do granicy podwieźć. Odstawimy pod sam turecki szlaban, co nie? – zwrócił się do kierowcy, a ten potwierdził słowa kapitana. – Droga wolna. Ale widzisz, Mehmet, my dajemy ci szansę, nadzieję i wolność. Tam czeka cię w najlepszym razie... śmierdzące, zasrane i zaszczane więzienie. Ale na mój nos, Mehmet... to

tam nie dotrzesz. Wyłowią cię po kilku dniach z Bosforu ogryzionego przez rybki, z wylupionymi oczami i podciętym gardłem. Pokażą twoje ścierwo w telewizji i powiedzą, że to zrobili twoi bracia z Szarych Wilków w zemście za zdradę. Rozumiesz... Dobrze to rozumiesz, mój Mehmedzie?

– Tak. Ale...

– Cena? – przerwał mu Nikołow. – Do zaakceptowania i niezbyt wygórowana jak na twoje położenie.

Po chwili ruszyli w kierunku Płowdiw i dalej do Sofii.

Alois

Szwajcaria – wiosna 1977 roku

Alois stanął przy solidnych drewnianych drzwiach na klatce schodowej kamienicy, którą pod koniec XIX wieku wznosił w centrum Zurychu bogaty mieszczanin. Z rozświetlonego neonami salonu naprzeciwko, z którego przed chwilą wyszedł, dobiegała energetyzująca muzyka disco. Z wnętrza na ulicę przebijały rozbłyśki różnokolorowych świateł z kręcących się kul z reflektorami punktowymi. Odwrócił się i chwycił za klamkę. Wszedł do środka. Na początku zupełnie nic nie widział. Stanął przy ścianie. W nozdrza uderzył go intensywny, ciężki zapach męskich perfum. Przez chwilę myślał, że to Aramis, perfumy, których sam używa. Po chwili zapachy się wymieszały i nie był w stanie już ich odróżnić.

Postawił na stylowej szafce za drzwiami butelkę czerwonego wina. Obok stały w nieładzie kieliszki i szklanki z resztkami alkoholu. Słyszał, że zgodnie z panującymi tu zasadami nie powinien wносить alkoholu. Nie chciał jednak już wychodzić, by nie wprowadzać dodatkowego zamieszania. Gdy za zamkniętymi drzwiami muzyka grana w salonie przycichła, usłyszał niskie męskie głosy. Coraz wyraźniej zaczął widzieć zarysy postaci poruszających się w miłosnych uniesieniach – w parach i trójkątach. Panował półmrok. Jednak sylwetki, a nawet ubiór niektórych osób można było dostrzec bez problemu.

Zdjął niebieską marynarkę i rzucił na wielką kanapę obitą czerwonym pluszem. Był zachwycony atmosferą tego miejsca. Rozpiął kilka guzików w swojej obcisłej koszuli z wysokim kołnierzykiem i dotknął delikatnie palcami torsu. W tym samym momencie zaczął się dokładnie rozglądać po

pomieszczeniu. Jego wzrok napotkał stojącego tuż przed nim mężczyznę, który wpatrywał się w trzech innych uprawiających seks na rozłożystej sofie. Za nimi, w półmroku, dostrzegł parę szczupłych, niskich, jeszcze bardzo młodych mężczyzn stojących przy ciężkiej bordowej zasłonie okiennej i masturbujących się wzajemnie. Na uboczu po drugiej stronie pokoju stał wysoki, postawny, dobrze zbudowany mężczyzna. Jego postać była lepiej widoczna od innych, gdyż znajdował się tuż przy smukłej mosiężnej lampie z czerwonym, szklanym abażurem. Jej światło odbijało się od błyszczącego blatu biedermeierowskiej komody. Mężczyzna miał na sobie skąpe skórzane majtki na szelkach nabite licznymi srebrnymi ćwiekami i czapkę z daszkiem podobną do tych, jakie noszą amerykańscy policjanci. Widać było, że bacznie przygląda się wszystkim dookoła. Zachowywał się tak, jakby gościł tutaj pierwszy raz i nie wiedział, jak ma się zachować. Jednak nie ulegało wątpliwości, jaką odgrywa tu rolę.

W tym momencie Alois pomyślał o Hansie. Nawet kiedy jego ukochany żył, Alois doświadczał lęku, gdy nie mógł być blisko niego. Wtedy wyczekiwał jego bliskości i pocałunków. Perspektywa spotkania dodawała mu sił. Odkąd zginął, Alois nie potrafił zapełnić powstałej po nim pustki. Niewielką namiastką poczucia wyimaginowanej bliskości były wizyty w lokalach takich jak ten, gdzie mógł jedynie przywołać w pamięci cudowne momenty ze swojego życia. Przez chwilę poczuć się potrzebnym i spełnionym.

Po krótkim namyśle Alois podszedł niepewnym krokiem do stojącego tuż przed nim mężczyzny. Delikatnie objął go od tyłu i zaczął całować po szyi. Wolno przesunął dłońmi po ciele nieznanego, od ramion aż do pośladków. Jakby chciał odwzorować dotykiem jego dobrze zbudowane ciało. Ten chwycił go za dłonie i zaczął delikatnie je gładzić. Mężczyzna ubrany był jedynie w czarną, skózaną kurtkę i czarne, obcisłe spodnie. Pod rozpiętą i zsuniętą przez Alois do połowy ramion kurtką jego dłonie poczuły gładką skórę mężczyzny.

Po kilku minutach mężczyzna uchwycił mocniej jego ręce i skierował między swoje nogi. Alois objął go jeszcze silniej. „Masz tak samo piękne ciało jak Hans” – pomyślał przez chwilę i zaczął masować jego krocze, całując go coraz bardziej intensywnie po karku i ramionach. Nieznajomy zdjął kurtkę i dał znak, by Alois poszedł za nim. Znaleźli się między drzwiami balkonowymi a wysoką szafą z okrągłymi kolumnkami na krawędziach. Miejsce to było słabo oświetlone, nieco na uboczu dużego

salonu. Alois oparł dłoń na drewnianej kolumnie szafy, a drugą na ścianie. Mocniej przysunął się do nagiego do pasa ciała mężczyzny. Następnie przyłożył dłonie do jego pośladków.

– Hans... Hans... Ależ mi ciebie brakowało – zaczął niewyraźnie mrużyć pod nosem, masując łąpczywie kształtne i umięśnione pośladki mężczyzny.

Po chwili zaczął rozpinać, a potem zsuwać z bioder nieznajomego skórzane spodnie. Nagle poczuł oddech na swoim karku i bardzo zaborczy pocałunek w okolicach ucha. Silne ręce złapały go od tyłu i zaczęły przyciągać do siebie coraz mocniej i mocniej, odrywając od zaskoczonego mężczyzny, którego Alois wybrał na swojego kochanka tej nocy. Napierająca głowa nieznajomego intruza wymusiła większe pochylenie. Na pośladkach poczuł wzwiedzonego penisa. Tymczasem mężczyzna, którego do tej pory pieścił, odskoczył na bok i szybko odszedł, widząc, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Natomiast intruz trzymający Alois od tyłu jeszcze mocniej wcisnął go między szafę a ścianę. Coraz bardziej pochylał się do przodu. Przez chwilę trwali w takim uścisku. Intruz jedną dłonią z całych sił przyciągał Alois do siebie, a drugą zatykał mu usta, z których zaczęło się wydobywać stłumione:

– *Neeeeinnnn! Neeeeinnnn!*

Alois poczuł, jak napastnik zaczyna zsuwać mu spodnie z bioder, potem z pośladków, aż znalazły się na wysokości kolan. Zrozumiał, że jest zupełnie bezbronny. Zaczął się szarpać, lecz był bezradny wobec siły mężczyzny. Wiedział, że jeszcze chwila i zostanie zgwałcony. Zaczął rozglądać się po podłodze i pomyślał o butelce wina, którą przyniósł. „Może ktoś też tak zrobił? Może postawił gdzieś tutaj swoją? Może zostawił jakiś kieliszek, szklanekę?” Zgiął się jeszcze bardziej, próbując coś znaleźć. Wyciągnął rękę i zaczął macać na oślep. Wreszcie wyczuł coś pod palcami. To była otwarta butelka wina. Jednak stała za daleko i nie udało mu się jej chwycić. Zdał sobie sprawę, że to jego ostatnia deska ratunku. Opierając się o ścianę i szafę, przesunął się nieco w bok. Pochylił się po raz drugi. Tym razem pewnie złapał za szyjkę opróżnionej w połowie butelki.

Napastnik, zajęty podgryzaniem jego pleców i dalszym zsuwaniem spodni, nie zauważył butelki w dłoni Alois, który odczekał krótką chwilę. Nie szarpał się i czekał na odpowiedni moment. Napastnik, wyczuwając jego uległość, rozluźnił uchwyt. W tym momencie Alois uderzył go łokciem w twarz. Ten złapał się za złamany nos, z którego trysnęła krew.

Alois, wyzwoliwszy się z silnego chwytu, odwrócił się przodem do napastnika, zrobił krok do tyłu i na oślep z całej siły zamachnął się butelką. Uderzyła w ścianę i odpadło jej denko. Trysnęła z niej resztką czerwonego wina. Część butelki, która została w dłoni, miała teraz ostre zakończenie. Alois się nie zastanawiał. Zamachnął się i pchnął zdezorientowanego napastnika w podbrzusze obtłuczonym końcem butelki. Zaatakowany krzyknął przeraźliwie. Alois natomiast na oślep dźgnął go jeszcze kilka razy, za każdym razem wbijając butelkę głębiej w ciało mężczyzny. Krew lała się strumieniem. Spojrzał na upadającego mężczyznę, który ścisnął w dłoni obcięty w połowie członek, próbując docisnąć fragment wiszący jedynie na strzępie skóry.

– *S'il te plaît! Aide-moi!* – zaczął błagać po francusku o ratunek, zdając sobie sprawę, że bez pomocy zaraz się wykrwawi.

Kłęcząc na podłodze, rozglądał się błagalnym wzrokiem po innych. Jednak obficie tryskająca krew wszystkich przerażała. Żaden mężczyzna nie miał odwagi mu pomóc. W pomieszczeniu wybuchło zamieszanie. Krzyczano, przewracano meble, kieliszki i butelki. Część zgromadzonych nie wiedziała, co się dzieje, inni próbowali uciekać na klatkę schodową lub chować się w łazience, ale niektórzy nie rozluźniali miłosnych uścisków. Ranny przesunął się do otwartych drzwi balkonowych i zaczął krzyczeć z całych sił. Jednak na ulicy nie było nikogo. Szybsze bicie serca powodowało, że strumień krwi przybierał na sile.

– *Je meurs! Quelqu'un m'aide!* – już nie krzyczał, lecz jęczał rozpaczliwie, że umiera, i błagał o pomoc. – *Ne me quittez pas!* – dodał resztkami sił i ze łzami w oczach prosił, by go nie zostawiano.

W końcu osunął się na podłogę. Po chwili jego twarz stała się blada jak pergamin, a wokół leżącego bezwładnie ciała pojawiła się kałuża krwi.

Alois w tym samym czasie szybko podciągnął i zapiął spodnie, poprawił koszulę, odszukał i złapał z podłogi podeptaną niebieską marynarkę. Pobiegł w kierunku drzwi. Po drodze widział przerażone twarze. Błyskawicznie znalazł się na klatce schodowej. Ruszył schodami w dół. Otworzył drzwi do kamienicy i wyszedł na rozświetloną przez latarnie Lindenhofstrasse. Zaczął biec ku górze, w stronę starówki Lindenhof. Po chwili dotarł do fontanny na wzgórzu. Na ławce nieopodal siedziała młoda para, która mimo późnej nocnej pory wybrała to miejsce, by podziwiać panoramę Zurychu. Ciepła majowa noc sprawiła, że wciąż się obściskiwali. Gdy zobaczyli w świetle latarni mężczyznę z zakrwawioną koszulą, twarzą

i dłońmi, który biegnie w ich kierunku, poderwali się i zaczęli uciekać, jakby ujrzeni potwora z najgorszych koszmarów.

Alois się zatrzymał. Nagle poczuł się bardzo słaby, jakby opuściły go resztki sił. Oparł się o fontannę. Zaczął nabierać dłońmi wodę i przemywać umazaną krwią twarz. Potem przyszła kolej na dłonie. Adrenalina odpuszczała. Jednak czuł się słabo i tracił świadomość. Spojrzał jeszcze na rzeźbę stojącą na kolumnie tuż nad fontanną. Była to kobieta ubrana w rycerską zbroję. U pasa miała przypasany miecz. W dłoniach trzymała sztandar. Alois pamiętał z przewodnika przeczytanego w Rzymie przed przyjazdem do Zurychu, że posąg miał symbolizować odwagę i pomysłowość tutejszych kobiet, które w XIII wieku uratowały miasto przed oblężeniem wojsk habsburskich. Przebrały się w męskie zbroje i zmyliły wroga, sugerując, że całe miasto jest uzbrojone po zęby. Dzięki temu najeźdźcy odstąpili od oblężenia, a miasto zostało uratowane.

Jego wzrok stawał się coraz bardziej mętny, a nogi miał jak z waty. Widok męźnej kobiety w zbroi stawał się coraz bardziej rozmyty i odległy. Alois przysiadł na kamiennym murku i zanurzył w wodzie kilka razy głowę. Wracała mu świadomość. Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było. Poprawił mokre włosy. Włożył marynarkę, która w jakiś cudowny sposób uniknęła pobrudzenia krwią. Popatrzył na kamienną twarz kobiety na pomniku. Poczul przyływ siły. Ruszył wolno w stronę swojego hotelu Saint Gotthard przy Bahnhofstrasse 87, który mieścił się nieopodal dworca kolejowego. Skręcił w nieuczęszczaną i ciemną o tej porze Kaminfevergasse. Z oddali słyhać było syreny służb ratowniczych. Po kilkunastu minutach dotarł do hotelu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

* * *

– Sandra! Sprawdź, czy u Alois wszystko w porządku. Odkąd przyjechał na urlop, prawie nie wychodzi z pokoju. Aha, i powiedz mu, że wczoraj pytał o niego jakiś jego znajomy. Ma się zjawić dzisiaj jeszcze raz. Mówił, że zajrzy po południu.

– Dobrze, mamó! Zaraz sprawdzę.

Sandra Simpson ruszyła pewnym krokiem w kierunku pokoju Alois mieszczącego się na trzecim piętrze ich rodzinnego pensjonatu w Zermatt.

Po krótkotrwałym małżeństwie siostry Alois Sandry z amerykańskim turystą, którego poznała, gdy nocował u nich w pensjonacie, zostało jej jedynie nazwisko i pięcioletni synek, którego wychowywała sama. Od czasu śmierci ojca przed sześcioma laty to na nią spadło prowadzenie pensjonatu. Matka starała się jej pomagać, jednak po śmierci męża stała się zamknięta w sobie i jeszcze bardziej pobożna. Jednocześnie – o czym nie chciała mówić, a co widzieli jej najbliżsi – odzyskała większą pewność siebie i radość życia. Z najmłodszym bratem rodzina Elsmanów niemal zupełnie straciła kontakt, odkąd wyjechał na studia do Genewy i wpadł w złe towarzystwo. Kariera kucharza, jaką zaplanował mu ojciec, nigdy nie doszła do skutku. Pojawiły się za to narkotyki i alkohol.

– Alois, wszystko u ciebie dobrze? – zapytała Sandra, stukając w drzwi pokoju. – Mogę wejść? – dodała jeszcze głośniejszym głosem.

– Tak. Proszę – odezwał się ochryple.

Nacisnęła kławkę i weszła do środka. Brat ciągle leżał w łóżku, chociaż dochodziło południe. Z włączonego radia sączył się tegoroczny przebój festiwalu Eurowizji, liryczna piosenka [*L'oiseau et l'enfant*](#) w wykonaniu Marie Myriam.

– Wszystko w porządku? Odkąd trzy dni temu przyjechałeś na urlop, nie dajesz znaku życia. Wczoraj szukał cię jakiś facet. Chyba twój znajomy. Powiedział, że przyjdzie dzisiaj wczesnym popołudniem.

– Wszystko dobrze. Jestem tylko zmęczony. Dzisiaj czuję się już lepiej – odpowiedział, wstał i podszedł do okna.

– Braciszku. Odkąd Hans zginął na Matterhornie, prawie wcale nas nie odwiedzasz. Ile to już czasu minęło?

– Prawie cztery lata, siostrzyczko. Cztery długie lata... To był wspaniały chłopak i mój przyjaciel. – Odwrócił się i pierwszy raz od przyjazdu na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Jestem ostatnio zmęczony. W Watykanie mam dużo pracy. To dlatego. Wiele spraw jest tylko na mojej głowie. A zapowiada się jeszcze więcej.

– Jeszcze więcej?! Czyli jeszcze mniej będziesz u nas bywał?

– Na to wychodzi. Na jesień ma być zwołana czwarta sesja synodu, a Ojciec Święty jest coraz bardziej chory. Artretyzm szybko u niego postępuje. Muszę odpocząć od tego wszystkiego, jakoś oderwać się oderwać. Potrzebuję spokoju – odpowiedział chłodno, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na dłuższą rozmowę.

Po wyjściu siostry usiadł na łóżku i włożył podkoszulek. Zamarł w jakimś odrętwieniu. Myśli jego wędrowały na alpejskie szczyty, do domu dziadka i babci, jedynych, którzy go rozumieli, u których mógł znaleźć trochę duchowego spokoju. Jednak zaraz nachodziły go czarne myśli dotyczące tego, co się wydarzyło w darkroomie w Zurychu. „Hans, dlaczego odszedłeś, dlaczego zostawiłeś mnie samego?” Nie mógł się z tym pogodzić. „A może zrezygnować z Gwardii Szwajcarskiej, z tego wielkiego świata i zamieszkać w górach u babci i dziadka? Zaszyć się na alpejskich halach? Zerwać ze wszystkim i zacząć życie od nowa?” Po paru minutach ocknął się i poderwał z łóżka. Zszedł do kuchni, gdzie zjadł resztki z porannego śniadania podawanego gościom pensjonatu.

Kilka godzin później w recepcji zjawił się ten sam mężczyzna, który szukał go dzień wcześniej. Był to Jens – działacz Socjalistycznej Partii Szwajcarii – wspólny znajomy jego i Hansa. Z Jensem Alois spotykał się, kiedy bywał w Zurychu.

– Wreszcie cię zastałem! – rzucił jak zawsze uśmiechnięty Jens. – Co z tobą, Alois?! Służba w Gwardii Szwajcarskiej ci nie służy czy co?

– Witaj. – Alois uściśnął mu dłoń i zaproponował, by usiedli na ławce przed wejściem do pensjonatu.

– Jest piękna majowa pogoda. Szkoda marnować taki dzień. Nie masz ochoty na wycieczkę? Alois! Chodźmy w to śliczne miejsce, skąd jest najlepszy widok na Matterhorn – powiedział pewnym głosem. – Masz coś do roboty?

– W sumie nie mam. Może to i dobry pomysł.

Propozycja ta zaskoczyła Alois. Wrócił do pokoju włożyć buty, koszulę i wełniany sweter. Wziął też anorak, na wypadek gdyby złapał ich wiosenny deszcz.

Po kilku minutach zbiegł po schodach. Ruszyli wolno w kierunku niewielkiej polany, z której rozpościerał się piękny widok na Zermatt i górujący nad innymi górami Matterhorn. Zastanawiała go teczka, którą Jens trzymał w dłoni. „Po co mu teczka, skoro chce iść na dłuższy spacer w góry? Nieważne. Jakie to ma znaczenie. Zawsze biegał za jakimiś urzędowymi sprawami. Pewnie chce coś jeszcze załatwić. Jak go znam, to o to chodzi” – zastanawiał się. Szli w milczeniu.

– Powiedz mi. Co cię do mnie sprowadza, Jens? Chyba nie jesteś tu specjalnie dla mnie? – zapytał podczas pierwszego odpoczynku po mozolnym wyjściu z doliny.

– Cały czas jesteś we Włoszech, do matki wpadasz tylko czasami, w dodatku jak po ogień. Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie było okazji. Zawsze miałaś ciekawe spojrzenie na sprawy europejskie. Ciekaw jestem, co tam w wielkim świecie – odparł Jens i spojrzał na charakterystyczny ośnieżony szczyt.

Jens zamknął oczy i wystawił twarz do ciepłych promieni słonecznych. Trwał tak kilka chwil. Alois patrzył na kolegę i wiedział, że nie jest to wszystko, co ten chce mu powiedzieć.

– Odkąd Matterhorn zabrał nam Hansa, wiem, że nie jest ci łatwo. Choć minęły prawie cztery lata, zapewne ciągle nie możesz się odnaleźć w tej innej, gorszej rzeczywistości. – Nagle przerwał opalanie, otworzył oczy i spojrzał na towarzysza.

– Nawet nie wiadomo, gdzie jest jego ciało. Podobno wpadło w szczelinę, więc odnalezienie go graniczy z cudem – powiedział ze smutkiem Alois.

– Hansa już nic nam nie wróci. Za to ty możesz się przysłużyć pewnej ważnej sprawie – rzekł Jens i powrócił do opalania.

– Ja? Jakiej sprawie? Co masz na myśli? O co ci chodzi?

– Dobra, chodźmy dalej – rzucił Jens i ruszyli.

Szli powoli, kierując się na wzgórze górujące nad Zermatt. Alois jakby nieobecny i smutny, a Jens pewny siebie.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy w zeszłym roku o twojej pomocy w sprawach watykańskich? – odezwał się Jens po kilku minutach.

Gdy Alois usłyszał o sprawach watykańskich, zatrzymał się, spojrzał na niego i powiedział zdecydowanie:

– Przecież wiesz, że to są kwestie, o których nie powinienem nikomu mówić. Rozmawialiśmy już o tym nieraz. Jestem teraz oficerem, a na moich barkach spoczywa bezpieczeństwo papieża zarówno w Watykanie, jak i w Castel Gandolfo. To już nie są żarty, Jens!

W tym momencie Jens spochmurniał. Zniknęły uśmiech i radosne oczy, za to pojawiły się marsowa mina i złowrogie, nieobliczalne spojrzenie. Znowu szli w milczeniu. W końcu dotarli na wielką polanę. Usiedli na trawie.

– Coś ci przeczytam, Alois. Z kroniki kryminalnej – powiedział po chwili Jens.

– Z czego?!

Mężczyzna nie odpowiedział. Wyciągnął z teczki, którą cały czas trzymał pod pachą, gazetę „Neue Zürcher Zeitung”. Otworzył na pierwszej stronie i zaczął czytać:

...Albert Goldman. Dyrektor banku z Lozanny został znaleziony martwy w kamienicy na Lindenhofstrasse. Jak podała lokalna policja, najbardziej prawdopodobny scenariusz to morderstwo na zlecenie przez wzgląd na wysokie stanowisko, jakie piastował...

– Ciągniesz mnie na wycieczkę, żeby mi przeczytać o jakimś morderstwie?! A wcześniej mi mówisz o sprawach watykańskich! Czy ty się dobrze czujesz?!

– Czy mówi ci to coś? – zapytał Jens, jakby nie zwracając uwagi na pretensje kolegi.

Podał mu gazetę. Alois wziął ją w ręce i spojrzął na okładkę. Nic nie mówiąc, oddał mu ją po chwili.

– Posłuchaj, Alois. Tak się składa, że obaj dobrze wiemy, że Goldman leżał z obciętym kutasem w pedalskim klubie i wykrwawił się na śmierć – powiedział głośno Jens.

Alois się nie odezwał. Wzruszył ramionami. Patrzył daleko przed siebie na ośnieżone szczyty.

– Dalej nie rozumiem. Albo mi powiesz, o co ci chodzi, albo zaraz cię zrzucę w dolinę! – zażartował.

– Albo mi obetniesz kutasa, co? – Jens przez moment uśmiechał się szyderczo, ale uśmiech ten szybko zniknął mu z twarzy.

Alois odwrócił się gwałtownie do kolegi i chwycił go mocno za sweter.

– Pytałem, o co ci chodzi. Co to za gierka, Jens? – Też już się nie uśmiechał.

– Spokojnie. Ale ty w tym Watykanie nerwowo się zrobiłeś. Twoja siostra naprawdę miała rację. Nie poznaję cię. Nie służy ci ta praca.

Alois puścił go, odwrócił się i znowu popatrzył na alpejskie szczyty.

– W mieszkaniu, gdzie odbywała się impreza, na której został zamordowany Goldman, zainstalowane były kamery – rzucił, ale Alois nie zareagował. – Może to ci odświeży pamięć?

Wyciągnął z teczki zdjęcia i trącił ich plikiem ramię kolegi. Alois wziął je do ręki i zaczął przeglądać jedno po drugim. Było na nich widać, jak

siłuje się z nieżyjącym już mężczyzną, a także moment, jak atakuje go rozbitą butelką. Oddał w milczeniu fotografie.

– Butelka, na której są twoje odciski palców, została w pokoju. Zapomniałeś ją wyrzucić, gdy w pośpiechu się ubierałeś, a potem wybiegłeś, zostawiając konającego bez pomocy.

– Skąd masz te zdjęcia? Kto cię do mnie przysłał?

Jens, nie zważając na pytania Alois, kontynuował:

– Wyobrażasz sobie nagłówki gazet na całym świecie? *Oficer Gwardii Szwajcarskiej zamordował swojego kochanka podczas orgii. Albo inaczej: Z Watykanu na homoseksualną orgię zakończoną odcięciem członka kochankowi.* Podoba ci się? – Uśmiechnął się. – Zdajesz sobie sprawę ze swojego położenia?

– To było w obronie własnej. Nic złego nie zrobiłem. Byłem przerażony, w szoku. Nie kontrolowałem się.

– Alois. Ja to nawet rozumiem. Jakby tak mnie chciał od tyłu wydymać, a bym sobie tego nie życzył, to pewnie też bym tak zrobił. Nawet sąd może tak uznać... Ale widzisz, Alois... Na dwoje babka wróżyła. Sąd może być odmiennego zdania. Proces będzie trwać i trwać, a gazety i telewizja będą miały używanie, relacjonując go. Watykan tego nie będzie tolerować. Skandal olbrzymi. Ale wiesz, nie wytrzyma tego także twoja matka. A rodzinnemu pensjonatowi splendoru to nie doda. Rozumiem, że odkąd zginął Hans, zupełnie się pogubiłeś... – Przerwał i spojrzał na kolegę.

Alois łzy napłynęły do oczu. Siedział nieruchomo.

– Ale można temu zapobiec i nikt nie pozna prawdy. Jestem tu po to, aby ci pomóc – dodał po chwili Jens.

Alois spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Już wyjaśniam. Apartament, z którego uciekłeś, został zabezpieczony... powiedzmy, technicznie. Rodzinie tego nieszczęśnika zapewne nie zależy na nagłaśnianiu, w jakich okolicznościach zginął. Też będą chcieli zapomnieć o całej sprawie. Ja to nawet wiem z wiarygodnych źródeł.

– Rozumiem, że nic za darmo...

– No tak ten świat jest skonstruowany, Alois, że nie ma w nim nic za darmo. Jeśli oczywiście zgodzisz się współpracować. I wiesz co, powiem ci coś jeszcze. Hans chciałby tego. Sprzyjał nam. Wiesz o tym, bo przypuszczalnie poruszaliście tego typu tematy.

– Wam? To teraz partie lewicowe zajmują się takimi sprawami?!

- Nie do końca chodzi o partię polityczną. Nie bądź naiwny, Alois.
 - A o kogo?
 - O tym za moment. A nie pytasz, co miałbyś robić? Co nas interesuje?
 - Pewnie coś o papieżu!
 - Dobrze, że się rozumiemy. Tylko że my chcemy wiedzieć wszystko, co on robi, z kim się spotyka, co je, o jakiej porze, kiedy chodzi srać. Wszystko! Zrozumiałeś?
 - Tak. Tylko, Jens. Ja nie mam takich informacji.
 - Teraz jest on, potem będą inni, a ty będziesz tam cały czas. Oni się będą zmieniali, a ty będziesz trwał. *Und lass alleficken!* – zaklął na koniec.
- Zapanowała cisza. Po chwili Alois odezwał się cichym, przytłumionym głosem.
- Paweł VI jest stary i schorowany. Tyle ci mogę teraz powiedzieć. Tyle wiem. Do czego komu taka informacja?!
 - To już ocenimy my, do czego się przyda. Pamiętaj też, żeby być wobec nas lojalnym i szczerym.
 - Powiesz mi w końcu, kogo reprezentujesz? – zapytał Alois po dłuższej chwili milczenia.
 - A nie domyślasz się? Nie rozmawiałeś nigdy o tym z Hansem?
 - Może i się domyślam, może rozmawialiśmy. Poza tym przechodziłem na początku roku w Rzymie okresowe specjalistyczne szkolenie kontrwywiadowcze organizowane przez *Servizio per le Informazioni e la Sicurezza Democratica* – odpowiedział i zawiesił głos.
- Alois się zorientował, że Jensowi może chodzić o wschodnioniemiecką Stasi. Od Hansa dowiedział się kiedyś, że Socjaldemokratyczna Partia Szwajcarii jest zinfiltrowana przez służby specjalne bloku komunistycznego. Co gorsza, nie było problemu w nawiązywaniu kontaktów z członkami partii, ponieważ część z nich sympatyzowała z polityką krajów demokracji ludowej. Właśnie wtedy, na szkoleniu SISDE, oficerowie z pionu kontrwywiadowczego zwracali uwagę na dużą aktywność na kierunku watykańskim wywiadu wschodnioniemieckiego.
- Stasi?
 - Brawo. Świetnie, że się domyśliłeś.
 - To nie było szczególnie trudne. Hans opowiadał mi, że jeździłeś do Berlina turystycznie. Teraz już wiem, że również do wschodniego i nie tylko turystycznie.
 - Hmm... Tak... – Jens się zamyślił.

Pierwszy raz stracił w tej rozmowie dużą przewagę. Zaskoczyło go wyznanie Alois, które oznaczało możliwość jego dekonspiracji. Po chwili milczenia, chcąc odzyskać inicjatywę, dodał:

– Ale pamiętaj. Jeśli okaże się, że nas okłamujesz lub coś zatajasz, trafisz do więzienia na wiele lat. Twoja matka tego nie przeżyje, a siostra z amerykańskim bękartem trafi na ulicę, gdy skończą się pieniądze ze sprzedaży pensjonatu. A dużo ich nie zostanie po opłaceniu adwokatów dla ciebie i dla twojego braciszka w Genewie.

– A co on ma do tego? O czym ty mówisz?!

– Nic nie ma. Ale jeśli go na przykład przyłapią z większą ilością narkotyków, to może mieć problemy. Wiesz, zanim się wyjaśni, że ktoś mu to podrzucił, to posiedzi w celi, może nawet z jakimiś twoimi kolegami z tego pedalskiego klubu w Zurychu!

– Jesteś skurwiel, Jens. Pierdolony, mały, komunistyczny skurwiel.

Jens się roześmiał i spojrzał na niego z nieukrywaną wyższością.

– Będziemy się spotykać tutaj lub w Rzymie. Wyjaśnię ci, jak będziemy się komunikować, przez kogo, w jaki sposób i kiedy. Mamy teraz czas, bo z tego, co wiem, jesteś na urlopie jeszcze przez tydzień. Rozumiesz?

Alois kiwnął głową, ale nie spojrzał na Jensa, tylko zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Trochę się uspokoił. Przez chwilę zapomniał, gdzie jest i o czym rozmawiał z „kolegą”. Jakby był obok.

– Tylko nie próbuj się wywinąć przez rezygnację ze służby. Pamiętaj, że twarde dowody twojego morderstwa są i będą w naszych rękach. W więzieniu na takich jak ty czeka prawdziwe piekło. A jakbyś próbował... spotkać się z Hansem wcześniej, to to sprawy nie załatwi. Pamiętaj o matce, siostrze i bracie. A w końcu dla was, rzymskich katolików, rodzina jest najważniejsza – dodał Jens, chcąc wzmocnić swój przekaz.

– Mam pytanie, Jens. Jak mnie tak szybko znaleźliście? Skąd wiedzieliście, że to ja?

– Alois. Jesteśmy najlepsi. Czekaliśmy na ciebie od dłuższego czasu. Zaskoczyła nas trochę twoja reakcja w klubie i ten krwawiący, kapitalistyczny wieprz. Jutro opowiem ci resztę. Aha, zapomniałbym. Jutro też porozmawiamy o biskupie Luigim Poggim i jego rozległych kontaktach służbowych z CIA, Mosadem i cholera wie z kim jeszcze. Zostałeś przeszkolony przez włoskie służby specjalne, więc chyba cię to nie dziwi. Wracajmy. Co za piękne majowe popołudnie.

Alois nic nie odpowiedział. Po chwili wstał i popatrzył na uśmiechającego się do niego z satysfakcją Jensa. Właściwie miał ochotę zatłuc go kamieniem na miejscu i zostawić na pastwę zwierząt, które rozwlekłyby po całej okolicy ścierwo. Bo uduszenie byłoby zbyt humanitarnym rozwiązaniem dla takiego gnoja. Ale uzmysłowił sobie, że po nim przyjdzie jakiś następny skurwiel. Przed zabiciem Jensa powstrzymywał go nie jakiś skandal w mediach, w Watykanie czy nawet więzienie, lecz jego słowa o matce, siostrze i bracie. Pokiwał głową i ruszył w dół.

Danczo

Bułgaria, Jugosławia – jesień 1980 roku

– Danczo, posłuchaj. Dziesięć lat temu Biuro Polityczne Bułgarskiej Partii Komunistycznej dało nam zezwolenie na prowadzenie, jak to mówimy, ostrych operacji za granicą. Zdajesz sobie sprawę, że chodzi o zabójstwa i porwania. Dlatego możemy planować, przygotowywać, a potem przeprowadzać takie działania na terytorium krajów kapitalistycznych i rozwijających się. Rozumiesz?

– Tak, ale czy jest to zawsze zasadne, towarzyszu kapitanie?

– Tłumaczyłem ci na początku szkolenia, dwa lata temu, że nasza aktywność skierowana jest przeciwko osobom, które zaangażowane są w czynną działalność lub popełniły zbrodnie przeciwko naszej socjalistycznej ojczyźnie.

– Tak, pamiętam, że odpowiada za to Wydział XVI towarzysza kapitana, nazywany specjalnym lub OM. Że współpracuje z pozostałymi jednostkami organizacyjnymi wywiadu. I – tureckim, II – greckim i cypryjskim, III – zachodnim, IV – kontrwywiadem wewnętrznym, V – nielegalów, VI – informacyjnym... – wymienił jednym tchem. – Coś przeoczyłem, towarzyszu kapitanie?

– Świetnie, Danczo. Jestem pod wrażeniem. Więc o co chodzi?

– Czy to, że pracujemy przeciwko Watykanowi i bułgarskim katolikom, jest w porządku? Oni niczego złego nie robią.

– Niczego złego? Danczo, a nie słyszałeś, że Bank Watykański powiązany jest z tym malwersantem finansowym Michele Sindoną, tym samym, którego prasa włoska łączy ze zleceniodawcą morderstwa na

Sycylii? A o szefie Instytutu Dziej Religijnych nie dotarły do ciebie żadne informacje? Nawet niektórzy duchowni porównują go do jakiegoś podrzędnego mafiosa. Nie mówił ci o tym na szkoleniu mój kolega z pionu analitycznego?

– No tak, towarzyszu kapitanie, ale...

– Znowu masz jakieś ale? Musisz wiedzieć, że hierarchowie kościoła mają więcej za uszami, niż ci się wydaje. Ta ich pycha i poczucie wyższości biorą się z zupełnie bezkarności. I tak od wieków, mój drogi Danczo. Nic się tam nie zmienia. Tam każda gorliwa wiara jest wystawiana na największą próbę. Sam się o tym przekonasz. Za Spiżową Bramą jest więcej brudu niż w naszym socjalistycznym kraju! – powiedział Nikołow, nieco podnosząc głos, i uniósł się z miękkiego fotela hotelowego.

Stanął przed oknem na dziesiątym piętrze sofijskiego hotelu Moskwa. Wychylił kieliszek rakii, który obrócił wcześniej parę razy w palcach. Nic nie mówił. Potem wrócił i ciężko usiadł w fotelu. Patrzył na młodego chłopaka. Cały czas się zastanawiał, czy jest on odpowiednią osobą do realizacji tego zadania. Ale nie miał wyjścia, sprawa była już bardzo zaawansowana operacyjnie. A Danczo Kowaczew kończył specjalistyczne szkolenie do tej szczególnej misji.

– Wiem. Towarzysz kapitan ma rację. Ale to są wypaczenia. To nie wiara.

Po chwili, nie widząc reakcji swojego oficera prowadzącego, dodał:

– Ale mam do towarzysza kapitana pytanie. Niech towarzyszu kapitan powie mi, jak to jest. Niedawno ten pana kolega z pionu analitycznego przekazał mi włoskie gazety, które opisywały, że we współpracy z radzieckimi sojusznikami używamy trucizny niepozostawiającej śladu i różnego rodzaju urządzeń do jej aplikacji. Opisywali na przykład tak zwany bułgarski parasol.

– Aaaa, to! To zachodnia, imperialistyczna propaganda. Nie wierz im, Danczo. – Nikołow poklepał chłopaka po ramieniu. – Kończymy dzisiaj ze szkoleniem z tras sprawdzeniowych. Zaraz ruszasz na miasto. Jutro zaczniemy omawiać sposób przetrwania, czyli twojej ucieczki na Zachód, oraz przypomnimy system łączności – dodał, zmieniając temat.

* * *

Danczo miał zaczynać swoją trasę szkoleniową przy jednej z klasycystycznych kolumn gmachu głównego Biblioteki Narodowej. O ustalonej godzinie ruszył w dół brukowanym podjazdem. Początkowo miał zaczynać ją przed pomnikiem wdzięczności Armii Radzieckiej, ale Nikołow odrzucił ten pomysł. Kazał mu się trzymać konsekwentnie legendy i zainteresowań, nawet w trakcie szkolenia. Pierwszy punkt sprawdzieniowy, w którym czekał na niego Nikołow w błękitnej wołdze kombi, był w rejonie cerkwi Świętego Jerzego, przebudowanej z rzymskiej łaźni. Stamtąd Danczo miał się udać do cerkwi Mądrości Bożej. Do każdego z obiektów miał wchodzić i zwiedzać go kilka minut. Jednak Danczo, wpatrując się w wizerunki świętych z ikon, pogrążał się w innej rzeczywistości. Zastanawiał się, co chcą powiedzieć mu oczy Jezusa Pantokratora. Czy dobrze robi? Czy źle? Czy współpraca z bułgarskim wywiadem to nie za wysoka cena, aby zbliżyć się i dotknąć świętych ksiąg, pism i rycin w Bibliotece Watykańskiej?

Po godzinie kręcenia się po średniowiecznych zabytkach miasta wyszedł na szeroką aleję z przedwojennymi kamienicami, wysadzaną topolami. Do tego miejsca nie zaobserwował żadnego wywiadowcy. Jednak wchodząc na most Lwów przerzucony nad potokiem Władajska Reka, zwrócił uwagę na parę – ona w jasnej spódnicy, ciemnym swetrze i z dużą torbą damską na ramieniu. „Pewnie w środku ma zakamuflowany aparat fotograficzny” – ocenił. On w popielatym garniturze, z mocno rozszerzonymi spodniami i w koszuli bez krawata. Danczo nie był pewien. „A może to jacyś turyści?” Ale kiedy wszedł na zamkniętą dla ruchu kołowego ulicę Georgi Kirkow i zobaczył ponownie tę samą parę przy straganie z owocami i warzywami, był pewien, że to obserwacja. Szedł teraz wolniej wzdłuż rzędu kolorowych straganów z artykułami rękodzielniczymi, nabiałem, przyprawami. Przy jednym z nich zatrzymał się i kupił kilka czerwonych i zielonych papryk oraz dużą kiść pąsowych winogron. Przyspieszył, przeciskając się przez tłum. Lekko trącił stolik z uliczną loterią, czym zdenerwował człowieka obsługującego to miejsce hazardu dla mieszkańców Sofii. Doszedł do jakiejś uliczki, gdzie stał zaparkowany przez Nikołowa samochód, biała zastawa 1100. Wsiadł do niego i ruszył w kierunku północno-zachodnim, do Bit-Bazar. Spojrzał w lusterko. Uznał, że ruszający za nim spod bazaru stary beżowy moskwicz, z którego bagażnika przed chwilą sprzedano dwa prosiaki, nie mógł należeć do obserwacji. Na wszelki wypadek zapamiętał numer – C.Б. 2944. Po dwudziestu minutach uważnej jazdy zaparkował

samochód koło cmentarza. Rozejrzał się dyskretnie. Nikogo nie zauważył. Oceniał, że powiodł mu się manewr wyjścia spod obserwacji. Ale postanowił dodatkowo się sprawdzić. Skierował się w stronę targowiska.

To miejsce zawsze tętniło życiem. Sprzedawano tureckie młynki do kawy, używane ubrania, ręcznie wyrabiane miedziane naczynia, dzwonki pasterskie czy kute narzędzia. W rogu bazaru stali Cyganie handlujący końmi. Danczo przeszedł obok nich. Trochę się skrzywił od charakterystycznego smrodu niesprzątniętych odchodów zwierząt. Wtedy dotarło do niego, że nie chce żyć w takim miejscu, że chce czegoś więcej. Chce poznawać świat, czerpać z niego wiedzę. Poprzednie przemyślenia o kosztach ustąpiły miejsca w głowie Dancza trzeźwej ocenie sytuacji.

Wyszedł z bazaru. Nie widział nikogo podejrzanego. Sprawdził czas. Mijała czwarta. Do spotkania z Nikołowem w hotelu Moskwa miał godzinę. W najbliższych dniach pozostawało jeszcze przypomnienie zasad łączności i co najważniejsze – sposobu przerzutu przez granicę pod legendą uciekiniera zza żelaznej kurtyny.

* * *

Danczo opierał głowę o szybę w autobusie, którym od kilkunastu minut jechał z Sofii do granicznej miejscowości Kalotina. Był zmęczony nocną drogą z Szumenu. Postanowił się zdrzemnąć. W jego głowie przewijały się myśli i nazwy miejscowości, data i godzina następnego spotkania, zapasowe miejsca i awaryjne daty. Sposób jego przerzutu na Zachód opracowany przez Wydział XVI PGU opierał się na historii sięgającej 1934 roku, kiedy to na mocy porozumienia cara Bułgarii i króla Jugosławii zgodzono się na coroczne spotkania transgraniczne. Tradycję tę przywrócono pod koniec lat pięćdziesiątych. W kilku miejscowościach nadgranicznych po obu stronach od pięciu do dziesięciu razy w roku organizowano spotkania, które z czasem z rodzinnych i towarzyskich przekształciły się w handlowe. Stały się miejscem nielegalnego handlu walutą i zakupów towarów deficytowych, głównie przez Bułgarów. Sklepy, stragany, kramy po stronie jugosłowiańskiej były oczyszczane z kawy, kakao, czekolady, pieprzu, ale również z zegarków, ubrań i obuwia. Ułatwieniem było to, że Bułgarzy mogli kupować w Jugosławii za bułgarskie lewy.

Danczo miał wraz z innymi dotrzeć do jugosłowiańskiego Dimitrowgradu, czyli dawnego Caribrodu. Schowa się w tłumie dwudziestu tysięcy bułgarskich uczestników spotkania transgranicznego. Przez granicę przejdzie na podstawie specjalnego zezwolenia – tak zwanego listu granicznego. Początkowo kapitan Nikołów planował przerzucić Dancza przez odległą od Kalotiny o trzydzieści kilometrów wioskę Smolcza, skąd łatwiej było uciec do Jugosławii, gdyż było tam mniej milicji i nieumundurowanych funkcjonariuszy KDS – Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, ale jarmarki transgraniczne organizowano w tej wiosce w połowie lipca, a wtedy Danczo nie był jeszcze przygotowany. Poza tym chodziło o szybkie przejście granicy.

Dancza obudzili ludzie, którzy przeciskali się do wyjścia. Był na miejscu w Kalotinie, a w zasadzie na szosie prowadzącej do przejścia granicznego. Zerwał się, złapał swoją torbę turystyczną na ramię i ostatni wyszedł z autobusu. Ruszył za pasażerami. Drogę prowadzącą szeroką doliną otaczały góry z wystającymi wapiennymi wychodniami. Panował duży ruch. A im bliżej granicy, tym tłum stawał się gęstszy. Zatrzymał się wraz z innymi. To była pierwsza kontrola dokonywana przez żołnierzy GV – *Graniczny Wojski*. Poza pagonami z cienkim zielonym paskiem ich mundury niczym nie różniły się od innych. Po kilkunastu minutach oczekiwania Danczo został przepuszczony w kierunku kolejnego punktu kontrolnego, tym razem obsadzonego przez funkcjonariuszy KDS, którzy bardziej zwracali uwagę na osobę niż jej dokumenty. W pewnym momencie Danczo usłyszał za sobą, przy posterunku GV jakieś krzyki:

– W Bułgarii nic nie ma! Nic nie możemy kupić! Właśnie dlatego!

Trzymający dokumenty Dancza tajniak oddał mu je szybko i ruchem głowy na kazał przechodzić. Nawet nie popatrzył na niego. Pobiegł w kierunku zamieszania. Chłopak wykorzystał sytuację i ruszył pod podniesionym szlabanem. Spojrzał jeszcze do tyłu i zobaczył, jak kilku mężczyzn regularnie bije się z innymi. Dołączali do nich następni. Żołnierze GV próbowali ich rozdzielić. Przyspieszył kroku, w każdej chwili mogło dojść do strzelaniny. Wtedy zapewne zamknęliby ruch tego dnia, a może i w ogóle. Już się nie odwracał. Po chwili był po stronie jugosłowiańskiej. Wtedy usłyszał przeciągłą serię z broni maszynowej. Zmroziło go. Ale pamiętał, żeby nie biec. Wyminął innych, którzy zatrzymali się i patrzyli w kierunku oddalonego o dwieście metrów przejścia granicznego. Do Dimitrowgradu miał dwa i pół kilometra.

Idąc już teraz wolniej i samemu szosą w kierunku miasta, Danczo przypomniał sobie, co mu kilka razy tłumaczył Nikołow, żeby się nie obawiać przejścia przez bułgarską kontrolę. Miał mocne dokumenty. „Masz nawet na wszelki wypadek legalizacyjną książeczkę wojskową. Zresztą niejeden z naszych w ten sam sposób przeszedł” – mówił. Zagrożenie mogło być po drugiej stronie granicy. Miał zwracać szczególną uwagę na funkcjonariuszy jugosłowiańskiej bezpieki. Nikołow ze śmiechem opowiadał mu po zakończeniu szkolenia w Sofii, że każdy z nich w nagrodę za złapanie bułgarskiego zbiega i przekazanie go na granicę do funkcjonariuszy KDS czy żołnierzy GV otrzymywał kilkadziesiąt albo więcej kilogramów cielęciny! Jednak kapitan nie przewidział, że może dojść do takiego zamieszania jak przed chwilą. Cała operacja przerzutu wzięłaby w łeb.

Danczo, w przeciwieństwie do innych, nie skierował się do sklepów ani pawilonów handlowych. Zatrzymał się przed jedynym kinem w mieście. Tu miał się rozejrzeć za transportem w kierunku Pirot. Jednak nie mógł niczego znaleźć. Postanowił zgodnie z planem iść kilkaset metrów dalej, na stację kolejową. Stamtąd miał dotrzeć do Pirot. Widział już duży napis nad budynkiem dworca *Jugoslowenske Železnice*, gdy zobaczył z prawej strony przy niewielkim hoteliku zaparkowane trzy pomarańczowe tureckie ciężarówki Mercedes Kurzhauber. Przy otwartej, pękatej osłonie silnika jednej z nich stał kierowca, który wycierał dłonie zapewne po jakiejś naprawie. Danczo podszedł do niego i zapytał po bułgarsku:

– Dokąd jedziesz?

Kierowca, wąsaty Turek, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Wtedy Danczo powtórzył po niemiecku:

– *Wohin gehst du? Welche Stadt? Beograd, Split?*

– *Ja, ja... Ich fahre Zagreb. Mein Freund... Split.* – Wskazał na drugą ciężarówkę.

– *Deutsche Marken... zahlen* – powiedział Danczo i wyjął brązowo-czarny banknot pięćdziesięciomarkowy.

Turek uśmiechnął się serdecznie. Otworzył drzwi kabiny. Sięgnął po coś. Wyjął płytę winylową i wskazał na jeden z utworów. To była piosenka o słynnym piłkarzu bułgarskim Georgim Asparuhowie – piosenka zakazana w Bułgarii. Danczo wiedział, że za samo posiadanie płyty z tym utworem można było iść do więzienia. Kierowca poklepał chłopaka po plecach i zaprosił go do środka.

– *Türkischer Kaffee?* – Danczo popatrzył zdziwiony. – *Tursko kafe... mlad priyatel?* – dodał po bułgarsku.

* * *

Andriej Woronow oglądał od kwadransa na kanale RTV Zagreb serwis informacyjny, ale bez szczególnego zainteresowania. W końcu znudzony podniósł się z wygodnego fotela i wyłączył telewizor. Przeciągnął się i wyjrzał przez okno w pokoju na najwyższym, jedenastym piętrze hotelu Marjan w Splicie. Widok był niezwykły. Turkusowa tafla Morza Adriatyckiego znaczone była dużymi i mniejszymi wyspami. Pokryte rudą dachówką budynki stojące wzdłuż wybrzeża tworzyły półkole nad zatoką. Nad okolicą majestatycznie wznosiły się Góry Dynarskie. Śródziemnomorski klimat w mieście bardzo mu odpowiadał. A pobyty na placówkach dyplomatycznych w Egipcie i Stambule sprawiły, że dobrze czuł się w takich nadmorskich zakątkach świata.

Od czasu przyjazdu do Jugosławii wciąż myślał o operacji wywiadowczej, która właśnie wchodziła w fazę realizacji. Zastanawiał się, czy wytypowany agent podoła zadaniu? Czy wytrzyma psychicznie presję, jaka na nim będzie ciążyć? Jakie pojawią się nieprzewidziane okoliczności? Po chwili podszedł bliżej okna i spojrzął w kierunku parkingu hotelowego. Upewnił się, czy stoi na nim jego mercedes, którym wczoraj po południu przyjechał z Zagrzebia. Spotkanie umówione miał dopiero po południu, dlatego perspektywa zwiedzania miasta wprawiała go w dobry humor. Wrócił i zaczął studiować mapę Splitu. Po blisko półgodzinie spojrzął na zegarek. Włożył brązową, skórzaną kurtkę, buty i wyszedł z pokoju. Zjechał windą do holu. Podszedł do recepcji i zostawił swój klucz od pokoju przyczepiony do prostokątnego niebieskiego breloka z napisem *Hotel Marjan Split*. Wyszedł na zewnątrz i ruszył w kierunku Starego Miasta.

* * *

Danczo szedł wzdłuż splickiego bulwaru obsadzonego starymi palmami. Przechodniów nie było wielu. Po zatoce pływały nieliczne o tej porze roku jachty. Z zapełniających się powoli ogródków kawiarnianych dobiegały głośne rozmowy miejscowych bywalców oraz turystów. Zatrzymał się

i zapalił papierosa. Rozejrzał się dookoła. Był na miejscu. Stąd, zgodnie z tym, co ustalili z Nikołowem, miał zacząć trasę sprawdzeniową.

Ruszył. Po przejściu zaledwie stu metrów jego uwagę przykuł mężczyzna, którego widział wcześniej przy bulwarze. Pod szarą wiatrówką miał czerwony sweter w serek i wystający biały kołnierzyk. Spacerował po drugiej stronie ulicy, bliżej zatoki, i co jakiś czas zerkał w jego kierunku. W dłoni trzymał gazetę „Borba” – miejscowy organ prasowy partii komunistycznej. Nagle Danczo zauważył, że mężczyzna przechodzi na drugą stronę ulicy i kieruje się w jego stronę. Nieznajomy ominął go i wszedł do kawiarni. Danczo przeszedł kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się jeszcze przed przejeżdżającym biało-czerwonym autobusem i skręcił w lewo. Wtedy dyskretnie spojrział w kierunku stolika z trzema wolnymi, ażurowymi krzesłami, przy którym usiadł mężczyzna. Ten właśnie składał zamówienie u kelnera.

Danczo odbił w lewo i wszedł między kamieniczki. Wąska uliczka pokryta kamieniami setki lat polerowanymi przez pieszych nadawała temu miejscu szczególny klimat. Trochę psuły go stare plakaty na ścianach z napisami *Splicko Ljeto* i *Dalmacija koncert*. W pewnym momencie poczuł intensywny zapach ryb. Zatrzymał się i rozejrzał. W bocznej uliczce stała furgonetka wypełniona skrzynkami. Podszedł do samochodu i zaczął przyglądać się efektom porannego połowu. Wykorzystał tę sytuację, aby sprawdzić otoczenie. Snujący się jak on pojedynczy turyści, chyba z RFN, nie wzbudzali jego podejrzeń.

Po chwili dotarł do Bramy Żelaznej prowadzącej za mury największej atrakcji turystycznej miasta – pałacu cesarza Dioklecjana. Kolumny w stylu korynckim podtrzymujące łuki przywołały mu na myśl nadmorski Neseber koło Warny. „Można poczuć się tutaj jak w czasach antycznych” – pomyślał. Pamiętał z przewodnika, który studiował w Sofii, że ten imponujący kompleks budowli powstał na przełomie III i IV wieku, był otoczony murami obronnymi oraz basztami. Spojrział na zegarek. Teraz miał ruszyć na północ, w kierunku stadionu Poljud Hajduka Split i stoczni Brodosplit w zatoce Supaval. Ale nie opuszczało go wrażenie, że może być obserwowany. Zrzucił to jednak na nerwy i zmęczenie.

Po trzech godzinach trasy wrócił do pensjonatu. Nikogo nie zauważył. Rozebrał się i postanowił uciąć sobie drzemkę.

Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. Przez głowę przebiegały mu wspomnienia kilkunastogodzinnej podróży. Kiedy kierowca

pomarańczowej ciężarówce wysadził go w porcie, była już północ. Potem błędził trochę wąskimi uliczkami. Wreszcie odnalazł wskazany przez kapitana Nikołowa niewielki pensjonat Zlatna Ribica pod Marjanom, znajdujący się tuż przy szlaku na górujące nad zatoką wzgórze Marjan. Z pokoju pensjonatu rozpościerał się, jak utrzymywali gospodarze, jeden z najpiękniejszych widoków. Danczo, jako mediewista, nie mógł się jednak doczekać, aż zwiedzi następnego dnia znajdujące się w pobliżu świątynie, a zwłaszcza najstarszą – Crkva svetog Nikole z początku XIII wieku. Jeszcze mrugnęły mu w myślach latarnie uliczne miasta i zasnął.

Po dwóch godzinach obudziło go miarowe pukanie. Otworzył oczy. Przez chwilę zbierał myśli, aż przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Siadł na łóżku. Rozejrzał się po skromnym, ale bardzo przytulnym pokoiku. Popatrzył przez okno. „Uff. Split. Jestem w Splicie” – pomyślał i powoli doszedł do siebie.

Wstał, podszedł do drzwi i je otworzył.

– *Zdrastwujtie* – powiedział po rosyjsku mężczyzna w brązowej, skórzanej kurtce z długim, spiczastym kołnierzem.

– *Dobroje utro* – odpowiedział chłopak. – W czym mogę pomóc? – dodał po chwili.

– Jestem znajomym Nikołowa. Mam dla ciebie obrazek z Jezusem Pantokratozem kupiony w cerkwi Mądrości Bożej w Sofii – powiedział mężczyzna i wyjął z wewnętrznej kieszeni fotografię ikony.

– Też chciałem taki kupić, ale z wizerunkiem Świętego Jerzego. To mój duchowy patron – odpowiedział Danczo zgodnie z ustalonym hasłowym systemem nawiązania kontaktu. – Proszę wejść – powiedział, a potem zamknął za gościem drzwi.

– Nazywam się Andriej Woronow. Będziesz teraz pracować dla mnie...

– Zawiesił głos. – Ładny pokoik. Jak ci się podoba? Cicho tu, a po zapachach z kuchni czuję, że gospodarze podadzą dobry obiad. Ze dwa dni pewnie tu pomieszkasz... – dodał perfekcyjnym rosyjskim.

– Danczo Kowaczew...

– Posłuchaj, Danczo. To są dla ciebie ubrania, żebyś wreszcie się poczuł tutaj jak prawdziwy turysta z Europy Zachodniej. – Roześmiał się, wręczając mu dużą, białą, plastikową reklamówkę z czerwonym napisem *HB*.

Chłopak zaczął oglądać jej zawartość: dzinsy Lee, białe buty sportowe Adidas znanego modelu Superstar, dwa T-shirty, skarpetki frotté, biała

bluza z rękawami i dołem wykończonym ściągaczami oraz kurtka dzinsowa Wrangler ze skórzanym kołnierzem. Danczo patrzył i nie mógł uwierzyć, że właśnie stały się jego własnością. Choć w czasie studiów handlował w wakacje ubraniami z zagranicznymi turystami, to nie było go stać na takie ciuchy.

– A jak ci minęła wczoraj podróż, Danczo?

– Kilkanaście godzin po górskich drogach w tureckiej ciężarówce. Jakoś zeszło. Na szczęście trafiłem na sympatycznego kierowcę. Wysadził mnie przy przystani promowej, choć sam jechał do stoczni.

– Danczo. Tutaj są dla ciebie pieniądze. – Woronow podał mu cienką, błękitną kopertę ze znaczkiem *par avion*.

Danczo wziął ją, otworzył i wyciągnął osiem pięćdziesięciomarkowych banknotów.

– Czteryście marek zachodnioniemieckich...

– Tak. Tyle powinno ci wystarczyć. Przynajmniej na razie. – Woronow się uśmiechnął.

Danczo, ubrany w wypłowiały podkoszulek i przetarte krótkie spodenki, z niedowierzaniem wpatrywał się w pieniądze trzymane w ręce.

– Doprowadź się do porządku. Dzisiaj wieczorem włóż te ciuchy. Spotkamy się o dziewiętnastej przy wejściu do hotelu Marjan.

– Rozumiem.

– Aha, po drodze wszystkie swoje ubrania włóż do torby i wyrzuć do jakiegoś śmietnika. Tylko dalej od pensjonatu. Nic tutaj nie zostawiaj.

Woronow podał chłopakowi rękę na pożegnanie i wyszedł.

– *Sweti Georgi*, co ja mam teraz zrobić? – zaczął szeptać sam do siebie Danczo. – Strzeż mnie Boże od grzechu bałwochwalstwa. Napełniaj mnie swoją mocą i obdarz mnie pokorą – powiedział na głos, robiąc znak krzyża.

* * *

– Dobrze, że już jesteś, Danczo! – Woronow czekał przy głównym wejściu do hotelu Marjan. – Idziemy do klubu nocnego. Zabawimy się trochę i pogadamy. Świetnie wyglądasz!

Danczo podał mu rękę i ukłonił się grzecznie, jednak się nie odezwał.

Weszli do dużej sali z kolumnami. Przy okrągłych stołach nakrytych białymi obrusami siedzieli już goście. Fotele były bardzo miękkie, obite

aksamitnym materiałem. Część stołów znajdowała się na środku sali, a pozostała na wyższym poziomie przy ścianie.

– Usiądź proszę, Danczo. – Woronow przysunął mu fotel.

– Dziękuję.

Woronow zamówił zmrożoną butelkę raki i miejscową przekąskę w postaci kebabcze. Kelnerka przyniosła po chwili kieliszki, dzbanek z wodą i dwie szklanki.

– Jak wspominałem rano, teraz będziesz ze mną współpracować, przyjacielu. To tak jak w tym przysłowiu: *Wmiestie tiesno, a wroz skuczno*.

Zrobił w tym momencie krótką pauzę. Sięgnął do kieszeni w skórzanej kurtce. Wyciągnął z niej kopertę i przekazał Danczowi.

– W tej kopercie jest system łączności z nami. Naucz się i zniszcz. To chyba jasne?

Danczo pokiwał głową, a po chwili zapytał:

– A kiedy będę mógł porozmawiać z kapitanem Nikołowem?

Andriej nic nie powiedział. Westchnął i wypił kieliszek wódki. Spojrzał nieco dziwnym, przenikliwym wzrokiem i przez chwilę wpatrywał się w chłopaka. Widząc to, Danczo spuścił wzrok. Wychylił kieliszek i poczuł zimno w przełyku. Po chwili zapytał, zmieniając temat:

– Kiedy wypłynę statkiem do Bari, towarzyszu...?

– Danczo! Kurwa! Andriej, żadne towarzyszu! Nie popłyniesz. Pojedziemy wzdłuż wybrzeża do Lublany – powiedział i uzupełnił kieliszki. – Razem pojedziemy – podkreślił po chwili.

– Do Lublany? Nie taka była umowa. Miałem przecież...

– Tak będzie bezpieczniej. Zaufaj mi. Pojutrze rano ruszamy – przerwał mu Woronow.

W tym momencie rozległa się muzyka. Na środek sali weszła kobieta o długich, ciemnych włosach i zaczęła tańczyć przed stolikami. Miała na sobie skąpe majtki z błyszczącymi cekinami i luźną zwiewną koszulę na ramionach. Poruszała się miarowo w rytm muzyki. Taniec stawał się coraz bardziej energetyczny, a ruchy coraz szybsze. W pewnym momencie zsunęła koszulę i ukazały się kształtne, jędrne piersi, które falowały do rytmu.

– Patrz, Danczo! Takich atrakcji jeszcze chyba w swoim życiu nie widziałeś?!

– Nie widziałem – odpowiedział trochę zmieszany Danczo.

W jego głowie panował chaos. Wszystko, co działo się teraz wokół niego, zaczęło go przerastać. Tyle pokus, przepychu. Głęboko jednak wierzył, że ten świat, w którym teraz przyszło mu funkcjonować, to jedynie etap drogi do miejsc, o których tak bardzo zawsze marzył. To cena, to jego krzyż, który musi unieść.

– Świetnie mówisz po rosyjsku. Jakbyś urodził się w Związku Radzieckim. Kim ty właściwie jesteś, Andriej? – zapytał, kiedy dziewczyna zakończyła swój taniec już zupełnie naga i wybiegła za kulisy.

– Jak to kim? Nie domyślasz się, Danczo? – Roześmiał się. – Jutro wybierzemy się razem na Bačvice. To plaża za przystanią promową. Zobaczysz, jakie tam są luksusy. Napijemy się, coś zjemy, posiedzimy na leżakach. Będzie akurat trochę czasu, żeby się poznać.

Nachylił się i poklepał go po ramieniu.

– Spotykamy się jutro, powiedzmy o... dziesiątej przed wejściem na dworzec kolejowy. To niedaleko tej plaży. Pamiętaj.

Woronow jakby się rozluźnił. Zamoczył mięsny paluszek w ajwarze i zjadł, zagryzając kawałkiem pieczywa. Popatrzył na Dancza i coś go nagle zaniepokoiło. Coś mu podpowiedział jego nos oficera radzieckiego wywiadu.

– Coś się dzieje? Co tak się przyglądałeś tym dwóm facetom na podwyższeniu?

– Hm, Andriej, nie jestem pewien. Ale tego jednego wyłapałem dzisiaj dwa razy na trasie. A potem...

– Co potem? – zapytał Woronow, wciąż się uśmiechając, choć jego oczy wyglądały już inaczej. – Mów, *job twoju mat*'.

– A potem koło stadionu Hajduka odniosłem wrażenie...

– Że cię obserwują?

– Tak.

– Posłuchaj. Zaraz wstanę. Zapłacę rachunek w recepcji. Za pół godziny ruszysz w kierunku budynku kapitanatu portu i przystani promowej. Łatwo znajdziesz. Jedyne budynki z prawej strony, z okrągłą wieżyczką z zielonym dachem. Idź spacerkiem wzdłuż bulwaru. Jak któryś z nich ruszy za tobą, to na wysokości kapitanatu zatrzymaj się i zdejmij kurtkę. Potem kieruj się do końca pirsu. Rozumiesz? To bardzo ważne.

– Tak jest. To znaczy tak.

– Nic nie zostawiłeś w pokoju?

– Nie.

– Dobrze. Obyś się mylił. Ale nie możemy popełnić błędu. Uśmiechaj się cały czas. Bądź zrelaksowany. Kiedy pójdę, zapytaj głośno kelnerkę, gdzie możesz poznać jakąś miłą dziewczynę, bo czujesz się samotny tej nocy. – Woronow wstał i udając lekko nietrzeźwego, poszedł w kierunku toalet.

Nikt za nim nie ruszył. Stamtąd skierował się do windy. Po kilku minutach wrócił z torbą w dłoni. Podszedł w kierunku solidnego blatu z podwieszonym drewnianym sufitem, na którym jaśniał czerwony neon *reception*, i uregulował rachunek.

* * *

Woronow skoczył w kierunku mężczyzny w szarej wiatrówce. Mocne uderzenie otwartymi dłońmi w uszy oszołomiło go. Zaatakowany zgiął się wpół. Woronow, nie czekając, aż ten się odwróci, z całych sił zacisnął od tyłu przedramię na jego szyi i zaczął go wciągać w wąski pasaż znajdujący się między pawilonem handlowym a siedzibą kapitanatu.

– Biegiem! Chodź tutaj! – krzyknął do stojącego w bezruchu zdeorientowanego Dancza, który po chwili zaskoczenia zaczął biec w kierunku ciemnego zaułka z kurtką trzymaną w dłoni.

Uścisk Woronowa stawał się coraz mocniejszy. Wciągnął wijącego się mężczyznę pod zewnętrzne schody prowadzące na kolejną kondygnację pawilonu. Wyjął zza spodni makarowa i przyłożył mu do skroni. Mężczyzna zaczął charczeć, a z ust popłynęła mu ślina zmieszana z krwią.

– Kto ty, *swołocz*? – warknął Andriej przez zęby po rosyjsku.

Z ust mężczyzny zaczął się wydobywać niezrozumiały bełkot.

– Zapytaj go po bułgarsku, kim jest i kto go przysłał – zwrócił się do Dancza, który przestraszony całą sytuacją, oparł się o mur i ciężko dyszał.

– *Koi si ti i koi te izprati tuk?* – przetłumaczył pytanie.

Mężczyzna, czując, że uścisk na szyi zelżał, zaczął przełykać ślinę i z całych sił łapczywie wciągał powietrze.

– Powiedz mu, że jeśli nam nie powie prawdy, to jutro jego ścierwo wyłowią marynarze z tego promu! – warknął Woronow i skinął głową na zacumowany przy nabrzeżu biały prom Jadrolinii z otwartą z przodu rampą załadowniczą.

Mocniej przycisnął wylot lufy pistoletu do policzka mężczyzny.

– *Goworisz, za szto totoiszte te ubie!* – szeptem powiedział Danczo.

Słyszając tę groźbę, mężczyzna opuścił dłonie, które do tej pory odciągały przedramię Rosjanina, oplatając jego szyję. Widać było, że chce coś powiedzieć, jednak szybki oddech uniemożliwił swobodną wypowiedź.

– Jestem... – zaczął po bułgarsku, jednak nie dokończył zdania.

Odczekał krótką chwilę i ciągle ciężko dysząc, dokończył:

– *Szestiuprawlenie* – wyszeptał.

– Co?! – zapytał Woronow.

– Zarząd szósty KDS. Zajmują się naszymi katolikami za granicą i zapewne Watykanem.

Woronow, nie namyślając się, z całych sił uderzył mężczyznę kolbą pistoletu w kark. Ten osunął się bezwładnie na ziemię. Andriej ułożył nieprzytomnego bułgarskiego oficera pod zewnętrznymi schodami pawilonu.

– Teraz do samochodu! Tylko idziemy spokojnie, Danczo. Może mieć gdzieś kontrobservację.

Po kilkudziesięciu sekundach doszli do zaparkowanego przy bulwarze mercedesa W123, który po chwili niespiesznie ruszył w stronę popularnej *jadrarki*, czyli nadmorskiej szosy w kierunku Zadaru, Rijeki i dalej Lublany.

ROZDZIAŁ 11
Warszawa – wiosna 1981 roku

Podpułkownik Mieczysław Tortak po powrocie niespełna rok temu z placówki zagranicznej w Nowym Jorku przeprowadził się do Warszawy. Pełnił teraz służbę w Wydziale X Departamentu I MSW, zajmującym się kontrwywiadem zagranicznym. Kiedy wcześnie rano zadzwonił do niego pomocnik oficera dyżurnego z wezwaniem do natychmiastowego stawienia się w wydziale, czuł, że to coś ważnego. Po prowadzonej przez niego sprawie, którą w dużej mierze dobrze znał, a zwłaszcza po wczorajszej wieczornej korespondencji, spodziewał się tego.

* * *

Tortak minął biuro przepustek przy Rakowieckiej, potem plac przed wejściem głównym. Po chwili skręcił w lewo w przejazd na dziedziniec wewnętrzny, a tam po schodkach prawie wbiegł i popchnął ciężkie drzwi prowadzące do bloku D. Dyżurny spojrzał na legitymację, a zza jego pleców odezwał się pomocnik dyżurnego, jego kolega z wydziału, który akurat pełnił dwudziestoczworogodzinną służbę:

– Cześć, Mieciu. Przepraszam, że cię obudziłem, ale zrozum, kazali mi ściągnąć ciebie jak najszybciej.

– Wiem, wiem. Do naczelnika idę... – odpowiedział nieco zaspany, bo miał za sobą jedynie trzy godziny snu.

– Nie! Nie do twojego naczelnika! Do dyrektora! Do Słowika!

– O kurwa! Dlaczego mi nie powiedziałaś?! – Poczul, że dopiero w tym momencie naprawdę się obudził, i pobiegł do windy.

Gabinet dyrektora Departamentu I znajdował się na trzecim piętrze. Tortak energicznie otworzył drzwi windy. Skręcił w prawo, a przy końcu korytarza w lewo. Stał przed wejściem do sekretariatu dyrekcji. Nabral powietrza, a potem powoli je wypuścił. Wszedł. Sekretarki jeszcze nie było. Z lewej strony zauważył uchylone drzwi. Popchnął je. W środku ujrzał

swojego bezpośredniego przełożonego, naczelnika Wydziału X. Dalej zobaczył dyrektora, który stał odwrócony tyłem przy dużym oknie. Zatrzymał się i rzucił w drzwiach:

– Melduję się!

– Świetnie, że jesteś. Ja też przed chwilą dotarłem – powiedział naczelnik. – Towarzyszu dyrektorze, to może towarzysz pułkownik zacznie. Najlepiej zna sprawę – dodał, patrząc na Tortaka.

Dyrektor odwrócił się w tym momencie.

– Oczywiście... Oczywiście. Skoro, jak słyszę, wy wiecie najwięcej, to proszę. Zaczynajcie – powiedział dyrektor do Tortaka i usiadł w fotelu.

– Towarzyszu generale, z informacji uzyskanych w ostatnim czasie od oficera linii nielegalnej Raymonda Thomasa, prowadzonego oczywiście przez Wydział XIV, wynika, że pozostający w naszym zainteresowaniu obywatel Francji Jean Legrand co najmniej od czterech lat współpracuje z towarzyszami radzieckimi – zaczął niepewnie.

– Towarzysze z KGB? Czy to pewne?

Tortak skinął głową. To samo zrobił jego przełożony.

– Thomas potwierdził również, że na terenie Włoch sojusznicy radzieccy rozpracowują trzy obiekty, wszystkie związane w jakiś sposób z... Wojtyłą: Castel Gandolfo, sanktuarium w Mentorelli oraz kościół w parafii Świętego Tomasza w Rzymie.

– Ale chyba nie o same budynki chodzi, jak zrozumiałem ze słów towarzysza naczelnika dzisiaj rano. Bardzo wcześnie rano.

– Tak jest. Naturalnie, że nie o budynki chodzi. Chyba nie... Jak by to powiedzieć... – Tortak zawiesił głos.

– Normalnie, Mieciu, powiedz normalnie.

– Legrand wysypał się naszemu oficerowi, że dostał zlecenie na... zabicie Wojtyły...

– Wojtyły?! Czy was do reszty pojechało? Chciecie mi powiedzieć, że towarzysze radzieccy na samej górze, na Kremlu, doszli do wniosku, że to jest rozwiązanie?! – Dyrektor odwrócił się w stronę okna wychodzącego na południe i się zamyślił.

Jego wzrok powędrował w kierunku nieodległego kościoła ewangelicko- augsburskiego Wniebowstąpienia Pańskiego, a potem w stronę Supersamu przy placu Unii Lubelskiej. Po chwili odwrócił się i spojrzał na naczelnika. Ten zrozumiał, że teraz jego pora.

– Towarzyszu dyrektorze... Ten Legrand to gruba ryba we francuskim i włoskim świecie finansjery. Umoczony w różne machlojki. To wiemy bezsprzecznie. A jednocześnie, co ważne w tej sprawie, bohater ruchu oporu, nienawidzący Kościoła katolickiego i... świętny strzelec – wtrącił nieco niepewnym głosem naczelnik.

– Czyli że przystawili mu nóż do gardła... To chcecie powiedzieć? – skonkludował generał i odchylił się na oparcie fotela.

– Tak. Ale to nie wszystko. – Naczelnik spojrzał na Tortaka.

– To ja może przeczytam wczorajsze, nieco dziwne i nietypowe zapytanie od towarzyszy radzieckich z Grupy Łącznikowej KGB w Warszawie. Zakładamy, że musi to być zapytanie z moskiewskiej Centrali I Zarządu Głównego.

– Przyszło dość późnym wieczorem. W zasadzie w nocy. Więc to coś wyjątkowo pilnego i... ważnego, jak zakładamy. Skończyliśmy po północy analizowanie spraw... – tłumaczył naczelnik.

– Dobra, dobra. Czytaj, Mieciu.

...w operacyjnym zainteresowaniu naszej służby pozostają obywatele RFN: Stefan Kafer oraz jego żona Erika Kafer z domu Hosse. Oboje są narodowości niemieckiej i zamieszkiwali kiedyś na terenie Polski. W związku z powyższym w szczególności interesują nas informacje na temat wykształcenia, doświadczenia zawodowego i podejrzanych kontaktów wymienionego Stefana Kafera oraz jego żony Eriki...

– A co to ma wspólnego ze sprawą Legranda? – zapytał zniecierpliwiony szef polskiego wywiadu cywilnego.

– Towarzyszu dyrektorze. Ten Kafer... – Zawahał się. – Ten Kafer... to nasz oficer, nasz nielegał. Żaden tam Niemiec. To góral z Gorców – odpowiedział Tortak.

– Co, kurwa?! Czy ja dobrze słyszę?! – Dyrektor nachylił się nad biurkiem.

– Tak. Nasz oficer, towarzyszu dyrektorze. W dodatku ekspert od materiałów wybuchowych. Ale jest jeszcze kilka innych spraw.

Generał zaniemówił. Sprawiał wrażenie, jakby nie docierało do niego to, co powiedział Tortak. Przyglądał się intensywnie doświadczonemu

oficerowi, który zdecydował się przerwać ciszę:

– Kilkanaście dni temu, na nasze zlecenie, rezydentura w Rzymie przeprowadziła pewne ustalenia odnośnie do tego Kafera.

– I co?! Ja nic nie wiem o tym?! Co wy odpierdalacie, towarzysze?!

– Towarzyszu dyrektorze, sprawa była standardowa, jak to przy nielegalach czasem bywa. Problemy z pokwitowaniem odbioru pieniędzy, z rozliczeniami, zatarg z kurierem specjalnym, z dyscypliną, problemy osobiste... – wyjaśnił naczelnik.

– Dobrze. Słucham w takim razie – odpowiedział generał.

– A więc nasi w rezydenturze ustalili w legendowanej rozmowie telefonicznej z jego żoną Eriką, że Kafer niedawno dostał duży kontrakt we Włoszech – kontynuował naczelnik. – Chodzi o rozbiórkę domu czy jakiegoś obiektu w centrum miasta... z wykorzystaniem jakiejś specjalnej techniki i materiałów wybuchowych. – Przerwał i spojrzał na Tortaka.

– On niedawno spędził z żoną weekend w Rzymie. To dość zaskakujące, bo jak wynika z materiałów Wydziału XIV, nie układa się im od dłuższego czasu i rozwód to kwestia miesięcy. Mówiła też, że w czasie tego pobytu zwiedzali dużo obiektów sakralnych. Ale najbardziej interesował go... kościół w parafii Świętego Tomasza. Nasi napisali, że w tym kościele papież czasem odprawia msze święte – referował Tortak.

– O co chodzi z tym kościołem? Możecie mi wyjaśnić?

– Towarzyszu dyrektorze... – zaczął naczelnik i wziął głęboki oddech. –

Z naszych informacji wynika, że to miejsce jest słabo zabezpieczone kontrwywiadowczo przez służby watykańskie i włoskie. Kościół znajduje się w niewielkiej parafii na południowy zachód od Rzymu... W dodatku to nowoczesny budynek. Nic specjalnego.

– Hm... To by pasowało do układanki – wtrącił generał.

– Sprawdziliśmy jeszcze firmę, z którą Kafer podpisał kontrakt, o której mówiła jego żona. To grupa kapitałowa Golden Ring Capitals zarejestrowana w Nassau na Bahamach. Kilka lat temu pośredniczyli w otwieraniu placówki Deutsche Banku w Moskwie, choć operują wyłącznie w Ameryce Południowej i trochę na Bliskim Wschodzie. Ta Erika z ramienia Deutsche Banku była wtedy w Moskwie – wyjaśnił naczelnik.

– Czyli co? Wychodzi na to, że pośredniczą w obrocie bronią, amunicją i materiałami wybuchowymi? To tradycyjne rynki zbytu. No i już wiemy, skąd zainteresowanie towarzyszy radzieckich naszym oficerem –

skonkludował generał. – Mieciu, czy to nie ty go organizowałeś, tego Kafera? Tak mi chodzi po głowie...

– Tak. Ja.

– Hm... To coś, kurwa, przeoczyłeś na samym początku tej sprawy... Ale teraz mniejsza o to. To już nie ma znaczenia – dodał, spuścił głowę i zaczął stukać palcami w gruby blat biurka.

Po chwili spojrzął na obu oficerów, którzy mieli tak samo jak on wyjątkowo kamienne twarze. Patrzyli na siebie w milczeniu. Po kilkunastu sekundach generał podniósł słuchawkę telefonu bez tarczy. Wcisnął czerwony przycisk i po uzyskaniu połączenia powiedział:

– Melduję się, towarzyszu ministrze... Tak, sprawa wyjątkowej wagi i bardzo pilna.

* * *

Nie minęły dwie godziny, kiedy do pokoju Tortaka wpadł jego naczelnik.

– Chodź, Mieciu. Idziemy do Słowika. Wrócił od ministra, a ten, jak czuję... wiesz, od kogo wrócił? – Mrugnął.

Wyszli. Skierowali się na trzecie piętro.

– Kurwa, miałem iść do bufetu. Głodny jestem jak wilk. Mówi się trudno.

– Nie ma czasu. Ja miałem wyskoczyć do Supersamu po świeże kajzerki, też nic od rana nie miałem w ustach. Widzisz, co się, kurwa, narobiło... Jak wyjdziemy od generała, to skoczmy coś zjeść w bufecie.

Skręcili w mały korytarzyk. Weszli do sekretariatu. Sekretarka skinęła głową, żeby wchodzili.

* * *

– Jesteście, towarzysze! Nie ma czasu. Reasumując – zaczął generał.

Obaj oficerowie zauważyli, że jest zdenerwowany.

– Sprawa jest dla nas priorytetowa. Jeśli chodzi o Kafera, przedstawiłem ministrowi zebrane do tej pory informacje poważnie podważające jego lojalność wobec naszej służby i szerzej wobec Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zgadza się z naszymi wnioskami, że jeśli Kafer zrealizuje powierzone mu przez sojuszników radzieckich zadanie, to... – W tym momencie przerwał i spojrzął na oficerów.

Po dłuższej pauzie kontynuował:

– To wszystkie tropy będą prowadziły do nas. Do Polski. Nie muszę mówić, że to byłaby katastrofa dla polskiego wywiadu i dla naszego kraju. Dlatego priorytetem w chwili obecnej jest definitywne załatwienie sprawy Kafera. – Umilkł, a po chwili dodał: – I wy się tym zajmiecie, pułkowniku. Bezpośredni nadzór będę sprawować osobiście. – Spojrzał na naczelnika Wydziału X.

– Tak jest! – odpowiedział naczelnik.

W tym momencie przez głowę Tortaka przeleciały tysiące myśli. Wiedział, że niepowodzenie tej operacji może złamać mu karierę. Kafer był człowiekiem, którego on pozyskał do służby w wywiadzie, a potem przeszkolił i przerzucił do Niemiec Zachodnich. A dzięki uzyskiwanym od Kafera informacjom zza żelaznej kurtyny szefostwo zwróciło na niego, Tortaka, uwagę i wysłało go na placówkę do Stanów.

– Aha. W sprawę będą jeszcze wtajemniczeni dwaj naczelnicy: Wydziału XIV, bo w końcu to jego ludzie, jego nielegały, i Wydziału XII odpowiedzialnego za organizowanie inspiracji i przedsięwzięć specjalnych. – Wyprostował się w fotelu.

Jakby zeszło z niego napięcie. Jak zawsze, kiedy się intensywnie zastanawiał, skierował swój wzrok w okno. W rejonie Supersamu kręciło się już sporo ludzi. Samochody i autobusy wiozły Puławską ludzi do pracy. Pod budynek MSW podjeżdżały służbowe fiaty i polonezy. Tylko protestancki kościół był jakiś nienaturalnie pusty i spokojny w tym porannym pośpiechu. Po krótkiej przerwie generał odezwał się do siedzących w napięciu oficerów.

– A jeśli chodzi o sprawę Legranda – powiedział, nie odwracając wzroku od okna – to z towarzyszem ministrem widzimy to tak. – Spojrzał na obu oficerów. – Nieoficjalnymi, dla pewności co najmniej dwoma, kanałami musimy przekazać Francuzom informację. Pierwszy kanał minister bierze na siebie. Za godzinę umówiony jest z... wicepremierem, który uruchomi swoje znajomości w Paryżu z czasów, gdy był dziennikarzem i wyjeżdżał do Francji.

– Przepraszam, towarzyszu generale. Nie bardzo rozumiem – wtrącił naczelnik.

– Jakiś czas temu kontrwywiad, czyli Departament II, prowadził na kierunku francuskim pewną sprawę. Nasz Wydział III też w tym uczestniczył. Obaj byliście wtedy na placówkach. Dwójkarze namierzyli

pewnego francuskiego dziennikarza regularnie spotykającego się z obecnym wicepremierem. My go zidentyfikowaliśmy jako... majora *Service de Documentation Extérieure et de Contre-espionnage*. Ponieważ notowania późniejszego wicepremiera w Biurze Politycznym rosły, kierownictwo resortu zdecydowało, aby poinformować go o tym. Po jakimś czasie, przy nadarzającej się okazji, w czasie spotkania z tym majorem SDECE, wicepremier powiedział mu, że wie, kim jest, i że nie mogą dłużej utrzymywać kontaktów.

– Czyli... jak to mówią, rozeszli się w przyjaźni – wtrącił Tortak.

– Tak, Mieciu. I to jest ta szansa i ten kanał informacji. A co do drugiego kanału. Czy macie, towarzysze, jakieś propozycje? Pomysły?

– Towarzyszu generale – odezwał się po chwili naczelnik. – Z analizy sprawy Thomasa wynika, że pozostaje on w kontakcie z oficerami *Direction de la Surveillance du Territoire*. To się wzięło z tego, że Thomas bywa na przyjęciach okolicznościowych w naszej ambasadzie w Paryżu. Zresztą Legrand też tam był kilka razy, zaproszenie załatwił mu Thomas na nasze polecenie...

– Ciekawe. Mówcie. I co z tym DST? – wtrącił generał.

– Thomas podrzuca im mało znaczące informacje, w ten sposób uwiarygadniając się w oczach francuskiego kontrwywiadu. Ostatnio, może towarzysz dyrektor pamięta, przekazał im informację o zaklejaniu przez naszych oficerów gumą do żucia obiektywu kamery, jaką obserwacja DST zamontowała tuż przy wejściu do naszej ambasady.

– A tak, pamiętam. – Generał lekko się uśmiechnął. – O ile się nie mylę, kamera była zamontowana niefortunnie w zasięgu ręki każdego przechodnia.

– Tak. Po jego informacjach służby francuskie czyściły obiektyw, który po jakimś czasie znów zostawał zaklejony gumą, i tak w kółko. W końcu przenieśli ją gdzieś dalej.

– Dobrze. Niech Wydział XII dobrze taką informację spreparuje. –

Generał spojrzął na zegarek. – Pewnie zaraz się zjawią obaj naczelnicy. Posłuchajcie. Sytuacja wewnętrzna we Francji działa na naszą korzyść. Podrzuć mi wczoraj analizę – powiedział generał i kiwnął głową w kierunku pionu informacyjnego znajdującego się na tym samym piętrze. – Chodzi o nadchodzące wybory prezydenckie. Według naszych kolegów z Wydziału XVII służby francuskie będą potrzebowały sukcesu w dialogu

z nowo wybranym prezydentem. Reputacja SDECE przez liczne afery w Indochinach jest bardzo nadwątlona.

– A my im w tym pomożemy – doszedł do wniosku Tortak.

– Tak, Mieciu. My im w tym pomożemy – odpowiedział generał.

Na biurku zadzwonił telefon. Generał podniósł słuchawkę.

– Niech się meldują natychmiast! Towarzysze naczelnicy już tu idą.

* * *

– Chłopie, nie wiem, co się stanie, jeśli ta operacja się nie uda! Widziałeś, jak naczelnicy zbledli, kiedy im Słowik opowiedział o sprawie – powiedział do Tortaka jego bezpośredni przełożony.

– Zgadza się. Trochę się posrali ze strachu.

– Nie trochę... Bardzo!

– Wiesz co? Zjedzmy coś, bo dzień zapowiada się długi – odpowiedział Tortak.

Skierowali się do bufetu w gmachu głównym.

Stefan

Austria, Włochy – wiosna 1981 roku

Nocny ekspres Österreichische Bundesbahnen z Frankfurtu nad Menem do stacji Wien Westbahnhof przyjechał punktualnie. Pisk hamulców rozszedł się po dworcu. Zaraz po zatrzymaniu się pociągu drzwi poszczególnych wagonów zaczęły się otwierać z typowym łoskotem. Na zadaszonym peronie zrobiło się tłoczno. Przez tłum podróżnych przeciskał się Stefan Kafer, ściskając dużą walizkę. Dotarł do głównej hali dworca. Dzięki wielkiemu, przeszklonemu z dwóch stron wnętrzu było w niej bardzo jasno. Na górnej kondygnacji ustawiały się kolejki do kas biletowych. Z hali ruszył do wyjścia, a później na postój taksówek. Podszedł do niebieskiego mercedesa. Widząc, że kierowca daje znać, że jest wolny, otworzył drzwi i wsiadł.

– *Sacher Hotel!* – rzucił krótko.

Po dwudziestu minutach samochód zatrzymał się tuż przy wejściu do hotelu pod charakterystycznym zadaszeniem, na którym widniał srebrny napis na złotym tle *Hotel Sacher*.

Zameldował się w recepcji i poszedł do pokoju. Zostawił bagaż i po kilku minutach wrócił do czekającej ciągle na niego taksówki.

– *Hotel Stefanie, bitte!* – powiedział do taksówkarza.

* * *

Mieczysław Tortak, zanim skierował się do wyjścia na Wien Südbahnhof, podszedł jeszcze do stoiska z gazetami i kupił najnowszy numer „Kronen

Zeitung Post” i orzeźwiająca lemoniadę Keli, którą wypił jednym haustem. Zmęczyła go podróż pociągiem z Warszawy. Nie spał za dużo. Cały czas się budził, wiercił się na niewygodnym, wąskim łóżku w wagonie sypialnym. Do tego kontrole na granicy z Czechosłowacją i Austrią. Myśli jego wciąż krążyły wokół sprawy Kafera. Miał świadomość, że najbliższe dni będą dla jego kariery w wywiadzie decydujące. Nie czuł się dobrze z tym faktem, bo cenił sobie spokój i komfort życia, którego zdążył zaznać podczas pobytu na placówce w Nowym Jorku. Minął masywną, stojącą centralnie w holu rzeźbę lwa i wyszedł z bezstylowego budynku hali dworcowej. Zszedł szerokimi schodami do postoju taksówek. Nawet nie zwrócił uwagi na markę samochodu. Kazał się zawieźć do jednego z najstarszych hoteli w Wiedniu – hotelu Stefanie. Zameldował się jako szwajcarski biznesmen. Po półgodzinie od wyjścia z pociągu stał pod gorącym prysznicem. Po chwili ustawił kurek na zimną wodę. W zasadzie dopiero ta lodowata wyrwała go z jakiegoś letargu. Poczł przyplływ energii. Wysuszył włosy, ogolił się. Doprowadził się do porządku. Ubrał się w popielaty, elegancki garnitur i zszedł do znajdującej się na parterze przestronnej restauracji hotelowej. Rozejrzał się dookoła i zajął miejsce na samym końcu, tuż przy oknie naprzeciwko wejścia. Spojrzał w kierunku mężczyzny, który czytał „Corriere della Sera” przy jednym ze stolików. Ten jakby na to czekał. Był to jeden z dobrze mu znanych oficerów Wydziału X Departamentu I MSW, który zabezpieczał przedsięwzięcie. „Nawet wygląda na Włocha” – pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Zamówił kawę. Dyskretnie spojrzł przez okno na ulicę. Wśród zaparkowanych samochodów stał ciemnozielony volkswagen golf. „O, jest i drugi farbowany makaroniarz”. Uspokoił się, gdy zidentyfikował kolejnego oficera Centrali.

Po kilkunastu minutach pod hotel podjechał niebieski mercedes, z którego wysiadł Stefan. Od razu skierował się do restauracji. Usiadł i zamówił kawę oraz czekoladowy torcik Sachera. Zgodnie z przyjętym systemem znaków coś zamówione do kawy przez Stefana było znakiem bezpieczeństwa. Tortak odczekał na moment, kiedy Stefan spokojnie skończy jeść i zapłaci. Dopł szybko resztę kawy. Położył na stole sto szylingów. Wstał i powoli wyszedł z restauracji. Za nim ruszył Stefan. Mężczyźni podążyli schodami na pierwsze piętro. Tortak wszedł do pokoju, zostawiając lekko uchylone drzwi. Po chwili dołączył do niego Stefan, który wcześniej zlustrował cały korytarz.

– *Guten Morgen, Herr Stefan.* – Tortak uśmiechnął się i serdecznie uściskał Stefana. – Dobrze, że w końcu znowu się widzimy. Ile to już lat minęło od ostatniego spotkania? – zapytał.

– Chyba pięć, Mieciu? Chyba pięć... – odpowiedział z uśmiechem Stefan.

– Rozumiem, że wszystko w porządku?

– Tak. Tu, w Wiedniu, jak zawsze niczego podejrzanego nie zaobserwowałem, choć za wiele możliwości nie miałem. Trasę sprawdzeniową robiłem w Niemczech zaraz po wyjściu z domu, a potem kontynuowałem ją we Frankfurcie.

– Czyli praktycznie to do spotkania ze mną.

– No tak. W hotelu zostawiłem tylko swoje rzeczy i od razu tutaj przyjechałem.

– Świetnie! Wiesz co? Zamówię jakiś lunch do pokoju – powiedział Tortak i podniósł słuchawkę telefonu. – Po tylu latach mamy sobie dużo do opowiedzenia, prawda?

Stefan kiwnął głową.

Tortak usiadł na miękkiej kanapie.

– Słyszałem ostatnio w Centrali, że twoje informacje są dla nas bezcenne. Szczególnie te, które uzyskujesz dzięki kontaktom żony. Stefan, mam ci powiedzieć, że na wniosek naczelnika Wydziału XIV kierownictwo Departamentu I postanowiło przyznać ci premię specjalną. Dostaniesz też awans. Wiesz... – zawiesił głos – cholernie się cieszę, że mogłem ci to przekazać osobiście.

– Dziękuję, Mieciu. – Kafer uśmiechnął się z satysfakcją. – Już myślałem, że coś się stało, skoro w trybie nadzwyczajnym wywołaliście spotkanie.

– Nadzwyczajnym, bo teraz znowu ja będę twoim oficerem prowadzącym. Nie chcieliśmy czekać jeszcze tych kilku miesięcy. Są nowe zadania dla ciebie na kierunku przemysłu chemicznego.

– A co konkretnie?

– Powiem ci później. Musimy zdobyć dwie technologie, bardzo istotne dla naszej gospodarki. I zdecydowano, że ty będziesz najlepiej się do tego nadawał.

– Dobra. A jak z łącznością?

– Wszystko pozostaje bez zmian. Kiedy wracasz do Niemiec?

– Dzisiaj, nocnym ekspresem. Jestem padnięty, ale jak wrócę do hotelu, to się trochę prześpię.

– Ale pamiętaj. Nie kręć się po mieście. Wiesz, że grupy obserwacyjne Brytoli, Niemców, a pewnie i Amerykanów aktywnie tutaj działają. Jedź prosto od siebie z hotelu na dworzec. Aha. Daj bilet, muszę go spisać do rozliczenia...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. A po chwili dał się słyszeć głos z korytarza:

– *Room service.*

– Zjemy lunch, a potem omówimy szczegóły. Schowaj się w łazience. Lepiej, żeby nikt cię nie widział.

W czasie rozstawiania przez kelnera talerzy z jedzeniem Tortak podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny w hotelu.

* * *

Po dwugodzinnym spotkaniu Stefan pożegnał się i wyszedł. Tortak położył się na łóżku hotelowym. Włączył telewizor, w którym na kanale FS1 właśnie podawali informacje z Polski:

...w kombinacie gastronomicznym Kaskada w Szczecinie doszło do tragicznego w skutkach pożaru. Zginęło w nim kilkanaście osób...

Jednak nie mógł się skupić na szczegółach komunikatu. Cały czas był myślami przy sprawie Kafera. „Czy to dobra decyzja Centrali? Może odwołać wszystko? Może porozmawiać z nim jeszcze raz? Może to tylko jakaś mistyfikacja? Jakiś przypadek czy zbieg okoliczności i nie ma w tym wszystkim takiej roli radzieckich towarzyszy?” Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Wstał i wyjrzał przez wizjer, po czym otworzył.

– Cześć, Mieciu – odezwał się postawny mężczyzna w średnim wieku.

– Cześć, Edgar. Wchodź.

Mężczyzna wszedł i usiadł w fotelu.

– Przyjrzałeś mu się dokładnie? A co taki zziajany jesteś?

– Tak. Przyjrzałem. – Wziął głęboki oddech. – Jak do mnie zadzwoniłeś, to pojechałem zaraz na Westbahnhof. Bilet na dzisiaj na pociąg do Frankfurtu kupiłem w przedziale sypialnym obok jego przedziału. Dopiero

wróciłem. A chłopaki pilnują go cały czas pod hotelem. Jeśli coś się zmieni, mają telefonować do mnie do pokoju albo tutaj, do ciebie.

– Świetnie. A jak ci minął lot z Zurychu? Duży ruch na Schwechat?

– Spokojnie. Nie ma sezonu. Tylko biznesmeni, bankierzy i dyplomaci.

– Słyszałeś o Szczecinie?

– Tak. Smutna sprawa, ja pierdołę. Tylu ludzi zginęło.

Jeszcze przez chwilę wpatrywali się w ekran telewizora. Spiker zaczął przekazywać komentarze po pierwszej turze wyborów prezydenckich, w której przewagę nad innymi uzyskał Giscard d'Estaing. Po chwili Tortak się odezwał:

– Zobaczymy. Socjaliści jeszcze chyba nie powiedzieli ostatniego słowa.

– Uśmiechnął się i wskazał na leżącą na kanapie „Neue Zürcher Zeitung” z wynikami francuskich wyborów.

Edgar Rotowski zamyślił się i przez chwilę siedział w bezruchu. Tortak w tym czasie wstał i nalał do szklanek whisky.

– Wiesz co, sprawdzę jeszcze raz wszystko z biletami, bo się spieszyłem na dworcu. No i prezent od ciebie.

Wyjął duży, skórzany portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki. Po sprawdzeniu wyciągnął z torby kilka złożonych kawałków gazy i butelkę z etykietą szwajcarskiego syropu na kaszel. Schował wszystko, zasunął metalowy zamek błyskawiczny i zapiał mosiężną klamrę klapy.

Major Edgar Rotowski od piętnastu lat pracował w Departamencie I. W tym czasie dwukrotnie przebywał na placówce w Szwecji i Danii. Z wykształcenia był archeologiem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego koledzy przed obydwojma wyjazdami śmiali się z niego, że Skandynawia to nie Egipt, Syria czy Irak, ale on powtarzał, że kultura wikingów i to, co po nich zostało, warte są poznania. W ciągu ośmiu lat pracy pod przykryciem sekretarza do spraw kulturalnych i prasowca przekonał się, że legenda znawcy archeologii skandynawskiej świetnie sprawdzała się w terenie.

* * *

Na dworcu Westbahnhof panował duży ruch. Nocny ekspres w barwach ÖBB odjeżdżający do Frankfurtu był już podstawiony na peron. Pasażerowie zajmowali swoje przedziały, żegnali się z odprowadzającymi osobami, wychodzili i dokonywali jeszcze drobnych zakupów w kioskach

i sklepikach. Edgar stał na zadaszonym peronie. Dyskretnie obserwował otoczenie. Przez ramię miał przewieszoną na grubym pasku skórzaną torbę. Tweedowa marynarka, brązowy golf, ciemnozielone spodnie i brązowe półbuty nadawały mu elegancki wygląd. Zgodnie z dokumentami legalizacyjnymi był szwajcarskim naukowcem z Zurychu. W dłoni trzymał złożoną gazetę „Wiener Zeitung”.

Oczekiwanie niemiłosiernie się dłużyło. Edgar sprawdził zegarek. Do odjazdu pociągu pozostawało coraz mniej czasu. Ruszył w końcu wolnym tempem w kierunku hali głównej. Zgodnie z ustaleniami jeden z oficerów zabezpieczających miał wyprzedzić Kafera na schodach przed wejściem od strony postoju i przystanku tramwajowego, aby uprzedzić Edgara o nadejściu obiektu. Był przy tablicy z rozkładem pociągów, kiedy zauważył wchodzącego do hali dworca jednego z oficerów. Kilkanaście metrów za nim szedł Kafer. Nie spieszył się. Edgar wymienił z oficerem porozumiewawcze spojrzenie. Wyminęli się. „Kurwa. Pociąg zaraz odjeżdża. Co on odpierdala, do kurwy nędzy?! Nie zdąży!” Kafer nie poszedł w kierunku peronu, gdzie stał nocny ekspres do Frankfurtu, lecz skręcił do kas biletowych. W tym samym momencie rozległ się gwizdek konduktora składu frankfurckiego. Edgar spojrzał w kierunku peronu. Potem na odchodzącego Kafera. Pospieszył za nim. Kątem oka zobaczył po chwili, że skład do Frankfurtu ruszył.

Skręcili w kierunku ruchomych schodów prowadzących do kas biletowych na wyższej kondygnacji. Wjechali powoli na górę. Stefan zatrzymał się na końcu kolejki po bilety. Edgar ustawił się bezpośrednio za nim.

– *Ein Ticket nach Rom bitte* – odezwał się Kafer do kasjerki, kiedy nadeszła jego kolej. – *Ja, schlafen* – dodał.

„Do Rzymu? Kurwa mać!” – pomyślał Edgar.

– Wagon numer trzy, miejsce sypialne dwadzieścia osiem – odpowiedziała kasjerka. – Ale musi pan dopłacić pełną kwotę do drugiego miejsca.

– Tak, wiem. To zrozumiałe, skoro chce się mieć przedział tylko dla siebie – odpowiedział, uśmiechnął się i wyjął kilka banknotów.

Kiedy Kafer odszedł od okienka biletowego, Edgar kupił bilet na ten sam pociąg, również w wagonie numer trzy. Jednak nie było już miejsca bezpośrednio w sąsiednim przedziale, lecz w następnym. Spojrzał na zegar dworcowy. Została niecała godzina do odjazdu. Ruszył za Stefanem, który

po zejściu na dolną kondygnację skierował się w stronę peronów. Przy schodach spotkał drugiego z oficerów, który podążył za nimi. Przy wyjściu na peron stał pierwszy oficer, który widząc, co się dzieje, ruszył przed nimi. Tamten nie wchodził już na peron. Za Kaferem szedł tylko Edgar.

Skład do Rzymu właśnie podstawiano. Charakterystyczne wagony w kolorze kości słoniowej z szarymi pasami konturowymi miały otwarte drzwi, więc pasażerowie zaczęli powoli wsiadać. Kafer zatrzymał się przed otwartymi drzwiami do swojego wagonu.

– *Per favore, prima le signore* – powiedział z zalotnym uśmiechem i przepuścił grupę gestykulujących Włoszek.

Te uśmiechnęły się w odpowiedzi. Kafer wykorzystał tę sytuację, aby rozejrzeć się dokładnie po peronie. Edgar minął go i wsiadł następnymi drzwiami. Po chwili Kafer z niedużą walizką wszedł po schodkach do środka. Skierował się do swojego przedziału. Edgar, oparty o otwarte okno, kiedy to zobaczył, wysiadł zaraz z wagonu. Na peronie, nie odwracając się do zabezpieczającego operację oficera, rzucił szeptem:

– Pilnuj go.

Sam ruszył w kierunku budki telefonicznej.

– *Bitte verbinden Sie mich mit Raum 123* – poprosił o połączenie z pokojem Tortaka.

– *Ja. Bitte* – odezwał się spokojnym tonem Tortak.

– To ja. Mieciu, posłuchaj. Zmiana planów. On jedzie do Rzymu.

– Dokąd, kurwa?! – warknął.

– Do Rzymu. Kontynuujemy?

– Tak. Wiesz, jakie są polecenia.

– Tak... za wszelką cenę. Pamiętam. Zrozumiałem. Do usłyszenia.

Edgar rozłączył się i ruszył w kierunku peronu. Minął oficera, który nie zwracając na niego uwagi, kiwnął lekko głową i w tym samym momencie skierował się wolnym, wręcz leniwym krokiem do hali. Edgar wskoczył zwinnie po schodkach do wagonu. Kiedy znalazł się na korytarzu, zauważył, że Kafer stoi oparty o otwarte okno i jakby kogoś wypatrywał wśród podróżnych zmierzających do pociągu. „Nas szuka? Chyba nie, bo jakoś by zareagował, gdyby nas wyłapał” – doszedł do wniosku Edgar.

* * *

Było już całkowicie ciemno, kiedy pociąg rozpoczął mozolną przeprawę przez Alpy. Edgar siedział w napięciu na swoim łóżku w przedziale sypialnym. Coraz bardziej docierało do niego, że jego operacja właśnie zmierza ku końcowi. Sprawdzał nerwowo zegarek. Pisk kół pociągu, wolne tempo i częste zakręty wskazywały, że rzymski skład wspina się coraz wyżej. Oficer wstał i otworzył okno. Nabrał w płuca świeżego, górskiego powietrza z wyraźną nutą żywicznego zapachu. Oparł się o okno i spojrzał w dół, w przepaść. Z kupionej w Wiedniu szczegółowej mapy Austrii i informacji od konduktora zorientował się, że ma godzinę, może półtorej, do granicznego Villach. Zasunął energicznie okno. Wyjął z torby gazę i butelkę z naklejką syropu na kaszel, zawierającą substancję SPZ-78 na bazie chloroformu. Włożył do kieszeni marynarki. Wprawdzie plan dotyczył okolic Salzburga, ale i tu mógł zostać zrealizowany. A ukształtowanie terenu, czyli mijane przepaści i urwiska wzdłuż linii kolejowej, było nawet lepsze. Upadek z takiej wysokości to pewna śmierć. A wokół gęstwinia świerkowych lasów, liczne szczeliny, jary, dolinki z potokami – wszystko to niemal do zera ograniczało szanse na znalezienie ciała. Reszty dokonałyby dzikie zwierzęta.

Edgar wyszedł na korytarz. Nikogo nie było. Nawet gadające cały czas Włoszki umilkły w końcu w swoich przedziałach. Podeszedł pod drzwi przedziału Kafera. Nasłuchiwał w skupieniu, jednak odgłosy jadącego pociągu nie pozwalały mu wychwycić jakichkolwiek dźwięków wydobywających się z wnętrza. Do tego dochodziło lekkie szarpanie na ostrych górskich zakrętach. W pewnym momencie usłyszał odsuwane drzwi jednego z przedziałów. Odskoczył. To jedna z Włoszek postanowiła wyjść i zapalić papierosa przy otwartym oknie w korytarzu.

– *Buona sera, bello* – rzuciła kokieteryjnie do Edgara, a ten uśmiechnął się i posłał jej całusa.

Po wypaleniu połowy papierosa będąca na lekkim rauszu kobieta zmierzyła wzrokiem Edgara. Później mrugnęła do niego i wróciła do przedziału. Myśli, które szybko przeszły mężczyźnie przez głowę, trochę go rozluźniły. Odczekał kilka minut. Sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć SPZ-78 i namoczyć nią złożoną gęsto gazę. W tym samym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi przedziału Kafera. Edgar szybko wyciągnął rękę z kieszeni. Odsunął się błyskawicznie trzy kroki w tył. Z przedziału wyszedł Kafer, a za nim jakiś mężczyzna. Edgar powoli ruszył w ich kierunku.

– *Entschuldigung, meine Herren* – powiedział i minął ich bez jakiegokolwiek zainteresowania.

Skierował się do wagonu z bufetem. W przejściu między wagonami zauważył kątem oka, że mężczyźni idą za nim. „Kurwa! A plan był taki prosty! Pod pretekstem kontroli biletów miałem zapukać do przedziału. On otworzyłby drzwi, wtargnąłbym do środka, obezwładnił go i przyłożył do twarzy obficie nasączoną chloroformem gazę. Kiedy straciłby przytomność, odczekałbym na dogodny moment i wyrzucił go w przepaść przez okno. Kurwa. Ale skąd ten drugi?! Kto to jest, do kurwy nędzy! Jakby towarzyszyła mu jedna z tych Włoszek, tobym zrozumiał. Ale ten facet?!” – zastanawiał się, aż dotarł do bufetu.

W restauracyjnym było jedynie kilka osób. Edgar poprosił o piwo i jakąś gorącą przekąskę. Zauważył, że mężczyźni usiedli już przy stoliku. Odebrał zamówienie i zajął miejsce tyłem do nich. W tym momencie Kafer wstał i ruszył do bufetu. Wrócił po chwili z dwoma kieliszkami koniaku. Mężczyźni rozmawiali po niemiecku. U nieznanego Edgar wyłapał wschodni akcent. „Czeski? Serbski? Rosyjski? Bułgarski?” – próbował się zorientować. Kiedy pociąg jechał prostym odcinkiem torów, Edgar nasłuchiwał, o czym mężczyźni mówią. Zorientował się, że głównie była to dyskusja na temat sytuacji ekonomicznej we Włoszech i perspektyw biznesowych na południu Półwyspu Apenińskiego. Trochę rozmawiali o kobietach, głównie o Włoszkach.

Mijał czas. Mężczyźni opróżniali kolejne kieliszki koniaku. Edgar kolejne piwo. Tymczasem pociąg powoli zbliżał się do granicy austriacko-włoskiej. „Cały plan chuj strześli! Potem pociąg będzie pędzić równinami. W dodatku nie wygląda, żeby ten facet zamierzał wysiąść po drodze!” – wściekał się Edgar. Doszedł szybko do wniosku, że kontrola paszportów to jedyna szansa, by dowiedzieć się, kim jest tajemniczy towarzysz Kafera. „Pod warunkiem że będą nadal siedzieli w restauracyjnym”.

Zbliżali się do granicy. Pociąg się zatrzymał. Wszyscy pasażerowie zaczęli przygotowywać paszporty do kontroli. Edgar wyciągnął swój legalizacyjny szwajcarski. Odwrócił się w stronę Kafera i jego rozmówcy, udając, że wypatruje austriackiej policji granicznej i karabinierów. Stefan trzymał już w dłoni szarozielony paszport z napisem *Bundesrepublik Deutschland. Reisepass*. Jego towarzysz sięgał właśnie do kieszeni marynarki po swój paszport. „No pokaż, co tam masz?”

Mężczyzna wyciągnął dokument z kieszeni marynarki. Trzymał go tak, że było widać jedynie jego tylną okładkę. Zieloną. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, Edgar odwrócił głowę. Odczekał chwilę i ponownie pod pretekstem wypatrywania kontrolujących obrócił się w stronę mężczyzn. W tym momencie nieznajomy odwrócił paszport tak, że jego przednia część okładki skierowana była w stronę Edgara. Od razu w oczy rzucił się charakterystyczny symbol, a pod spodem napis: *СССР. Дипломатический паспорт*. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, Edgar szybko spuścił wzrok i zaczął kartkować swój paszport. W tym samym momencie weszła kontrola austriacka.

– *Passkontrolle!* – powiedział austriacki policjant, który wszedł do wagonu restauracyjnego i skierował się do stolika Kafera. – Panowie razem podróżują? – zwrócił się do siedzącego naprzeciwko Stefana mężczyzny, przeglądając radziecki paszport.

– Nie, nie razem. Po prostu poznaliśmy się na korytarzu i teraz tutaj sobie siedzimy. Pan wie, nie każdy może zasnąć w czasie podróży. Zresztą nie tylko my mamy problem ze snem. – Uśmiechnął się i skinął w kierunku bufetu.

– Herr... Klimow?

– *Ja. Natürlich. Andriey Klimow* – przytaknął mężczyzna.

– *Danke!* – odpowiedział beznamyślnie policjant, oddał mężczyźnie paszport i podszedł do Edgara.

Po chwili weszli karabinierzy włoscy i głośno oznajmili:

– *Controllo delle frontiere! Tieni i tuoi passaporti pronti!*

* * *

Kiedy pociąg minął już graniczne Tarvisio i zmierzał w kierunku Udine, Edgar wstał od stolika i poszedł do swojego przedziału. Obserwowani przez niego jeszcze zostali. Tysiące myśli krążyły mu po głowie. Skierował się do konduktora. Ten poinformował go, że w Udine będzie krótki postój. Za to w Wenecji potrwa dwadzieścia minut. Poprosił konduktora, aby ten go wcześniej obudził. Wszedł do przedziału i ciężko usiadł na łóżku. Na wszelki wypadek nastawił dzwonek w składanym zegarku turystycznym. Postawił go na stoliku pod oknem. Zdjął marynarkę i się położył. Mógł spać cztery godziny.

* * *

Edgara obudziło głośne pukanie.

– *Danke. Danke* – odezwał się wyrwany z głębokiego snu.

Obmył twarz wodą w małej umywalce. Przeczesał włosy. Zarzucił na siebie marynarkę. Spojrzał przez okno. Pociąg wciąż jeszcze szybko pędził jakąś równiną. Po chwili wyraźnie zwolnił, a po kilku minutach zaczął ostro hamować. Edgarowi mignęła niebieska tablica z napisem *Venezia*. Skład z Wiednia wjechał na peron. Zatrzymał się. Edgar wyszedł z przedziału, potem szybko zszedł po schodkach, mijając nielicznych o tej porze pasażerów. Ruszył prosto do hali głównej Venezia Santa Lucia. Natychmiast zlokalizował budkę z napisem *Telefono*. Podbiegł do niej, wybrał numer do hotelu Stefanie i poprosił o połączenie z pokojem sto dwadzieścia trzy. Przyłożył do ucha słuchawkę i w napięciu oczekiwał na połączenie. W końcu odezwał się zaspany głos Tortaka:

– *Ja, ich höre.*

– Mieciu. To ja. Dzwonię z Wenecji, z dworca.

– Skąd, kurwa?!

– Z Wenecji. Nieważne. Słuchaj. On nie jest sam w pociągu. Słyszysz?

– Słyszę!

– Towarzyszy mu ktoś... Wiesz. Ktoś od naszych... sojuszników.

– Jesteś tego pewny?

– Tak. Widziałem jego paszport dyplomatyczny. W dodatku nie odstępował go na krok. Całą akcję chuj strzelił. Co mam robić? – powiedział na jednym oddechu Edgar, starając się przy tym zachować spokojny ton.

W słuchawce na moment zapanowała cisza. Po chwili Tortak odezwał się ożywionym głosem.

– Jedź za nim.

– A co dalej?

– Dokończysz wszystko we Włoszech.

– Ale on się zorientuje, że jest obserwowany.

– Ile mamy czasu do przyjazdu pociągu do Rzymu?

– Jakies pięć, może sześć godzin.

– W takim razie trzeba się śpieszyć. Odezwij się z dworca. Cześć – powiedział krótko Tortak i zakończył rozmowę.

Usiadł na łóżku. Wziął głęboki oddech. Podniósł ponownie słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny.

– Chodźcie natychmiast do mnie. Wszyscy. Kolega miejscowy też! – rzucił i zaczął się ubierać.

ROZDZIAŁ 13

Jean

Francja, Włochy – kwiecień/maj 1981 roku

Rząd samochodów na granicy włosko-francuskiej przesuwał się bardzo powoli. Jean ustawił się swoim peugeotem na lewym pasie. Przed nim rozpościerał się piękny widok na morze, a w oddali widoczna już była Mentona – malownicza, nadmorska miejscowość na obrzeżach Monte Carlo. Kiedy podjechał do białego budynku kontroli granicznej z napisem *Frontière française*, podszedł do niego żandarm w białym kepi i poprosił o paszport. Spojrzał na Jeana. Przekartkował dokument. Przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Potem skierował się do budynku. Po kilku minutach wrócił.

- Skąd pan jedzie? – zapytał spokojnym głosem.
- Z Włoch.
- Chyba to oczywiste, panie... Legrand. Ja pytam, z którego regionu Włoch pan jedzie.
- Byłem kilka dni w Monte Navegna e Monte Cervia, to kilkadziesiąt kilometrów od Rzymu.
- To dość daleko. Nie było lepiej lecieć samolotem?
- Jeana zaskoczyły słowa żandarma. Zawahał się.
- Ale po drodze chciałem jeszcze spędzić dwa dni w północnych Apeninach w Tosco-Emiliano.
- Jaki był cel pana podróży?
- Turystyczny – odpowiedział Jean. – Uprawiam turystykę i wspinaczkę górską – dodał wciąż niepewnym głosem.
- Proszę otworzyć bagażnik.

Jean wysiadł z samochodu. Czuł, że miękną mu nogi. „Co to za kontrola? O co chodzi?” Otworzył klapę bagażnika. Żandarm zaczął sprawdzać jego zawartość. Poza plecakiem, linami do wspinaczki, czekanem, rakami i uprzężą nic więcej nie było. Potem zajrzał do środka samochodu. Na tylnym siedzeniu leżała solidna, skórzana torba podróżna.

– Proszę wziąć torbę i plecak z bagażnika i pójść za mną.

Na czole Jeana pojawiły się krople potu. Zestresowany zaczął przygryzać wargi. Poszedł za żandarmem.

– Proszę położyć to na stole. – Żandarm wskazał mu duży blat, przy którym stali inni sprawdzani podróżni.

Kontrola bagażu trwała kilka minut.

– Może pan jechać! – powiedział żandarm, oddając paszport.

Jean wszedł do samochodu. Ruszył. Kontrola na granicy go zdenerwowała. Dlatego zdecydował zatrzymać się na parkingu nad wysokim urwiskiem, z którego roztaczała się wspaniała panorama na Monte Carlo oparte o góry i lazur Morza Śródziemnego. Jednak nie spojrział w kierunku miasta. Usiadł na betonowym podejściu. Zapalił papierosa. Patrzył w kamienną podłogę tarasu widokowego. Analizował pytania, które mu zadawano w czasie kontroli. Po kilkunastu minutach doszedł jednak do wniosku, że chyba sobie ze zdenerwowania wyobraża różne rzeczy. Bo w końcu pytania nie były jakieś szczególne, wskazujące na zainteresowanie jego osobą. „Pewnie szukali narkotyków, o których przemycie na tym szlaku tyle ostatnio pisali w gazetach i mówili w telewizji. W końcu podróżuję tą trasą często” – pomyślał, zgasił papierosa, wstał i wrócił do samochodu. Uspokoił się. Ruszył w kierunku Marsylii. Zostało mu jeszcze powiadomić o realizacji rekonesansu Klimowa. Postanowił zatrzymać się w Cannes, do którego miał ponad godzinę jazdy.

* * *

Mimo że był jeszcze kwiecień, w Cannes czuło się już atmosferę festiwalu filmowego, który odbywał się w połowie maja. Samochody krążyły w poszukiwaniu wolnych miejsc parkingowych pod rzędem dorodnych, wysokich palm. Wszędzie, wzdłuż nadmorskiego bulwaru La Croisette, rozwieszane były plakaty reklamujące poszczególne produkcje filmowe. Jean zatrzymał auto koło budynku z kawiarnią na podwyższeniu, której stoliki osłonięte były biało-żółtymi parasolami i markizami. Poszedł

w kierunku hotelu Barrière Le Majestic. Skręcił z bulwaru w prawo, po lewej minął basen, a po prawej rozstawiony rząd tablic z plakatami poszczególnych filmów zgłoszonych do konkursu. Między afiszem włoskiego obrazu *Trzej Bracia* a amerykańskim *Złodziejem* z Jamesem Caanem znajdował się jakże inny i stylowo odmienny plakat. Jean zatrzymał się przed nim. Spojrzał na niego z zaciekawieniem. Był to wizerunek mężczyzny w niebieskiej koszuli, którego głowa znajdowała się w wielkiej stalowej zakrętce. Nad nim widniał czerwony napis: *Człowiek z żelaza*. Jean zawahał się na moment. Po chwili skierował się pewnym krokiem do lobby hotelowego. Podeszedł do wiszącego na ścianie obok recepcji telefonu i wybrał numer do siedziby Golden Ring Capitals.

– Halo! – odezwał się miły kobiecy głos.

– Dzień dobry! Miałem umówić się na spotkanie z panem Klimowem. Prosił, żebym zadzwonił pod ten numer, aby doprecyzować miejsce i czas.

– Ach tak – szybko odpowiedziała kobieta, jakby czekała na taką rozmowę.

Jean usłyszał w słuchawce, że przekłada kartki, szukając odpowiednich notatek. Po krótkiej chwili się odezwała:

– Potwierdzam, że spotkanie ma się odbyć w Buenos Aires, czwartego maja w hotelu Plaza Intercontinental, w sali konferencyjnej. W recepcji będą szczegółowe informacje.

Jean podziękował kobiecie. W ustalonym z Klimowem systemie kodów informacja o Buenos Aires oznaczała sanktuarium w Mentorelli, hotel Plaza Intercontinental potwierdzał miejsce i sposób przekazania broni w San Remo, a do podanej daty spotkania miał dodać pięć dni. „Czyli dzień operacji wypada na dziewiątego maja w sobotę...”

W drodze z Cannes do Marsylii tysiące myśli kołatało mu się po głowie. Co jakiś czas nerwowo zerkał w lusterko wsteczne. Jednak nie dostrzegł nic podejrzanego. Czuł się trochę rozbity wewnątrz i rozdygotany. Siły dodawała mu jedynie myśl, że jeśli tylko wykona powierzone mu zadanie, wszystko wróci do normy. Chciał być w stu procentach skoncentrowany na zadaniu, dlatego w głowie powtarzał wszystkie ustalenia związane z operacją: „Dokładnie trzy dni przed terminem odebrać na terenie Włoch broń do wykonania zadania. Parking w San Remo przy plaży miejskiej. Samochód zaparkować w samo południe na wysokości niebieskiej tablicy z napisem *San Remo* znajdującej się na peronie. Ustawić go tyłem do kamiennego murku stanowiącego jednocześnie podwyższenie peronu

dworca kolejowego. Nie zamykać auta. Jeśli nie zdążę albo coś mi przeszkodzi, godzina zapasowa osiemnasta, ale wtedy mam iść na taras widokowy nad miastem przy sanktuarium Madonna della Costa. Termin zapasowy to dzień następny, godzina wcześniej. Po zaparkowaniu opuścić samochód i pójść na plażę. O godzinie zapasowej iść w kierunku mariny. Za każdym razem po powrocie do pojazdu sprawdzić bagażnik pod pozorem schowania koca, kosza piknikowego czy ubrania...”

Kiedy po ponad dwóch godzinach znalazł się na obrzeżach Marsylii, był już późny wieczór. Marzył tylko o śnie. Gdy podjeżdżał pod swój dom w willowej dzielnicy Bompard, zauważył, że na posesji naprzeciwko kręcą się jacyś obcy ludzie i stoi zaparkowany beżowy samochód transportowy Savien z podłużnym napisem: *Claude Menton. Carcassone. Déménagements et transports.* „Czyżby to nowi sąsiedzi? A może ktoś mnie obserwuje?” – pomyślał. Wszedł do domu. Pamiętał, że żona miała pojechać z wnukami na weekend do ich domu w Montbrun. Pierwsze, co zrobił, to podniósł słuchawkę telefonu. Wybrał numer do banku, w którym był dyrektorem.

– Co jest? Kurwa! – warknął po nosie i kilkakrotnie stuknął mocno palcami w widełki telefonu.

W słuchawce była głucha cisza. Rzucił ją ze złością na widełki. Podszedł do stolika z butelkami alkoholu. Wlał sobie do pękatego kieliszka solidną dawkę courvoisiera. Wziął duży łyk. Zasłonił okna salonu wychodzące na ulicę. Spojrzał jeszcze na tragarzy wnoszących jakieś pakunki. Poszedł do gabinetu. Usiadł przy wielkim dębowym biurku. Odsunął szufladę. Wyciągnął z niej niewielki, poręczny pistolet Heckler & Koch P7. Wypiął magazynek. Sprawdził, czy jest pełny, po czym podpiął go z powrotem. Wstał. Podszedł do okna i delikatnie odchylił zasłonę. Furgonetka już odjechała. Ponownie podniósł słuchawkę. Usłyszał przeciągły dźwięk. Uspokoił się. Odłożył broń na biurko. Czuł się zmęczony. Usiadł. Dopił koniak i szepnął:

– *Merde!* Chyba sam sobie stwarzam tę paranoję.

Spojrzał na uchyloną szufladę. Wyjął z niej duży srebrny medalion. Otworzył go i spojrzał na czarno-białą fotografię wewnątrz. Ujrzał Estereę tulącą się do niego. Westchnął. Zatopił się w głębokim fotelu, zamknął oczy i zasnął. W pewnym momencie coś go obudziło. To był jakiś koszmar. Rozejrzał się po gabinecie, jakby nie wiedział, gdzie jest. Wraz z sennym koszmarem dotarło do niego, że nie jest już w stanie dłużej znosić tego

ciągłego napięcia, tej presji, która ciąży na nim. Musi z kimś o tym porozmawiać, kiedy wróci z Włoch. Pomyślał o swoim przyjacielu Thomasie. „Będzie dobra okazja, bo obiecałem mu, że zabiorę go w pierwszej połowie maja na dłuższy rejs jachtem. W końcu po to właśnie zacumowałem go ostatnio w Monte Carlo” – pomyślał.

* * *

Majowy poranek przywitał Marsylię wyjątkowym o tej porze roku chłodem. Jean nie miał czasu rano zjeść śniadania w domu. Zresztą kolacji poprzedniego dnia także nie jadł. Wciąż był podenerwowany. Źle spał. Chciał jak najszybciej ruszyć w trasę.

Po dwóch godzinach spokojnej jazdy swoją ulubioną nadmorską drogą postanowił zatrzymać się gdzieś na poranną kawę i croissant. Zbliżał się do Port Grimaud. W pewnym momencie, nie wrzucając kierunkowskazu i prawie nie hamując, skręcił gwałtownie w prawo. Spojrzał w lusterko wsteczne, ale nikt za nim nie skręcił. Jedyne w kierunku nieodległej mariny w Port Grimaud przejechał szybko jakiś niebieski sportowy samochód. Jeana to uspokoiło. „Nikt mnie nie śledzi” – pomyślał z satysfakcją. Po trzech kilometrach minął białą tablicę z czarnym napisem *Saint-Tropez*. W tym momencie pojawił się za nim motocykl, na którym siedziały dwie osoby w kaskach. Z tyłu kobieta, gdyż spod kasku wystawały jej kosmyki czarnych, powiewających włosów.

– Co oni, kurwa, wyprawiają! – krzyknął, widząc, że motor nie chce go wyprzedzić, a jedynie to przyspiesza, to zwalnia.

Wjeżdżał między pierwsze zabudowania miasta, kiedy dostrzegł w lusterku, jak kobieta sięga i szuka czegoś w bocznej sakwie motocykla. Jean nerwowo przyspieszył. Jednak motocykl zaczął się z nim zrównywać. Patrzył z przerażeniem, co kobieta za moment wyjmie. Mocno zahamował. Motocykl go wyprzedził. Miał hiszpańską tablicę rejestracyjną. Jean jeszcze zauważył, że kobieta wyciągnęła z sakwy kolorową torbę plażową. Po chwili odbili w prawo i znikli mu z pola widzenia. „Pewnie gówniarze jadą w kierunku *Plage de Tahiti*. Co jest ze mną, do cholery?!” – pomyślał.

Skierował się w stronę niewielkiego portu. Już z daleka widział kołyszące się na wodzie żaglówki i jachty, a obok białe łodzie rybackie z niebieskim pasem wokół burt. Jechał wolno, przy zjeździe do słynnego budynku Gendarmerie Nationale dostrzegł kilkanaście osób i kilka

w nieładzie zaparkowanych furgonetek z logo SNC i napisem *La Société nouvelle de cinématographie*. „No tak, faktycznie mówili coś ostatnio w telewizji lokalnej, że przymierzają się do kolejnej części *Žandarma*” – przypomniał sobie i zatrzymał samochód przy kamienicze z zielonymi markizami i dużym, biało-czerwonym szyldem *Clacier*.

Kiedy wysiadł z samochodu, zauważył parkujące niebieskie sportowe renault fuego z charakterystyczną, giętą tylną szybą. „Czy to nie podobne auto, które mignęło mi w okolicach Port Grimaud? Ale ten ma białe pasy na obramowaniach drzwi i bagażnik z deską surfingową i złożonym żaglem do niej na dachu” – pomyślał i spojrzął na tablice rejestracyjne. „B 4231 OM... To samochód z Barcelony. Znowu Hiszpanie? Pewnie mają jakieś święto czy długi weekend...” Z tymi myślami wszedł do kawiarni i złożył zamówienie. Usiadł przy stoliku na zewnątrz. Uśmiechnął się. Wziął duży łyk gorącej kawy. Przegryzł słodkim rogalikiem. Uspokoił go widok i dźwięk żagli łopoczących na wietrze, sprawdzanych przed rejsem na kilku jednostkach. Po kilkunastu minutach spojrzął na zegarek. „Czas na mnie. Do Monte Carlo mam jeszcze kawałek drogi” – pomyślał i dokończył lekki posiłek.

* * *

Legrand postanowił podjechać do portu w Monte Carlo od strony słynnego kasyna. Okrążył je od północy. Bardzo lubił te wąskie uliczki biegnące to w górę, to w dół lub trawersujące przez ciasną zabudowę miasta. Jean ostro skręcił i wjechał do półotwartego tunelu doskonale znanego z wyścigów Formuły 1. Po chwili zobaczył widok, który zawsze go fascynował. Zatokę od strony gór zamykały wysokie, zbudowane tarasowo wieżowce, które gdzieś tam przecinane były ciągami rozłożonych markiz osłaniających balkony. Nad wieżowcami dominował wał górski pokryty w większości jeszcze zieloną trawą, niżej gęstwiną drzew, a na szczycie zakończony grzebieniem białych skał. A w dole, na spokojnej tafli zatoki, kołysały się setki zacumowanych jachtów żaglowych i motorowych oraz statków wycieczkowych. Spojrzął na znajdujący się po drugiej stronie zatoki, na wzgórzu, skąpany w soczystej zieleni *Palais princier de Monaco*. Zjechał powoli w kierunku portu. Ponieważ nie było jeszcze sezonu turystycznego, nie miał problemu z zaparkowaniem samochodu przy niewielkiej kawiarni, w której nie było nikogo poza znużoną kelnerką i jej koleżanką przy barze.

Usiadł przy stoliku najbliższym nabrzeża. Stąd widział doskonale „Esterę”, zacumowaną ze dwadzieścia metrów od niego i ledwie kołyszącą się na spokojnej wodzie zatoki. Smukła jednostka z wysokim masztem prezentowała się wyjątkowo elegancko. Jakby górowała nad innymi jachtami. Zamówił podwójny gin z tonikiem, listkami mięty, plasterkiem cytryny i kruszonym lodem. W porcie panował spokój zakłócany jedynie przez kilkunastu marynarzy US Navy, którzy zacumowali niedaleko swoją morską motorówkę. Jeden z nich poprawiał jeszcze lekko powiewający gwiazdzisty sztandar na rufie. „Pewnie coś dużego na redzie rzuciło cumy” – pomyślał Jean i wziął duży łyk chłodnego drinka. Zrobiło mu się lepiej. Cieszył się, że tę noc przed wjazdem do Włoch spędzi na pokładzie swojego ukochanego jachtu. W pewnym momencie kątem oka zobaczył niebieskie renault fuego, które zwolniło przed kawiarnią. Jean błyskawicznie skojarzył, że to ten samochód, który widział już dzisiaj... kilka razy. „No tak, rejestracja z Barcelony! Tylko bez bagażnika, deski surfingowej i białych obramowań!”. Szybko spojrzął w kierunku pasażerów. „Ci dwaj mężczyźni są jacyś dziwni” – pomyślał i zobaczył, że za renault podjechał srebrny citroën pallas, w którym siedziały cztery osoby. „Co się dzieje?” – pomyślał. W tym momencie dwa stoliki dalej usiadła piękna, młoda kobieta o mocno umalowanych piwnych oczach i kruczoczarnych włosach. Skórzana kurtka motocyklowa i obcisłe spodnie podkreślały kobiece kształty. Zamówiła espresso. Co jakiś czas spoglądała na niego, ze dwa razy szeroko się uśmiechnęła.

Jean powoli sączył drinka. Raz zerkał na „Esterę”, a zaraz potem na piękną brunetkę. Rozmarzył się. W tym momencie rozległ się odgłos odsuwanego, a potem przewracającego się metalowego krzesła. Legrand odwrócił się i spojrzął w kierunku stolika, gdzie siedziała kobieta, i zauważył, że ta podczas wstawania przewróciła sąsiednie krzesło. Kobieta powiedziała coś po hiszpańsku do stojącej obok kelnerki. Rzuciła na stół monety i odeszła. Po chwili rozległ się za budynkiem kawiarni warkot silnika motocykla. „Hiszpanka?” – pomyślał Jean i nagle coś mu przeszło przez głowę. Wstał zdenerwowany i ruszył pospiesznie w stronę pirsu, przy którym zacumowany był jego jacht. Nie uszedł kilku kroków, kiedy usłyszał za sobą głośny dźwięk, wręcz rumor rozbijanych krzesłek i przewracanych stolików. Niebieskie renault fuego z pełnym impetem i piskiem opon ruszyło przez pustą kawiarenkę w jego kierunku. Jean się odwrócił. Samochód zatrzymał się przed barierą. Jean zaczął biec.

Z samochodu wyskoczył mężczyzna trzymający w dłoni pistolet i ruszył za nim biegiem. Padły strzały. Legrand poczuł silny ból w nodze, po chwili w ramieniu. Ale nie zatrzymywał się. Był już blisko jachtu, kiedy usłyszał za sobą wyraźny ryk silnika motocyklowego. „Jeszcze kilka kroków! Jestem już blisko. W kajucie mam gotową do strzału strzelbę i sztucer” – pomyślał i złapał się linki na końcu sterburty. Wtedy padła krótka seria strzałów z broni maszynowej. Pociski dosięgły jego pleców. Jean się przewrócił. Jego dłonie chwyciły się kurczowo steru. Próbował wstać. Złapał się pomarańczowego koła ratunkowego z napisem „Estera”. Moment później upadł z nim na pokład. Ciemna krew powoli spływała po wewnętrznej ścianie burty. Tracił przytomność. Robiło mu się ciemno przed oczami. Jeszcze zdążył usłyszeć nad sobą jakieś krzyki i przekleństwa po hiszpańsku.

– ¡Hijo de puta! ¡Mata al bastardo!

Spojrzał ku górze. Jak przez ciemną mgłę zobaczył nad sobą piękną dziewczynę o kruczoczarnych włosach, tę samą, w którą przed chwilą wpatrywał się rozmarzony. Teraz mierzyła do niego z broni. Jej wyraz twarzy i oczy nie miały już w sobie tego ciepła, zniknęło też zalotne spojrzenie. Nie drgnął jej ani jeden mięsień na twarzy. Przez ułamek sekundy na siebie patrzyli.

Po chwili rozległa się seria z krótkiego, hiszpańskiego pistoletu maszynowego Star Z-62. Pociski roztrzaskały czaszkę Jeana i krew wymieszana z fragmentami mózgu zaląła tekową podłogę.

* * *

Kiedy niebieskie renault fuego ruszyło z portu w Monte Carlo, zatrzymało się dopiero po półtorej godziny w Alpach Nadmorskich, na niewielkim parkingu przy szosie *Route Napoleone* w kierunku Grenoble i Lyonu. Kierowca wysiadł z samochodu i ukląkł przed maską. Pociągnął silnie za hiszpańską tablicę rejestracyjną. Po chwili to samo zrobił z tyłu samochodu. Potem wyjął z bagażnika francuskie tablice i przymocował je na wcisk. Drugi mężczyzna stał oparty o samochód i palił papierosa. Patrzył w kierunku drogi z Nicei, skąd miała nadjechać reszta grupy specjalnej francuskiej *Service de Documentation Extérieure et de Contre-espionnage*.

– Majorze, chyba należałoby już skontaktować się z Paryżem, co? – odezwał się głos zza samochodu.

- Ze starym? – dopytał mężczyzna palący papierosa.
- No tak! Pułkownik tak na odprawie rozkazał. Pewnie zaraz pójdzie z tym do Marenches’a.
- A nie pamiętasz, co jeszcze stary mówił? Że mamy się skontaktować, dopiero gdy robota będzie wykonana. Czyli jak Hiszpanie znikną gdzieś w tych pięknych, dostojnych i dzikich górach. – Wskazał ręką ku szczytom.
- Czyli trop zostanie urwany. Czy ja się jasno wyraziłem, sierżancie? Dlatego nie pierdolcie mi tu, co mam robić, tylko odklejcie te białe pasy z drzwi. – Uśmiechnął się.
- Ja tylko, majorze...
- Dobra, już dobra. Jak wszyscy tutaj dotrą. – Wyrzucił i zdeptał niedopałek. – A właśnie. Tak przy okazji, Dawid. Pamiętasz, jak cię ściągnąłem z Korsyki, z tego twojego *2ème Régiment étranger de parachutistes*? To było jakoś zaraz po waszym powrocie z Zairu i Czadu z operacji „Tacaud”?
- Tak jest, panie majorze. Pamiętam!
- Mówiłem ci, że jako Polak mówiący czystą polszczyzną możesz zrobić większą karierę u nas w wywiadzie niż w Legii Cudzoziemskiej. Nie byłeś do tego przekonany i nie chciałeś zostawiać kolegów. Nie pomyliłem się, prawda?
- Prawda, panie majorze.
- To doskonale się składa. Pojedziesz z ekipą do Włoch. Właśnie jako Polak.
- Tak jest, panie majorze.
- No dobra, ale teraz jest ważniejsza sprawa niż natychmiastowe poinformowanie Paryża i twój wyjazd do Rzymu. Jak wyjedziemy gdzieś wyżej z tej doliny, to musimy się skontaktować z naszymi w Marsylii. Niech zdejną obserwację stacjonarną z punktu naprzeciwko domu, a technicy niech zejną z podsłuchu telefonicznego. Bo pewnie policja albo ci z DST zaczną zaraz węszyć.
- Tak jest.
- W tym samym momencie rozległ się niżej w dolinie warkot silnika. Zaraz potem podjechał do nich motocykl BMW R80 G/S. Mężczyzna i kobieta zdjęli kaski z głów. Kobieta rozpuściła swoje kruczoczarne włosy. Podeszli do majora.
- Meldujemy się!
- Gdzie reszta?

– Wloką się za nami. Powinni zaraz być. Dosłownie za kilka minut.

– Wszyscy?

– Tak jest. Cała ekipa. Peugeoty i pallas jadą szybciej, ale chłopaki z tą przyczepą ze sprzętem pływającym trochę się bujają na tych zakrętach. Zresztą Jean i Florence w kamperze też wolniej jadą. Więc pewnie dotrą parę minut po nich.

– *Très bien* – odpowiedział major i spojrzał na łagodne szczyty tutejszych Alp.

– Pojechaliśmy przodem, żeby pana majora poinformować, że wszystko w porządku – dodała, ale major kiwnął tylko głową. – To bierzemy się do zmiany rejestracji – powiedziała i podbiegła w kierunku motocykla.

Mehmet

Holandia – maj 1981 roku

...policja pod nadzorem miejscowej prokuratury prowadzi intensywne śledztwo w sprawie brutalnego zabójstwa Jeana Legranda, znanego i wpływowego bankiera z Marsylii. A oto nasz materiał.

W tym momencie jako przerywnik pojawiła się wirująca żółta kula ziemiska na niebieskim tle i biały napis pod spodem: *BBC 1*. Woronow zdenerwował się i poderwał z fotela. Podszedł szybko do niewielkiego telewizora Philips i pogłośnił. Jakość obrazu programu nadawanego z Wysp Brytyjskich ciągle nie była idealna w odbiornikach po tej stronie kanału La Manche. Jednak to, co usłyszał, było dla niego jasne i czytelne. Po chwili spiker wrócił do relacji z Francji. W górnym rogu ekranu pojawiło się zdjęcie uśmiechniętego Legranda.

...według naocznych świadków, kelnerek w portowej kawiarni w Monte Carlo, zabójstwo to wyglądało jak egzekucja. Utrzymują one, że była to grupa czterech osób – Hiszpanów, a wśród nich jednej kobiety. Policja potwierdza, że to przestępstwo nie miało charakteru rabunkowego. Prowadzone są na szeroką skalę poszukiwania niebieskiego renault fuego z charakterystycznymi niebieskimi pasami i motocykla BMW. Oba pojazdy były na hiszpańskich numerach rejestracyjnych i kierowały się w stronę

Nicei. Jak utrzymuje policja, do tego momentu blokada granic nie przyniosła rezultatów. Natomiast z nieoficjalnych źródeł płyną informacje, że był to akt terrorystyczny, którego miało dokonać tajne komando baskijskich separatystów z Euskadi Ta Askatasuna. W związku z tym na terenie południowej Francji policja przeprowadziła szereg przeszukań w domach osób będących sympatykami ETA.

...Kolejne informacje ze świata. Rodzina zmarłego właśnie w więzieniu Maze, po ponaddwumiesięcznym strajku głodowym, działacza IRA Bobby'ego Sandsa domaga się wszczęcia...

Woronow wyłączył telewizor. Stał nieco oszołomiony. Intensywnie myślał. Spojrzał błyskawicznie na zegarek. Było kilka minut po dwudziestej drugiej. Wyszedł z mieszkania w kamienicy przy Goudsbloemstraat 209 w centrum Amsterdamu i skierował się do oddalonej o kilkadziesiąt metrów budki telefonicznej. Starał się nie bieć. Szedł szybkim krokiem. Tuż przy kanale przeciął ulicę Lijnbaansgracht. Rozejrzał się dyskretnie, jednak niczego podejrzanego nie zauważył. Zacumowane przy brzegu barki wyglądały na zupełnie opustoszałe. Wszedł do przeszklonej budki telefonicznej. Szary, metalowy aparat wyglądał na solidny. Podniósł słuchawkę, wrzucił do otworu z prawej strony monety i wybrał numer do Szwajcarii.

– Halooo. Tak, słucham – odezwał się miły kobiecy głos.

– Dzień dobry! Ja w sprawie spotkania z panem Klimowem w Buenos Aires.

– Tak. Pan Klimow się niepokoił. Słucham – szybko odpowiedziała kobieta.

– Niestety muszę poinformować, że najbliższe spotkanie jest odwołane z winy jednego z inwestorów francuskich, który miał niegroźny... wypadek samochodowy.

– Rozumiem. Przekażę.

Woronow odłożył słuchawkę. Jeszcze chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą usłyszał w wieczornym wydaniu BBC 1. W ustalonym na tę operację kodzie wypadek oznaczał nieprzewidywane okoliczności uniemożliwiające realizację zadania,

a wypadek samochodowy śmierć. Po kilku minutach ruszył z powrotem. Po drodze spojrzął w okno naprzeciwko mieszkania i kiwnął głową.

* * *

Pasażerski samolot Fokker F28 holenderskich linii lotniczych KLM lecący z Monachium skręcił delikatnie w prawo i zaczął schodzić do lądowania na lotnisku Schiphol w Amsterdamie. W pewnym momencie wśród pasażerów rozległ się szmer i odgłosy zachwytu. Z lewej strony ukazały się wielobarwne polany Keukenhof – jednego z największych ogrodów tulipanowych na świecie.

Mehmet, dla którego był to pierwszy lot samolotem, większość czasu siedział przygarbiony, wpatrując się w podłogę, teraz jednak się ożywił. Odwrócił głowę w stronę okna. Nigdy nie widział tylu barw w jednym miejscu – kolorowej przestrzeni skąpanej w promieniach zachodzącego słońca. „Nawet sady morelowe u podnóża Zurbahan nie były tak kolorowe” – przywołał w pamięci rodzinne strony dystryktu Hakimhan. Siedział w ostatnim rzędzie. Był zmęczony wyciem silnika odrzutowego umieszczonego w tylnej części kadłuba i szarpnięciami, najbardziej odczuwanymi przez pasażerów siedzących blisko ogona. Jednak widoki, jakie teraz mógł podziwiać, trochę rekompensowały niekomfortowe warunki lotu.

Samolot spokojnie wylądował. Po tym jak wraz z innymi pasażerami został przewieziony do hali lotniska, Mehmet odebrał bagaż i przeszedł do kontroli paszportowej. Kiedy był już w hali głównej, jego uwagę zwrócił drewniany sufit wykonany z tysięcy desek, w którym umieszczono okrągłe lampy rozświetlające wnętrze. „Solidne lotnisko, tak jak to w Monachium” – pomyślał z zachwytem, choć były to jedyne porty lotnicze, jakie miał okazję do tej pory zobaczyć. Gdy skierował się do wyjścia, z półokrągłej ściany spoglądał na niego ogromny lew, a obok niego podświetlany neonami napis *Postgiro/Rijkspostspaarbank*. Wyszedł na zewnątrz i ruszył na postój taksówek. Stał przy żółtym mercedesie z czarnym napisem *taxi* na pomarańczowym tle. Od razu wysiadł z niego postawny mężczyzna o niebieskich oczach i blond fryzurze. Zapytał po angielsku:

– Dokąd jedziemy?

Mehmet podał kierowcy kartkę, na której widniał adres. Taksówkarz spojrzął na nią. Wziął od niego walizkę i wrzucił do bagażnika. Potem

uruchomił silnik, pogłośnił radio i ruszył.

Mehmet spoglądał na rozbłyskujące latarnie wzdłuż amsterdamskich ulic i uliczek. Czas spędzony w Monachium nie był dla niego nowym doświadczeniem. Czuł się tak jak wtedy, kiedy ukrywał się w Stambule. Także doskwierał mu brak zajęć. Długa izolacja dawała mu psychicznie w kość. Zadanie, o którym usłyszał od swoich bułgarskich opiekunów, potraktował jak wybawienie. Teraz jechał na spotkanie, gdzie zostanie wtajemniczony w operację, w której będzie brał udział. Obiecano mu, że po jej pomyślnej realizacji rozpocznie z nowym nazwiskiem życie na zachodzie Europy.

W Niemczech, nie mówiąc nic kapitanowi Nikołowowi, spotykał się potajemnie ze swoją siostrą mieszkającą w Pforzheim, niewielkim mieście koło Stuttgartu. Elif była teraz szczęśliwą żoną miejscowego aptekarza, urodzonego w polskim Raciborzu Niemca, i matką dwóch dziewczynek. Ponieważ ostatnio ukończyła kurs księgowości, pomagała mężowi w prowadzeniu rodzinnego interesu. Mehmet cieszył się, że siostrze się powiodło.

Mercedes się zatrzymał i w tym samym momencie kierowca rzucił krótko po angielsku:

– *Fifty guildens.*

Pasażer wyciągnął banknot, na którym widniał wizerunek złotego słonecznika, i podał go taksówkarzowi. Ten wysiadł i wystawił jego walizkę. Mehmet skierował się do budynku z tabliczką 209. Zapukał niepewnie do drzwi. Potem zauważył przycisk dzwonka. Nacisnął go. Po kilkunastu sekundach usłyszał dźwięk kroków na drewnianych schodach. Drzwi otworzył mężczyzna w średnim wieku i szybko się przedstawił:

– Andriej Woronow. Ty jesteś Mehmet? – zapytał, choć doskonale wiedział, że to on.

Mehmet skinął głową.

– Zapraszam.

Ruszyli wąskimi, stromymi schodami na pierwsze piętro. Weszli do dużego, przestronnego pokoju, z którego wychodziły okna na wąską uliczkę. Mieszkanie składało się jeszcze z małej sypialni, łazienki i niewielkiej kuchni.

– Rozgość się. – Woronow się uśmiechnął. – W lodówce jest jedzenie. Kupiłem dzisiaj *maatjesharing*. Pewnie nigdy nie jadłeś holenderskich śledzi.

Mehmet sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego.

– Wiem, że jesteś świetnym strzelcem. I ręka ci nie zdrzy, jak będzie trzeba. Likwidacja dziennikarza w Stambule to była naprawdę profesjonalna robota. Jak już wiesz, jest dla ciebie pewne odpowiedzialne zadanie.

– Gdzie?

– Rzym.

– Kiedy?

– Najwyżej w ciągu kilku dni.

– Dobrze. Cieszę się. Kapitan Nikołow obiecał mi, że po zakończeniu operacji zostanę odpowiednio wynagrodzony.

– Oczywiście. Dostaniesz solidne wynagrodzenie i co najważniejsze, nową tożsamość. Pozwoli ci to rozpocząć zupełnie nowe życie, gdzie tylko będziesz chciał. Poza tym oddasz przysługę swojemu krajowi.

Mehmet wyglądał na zadowolonego. Pierwsza niepewność i obawy minęły.

– A teraz już pora na mnie, Mehmet. Rozgość się tu. Odpocznij. Masz telewizor, pełną lodówkę. Pamiętaj. Nigdzie nie wychodź! Jutro rano się zobaczymy, to obgadamy szczegóły. Powiedzmy, hm... o dziewiątej.

Woronow zbiegł po schodach. Skręcił za róg, a następnie wszedł do budynku znajdującego się naprzeciwko posesji przy Goudsbloemstraat 209. Po chwili znalazł się w lokalu, którego okna salonu wychodziły na okna mieszkania, gdzie zatrzymał się Mehmet.

– Towarzyszu majorze, to co, na razie spokój? Może się czegoś na sen napijemy? – zaproponował jeden z mężczyzn zabezpieczających działania w Amsterdamie.

– A co tam nasi towarzysze z rezydentury w Hadze przygotowali?

– Finlandię classic – odpowiedział pytany, wyjął z zamrażalnika butelkę i postawił na stole. – Mamy tu też porządną zagrychę, naszą wędzoną słoninę, chleb, sery.

– Dobra, stawiajcie to. Nic nie jadłem od lunchu. Włączcie telewizor, ale nie zapalajcie światła. I jeden z was ma cały czas ze słuchawkami na uszach gapić się w jego okno. Jasne?

– Tak jest, towarzyszu majorze – odpowiedzieli razem szeptem.

– I meldować mi, jak się coś będzie u niego działo – polecił Woronow.

Po trzech godzinach i kolejnej butelce wódki Woronow zarządził koniec kolacji. Ustalili nocne dyżury. Po chwili major poszedł pod prysznic. Stał

pod nim kilkanaście minut. Gorąca para całkowicie wypełniła niewielkie pomieszczenie. Poszedł do sypialni. Nie marzył teraz o niczym innym jak o spokojnym długim śnie. Do swojego dyżuru miał trzy godziny.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy jeden z funkcjonariuszy KGB zaczął budzić Woronowa.

– Towarzyszu majorze. Dzieje się coś dziwnego. Obudźcie się, towarzyszu majorze!

Woronow zerwał się i pobiegł do salonu. Stał obok swoich ludzi i wszyscy zaczęli wpatrywać się w ulicę i dom z numerem 209.

– Przed chwilą zaparkowali. Nie mogą chyba go obudzić – skomentował sytuację obserwujący kagiebiści.

Ciemnobrązowe bmw serii 3 miało otwarte drzwi. Przed wejściem do kamienicy stali kobieta i mężczyzna.

– Drugi chyba ich zabezpiecza, towarzyszu majorze. Poszedł w stronę kanału – dodał i skinął głową.

– Co jest grane? – powiedział Woronow. – Coś słyhać?

– Chyba się budzi – relacjonował obserwator, który w napięciu wsłuchiwał się w każdy dźwięk wydobywający się ze słuchawek.

Po chwili w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy zapaliło się światło.

– Schodzi po schodach – dodał.

Drzwi się otworzyły. Pojawił się w nich Mehmet. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, wręcz zszokowanego. Goście weszli. Mehmet wyjrzał jeszcze na ulicę. Nikogo nie było.

* * *

– Oszalałeś, Yusuf? Jechać taki kawał drogi, żeby mi teraz prawić kazania? Co z tobą? Chyba powariowaliście w organizacji?! Jak możesz mnie o coś oskarżać! – krzyczał Mehmet. – A w ogóle dlaczego ją w to wplątałeś? Elif nie ma z tym nic wspólnego! A ty, Elif, dlaczego go tu przywiozłaś? Mówiłem ci. Nikt nie może wiedzieć o tym miejscu! – dodał i popatrzył z wyrzutem na siostrę.

– Mehmet, braciszku. Yusuf powiedział, że jesteś w wielkim niebezpieczeństwie i muszę go do ciebie zawieźć – odparła dziewczyna. – Powiedz mi, co tutaj się dzieje?

– Zamknij się, suko! Ten wyjazd do Niemiec zupełnie wyprał ci ten twój kurewski mózg! – krzyknął Yusuf i z całych sił uderzył ją w twarz.

Elif upadła na podłogę i zakryła dłońmi zakrwawioną twarz. Mehmet chciał rzucić się na Yusufa, jednak ten wyciągnął pistolet i w niego wymierzył.

– Zdradziłeś mnie i swoich braci. To już koniec – cedził Yusuf z twarzą wykrzywioną nienawiścią. – A ja ci wierzyłem! – krzyczał coraz bardziej wściekły. – Najpierw zabiję ciebie, a potem tę niewierną sukę, jeśli mi nie powiesz, dlaczego to zrobiłeś. Dla kogo teraz pracujesz?! Mów! Słyszysz?!

* * *

– Kurwa! Bierz szybko karabin i rozjeb tego Turasa! Nie ma czasu! – krzyknął Woronow.

Funkcjonariusz, nie zwlekając ani chwili, sięgnął do pokrowca po karabinek AKM z zamontowanym na końcu wylotu lufy tłumikiem. Nie musiał wykonywać żadnego pomiaru odległości. Było blisko. Bardzo blisko. Spojrzał przez celownik optyczny karabinka. Oderwał na chwilę wzrok i przeładował broń. Skupił się na celu. Wstrzymał powietrze i nacisnął spust. Rozległ się głuchy trzask.

Cała trójka widziała, jak mężczyzna w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy odrzucony siłą pocisku pada gwałtownie na stół i bezwładnie przewraca się na kanapę. Z jego głowy bryzgnęła krew.

– Jeszcze ten drugi przy kanale! Szybko! Kurwa! – Woronow krzyknął do strzelca i wybiegł z mieszkania.

Strzelec skierował broń w stronę mężczyzny stojącego nad kanałem. Oddał strzał. Mężczyzna osunął się na betonowy chodnik, zalewając go krwią.

Woronow wbiegł do mieszkania i szeptem rzucił do Mehmeta:

– Co tak stoisz?! Ruszaj się, kurwa! Pomóż wsadzić jego ciało do bagażnika. Chyba nie chcecie do końca życia siedzieć w więzieniu?!

Mehmet stał nieruchomo, jakby był w transie. Spoglądał na zakrwawioną Elif, która leżała skulona na podłodze i trzymała dłonie przy twarzy.

– Zbierajcie się! Już! Nie ma czasu. Jeszcze jest ten nad kanałem do sprzątnięcia – dodał już normalnym głosem Woronow.

Słyszając to, Elif zerwała się na równe nogi i zaczęła pomagać w wynoszeniu ciała.

– Ja mam małe dzieci. Nie mogę iść do więzienia. Rozumie pan?! – jęczała, zalewając się łzami.

– Potem będzie czas na wyjaśnienia, teraz zajmij się nim – powiedział Woronow i wskazał głową na ciało zastrzelonego. – Mehmet, ty z siostrą za nogi, ja za tułów!

Gdy znieśli i włożyli ciało Yusufa do bagażnika, Woronow podbiegł do zwłok leżących obok niewielkiej barki. Rozejrzał się, czy nikt ich nie obserwuje. Panowała zupełna cisza. Wszystkie światła w mieszkaniach były pogaszone. Jedynie przydrożne latarnie rozświetlały Lijnbaansgracht. Przejrzał szybko wszystkie kieszenie, zabrał dokumenty i wszelkie rzeczy, które mogłyby pomóc zidentyfikować ofiarę. Nogą popchnął nieruchome ciało do kanału. Głośny plusk oznajmił, że znalazło się w wodzie. Zaczynał padać rześisty deszcz. „To dobrze, zatrze ślady na chodniku. Nikt nie będzie się tu kręcić” – pomyślał i skierował się do bmw Elif.

– Daj mi kluczyki! Ja poprowadzę. A ty, Mehmet, szybko na górę po swoje rzeczy! – rozkazał major.

Kiedy Mehmet wsiadł do samochodu, Woronow dał znać ruchem głowy w stronę okna na pierwszym piętrze, żeby jego ludzie rozpoczęli ewakuację do lokalu zapasowego.

* * *

Bmw pędziło autostradą w kierunku Eindhoven. Elif siedziała z przodu na miejscu pasażera, ciągle szlochała i mamrotała coś po turecku. Mehmet na tylnym siedzeniu milczał i wpatrywał się w rozświetlaną reflektorami samochodu drogę.

– A teraz uważnie mnie oboje słuchajcie! Od tego zależy wasze pieprzone życie – zaczął w pewnym momencie Woronow. – Jedziemy na stację kolejową w Eindhoven. Mehmet, jeszcze tej nocy ruszysz do Rzymu z przesiadkami w Karlsruhe, Zurychu i Mediolanie. Mam dla ciebie paszport, dzięki któremu będziesz mógł swobodnie przemieszczać się po całej Europie. Są tu też pieniądze i kartka z adresem, gdzie masz się zameldować. To długa podróż. – Popatrzył w lusterko wsteczne i podał do tyłu dokumenty i kopertę. – A ty, Elif, wracasz do siebie. – Odwrócił się do rozdygotanej, przerażonej dziewczyny. – Czy to dla was jasne? – zapytał i zobaczył, jak oboje potakują.

Tuż przed mostem na rzece Waal, nieopodal Zaltbommel, Woronow zjechał z drogi. Po chwili się zatrzymał.

– Pomóżcie mi opróżnić bagażnik! Szybciej! Ruszajcie się!

– W co ty się wpakowałeś, Mehmet? Co z nami teraz będzie? – pojękiwała kobieta.

– Zamknij się już! Opanuj się. Pomóż bratu! – krzyknął Woronow. – Chcesz wrócić do Pforzheim do męża, Neli i Katii? To rób, co mówię.

– Skąd pan zna moje córki? Skąd pan wie, gdzie mieszkam? Kim... pan... w ogóle jest? Co tu się wyrabia?! – zapytała z przerażeniem w oczach.

– Nieważne. Ale ważne jest to, że jak twój brat się spisie, to nikt się nie dowie o tym tutaj gnoju, który chciał was zastrzelić, i tym drugim, który pływa w amsterdamskim kanale. Proponuję ci, Elif, oddać samochód do myjni. Niech wyczyszczą dokładnie wewnątrz. Ale dopiero gdy wjedziesz na teren Niemiec. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Na pewno?

– Tak!

– Świetnie, że w końcu się rozumiemy. Opanowałaś się? Jeszcze jedna robota i już po wszystkim – powiedział uspokajająco do dziewczyny, a ta pokiwała głową. – Masz tu sto marek. Na myjnię i jakiś hotel po drodze. Odpocznij, zanim spotkasz się ze swoim niemieckim aptekarzem.

– On jest Polakiem, nie Niemcem. Jego rodzice tylko tak podali po tym, jak uciekli z Polski do dalekiej rodziny w Pforzheim – odpowiedziała szeptem.

Gdy wrzucili zwłoki do rzeki, Woronow wyciągnął zakrwawione szmaty, którymi obłożyli roztrzaskaną głowę Yusufa. Wetknął je w piaszczysty brzeg rzeki. Kiedy Elif wróciła do samochodu, Woronow poszedł do Mehmeta obmywającego na brzegu ręce w wodzie.

– Słuchaj, w Rzymie poznasz swoje zadanie.

– Kto mi o nim opowie?

– Ja. Za kilka dni się tam spotkamy. Kiedy dotrzesz do Rzymu, jedź prosto do Domu Pielgrzyma Polskiego. Masz to napisane na kartce, którą ci dałem z pieniędzmi.

– Czy przyjmują każdego, kto tam się zjawi?

– Zgłoś się do dyrektora. Powołaj się na ojca Maurycego z kościoła Świętego Krzyża w Nikozji. Pamiętaj, że jesteś od teraz Grekiem z Cypru.

Jak zatrzymasz się gdzieś w hotelu w drodze do Rzymu, to ogol się. Rozjaśnij włosy. Wtedy nie będziesz się rzucał w oczy.

– Dobrze.

– Jeszcze jedna ważna sprawa. Powiedz mi, kto prócz tego trupa mógł wiedzieć, że jesteś w Holandii? Komu mógł powiedzieć o tym ten świr?

– To był mój przyjaciel, a nazywał się Yusuf. Mógł powiedzieć swojemu bratu Mustafie. To nasz przewodnik duchowy.

– A gdzie teraz jest ten Mustafa? Wiemy o nim cokolwiek?

– Wyemigrował do Francji. Tam teraz mieszka i pracuje wśród naszych braci. Nie mam z nim kontaktu od dłuższego czasu. Yusuf się tym zajmował.

– Tych braci, co chcieli cię załatwić jak psa? Niezły przewodnik duchowy...

– To nie tak...

– Dobrze, dobrze – przerwał mu Rosjanin. – Teraz musisz dotrzeć do Rzymu. Nie możesz tego spierdolić, Mehmet. Nie możesz. Pamiętaj o tym!

– A nie boicie się, że wam po prostu ucieknę?

– A nie boisz się po prostu... o siostrę i siostrzenice?

Alois

Rzym – maj 1981 roku

Po przejściu około kilometra lesistym terenem Alois dotarł wreszcie na szeroką, ciągnącą się przez kilka kilometrów plażę we Fregene. Kiedy wysiadł z pociągu na stacji Maccarese-Fregene, łatwo wtopił się w tłum turystów z Rzymu. Wielu mieszkańców stolicy oddalonej o niespełna czterdzieści kilometrów, zachęconych ciepłym majowym słońcem, postanowiło spędzić popołudnie nad morzem i tłumnie ruszyło na plażę. Zerknął jeszcze na zegarek. Było wpół do czwartej. Skierował się do usytuowanej przy samej plaży restauracji Sogno del Mare. Usiadł przy wolnym stoliku na samym skraju tarasu, skąd rozpościerał się piękny widok na morze. Wspaniale odpoczywało się w chłodzie, który zapewniały pobliskie palmy. Plaża we Fregene cieszyła się dużą popularnością wśród hierarchów kościelnych z Watykanu, dlatego Alois wskazał to miejsce na spotkanie. Kiedy podeszła kelnerka, zamówił chrupiące kalmary po rzymsku i campari z sokiem pomarańczowym. Drinka przyniosła mu niemal od razu, ale na kalmary w chrupiącej panierce musiał jeszcze poczekać. Czuł lekkie podenerwowanie, dlatego od razu wziął parę dużych łyków, licząc na to, że alkohol trochę go rozluźni i uspokoi. Po kilku minutach kelnerka wróciła z talerzem.

Od czasu, gdy nawiązał współpracę ze wschodnioniemiecką Stasi, jego łącznikiem niezmiennie był Jens Luft – agent działający pod przykryciem działacza Socjalistycznej Partii Szwajcarii. Jednak pół roku temu coś się zmieniło i Jensa zmienił oficer radzieckiego KGB, Andriej Woronow. Alois nie pytał, jakie były tego powody. Zdawał sobie doskonale sprawę, że obie

służby współpracowały ze sobą na kierunku watykańskim i włoskim. W przeciwieństwie do Lufta, Woronow wydawał mu się bardziej opanowany i łatwiej prowadziło się z nim rozmowę. Ich kontakty były poza tym bardzo intensywne. Spotykali się głównie w nadmorskich kurortach nieopodal Rzymu. Alois czuł, że nie chodzi tu tylko o zwykłe informacje polityczne, plotki towarzyskie i obyczajowe czy doniesienia o nadużyciach finansowych osób związanych ze Stolicą Apostolską.

Alois z każdym miesiącem trudniej było prowadzić podwójne życie, szczególnie że przez ostatnie dwa lata nastąpiły u niego duże zmiany. Poślubił pochodzącą z Gwatemali Gladys, kobietę pobożną i całym sercem zaangażowaną w sprawę Kościoła. Małżeństwo to było czysto formalne. Jemu dawało większy prestiż jako oficerowi Gwardii Szwajcarskiej i kamuflowało jego preferencje seksualne. Z kolei Gladys, osoba bogobojna, realizowała się zawodowo bliżej Kościoła, a od ślubu w samym jego sercu, bo w Watykanie. Alois coraz częściej czuł, że brzemię, jakie na nim ciąży od pamiętnej nocy w darkroomie w Zurychu, nie pozwala mu do końca normalnie funkcjonować. Do tego dochodził nieustanny lęk o rodzinę w Zermatt. Niemal każdego dnia bał się, czy służby watykańskie, na czele z inteligentnym i przebiegłym Luigim Poggim, nie znajdują dowodów na jego agenturalną, wrogą działalność. Wiedział, że jest w potrzasku, ale liczył, może nieco naiwnie, że gdy wykona swoje ostatnie zadania, będzie mógł zakończyć tę współpracę i uwolnić się od ciężącego mu brzemienia. Na każdym spotkaniu zamierzał poruszyć ten temat, jednak ciągle brakowało mu odwagi.

Dochodziła szesnasta. Alois z daleka dostrzegł Woronowa. Radziecki oficer wyglądał jak każdy przeciętny plażowicz: w szortach, rozpiętej kolorowej koszuli z krótkimi rękawami i klapkach na nogach. Wprost idealnie wtapiał się w otoczenie i atmosferę relaksu. Zanim usiadł przy stoliku, podszedł do bufetu i poprosił o butelkę piwa Nastro Azzurro. Stamtąd popatrzył w kierunku Aloisa. Zauważył, że ten zgodnie z przyjętymi ustaleniami ma znak bezpieczeństwa – duży kieliszek z campari.

Kiedy usiadł przy stoliku obok Aloisa, od razu krótko rzucił:

- Jak rozumiem, wszystko w porządku.
- Tak. Nic podejrzanego nie zauważyłem.
- Widzę, że wzięłeś kalmary. Też chętnie zamówię – powiedział Woronow i machnął ręką do kelnerki, dając znak, że chce zamówić to samo.

– Co u ciebie, Alois? – zapytał oficer KGB i pociągnął z butelki kilka łyków zimnego piwa.

– Dziękuję, dobrze.

– W domu też? – drążył.

– Tak. A co?

– A tak... Pytam po prostu. Jak się sprawuje twoja latynoska żona? Gorąca krew, co? – powiedział i zaśmiał się.

Alois popatrzył na niego z nieco zdziwioną miną. Nie spodziewał się, że akurat od tego zaczną spotkanie. W ogóle nie spodziewał się, że takie osobiste sprawy zainteresują oficera KGB. Zwykle, jeśli je poruszali, to na koniec, przy okazji luźnej rozmowy.

– Chciałem cię o coś zapytać.

– Słucham.

– Powiedz mi, jak to jest z tobą? Już jej powiedziałaś czy może się domyśla?

– Czego?

– No jak czego? Że jak ją obracasz w łóżku, to... wiesz... – Znowu się zaśmiał.

– Wszystko w porządku. To przyzwoita kobieta – odpowiedział Alois nieco niepewnie.

– No dobrze. Rozumiem. To nie są proste wybory... *gołuboj malczik* – rzucił Woronow już poważniejszym tonem.

– Słucham?

– Nic. To po rosyjsku. Jak sytuacja... O, kalmary już idą! – przerwał, a kelnerka po chwili zaczęła stawiać posiłek.

– A jak sytuacja w kurii rzymskiej? – wrócił do pytania po odejściu kelnerki.

– Nic nowego. Może poza tym, że sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej na dniach wylatuje do Nowego Jorku na szczyt ONZ – odpowiedział Alois.

– O, ciekawe. Mówisz, że chudy wybiera się za ocean. Hmm... To papież w końcu trochę odpocznie od jego towarzystwa – powiedział Woronow i się zamyślił.

– Chudy to on może jest, ale ma tak mocną głowę, że mnie i ciebie położyłby na łopatki. – Alois uśmiechnął się, a po chwili dodał: – Legendy o tym, że potrafi dużo zjeść i wypić, krążą już od dawna. W ubiegłym tygodniu na przyjęciu w pewnej ambasadzie sam zjadł całą dużą faszzerowaną kaczkę.

– Ha, ha, ha. Gdzie to się w nim mieści?! No dobra. Potwierdziłeś, jak prosiłem, rozkład obowiązków papieża na najbliższe dni? Coś się zmieniło?
– zapytał i wyjął z kieszeni kolorowej koszuli kartkę, położył ją obok talerza i przycisnął butelką piwa.

Alois spojrział w kierunku morza i się zamyślił. Na plaży biegające i wrzeszczące dzieci mieszały się ze spacerującymi wzdłuż brzegu dorosłymi. Na kocach opalały się dziewczyny w bikini i zalecający się do nich młodzi faceci. Na większych kocach rozłożyły się całe rodziny i objadały się różnymi specjałami wyjętymi z kosztów piknikowych. Wszędzie plażowej biesiadzie towarzyszyły większe i mniejsze butelki czerwonego wina. Alois po chwili odwrócił się w stronę Woronowa i zaczął referować:

– Jutro o szesnastej będzie odprawiał mszę w parafii Świętego Tomasza. W sobotę odwiedzi sanktuarium w Mentorelli. Prawdopodobnie dotrze tam w godzinach przedpołudniowych. Nie mogę w stu procentach potwierdzić, czy będzie tam nocował, czy może...

– Dobra, dalej – przerwał mu Woronow.

– W niedzielę o dwunastej jak zawsze na placu Świętego Piotra odmawiany będzie *Anioł Pański*.

– Tak... – Woronow spojrział na karteczkę.

– W środę trzynastego maja o siedemnastej audyencja generalna wśród wiernych na placu Świętego Piotra.

– A co ten *papa rimskij* taki aktywny? – skomentował Woronow.

– Pewnie ma to związek ze zbliżającym się referendum we Włoszech w sprawie odrzucenia ustawy aborcyjnej. Zależy mu na tym, by projekt ten został wycofany – wyjaśnił ze spokojem w głosie Alois.

– Rozumiem. No to wychodzi na to, że... nic... się nie zmieniło – powiedział Woronow, złożył karteczkę i schował ją z powrotem do kieszeni. – A, jeszcze jedna rzecz, Alois. Jak wygląda sprawa posiłków papieża i transportu wina na jego stół?

– Jak wiesz, temat ten jest bardzo delikatny i objęty klauzulą tajności. Dostęp do tych informacji...

– Alois, kurwa! Nie pieprz mi tu o jakichś kościelnych klauzulach tajności. Doskonale o tym wiem, zapomniałeś? Ty tam po to jesteś, żeby nam o tym opowiedzieć – przerwał mu poirytowany Woronow.

– Posiłki dla papieża przyrządzane są z płodów rolnych z Castel Gandolfo. Tam jest duża farma, są winnice...

– Kurwa, Alois. Czekaj. My chyba się nie rozumiemy – przerwał mu znowu Woronow. – Mnie chodzi o to, jak wygląda transport wina na papieski stół. Kto wybiera i sortuje butelki? Kto je zabezpiecza? Kto sprawdza? Kto przewozi? Kto kontroluje w kuchni? A nawet kto nalewa wino do pieprzonego papieskiego kieliszka! Rozumiesz?!

– Andriej. Nie tak prosto to ustalić... Zrozum też mnie. Bardzo się narażam, kiedy wypytyuję o rozkład dnia papieża, gdy nie pełnię służby. A teraz to... Musiałbym, sam nie wiem... Musiałbym wystawić się na duże ryzyko.

– Alois, posłuchaj. Jakie to ryzyko?! Żadne! Nie przesadzaj... – Woronow zawiesił głos, a po chwili dodał: – Osłaniam ci dupę, by kontrwywiad włoski nie wpadł na twój ślad. Według naszych informacji zaczęli węszyć koło ciebie. Na razie dyskretnie wypytyują. Dokąd chodzisz? Z kim się kontaktujesz? O rodzinę w Szwajcarii. O kontakty towarzyskie i posłuchaj uważnie... polityczne w Zurychu. Udało się nam ich zmylić, więc jesteś bezpieczny.

– Naprawdę węszą? Wypytyują o rodzinę? Ale przecież nie mają powodów!

– Nie mają powodów... mówisz? Kurwa, Alois! Jeśli ja wiem o twoich regularnych wizytach w rzymskich darkroomach, to oni też niedługo się o tym dowiedzą. Miałeś tam, kurwa, nigdy więcej nie chodzić! Co obiecałeś mi pół roku temu?! W dodatku znowu byłeś w Zurychu. Jak cię tak dupa śwędzi, to znajdź sobie jakiegoś miłego, ciepłego regularnego kochanka. Bo o to, gdzie jak gdzie, ale w Watykanie... nie będą mieli pretensji.

– Tak. Ale...

– Jakie, kurwa, znowu ale?! Zrozum. Jeśli wpadną na ślad Jensa w Zurychu, to po nitce do kłębka mogą dotrzeć najpierw do innych towarzyszy ze Stasi w Socjalistycznej Partii Szwajcarii, a potem... do nas. A na to nie mogę pozwolić. Zresztą mniejsza o mnie. Moskwa nie dopuszcza takiego scenariusza – powiedział Woronow i teraz on spojrzał w kierunku morza.

Alois spochmurniał i się zamyślił. Słowa oficera KGB były wyjątkowo celne. Sam już wielokrotnie czuł, że coś się dzieje wokół niego, że padają jakieś półsłówka. Nie umiał tego wytłumaczyć. Myślał, że sprawa z jego małżeństwem załatwi temat, że zmyli trop. Ale nie. Widać nie zmyliła. A on

cały czas się czuł zagubiony. Cały czas czegoś szukał. Wracał myślami do Hansa.

– Tak jak ci powiedziałem. Robię wszystko, żebyś był bezpieczny! – odezwał się po dłuższym milczeniu Woronow. – Tylko że ty, Alois, jak widzę, tego nie doceniasz.

– Doceniam...

– Co doceniasz?! Gdzie informacje o lukach w ochronie papieża, o jakie cię prosiłem już dwa miesiące temu? Miałeś przygotować szczegółowy materiał.

– Andriej, ale mnie to już przerasta. Przytłacza. Mówiłem ci przed chwilą – szepnął Alois.

– To może w inny sposób – powiedział Woronow, po czym pokazał kelnerce pusty kieliszek Aloisa i pustą butelkę po piwie.

Ta po chwili była już przy stoliku z campari i nastro azzurro.

– Obiecuję ci, że jak doprowadzisz tę sprawę do końca, to będziesz miał wolną rękę. Zniszczymy wszelkie dowody na twoją współpracę z nami. Zdjęcia z darkroomu w Zurychu także znikną. Wyjedziesz z żoną albo kochankiem, bo ja wiem... do Ameryki Południowej i będziesz miał spokój. Możemy tak się umówić?

– A oni?

– Jacy oni?

– No wiesz. Jens...

– Towarzyszami ze Stasi się nie martw. Załatwimy to. To co, dogadaliśmy się?

– Tak. Zgodą! – Alois się ożywił.

– Ale musisz... Zresztą sam wiesz, co musisz. To jak z tym winem dla papieża?

– Z tego, co wiem, transporty wina do Watykanu z Castel Gandolfo są przesyłane równolegle z transportem do sklepu watykańskiego. Tam można kupić te same wina.

– A kto decyduje, jakie wina trafiają na stół papieski? Inaczej, żebyś mnie precyzyjnie zrozumiał: które butelki?

– To trudne pytanie. Nie ma jakiegoś jednego niezmiennego systemu. Jest to zawsze obarczone pewnym przypadkiem. Hm... – Alois się zamyślił. – Siostry zakonne z Polski tym się zajmują.

– Tylko z Polski?

– Tak. Bo widzisz, Andriej. Prawda jest taka, że papież obstawił się znajomymi z Polski, z którymi działał w konspiracji jeszcze w czasie wojny.

– Jak prawdziwy czekista ten wasz papież! – Uśmiech wrócił Rosjaninowi na usta.

– To po prostu jego sprawdzeni ludzie. Z dużą nieufnością patrzą na innych. Nawet na zadawanie pytań przez kogoś spoza ich kręgu spoglądają podejrzliwie.

– Czegoś tu nie rozumiem, Alois. Przecież ty jesteś w ochronie osobistej papieża.

– Tak, jestem, ale ja go ochraniam tylko... jak by ci to wytłumaczyć... Na zewnątrz! A ty pytasz o sprawy... wewnętrzne. Jakby osobiste. Papież w zasadzie konsultuje wszystkie sprawy z tej sfery wewnętrznej, osobistej, ze swoimi przyjaciółmi z Polski.

– Aż taki nieufny?!

– Tak. Wyobraź sobie, że nawet wybór jego osobistego lekarza był podjęty razem z nimi.

– Rozumiem. Powiedz mi, czy mógłbyś taki transport wina nadzorować, zanim przekażesz go tym siostram zakonnym? No... powiedzmy, przy najbliższej okazji.

Nastąpiła cisza. Alois znowu spojrział w kierunku lazuruwej wody. Sytuacja na brzegu nic się nie zmieniła. Ten sam obraz. Może aktorzy tylko nieco inni. Odwrócił się w końcu do Woronowa i odpowiedział:

– Tak, mógłbym.

– Dobrze. A na jaki dzień może być planowany ten transport? Jak uważasz, a może wiesz?

– Jeśli dobrze pamiętam, to na czwartek czternastego maja. Coś mi się obilo o uszy.

– Czy transport dla papieża jest jakoś oznaczony? Nie przypomnisz sobie?

– Z tego, co wiem, są dwie skrzynie. Większa na papieski stół, a mniejsza dla innych hierarchów oraz do sklepu watykańskiego.

– O! Czyli jednak przypomniałeś sobie. Rozumiem, że mógłbyś nadzorować tę większą skrzynię, by wina z niej trafiły na papieski stół?

– No tak. Myślę, że mógłbym.

– Przekażę ci szczegóły, powiedzmy... dzisiaj wieczorem. Dokładnie o dwudziestej trzeciej czekaj w bramie, przy uchylonych drzwiach do

wejścia na klatkę u ciebie w kamienicy.

Alois skinął beznamiętnie głową. Woronow zmierzył go wzrokiem, a po chwili zapytał:

– A właśnie, jeszcze dwie sprawy! Jak wygląda możliwość wejścia osób postronnych na plac Świętego Piotra podczas audiencji? Za każdym razem jest kontrola?

– Członkowie zorganizowanych pielgrzymek wpuszczani są praktycznie bez kontroli. Osoba spoza pielgrzymki będzie z dużym prawdopodobieństwem dokładnie sprawdzana.

– A co wiesz o Domu Pielgrzyma Polskiego przy via Pfeiffer 13?

– Dom mieści się w kamienicy niedaleko placu Świętego Piotra. Dysponuje kilkudziesięcioma pokojami dla pielgrzymów i ma duże zaplecze administracyjne prowadzone przez polskie zakonnice...

– Te informacje mogę sam znaleźć w przewodniku – przerwał Woronow.

– Dyrektorem jest pewien jezuita z Polski. Mówią o nim Casimirus. Chyba jakoś tak.

– A inny personel? Kojarzysz kogoś?

– Miałem kilka razy do czynienia z jego prawą ręką. To młoda dziewczyna z Polski. Nazywa się... Hmm... Czekaj... Basia! Przyjechała w zeszłym roku z pielgrzymką i już została. Zajmuje się pielgrzymami przybywającymi do Watykanu. Dyrektor często wozi ją swoim fiatem 127.

– Łączy ich coś więcej?

– Tego nie wiem. W ogóle sporo plotek o niej krąży. Nie wiem, czy są prawdziwe. Może to przez zawiść, bo to niebrzydka, ale samotna dziewczyna. Wtedy wiadomo, ludzie od razu wymyślają jakieś historie.

– Na przykład jakie?

– Na przykład że utrzymuje kontakty bodajże z Turkami cypryjskimi.

– Co znaczy, że utrzymuje kontakty? Puszczą się z nimi czy co?

– Nie znam szczegółów. Po prostu kręcą się koło niej. A ona często zabiera ich na audiencje u papieża.

– A wiesz coś więcej o tych Turkach? Kim są?

– Niewiele. Nasze służby się tym interesują. Podobno ten, z którym jest w dość zażyłych relacjach, to lekarz z Nikozji.

– A dyrektor to toleruje? Przecież to muslimy!

– Nie wiem, czy muslimy, czy chrześcijanie z Cypru. W tym miejscu panuje wielki bałagan. Tam się przewija mnóstwo ludzi poza wszelką kontrolą. Nie tylko z Polski. Jest wielu polskich emigrantów z całego

świata. Z innych krajów bloku wschodniego. Byłem akurat na urlopie, jakoś na początku roku, gdy na jednej z odpraw naszej służby zwracano na to uwagę. Ale nic nie zostało postanowione w tej sprawie.

– Jak będziesz miał okazję, to dowiedz się więcej o tej dziewczynie... jak jej tam... Basi?

– Czyli co dokładnie?

– Kurwa. Co z tobą?! – zapytał poirytowany Woronow. – Proste informacje. Skąd przyjechała? Czym zajmowała się przed przyjazdem do Włoch? Jakie zna języki obce? Gdzie i z kim spędza wolny czas? Kto ją posuwa? Dyrektor czy jakiś inny dominikanin, ksiądz, biskup, zakonnica... Czym w Rzymie zajmuje się jej przyjaciel z Nikozji? Kogo zna w Watykanie, czy może kogoś przy papieżu? Kurwa, Alois. Czy trzeba ci to za każdym razem przypominać?! – dodał Rosjanin.

* * *

Woronow podszedł do wnęki z napisem *Telefono Pubblico* znajdującej się w budynku stacji kolejowej Maccarese-Fregene. Podniósł masywną szarobrazową słuchawkę. Wyciągnął z kieszeni garść monet i wrzucił je kolejno do otworu znajdującego się w górnej części aparatu. Wystukał na czarnych klawiszach numer. Po kilku przywołujących dźwiękach odezwał się miły kobiecy głos:

– Golden Ring Capitals. W czym mogę pomóc?

– Chciałem zostawić informację dla Iwana Klimowa.

– Tak. Słucham?

– Proszę przekazać, że spotkania z inwestorami odbędą się zgodnie z planem. Agenda na najbliższe dni pozostaje niezmienną.

– Dobrze. Zanotowałam i niezwłocznie przekażę informację panu Iwanowi.

Woronow odłożył słuchawkę na widełki.

Danczo

Włochy – wiosna 1981 roku

Promienie wschodzącego słońca rozświetliły niewielki pokój na poddaszu kamienicy przy via di Calisto, na rzymskim Zatybrzu. Danczo właśnie kończył poranną modlitwę, jaką zawsze odmawiał zaraz po przebudzeniu. Wstał z kolan i wziął do rąk wąską rzymską cegłę stojącą na parapecie i jak co rano podparł nią niewielkie okno na poddaszu. Zawsze tak robił, żeby w ciągu dnia był w pokoju przewiew. Od kiedy zamieszkał w Rzymie, jego rozmowy z Bogiem stały się jeszcze bardziej gorliwe i szczere. „Dziękuję Ci, Boże, że dałeś mi szansę być w tym pięknym miejscu. Być blisko Ciebie” – powtarzał w myślach zawsze na zakończenie modlitwy. Nie potrafił tego opisać słowami, ale czuł, że wreszcie jest szczęśliwy i może się realizować ku chwale Bożej.

Chłopak między rozważaniami o Bożej opatrności a sprawami przyziemnymi często wracał myślami do swojej drogi. Po ponad czterystu kilometrach dotarł z pomocą Woronowa pod granicę jugosłowiańsko-włoską do miasta Nova Gorica w regionie Goriška. Zobaczył tam betonowy, niewysoki mur, za którym były już ulice włoskiego miasta Gorizia. Wcześniej, w drodze, pędząc nadmorską *jadranką*, Woronow opowiedział mu historię tego miejsca. Że jest to wynik uwarunkowań traktatu z końca lat czterdziestych, podpisanego w Paryżu pomiędzy Włochami a państwami alianckimi, który określił na nowo granicę Włoch i Jugosławii w tym rejonie. Wtedy zdecydowano, że miasto Gorizia pozostanie we Włoszech. Podkreślił również z satysfakcją, że takie miejsca

są wymarzone do realizacji działań polegających na przerzucie ludzi na Zachód.

Po przejściu granicy, zgodnie z zaleceniami Woronowa, Danczo oddał się w ręce funkcjonariuszy z Głównej Kwestury regionu. Przewieziono go wraz z innymi uciekinierami do *campos di profugi* we wsi Padriciano pod Triestem. Były to dawne koszary amerykańskie składające się z czterech budynków z czerwonej cegły. Dostał tam jedzenie, inni również ubrania. Nastąpiły pierwsze przesłuchania. Po uwiarygodnieniu się i otrzymaniu statusu uchodźcy Danczo otrzymał trzysta dolarów amerykańskich, które musiał wymienić na włoską walutę po kursie 1 do 830. „I stałem się prawie milionerem” – śmiał się w myślach. Dostał ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy lirów.

Danczo dochodził co jakiś czas do wniosku, że to cud, iż trafił na stałe na Zachód. Tłumaczył sobie jakoś podświadomie, że najpierw Opatrzność sprowadziła do niego kapitana Nikołowa z bułgarskiego wywiadu, potem bezpiecznie pozwoliła mu wydostać się z Bułgarii, następnie uratowała go w Splicie przed bułgarską bezpieką. W końcu jechał z Woronowem wzdłuż malowniczego wybrzeża Adriatyku do Lublany i dotarł szczęśliwie do Triestu. „Ten cud umożliwił mi podziwianie tych setek wysepek rozrzuconych po szmaragdowym morzu, tych pięknych miast i miasteczek, wijącej się między nadmorskimi skałami szosy. Ta sama Opatrzność prowadzi mnie do najwspanialszego miejsca na świecie – Rzymu” – rozmyślał co jakiś czas.

Teraz, po zakończonej modlitwie, zagłębił się w rozważaniach: „Te Twoje znaki, które mi dawałeś podczas trzęsienia ziemi w Szumenie czy później, gdy stawiałeś na mojej drodze tych wszystkich ludzi, dzięki którym tutaj jestem... Mam nadzieję, że dobrze je odczytałem. Jednak skoro tutaj jestem, to widocznie taka była Twoja wola”.

Ulica, przy której mieszkał, znajdowała się niedaleko Piazza di Santa Maria, a przede wszystkim – co dla Dancza było bardzo ważne – w pobliżu bazyliki Najświętszej Maryi Panny na Zatybrzu. Dzięki temu mógł codziennie przed pracą uczestniczyć we mszy świętej, na której było zwykle niedużo osób. Danczo wtedy czuł *sacrum* starej świątyni. Nawet lekki zaduch czy zapach stęchlizny z grobowców i ze starych murów nastrojały go duchowo. To tutaj najlepiej rozumiał, dlaczego Bóg oddał swoje życie za innych. To sprawiało, że z każdym dniem Danczo zaczynał myśleć o poświęceniu się, by być bliżej niego. Czytając stare księgi na

studiach mediewistycznych, trafił pewnego razu na opis buddyjskiego obrzędu *sokushinbutsu*. Był to kilkuletni proces medytacji i głodówki, jakiej poddawał się mnich buddyjski, by znumifikować swoje ciało i zgodnie z wiarą buddyjską osiągnąć stan świętości. Zafascynował go ten obrzęd. Wiedział, że nie ma nic wspólnego z jego wiarą chrześcijańską, jednak podziwiał tak wielkie poświęcenie dla wiary. Sam pragnął choć w połowie oddać część siebie Bogu. W Rzymie jego pasja studiowania starodruków nadal się rozwijała.

Mieszkanie, które zajmował, było niewielkie. W jego pokoju trzy solidne belki podtrzymywały sufit, na którym podczas obfitego deszczu pojawiały się zacieki. Gdy świeciło słońce, temperatura wewnątrz stawała się nie do zniesienia. Dlatego zawsze wracał spać bardzo późno, a wstawał wcześnie rano.

Krótko po przyjeździe do Wiecznego Miasta poznał Diego – młodego księdza z Argentyny, który otoczył go opieką. Dzielił z nim dwupokojowe mieszkanie na poddaszu z obszerną kuchnią. To on pomógł mu w znalezieniu pierwszej pracy w rzymskim sierocińcu. Zajęcie to dawało Danczowi wiele radości i satysfakcji. Volkswagenem polo, należącym do Diego, rozwoził kilkunastoletnich chłopców do dużych posiadłości, głównie w Rzymie, Ostii i Fregene. Tam mogli odpocząć od życia w surowych warunkach. Opiekujące się nimi osoby brały na siebie ich wyżywienie, zapewniały im lokum, uczestnictwo we mszach świętych, zwiedzanie świątyni, ale również wycieczki w góry i nad morze. Współlokator zawsze mu powtarzał, że są to krótkie chwile, ale jakże ważne. Chłopcy integrują się bardziej z Bogiem i zarazem zaznają lepszego życia, nie tak szarego jak w sierocińcu. Mogą wtedy zrozumieć, że świat może być lepszy, że nie wszystko dla nich stracone. Danczo czuł się wówczas taki potrzebny, spełniony, bo nie dosyć, że mógł odwdziaczyć się Diego solidną pracą, to jeszcze pomagał i polepszał byt sierot. Chłopcy w większości pochodzili z Bałkanów i południowych Włoch. Były to sieroty, których rodzice zginęli podczas próby przedostania się do Włoch przez morze albo które znajdowano na ulicach miast Kalabrii, Sycylii czy samego Neapolu. Danczo całym sercem wierzył, że i im uda się tak jak jemu ułożyć sobie życie.

Kilka miesięcy temu znajomi z Domu Pielgrzyma Polskiego, a przede wszystkim prawa ręka dyrektora – przewodniczka Basia – pomogli mu znaleźć sezonową pracę, bo do września, na farmie w Castel Gandolfo.

Pracować tam, skąd jedzenie i wina trafiają na papieski stół, było dla niego niezwykłym wyróżnieniem. Na oddaloną o ponad trzydzieści kilometrów od Rzymu farmę przyjeżdżał dwa, czasem trzy dni w tygodniu. Zajmował się głównie prostymi rzeczami, jak pielienie grządek z warzywami czy przewożenie ziemi, lub też porządkował teren i pomieszczenia gospodarcze. Jego szczerść i zaangażowanie we wszystko, co robi, zjednywały mu wielu przyjaciół.

* * *

– Masz takie męskie ciało! – szepnęła młoda kobieta, siadając na mężczyźnie o śniadej karnacji, który leżał na wąskim, niewygodnym łóżku.

Panował półmrok. Jedynie niewielka lampka nocna oświetlała aksamitną skórę kobiety.

Najpierw zaczęła wędrować dłońmi po jego umięśnionym torsie, jakby chciała dzięki dotykowi na długo zapamiętać jego ciało. Po chwili mężczyzna rozpiął jej stanik i uwolnił jędrny biust. Zaczął go namiętnie całować. Potem złapał ją za biodra i zaczął do siebie coraz mocniej dociskać. Jej ciemnoblonde rozpuszczone włosy i piersi zaczęły falować w miłosnym uniesieniu. Jednoosobowe łóżko w skromnym, niewielkim pokoiku zaczęło miarowo poskrzypywać.

– *Ti voglio così tanto!* – mówiła zdyszany, podnieconym głosem, jak bardzo go pragnie.

Ruchy jej bioder stawały się coraz mocniejsze i szybsze. Głośny oddech mieszał się z coraz intensywniejszym pojękiwaniem. W pewnym momencie jej ciało wygięło się do tyłu, jakby rażone piorunem, by po chwili opaść na tors leżącego pod nią mężczyzny. Zapanowała zupełna cisza. Po chwili bezruchu kobieta podniosła głowę i namiętnie pocałowała go w usta. Leżeli wtuleni w siebie.

– Basiu. Myślałem, że ciągle jesteś z tym lekarzem z Cypru. No... tym Turkiem – powiedział mężczyzna ochryple, co tylko zwiększyło w oczach kobiety jego atrakcyjność.

– Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami. Obiecujecie wspólną przyszłość, opowiadacie o wspólnych planach, a potem znikacie bez słowa.

– To jego już nie ma? – zapytał zaskoczony.

Westchnęła i wstała z łóżka. Narzuciła na siebie szlafrok i usiadła obok kochanka.

– Chciał zabrać mnie do siebie, do Nikozji. Pokazywał zdjęcia domu rodziców, gdzie mieliśmy razem zamieszkać, a potem stał się jakiś nieobecny i oschły. Nie chce się już ze mną spotykać.

– To zupełnie odcięłaś się od tych Turków, którymi ostatnio tak się otaczałaś?

– Nie, nie odcięłam się. Mam ciągle kontakt z jego znajomymi. Wiesz, oni są chrześcijanami i kochają naszego papieża. Dużo wycierpieli przez setki lat za to, że nie odeszli od wiary. Więc im pomagam. Na przykład ułatwiam im wejście do Watykanu z naszymi pielgrzymkami. – Odgarnęła z czoła włosy. – Ty pewnie będziesz taki sam jak on. Za jakiś czas zrobisz się nieobecny, a potem znikniesz. – Uśmiechnęła się z przekąsem.

Mężczyzna wstał. Podszedł do krzesła. Włożył spodnie i stanął przy oknie. Odsunął zasłonę, popchnął przymkniętą lekko ramę i zapalił papierosa. Spojrzał przed siebie. Wąska ulica Padre Pfeiffer Pancrazio była zupełnie opustoszała. Jedyne głosy spacerujących dochodziły ze znajdującej się niedaleko i prowadzącej wprost na plac Świętego Piotra ulicy Borgo Santo Spirito.

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy, jak myślisz – odezwał się, wypuszczając dym ustami.

– Fakt. Ciebie nie znam na tyle długo, by ocenić, jaki jesteś naprawdę.

– A skąd ty tak dobrze mówisz po włosku? W Polsce chyba nie uczą włoskiego w szkołach?

– Zanim tutaj przyjechałam, dwa lata studiowałam italianistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

Mężczyzna zgasił papierosa i spojrzał na niewielką komodę stojącą tuż przy oknie. Jego uwagę zwróciło zdjęcie, na którym widniała jego dzisiejsza kochanka w towarzystwie kilku innych osób.

– Basiu, a to zdjęcie to przy jakiej okazji było robione? – zapytał i wskazał na fotografię ustawioną w ramce.

– To pracownicy naszego Domu Pielgrzyma ze znajomymi. Niedawno zrobiliśmy. Taka miła pamiątka.

W pewnym momencie mężczyzna drgnął zaskoczony. Twarz mu skamieniała. Stał w całkowitym bezruchu. Po chwili, gdy opanował zdenerwowanie, podszedł do siedzącej na łóżku kobiety, trzymając fotografię w dłoni.

– Basiu, kto to jest? – Wskazał na stojącego w środku młodego mężczyznę o ciemnej karnacji.

– To Danczo Kowaczew. Bardzo miły chłopak. Od niedawna pracuje w Castel Gandolfo na farmie. Dyrektor go rekomendował, bo to dobry i pracowity człowiek. Dużo przeszedł, żeby się tu dostać. To znaczy na Zachód. Uciekinier z Bułgarii. Bardzo religijny. Teraz niemal w każdą sobotę pomaga jako wolontariusz przy remoncie jednego z kościołów.

– Którego?

– W parafii Świętego Tomasza.

– A co to za kościół?

– Gdzieś na obrzeżach Rzymu, chyba w dwudziestej siódmej prefekturze, ale nie jestem pewna. Nigdy tam nie byłam.

– A nie wiesz, gdzie on mieszkał w Bułgarii? Mam kilku znajomych z tego kraju. Bardzo sympatyczni ludzie.

– Chyba w Szumenie, o ile nie mylę nazwy. Opowiadał mi kiedyś o tym, bo tam studiował. Stąd też jego zainteresowania naukowe wczesnym średniowieczem.

– Rozumiem. A gdzie mieszka w Rzymie? Tutaj, w Domu Pielgrzyma?

– Nie, nie tutaj! Chyba gdzieś na Zatybrzu, ale dokładnie nie wiem. Pewnie gdzieś w tych skromnych kamieniczkach na jakimś uroczym, romantycznym poddaszu. – Uśmiechnęła się.

– A możesz się jakoś dowiedzieć?

– A czemu aż tak cię on interesuje?

– Jak tak dłużej patrzę na jego zdjęcie i słucham ciebie, to jestem pewien, że kiedyś się już z nim spotkałem. Pomógł mi wtedy w trudnej sytuacji... Nie miałem okazji mu się odwdziaczyć.

– Dobra. Ale teraz odstaw fotografię i wracaj tu do mnie, bo zaczyna się robić chłodno. – Uśmiechnęła się zalotnie.

Zdjęła szlafrok, położyła się na łóżku i nakryła lekką kołdrą. Mężczyzna położył się obok i mocno do niej przytulił. Myślami był jednak zupełnie gdzie indziej. Jako oficer bułgarskiego Zarządu VI KDS, zajmującego się inwigilacją bułgarskich katolików za granicą, miał w Rzymie do wykonania pewną misję. Dzięki świetnej znajomości języka włoskiego i lokalnych realiów mógł udawać Włocha. W trakcie jednego z poprzednich pobytów w Rzymie nawiązał znajomość z przewodniczką pielgrzymek z Polski. Szybko się przekonał, że chociaż była bardzo pobożna, miała ogromną słabość do mężczyzn o ciemnej karnacji.

Przypadkowe odnalezienie Dancza, bułgarskiego zbiega, który napadł na niego w Splicie wraz ze swoim uzbrojonym współnikiem, zapewne

uciekinierem ze Związku Radzieckiego, dawało szansę na rehabilitację w oczach przełożonych i dotarcie do interesujących osób. „Być może to kanał łączności służb watykańskich z Kościołem katolickim nie tylko w Bułgarii, ale i w całym ZSRR?! To bardzo cenny trop. Trzeba go rozpracować. Ten Danczo nadaje się do tego wyjątkowo. Mam go w garści. Znajdę cię, Danczo, i twoich bliskich w Bułgarii, w tym twoim... Szumenie”.

Niewiele pamiętał z napadu. Gdyby nie przypadkowi przechodnie, którzy go odnaleźli nieprzytomnego nieopodal budynku kapitanatu portu i przystani promowej w Splicie, prawdopodobnie nie byłoby go już wśród żywych. Wykrwawiłby się na śmierć po silnym uderzeniu w głowę.

Miarowy oddech kobiety świadczył o tym, że już głęboko spała. On jednak nie mógł zasnąć. Cały czas myślał, jak dorwać tego Dancza i odwdziżyć się za Split.

* * *

Było już ciemno, kiedy Danczo wracał z bazyliki do swojego niewielkiego pokoiku przy via di Calisto. Zawsze wieczorem, nawet gdy kościół był już zamknięty, stawał przy wejściu głównym i odmawiał modlitwę. Dziękował za to, iż dane mu było tu dotrzeć, a przede wszystkim prosił, żeby mógł tu być jak najdłużej. Popatrzył na majestatyczną fontannę na placu.

– Ależ to miasto jest piękne! – powiedział i westchnął.

Pomimo późnej pory wciąż panowała przyjemna temperatura, jako że mury Wiecznego Miasta oddawały ciepło nagromadzone w ciągu słonecznego dnia. Na via di Calisto panował półmrok. Nie było już przechodniów. Niewielką ulicę oświetlał jedynie blask padający z okien kamienic. Przez otwarte okna w mieszkaniach do jego uszu docierały odgłosy rozmów, śmiech, a czasem kłótnie. Wszystkim tym dźwiękom towarzyszyły zapachy ziół, sosu pomidorowego, smażonej oliwy czy pieczonej pizzy, wydobywające się z domowych kuchni. „Takie proste, rzymskie życie u tych ludzi. Co oni wiedzą o prawdziwych problemach?! Nie mają pojęcia, jakie spotkało ich szczęście, że tu właśnie chodzą po ziemi” – pomyślał.

Gdy dotarł przed drzwi wejściowe kamienicy, w której mieszkał, usłyszał za sobą odgłos zbliżających się szybko kroków. W tym momencie przypomniał sobie, co mu tłumaczył Nikołow i jego koledzy podczas

szkolenia w Sofii. Ile razy wracał do domu czy szedł do pracy, miał sprawdzać, czy nikt go nie śledzi.

„Przeciwnik czeka na twój błąd – powtarzał często kapitan. – Zawsze musisz być gotowy na atak!”.

Wiedział, że nie może w takich sytuacjach gwałtownie reagować. To też mu mówili. „Stało się, trudno. Tylko, na Boga, kim jest przeciwnik?!” – przeszło mu przez myśl. Zamarł w bezruchu i zaczął intensywnie nasłuchiwać. Chciał się lekko odwrócić, gdy poczuł, jak ktoś zacisnął mu przedramię na szyi. Dłoń napastnika zakryła mu usta. Próbował poluzować uścisk, jednak bezskutecznie. Zaczął się miotać we wszystkie strony.

– Uspokój się, skurwielu! – powiedział po bułgarsku męski, ochryply głos.

Danczo wiedział, że straci przytomność, jeśli uścisk potrwa jeszcze chwilę. Wyprostował kciuk i z całych sił zaczął nim uderzać, próbując trafić w oko napastnika. W pewnym momencie poczuł, że kciuk wbił się w coś miękkiego. Rozległ się wrzask. Napastnik chwycił się za oko i wypuścił z uścisku osłabionego Dancza, który upadł na ziemię i charcząc, zaczął wzywać po włosku pomocy:

– *Aiuto! Aiuto!*

Ale liczne otwarte w mieszkaniach okna zaczęły się zamykać. Pogasły w nich światła. Gdzieś tam nawet zatrzęsnięto drewniane okiennice. Nikt nie wychylił się zobaczyć, co się dzieje.

Napastnik tymczasem nie odpuszczał. Jedną ręką trzymał się za oko, a drugą zaczął dusić ciągle leżącego na ziemi Dancza, zakrywając dłonią jego usta i nos. Siedział na nim okrakiem i dociskał kolanem klatkę piersiową chłopaka.

Danczo tracił przytomność. Robiło mu się ciemno przed oczami. W pewnym momencie z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe do kamienicy i wybiegł Diego. Z całych sił kopnął napastnika w brzuch. Potem znowu i znowu. Ten, całkowicie zaskoczony, przewrócił się na chodnik. Szybko jednak wstał i zaczął uciekać, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą za oko. Po chwili znikł w mroku.

– Nic ci nie jest? – krzyknął Diego i pochylił się nad próbującym łąpać oddech Danczem.

– Chyba nie...

– Kto to był?!

– Nie jestem pewny, ale chyba gdzieś już go widziałem. Albo mi się tylko wydaje. Zaszedł mnie od tyłu. Może jakiś bandzior?!

Diego wziął go za ramię i pomógł mu wejść do mieszkania na poddaszu.

Danczo położył się na swoim łóżku i leżał tak do momentu, aż zaczął swobodnie oddychać. Ciągle bolały go szyja, kark i klatka piersiowa. Zastanawiał się, kim był ten mężczyzna, który mówił do niego po bułgarsku. „Ten głos. Ta sylwetka. Na pewno gdzieś już go widziałem. Na pewno”.

– Masz, napij się. To herbatka z melisy. Działa uspokajająco. – Diego podał mu szklanę.

Danczo po paru minutach zasnął.

Był środek nocy. Danczo poderwał się na łóżku zlany zimnym potem. Popatrzył na pokój. Nikogo nie było. Po krótkiej chwili szepnął do siebie:

– Boże drogi, już wiem, kto to był!

* * *

Przed spotkaniem z Danczem różne myśli chodziły Woronowowi po głowie. Umówili się w dwudziestej siódmej prefekturze, raptem kilkaset metrów od kościoła Świętego Tomasza. Tam co sobota Danczo charytatywnie pomagał przy remoncie fasady głównej nowoczesnego kościoła i małej rozbudowie jego zaplecza. Rosjanin ocenił, że rejon ten był dobry na nawiązanie kontaktu. Z dała od centrum Rzymu, a bardzo rzadka zabudowa pozwalała wyłapać ewentualną obserwację. Poza tym Woronow miał w tej okolicy jeszcze parę rzeczy do sprawdzenia.

Wywołanie spotkania przez Dancza dwa dni wcześniej wzbudziło u Woronowa pewną nerwowość, na którą nie mógł sobie pozwolić. Operacja miała się zacząć w ciągu najbliższego tygodnia i jakiegokolwiek nieprzemyślane ruchy mogły jej bardzo zaszkodzić. Gdy Danczo zatelefonował do niego późnym wieczorem z budki telefonicznej na Zatybrzu, przekazał jedynie, że został zaatakowany przed kamienicą, w której mieszkał. Woronow był zaskoczony, gdy usłyszał od swojego agenta, że napastnikiem był mężczyzna ze Splitu. Dlatego oficer radzieckiego wywiadu nie zastanawiał się długo i w trybie natychmiastowym, ustanowionym kanałem łączności, wezwał do Rzymu kapitana Nikołowa.

Teraz jechał na spotkanie i wiedział, że musi uspokoić Dancza i głębiej uwiarygodnić sens jego zadania, którego ten jeszcze do końca nie poznał. Był już wieczór. Słońce szybko zachodziło. Woronow zaparkował swojego beżowego golfa przy skrzyżowaniu via Gino Marinuzzi i via Luigi Torchi. Dzięki temu mógł obserwować przez kilkaset metrów zmierzającego do niego Dancza. Po kilkunastu minutach chłopak wszedł do samochodu. Miał na sobie trochę zakurzone od cementu ubranie i trzymał w ręce niewielką torbę. Rosjanin był skupiony na bezpośrednim otoczeniu. Wyłapywał każdy, nawet niewielki ruch samochodów, starał się zapamiętać każdego przechodnia, każdy szczegół, który mógł mieć znaczenie. Bez słowa przywitania ruszył ostro w kierunku via Cristoforo Colombo i Ostii.

– Mam nadzieję, że nie pobrudzę samochodu – powiedział Danczo po kilku minutach szybkiej jazdy wąskimi uliczkami z niską, jednorodziną zabudową.

– Spokojnie. Nic się nie stanie... Zapnij lepiej pasy – uspokoił go Woronow i docisnął pedał gazu, wyjeżdżając w szerszą ulicę.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Jeszcze jakieś trzy, cztery tygodnie i remont i rozbudowa kościoła będą zakończone – odezwał się Danczo.

– Dobrze, Danczo. Dobrze – powiedział Woronow i zaczął się rozglądać, by włączyć się do ruchu na via Cristoforo Colombo, arterii łączącej stolicę Włoch z wybrzeżem. – To, co się teraz dzieje, to trudny czas w twoim życiu, ale on minie. Jesteś dobrym chrześcijaninem, dobrym człowiekiem i powinieneś tutaj żyć spokojnie. To miasto jest stworzone jakby specjalnie dla ciebie, przyjacielu.

– Oj tak. Nigdy jeszcze nie żyło mi się tak dobrze. Do tego jeszcze ten mistycyzm, który odnajduję tutaj dosłownie na każdym kroku... – Zamilkł, jakby chciał zebrać myśli. – Ale jak się boleśnie przekonałem, ma ono też swoją mroczną stronę.

– Danczo. Sprawa tego napadu na ciebie zostanie załatwiona. Nic ci już nie grozi. Więcej ten chuj w czerwonym sweterku nie będzie ciebie niepokoił.

– W czerwonym? Aaaa, faktycznie, wtedy w Splicie miał taki charakterystyczny sweter. Ci z tego Zarządu polują na takich jak ja – powiedział i zamyślił się. – Wiesz, zaskakujesz mnie. Oficer radzieckiego wywiadu, z państwa o materialistycznym i świeckim systemie wartości, a w zasadzie zwalczającego wszelkie przejawy życia duchowego swoich

obywateli, docenia moją wiarę, to, że jestem dobrym chrześcijaninem?! Trudno w to uwierzyć – dodał.

„Nie wierzę w jego zapewnienia. To byłoby zbyt piękne, żeby Moskwa dbała tak o kondycję chrześcijan. W końcu u nich prześladują nas jeszcze bardziej niż w Bułgarii” – pomyślał.

– No widzisz, nie wszyscy są tacy, jak myślisz. Już się tym nie martw. Jest jednak pewna sprawa, w której musisz mi pomóc.

– Przecież informacje przekazuję regularnie.

– Tak. I właśnie z nich wynika jednoznacznie, że zachodni Kościół jest teraz na rozdrożu. A ty możesz go oczyścić.

– Ja?! – zdziwił się chłopak. – Nie rozumiem...

– Wy tłumaczę ci, jak zjedziemy w mniej ruchliwe miejsce.

Danczo kiwnął głową i zaczął się rozglądać wokoło, bo właśnie wjechali w rejon urokliwego rezerwatu rozciągającego się na równinach, pełnego bagien i tylko gdzieniegdzie porośniętego dostojnymi drzewami.

– On potrafi oddzielić plewy od ziarna i wszystko oczyścić: ziarno zbierze do magazynu, a plewy spali w niegasnącym ogniu – przerwał nagle milczenie Woronow. – Wiesz, z czego to?

Danczo popatrzył na niego zdziwiony. „A może się mylę, może on jest inny? Może jest taki, jak mówi?”

– No oczywiście! To z Ewangelii Świętego Mateusza – odpowiedział bez zastanowienia.

– Żebyś dobrze zrozumiał. Ty musisz oddzielić te plewy od ziarna. Sam doskonale wiesz... Kościół to nie tylko ziarno, ale i plewy, które trzeba spalić w ogniu.

– Nie... bardzo rozumiem. Co ja mogę? Przeceniasz mnie. Te informacje, które...

– Możesz, możesz. Uwierz mi – przerwał mu Woronow.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Danczo. Pamiętasz swoją pierwszą pracę tutaj? Gdy rozwoziłeś sieroty na rekolekcje czy na weekendy do zacnych dostojników kościelnych, do zamożnych domów?

– Tak! To bardzo im pomagało. To był sposób na wyrwanie ich z biedy, z...

– Danczo! – przerwał mu Rosjanin. – Niektórzy z tych chłopców byli gwałceni i wykorzystywani seksualnie przez duchownych, wysokich

hierarchów kościelnych i świeckich katolików mających jakieś układy w kurii rzymskiej!

– O czym ty mówisz, człowieku?! – wrzasnął Danczo.

– Tak, tak. Nie miej takiej zdziwionej i oburzonej miny. A ten twój współlokator? Jak mu tam?

– Diego.

– No właśnie, Diego. Ty myślisz, że ten twój Diego nie jest w to zamieszany?

– Diego? To przyzwoity człowiek! On mi bardzo pomógł. Nie wierzę...

– Kurwa, Danczo! W jakim ty świecie żyjesz? Nie widzisz, co się wkoło ciebie dzieje? Czy raczej nie chcesz tego widzieć? Tak! Ja ci powiem. Ty... nie chcesz widzieć. Jesteś bystry. Widziałeś, w jakim stanie psychicznym odbierałeś tych chłopców. Nie zaprzeczaj!

Woronow zatrzymał golfa na niewielkim parkingu. Sięgnął na tylne siedzenie po teczkę. Otworzył ją. Wyciągnął plik zdjęć i rzucił je chłopakowi na kolana.

– Skoro nie wierzysz, to patrz!

Chłopak zaczął przeglądać fotografie.

– Ty wozileś tych chłopców, tak? Pewnie niektórych poznajesz! Popatrz też dobrze, komu obciążają. Nie znasz tych pasibrzuchów? Nie widziałeś ich nigdy? No powiedz, kurwa! Powiedz mi, proszę!

Danczo patrzył z coraz większym niedowierzaniem. Po ostatnim zdjęciu znieruchomiał. Fotografie wypadły mu z rąk i rozsypały się po podłodze. Zakrył twarz dłońmi. Nie potrafił powstrzymać płaczu. Łzy spływały mu po policzkach, tworząc smugi na przybrudzonej twarzy. Chłopak niezgrabnie wycierał to nos, to oczy. Trwało to dobrych kilka minut.

– Masz tu chusteczkę – przerwał milczenie Woronow.

– Ale ja o tym nie wiedziałem. Naprawdę! Uwierz mi! Nie miałem pojęcia, o co w tym chodzi. Naprawdę! Może coś mi nie pasowało, coś dostrzegałem. Ale to żaden dowód. – Wciąż nie potrafił powstrzymać szlochu.

– Danczo! Uspokój się! Co się stało, to się nie odstanie. Najważniejsze, że możesz oczyścić Kościół z tych chwastów, brudów, tego całego szamba. Pytanie, czy chcesz.

– Chciałbym. Ale jak mam to zrobić? Przecież... Kim ja jestem?!

– Spokojnie! Popatrz, jaki stąd wspaniały widok. – Rosjanin wskazał palcem na srebrzące się już w świetle księżyca Morze Tyrreńskie.

Po chwili, kiedy chłopak już się uspokoił, ruszyli i zaraz skręcili w lewo, w via Litoranea, kierując się na południe wzdłuż wybrzeża.

– Uspokoileś się?

Chłopak pokręcił głową.

– Ach, te wasze bułgarskie gesty! Tylko u was jest odwrotnie! – Uśmiechnął się.

– Staram się to zmienić, ale...

– Wszystko można zmienić i wszystko można naprawić!

– Jak? Przecież nie cofniemy czasu.

– Czasu nie cofniemy, ale możemy uratować innych chłopców. Ty możesz w tym pomóc i wypalić te plewy.

– Ale jak?

– Pracujesz w Castel Gandolfo, zgadza się?

– Tak!

– Stamtąd wino i jedzenie trafiają na stoły tych, którzy krzywdzili i krzywdzą chłopców.

– Tak!

– No widzisz. Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie. Proszę cię. –

Danczo spojrzął z zaciekawieniem i w skupieniu na oficera. – Pewnego dnia wstrzykniesz do wina specjalną substancję, która sprawi, że pijący je będą mieli krótko po tym podobne objawy jak w chorobie Parkinsona. Wtedy nie będą w stanie już skrzywdzić nikogo.

– Ale czy nie ma ryzyka, że przez pomyłkę może to trafić na stół papieski? Papież jest niewinny i bardzo dba o Kościół. Jestem przekonany, że on nie wie o tym wszystkim.

– Masz rację. Zgadzam się z tobą. Jak pewnie wiesz, transport pakowany jest w dwie skrzynie. Mniejsza trafia na papieski stół, a ta większa do hierarchów z kurii rzymskiej. Tych samych, których widziałeś na zdjęciach.

– Na pewno mniejsza skrzynia do papieża? W sumie to on jest bardzo skromny...

– Tak, na pewno. Kiedy jesteście na farmie?

– W środę i czwartek.

– Dobrze się składa. Wtedy idzie transport. Pakowałeś już kiedyś te skrzynie?

– Tak. To między innymi jedna z moich prac. Ale nigdy nie wiedziałem, że... No wiesz, że to nie tylko dla papieża.

– Dobrze. Dwunastego maja, we wtorek, przekażę ci fiolkę z tą substancją i specjalny dozownik.

– Ale papież na pewno jest bezpieczny?

– No tak. Do niego idzie mniejsza skrzynia. Ty masz się zająć większą.

– A dlaczego wy to robicie? Powiedz mi, Andriej.

– Hmm. Jak wcześniej mówiłem, przekazujesz nam bardzo dobrze oceniane informacje. Są one często wprost bezcenne. Ale przy okazji wyszła ta sprawa... Wiesz, Danczo, ja mam trzech synów. Osiem, dziesięć, czternaście lat. Jak pomyślę, że oni mogliby...

– Nie kończ. Rozumiem. Są w wieku tych, których wozilem.

– Tak... Zresztą moi koledzy, którzy w to się zaangażowali, też mają synów.

– To nie jesteś tu sam?!

– Nie!

– Andriej. Diego też na pewno nie wiedział o krzywdzie tych chłopców. On jest dobrym człowiekiem. Wiele mi pomógł.

– Teraz to już nieważne, czy Diego wiedział, czy nie.

ROZDZIAŁ 17

Stefan

Włochy – maj 1981 roku

Edgar jak zawsze późnym wieczorem, przed snem, palił papierosa na balkonie. Co jakiś czas zerkał w stronę okna pokoju znajdującego się po drugiej stronie patio, z którego brukowana alejka prowadziła do niewielkiego parkingu hotelowego.

Kiedy przyjechał pociągiem z Wiednia do Rzymu, obserwację Stefana przejęli od niego oficerowie z rzymskiej rezydentury Departamentu I MSW, których jeszcze tej nocy na wniosek Tortaka skierowała do tego zadania Centrala polskiego wywiadu. Odnotowali oni, że na dworcu Roma Termini Kafer rozstał się z radzieckim dyplomatą, a sam udał się do hotelu na północy Rzymu, niedaleko wioski olimpijskiej. Po kilku dniach Edgar przejął jego obserwację wraz ze ściągniętą do Rzymu w trybie natychmiastowym kilkusobową grupą oficerów wywiadu, oddelegowanych do polskiej ambasady pod przykryciem ekspertów łączności MSZ. Wcześniej realizowali oni zadania operacyjne w Rzymie, co miało znaczenie pod kątem topografii miasta, rozeznania w jego tak zwanym SWT, czyli sytuacji wywiadowczej terenu. Edgar zameldował się w tym samym hotelu, niedaleko wioski olimpijskiej, w północnej części Rzymu. Balkon jego pokoju znajdował się naprzeciwko pokoju Stefana. Miał dobre warunki do obserwacji. Teraz nie przypominał już statecznego szwajcarskiego biznesmena. Ufarbował włosy na czarno, zapuścił kilkudniowy zarost i gdy tylko mógł, opalał się w majowym słońcu, by jego cera stała się bardziej śniada. Nosił duże okulary przeciwsłoneczne, rozpiętą na piersi kwiecistą koszulę i nieco rozszerzane białe spodnie

biodrówki. Przypominał rodowitego Włocha z południa, który wybrał się na podboje miłosne do Wiecznego Miasta.

Dochodziła już prawie pierwsza w nocy, kiedy Edgar dopalał papierosa. Wtedy na parking hotelowy wjechała niebieska alfa romeo alfetta. Na tylnej, czarnej tablicy rejestracyjnej Edgar zauważył przed ciągiem cyfr litery żółtego koloru CA. „CA, CA... Hmm?” – zastanawiał się. „Cagliari! Sardynia!” – Przypomniawszy sobie wakacje spędzone kilka lat temu na włoskiej wyspie. Z samochodu wysiadła kobieta o typowo południowej urodzie, ubrana w ciemną, obcisłą sukienkę z dużym dekoltem. Zatrzasnęła drzwi i odrzuciła do tyłu gęste kruczoczarne włosy. Z bagażnika wyjęła dwie walizki i metalowy kufer, jakiego używają do przewożenia swojego sprzętu fotografowie czy operatorzy kamer, ale ponownie schowała go do bagażnika. Weszła tylnymi drzwiami do hotelu. Edgar przyglądał się jej. Po chwili w pokoju Stefana zapaliło się światło. „O kurwa, to ona, ta laska z niebieskiej alfy! Kochanka?! Bo przecież nie jakaś dziwka, nie wygląda na taką” – przemknęło mu przez głowę. Wszedł do pokoju i zaczął bacznie się przyglądać, lekko uchylivszy zasłonę. „Przyjechała z daleka, pewnie jest zmęczona podróżą i zaraz pójdą spać. Nie sądzę, żeby dzisiaj wydarzyło się coś spektakularnego poza udanym seksem!” Światło w pokoju Kafera zgasło.

* * *

Stefan ucieszył się z przyjazdu Franceski. Zamienili ze sobą kilka słów. Ona, jak to miała w zwyczaju, zrzuciła ubranie, bieliznę, z wdziękiem odpięła pończochy od czarnego pasa i zrolowała je ze swoich smukłych nóg. Stefan przytulił ją i ucałował w pełne, pomalowane na czerwono usta. Ale mimo że czekał na nią z utęsknieniem, chciał być sam, żeby poukładać myśli. Od rana nachodziły go jakieś dziwne przeczucia. Dobrze się złożyło, że Francesca była zmęczona podróżą z Sardynii i zapowiedziała, że zaraz po wzięciu gorącego prysznica idzie spać. Stefan i ona od kilku dni mieli zarezerwowany pokój w tym hotelu.

Stefan otworzył szafę. Sprawdził duży neseser schowany wśród ubrań. Wyciągnął go. Przekręcił kluczyk i otworzył zamki. Popatrzył na pieniądze, na swoje pięćset tysięcy marek zachodnoniemieckich. Była to połowa kwoty, którą przyjął już od Klimowa. Drugą połowę miał otrzymać tuż po wykonaniu zadania. Spojrzał na wielkie, małżeńskie łóżce. Francesca

zasnęła momentalnie. Wsunął neseser i przykrył go ubraniami. Następnie po cichu wyjął ze skórzanej torebki Franceski kluczyki od samochodu i wysliznął się z pokoju na przejażdżkę jej niebieską alfą.

Samochód powoli wjechał na most Flaminio łączący dwa brzegi Tybru w północnej części Rzymu. Wybudowany za czasów Benito Mussoliniego idealnie nawiązywał do antycznego klimatu miasta. Masywne kolumny zwieńczone świecącymi latarniami przeplatały się z rzeźbami majestatycznych orłów. Stefan skręcił w prawo i zjechał zjazdem w aleję Tor di Quinto. Po przejechaniu kilometra zaparkował samochód w bocznej ulicy niedaleko stadionu olimpijskiego. Było już ciemno. Jedynie latarnie rozświetlały opustoszałe o tej porze ulice. Siedział przez chwilę, opierając dłonie na skórzanej kierownicy, i wpatrywał się w migocący w oddali stadion. „Niecały rok temu było tak cudownie” – pomyślał. Przypomniał mu się dwudziesty drugi czerwca zeszłego roku, kiedy to został zaproszony przez włoskich kontrahentów na mecz finałowy mistrzostw Europy w piłce nożnej. Nie miało wtedy dla niego znaczenia, że Niemcy pokonali Belgię. Bardziej pamiętał tę niezobowiązującą – jak wtedy myślał – noc w pokoju hotelowym z Francescą. „Wtedy wszystko było prostsze” – szepnęła sam do siebie.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę alei Tor di Quinto, która przechodziła pod mostem Flaminio. Szedł powoli poboczem. Było dosyć zimno jak na majową noc. W oddali, obok tunelu przecinającego most, zobaczył niewielkie ogniska rozświetlające niemal zupełnie ciemną aleję. To lokalne prostytutki ogrzewały się przy płonących drewnianych skrzynkach, które pozostawili miejscowi handlarze sprzedający za dnia warzywa i owoce. Ich blask dodawał temu miejscu aury tajemniczości. Co jakiś czas przy skąpo ubranych kobietach zatrzymywały się samochody i mężczyźni spragnieni miłosnych uniesień zapraszali je, otwierając drzwi. „Co ja mam, kurwa, z tym wszystkim zrobić?!” – zastanawiał się Stefan. Czuł, że jest w potrzasku. Jeśli nie wykona zadania powierzonego mu przez Klimowa, czeka go afera w pracy i zapewne utrata stanowiska, a nawet mogą ciążyć na nim zarzuty prokuratorskie. Poza tym będzie musiał oddać pierwszą zaliczkę, którą już pobrał. W dodatku był pewny, że nie obejdzie się bez rozwodu z Eriką, a wtedy zostanie bez grosza przy duszy. Jedynie kontrakt z Klimowem mógł dać mu tak potrzebny zastrzyk finansowy. Zastrzyk, który mógłby mu pomóc rozpocząć nowe życie gdzieś daleko. „Czy jestem wystarczająco silny, by temu podołać?” – rozmyślał, kiedy

mijał ognisko, przy którym stała kobieta w krótkiej obcisłej spódnicy, czerwonej bluzce z dużym dekoltem i skórzanych kozakach na bardzo wysokim obcasie. Widząc go, mrugnęła zachęcająco. Stefan udał, że jej nie widzi. Może kiedyś skorzystałby z takiej propozycji, ale teraz ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był seks z tanią prostytutką. Ruszył przejściem dla pieszych przez tunel.

Gdy znalazł się po drugiej stronie tunelu, skręcił w prawo i poszedł nad Tyber. Poczul jeszcze większy chłód. Stanął nad brzegiem rzeki i zaczął patrzeć przed siebie. Utkwił wzrok w tych kilku ogniskach płonących w alei Tor di Quinto i w latarniach na moście Flaminio. W tym momencie pomyślał o kimś, o kim już dawno nie myślał, o matce, która poświęciła całe swoje życie, by jemu było na tym świecie lepiej. Przed oczami przeleciał mu obraz, gdy leżała wychudzona w szpitalnym łóżku. Jej szara cera, ciężki oddech, martwo wpatrzone w jakiś punkt oczy z wielkimi, czarnymi źrenicami i lekki uśmiech – to zapamiętał z ostatnich chwil jej życia. Kiedy odchodziła, głaskał ją delikatnie dłonią po rzadkich włosach, o które zawsze tak dbała. Jej chłodna i wąta dłoń stawała się coraz chłodniejsza i chłodniejsza. Pozostał przy niej do końca. „Czy byłem dobrym synem? Czy nie zawiodłem cię? Czy nie popełniłem zbyt wielu błędów? Czy choć trochę byłabyś ze mnie dumna, mamó?” – przelatywało mu przez głowę, a oczy wypełniały się łzami. Rozmył się obraz ognisk i światła latarni. Wielkie krople spływały mu po policzkach. Nie walczył z tym. Po kilku minutach lekki majowy wiatr osuszył mu twarz. Obraz znowu się wyostrzył. Stefan się uspokoił. „A może to ona gdzieś z daleka mnie uspokaja? Może to ona mi chce coś powiedzieć? Coś wskazać?”

Patrzył na wolno płynące wody Tybru i zastanawiał się nad swoim losem od momentu rozpoczęcia współpracy z Departamentem I MSW do nowego życia w Republice Federalnej Niemiec, gdzie zupełnie się zatracił w pogoni za pieniędzmi. Przede wszystkim pomyślał o Erice i córkach, które już niedługo będzie musiał skrzywdzić, rozwodząc się z ich matką.

– Tu też, kurwa, nie ułożyłem sobie życie tak, jak byś chciała – powiedział do siebie szeptem i pomyślał o swoich licznych romansach i zdradach, jakie przydarzały mu się przez ostatnie lata. Zdał sobie sprawę, że jedyną kobietą, którą szanował i na której mu tak naprawdę zależało, była jego matka. Znowu zaczął płakać.

W pewnym momencie z zamyślenia wyrwał go pisk opon w alei Tor di Quinto. Jakiś samochód zatrzymał się gwałtownie tuż obok jednego

z palących się ognisk. Przeszedł go dreszcz strachu. Podeszedł bliżej, nasłuchując, co się dzieje, ale po chwili samochód ruszył spokojnie, zabierając zapewne jedną ze stojących tam kobiet. Odetchnął głęboko. Spojrzał jeszcze na rozgwieżdżone rzymskie niebo i uśmiechnął się. Chłodne, wilgotne powietrze pomogło mu ukoić i wyciszyć myśli. Jakby na skutek jakiegoś nieokreślonego dotyku dotarło do niego, że ma coraz więcej wątpliwości co do tego, jak ma żyć.

Po chwili ruszył w drogę powrotną. Nie chcąc ryzykować awantury z krewkami mężczyznami, zatoczył koło, żeby ominąć zaparkowane na poboczu, miarowo kołyszące się samochody z zaparowanymi od wewnątrz szybami.

* * *

Edgar zerwał się z łóżka i spojrzał na zegarek. Była już siódma rano. Za pół godziny miał nawiązać kontakt z grupą obserwacyjną w restauracji hotelowej. Jeden z oficerów przyjdzie na śniadanie. Poprzez ustalone sygnały potwierdzą, że nie znajdują się pod obserwacją i są gotowi do przejścia Kafera. Popatrzył na pokój Stefana, potem na niebieską alfę. Oceniał, że nic się nie zmieniło. Szybko się umył, ubrał i prawie zbiegł na dół. Wziął głęboki oddech i wszedł powolnym krokiem do restauracji. Przy jednym ze stolików siedział już Kafer ze swoją piękną towarzyszką. Jedli, a w zasadzie kończyli śniadanie. Zauważył również oficera. Wszystko było w porządku. Podeszedł do bufetu, obok niego z talerzem stanął jego współpracownik.

– W nocy ta dupa przyjechała do niego niebieską alfą. Stoi na parkingu z tyłu. Musicie zabezpieczyć wyjazd od równoległej ulicy – powiedział Edgar, nie odwracając się w kierunku oficera, który jedynie ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Po nałożeniu potraw rozeszli się do swoich stolików. Następnie oficer wyszedł na kilka minut, a Edgar w tym czasie przyglądał się ukradkiem Stefanowi i kobiecie. Obserwowana para skończyła jeść śniadanie i wstała. Kobieta poszła na górę do pokoju, Kafer skierował się na patio, a później ruszył w stronę parkingu. Szedł bardzo powoli. „O kurwa! A ten dokąd się wybiera tak wcześnie?!” – warknął w myślach Edgar i spojrzał w kierunku oficera. Po chwili Stefan podeszedł do niebieskiej alfy, którą kilka godzin wcześniej przyjechała Francesca. Otworzył drzwi i wsiadł do środka.

Niebieska alfetta ruszyła. Za nią już na ulicy pojechał biały volkswagen K70. Zgodnie z ustaleniami Edgar wrócił do pokoju, gdzie miał czekać na informacje od grupy obserwacyjnej.

Cały czas oficerowie prowadzący obserwację zachowywali bezpieczną odległość od samochodu Kafera. A nie było to łatwe w warunkach porannego szczytu. Ale mnóstwo wyprzedzających się samochodów oraz trąbiących i przeciskających się między pojazdami skuterów powodowało, że mogli się skutecznie ukrywać. Niebieska alfa wjechała na Corso di Francia i skierowała się w stronę mostu na Tybrze. Po przejechaniu mostu Flaminio alfetta skręciła nagle w prawo i zjazdem odbiła w aleję Tor di Quinto. Ruch trochę zelżał. Obserwujący natychmiast zwiększyli nieco odległość od samochodu Kafera Stefana. Alfetta zniknęła w tunelu. Znalazła się w martwym polu. Volkswagen wyraźnie przyspieszył, ale po wyjechaniu z tunelu oficerowie nie zauważyli pojazdu Kafera. Odruchowo skręcili w lewo w via Riano, jednak po przejechaniu kilkuset metrów zatrzymali się na poboczu.

– Kurwa. Kurwa. Zjebaliśmy sprawę! – krzyczał jeden z nich.

– Spokojnie. Może to on nam wyszedł spod obserwacji i chce, abyśmy tak myśleli, że... zjebaliśmy sprawę – odpowiedział drugi. – Pokręcmy się tutaj jeszcze chwilę. Potem wrócimy do hotelu, może tam przyjedzie. A może złapiemy go gdzieś po drodze albo w okolicy. Teraz musimy znaleźć jakąś budkę telefoniczną, trzeba zawiadomić Edgara! – dodał.

Zawrócili i skierowali się w stronę alei Tor di Quinto. Gdy minęli tunel, zatrzymali się i uważnie rozejrzeli dookoła.

– Ja pierdołę! Jest! Tam! – krzyknął kierujący volkswagenem i wskazał go ruchem głowy.

Po prawej stronie, na niewielkim wzniesieniu tuż przy Tybrze zauważyli Kafera stojącego samotnie w nieruchomej pozie. Jakby zastygł w miejscu i wpatrywał się w jeden punkt.

– Co on robi, do kurwy nędzy? Na kogoś czeka? Czy jakiś spacer wzdłuż Tybru sobie zafundował? – zapytał kierujący volkswagenem.

– Mam nadzieję, że nas nie rozkuje – odpowiedział drugi. – Tak czy owak, na wszelki wypadek musimy wymienić auto – dodał.

– Ty. Jeśli to jest spacer, to dlaczego nie zabrał ze sobą tej dupeczki z hotelu? I dlaczego pojechał akurat tutaj, w to obskurne miejsce? Nie lubię, kurwa, tej okolicy. Wyjątkowo syfiasta. No i gdzie zostawił samochód? Schował go czy co?

– A może na kogoś czeka? Tylko dlaczego w tak widocznym punkcie?

* * *

Stefan oparł się o niewielki murek. Spuścił głowę, ale patrzył w kierunku białego volkswagena. Zauważył, że mężczyźni byli wyraźnie ożywieni i zaskoczeni jego obecnością w tym miejscu. „To nie przypadek, że kolejny raz tego dnia ich widzę” – pomyślał. Wyprostował się i przeciągnął. Rozejrzał się dokoła, ale nic podejrzanego poza volkswagenem nie dostrzegł. „Czy to nasi? Może ci od tego Klimowa mnie sprawdzają, a może to Włosi? To już nie ma znaczenia, muszę trzymać się planu”. Poszedł niespiesznie w kierunku pobliskiego postoju taksówek, kątem oka obserwując reakcję mężczyzn w volkswagenie. Zgodnie z tym, co założył, powoli za nim ruszyli.

* * *

W restauracji jak zawsze wczesnym popołudniem panował duży ruch. Goście hotelowi tłumnie napływali. Stefan zajął miejsce w rogu restauracji, tuż obok dużego okna. Francesca, ubrana w białą, krótką, przewiewną sukienkę z dużym dekoltem, tryskała dobrym humorem. Zamówili jako przystawkę kilka plasterków *prosciutto di Parma*, pokrojonego pomidora ze świeżą bazylią i kilka okrągłych kawałków mozzarelli.

– Muszę ci o czymś powiedzieć... – oznajmiła, siadając do stołu.

– O czym, kochanie? – zapytał zamyślony Stefan, patrząc zupełnie gdzie indziej.

– Albo nie. Powiem ci w bardziej urokliwych okolicznościach niż te tutaj, wśród tylu mlaskających ludzi. – Roześmiała się.

Stefan w tym momencie zauważył mężczyznę, który właśnie podszedł do bufetu, duże okulary zaczął zausznikiem o kolorową koszulę. Po swojej nocnej wycieczce po Rzymie nie przywiązał zbyt wiele do tego, co chciała mu powiedzieć Francesca. „Czyżbym gdzieś już widział tego żigolaka z południa?” – zaczął się zastanawiać, jednak szybko dotarło do niego, że mężczyzna wygląda jak większość mieszkańców Sycylii czy Neapolu, którzy przyjeżdżają do Rzymu w szemranych interesach albo na podryw. Odwrócił wzrok od mężczyzny i spojrzał na Francescę. Trudno mu było to wyjaśnić, ale coraz bardziej zaczynało mu na niej zależeć. Jej

szczerze, nieukrywane uczucie wobec niego, południowy temperament i śliczny uśmiech wyzwalający w nim wiele pozytywnych emocji. Czuł się przy niej młodo. Nie przytłaczała go ta szara, niemiecka codzienność.

– Czy przywiozłaś tę metalową kasetę, tak jak cię o to prosiłem? – zapytał w końcu, patrząc w jej duże, ciemne oczy.

– Wszystko jest tak, jak mnie prosiłeś, kochany. – Uśmiechnęła się. – Kasetę jest w bagażniku wypożyczonej alfy. Auto wzięłam na tydzień. Swojego fiata zostawiłam na parkingu w Neapolu. Wszystko zgodnie z twoimi instrukcjami – dodała i ponownie się uśmiechnęła.

– Bardzo dobrze... – odpowiedział i zamyślił się przez chwilę.

Rozejrzał się jeszcze raz dyskretnie, czy nikt ich nie obserwuje albo nie słucha przy sąsiednich stolikach. Jednak w restauracji było tak głośno, że wyłapanie nawet pojedynczych słów wydawało się praktycznie niemożliwe. Wszyscy goście sprawiali wrażenie zajętych swoimi sprawami i nie zwracali na nich uwagi.

– Czyli zasłużyłam na jakiś mały prezent od ciebie? Bo chyba się dobrze spisałam? – zapytała Francesca, puszczając do niego oko.

– Oczywiście. – Odwzajemnił jej mrugnięcie. – Dzisiaj zabiorę cię na plażę do Ostii. Po drodze tylko coś załatwię, a potem spędzimy czas we dwoje.

– Trzymam cię za słowo, kochany.

* * *

– Stefan, ja jestem spakowana i gotowa do wyjścia, a ty ciągle nieprzebrany. Tę większą walizkę zaniósłeś już do recepcji?! – zapytała Francesca, stając w drzwiach pokoju hotelowego i trzymając za uchwyt drugą walizkę.

– Tak. Zaniósłem. Kochanie, zejdz na dół, ureguluj rachunek i zamów taksówkę, a ja się zjawię dosłownie za kilka minut – odpowiedział Stefan i zaczął wkładać spodnie i koszulę z krótkimi rękawami.

– A jesteś pewny, że mamy teraz wszystko ze sobą zabrać?

– Tak, jestem pewny – odparł z lekką irytacją Stefan. – Wynajmiemy coś nad morzem. Męczą mnie już trochę to miasto. Tutaj pewnie wrócimy dopiero za kilka dni.

Kiedy Francesca wyszła, Stefan spakował wszystkie swoje rzeczy do dużej torby. Położył bagaż obok drzwi. Podszedł do szafy i ją otworzył.

Wziął do rąk metalową kasetkę i umieścił na łóżku. Z kieszeni wyciągnął niewielki klucz, który włożył do zamka. Przekręcił go. Spojrzał do środka. „Radiowy mechanizm detonujący. Detonator. Czasowy mechanizm detonujący. Baterie są. Semtex też jest na swoim miejscu” – wyliczał w myślach. Następnie dotknął owiniętych żółtą folią kostek materiału wybuchowego, jakby chciał jeszcze raz się upewnić, że jest go wystarczająco dużo. Sprawdził niewielkim miernikiem, czy baterie w detonatorze są sprawne. Wziął do rąk urządzenie z czasowym mechanizmem detonującym i ustawił na nim godzinę czternastą trzydzieści dnia następnego.

– No jesteś w końcu – rzekła Francesca, siedząc na fotelu w niewielkim lobby.

– Przepraszam, ale jeszcze musiałem skorzystać z toalety – odpowiedział z uśmiechem.

Po chwili wyszli z całym, niemałym bagażem na zewnątrz, gdzie stał już żółty fiat 132. Kierowca pomógł włożyć walizki do bagażnika. Usiedli z tyłu, Stefan położył na kolanach metalową kasetkę i rzucił do kierowcy:

– Proszę na via dei Prati della Farnesina.

– To nie jedziemy do Ostii? – zdziwiła się Francesca.

– Jedziemy, jedziemy – odpowiedział i mocniej ścisnął kasetkę.

* * *

– Szybko, ruszamy! To ta taksówka, fiat 132! – powiedział oficer, wsiadając do zaparkowanego w bocznej ulicy brązowego audi 80.

– Obydwoje jadą taksówką? – zapytał kierujący samochodem drugi mężczyzna.

– Tak! Złapiemy ich przy pierwszej przecznicy!

Taksówka skierowała się na Corso di Francia, by zaraz przejechać przez most Flaminio. Zaraz za nim zjechała na via Lupi Pietro, a potem wjechała w aleję Tor di Quinto i skręciła w wąską uliczkę. Po kilku minutach jazdy w gęstej zabudowie zatrzymała się na via dei Prati della Farnesina.

– O kurwa! Patrz! Zatrzymują się i wysiadają! – krzyknął kierujący samochodem mężczyzna i odruchowo zjechał na chodnik.

Silnik audi wciąż pracował. Obserwowali rozwój sytuacji.

– A dokąd oni idą z tymi walizkami?! Co kombinują?! Gdzieś się chyba spieszą – skomentował drugi z mężczyzn, kiedy Stefan z Francescą,

z walizkami w rękach, szybkim krokiem weszli w wąską boczną uliczkę.

– W tych szpileczkach po tym nierównym bruku to ta lalunia daleko nie zajdzie! – dodał pierwszy z mężczyzn.

– Ale ona dzisiaj nie jest w szpileczkach!

Przez moment spoglądali na siebie, jakby każdy czekał na pomysł drugiego. Kierowca odruchowo wcisnął pedał gazu. Silnik trochę zawył.

– Jedź za nimi! Szybciej! – krzyknął siedzący na miejscu pasażera.

– Gdzie? W tę ciasnotę?!

– Tak. Nie ma wyjścia. Jedź!

Audi szybko przyspieszyło i skręciło w wąską uliczkę. Jednak po chwili rozległ się głośny odgłos hamowania i pisk opon. Uliczka okazała się zbyt wąska, by zmieścić się w niej samochód.

– Cofnij, kurwa. Nawet nie mam jak drzwi otworzyć!

Audi z jękiem ruszyło na wstecznym biegu i pokonało kilkadziesiąt metrów. Zatrzymało się. Mężczyźni szybko wyskoczyli z pojazdu i pobiegli w głąb uliczki. Po kilkudziesięciu metrach z przodu ukazała się duża brama wejściowa do budynku mieszkalnego, a ulica się rozgałęziła.

– Gdzie oni się ulotnili? Ja pierdołę! Z tymi walizkami nie mogli za długo biec przez tę plataninę uliczek, bram i podwórek. Muszą tu gdzieś być!

Mężczyźni się rozdzielili. Po kilkunastu minutach wrócili zziązani do samochodu.

– Dawaj! Wsiadamy! Musimy teraz jak najszybciej podjechać do budki telefonicznej i poinformować Edgara, że ich zgubiliśmy – powiedział jeden z mężczyzn i po chwili uruchomił silnik.

– Na pewno się wkurwi, bo dla niego, jak wczoraj powiedział, to priorytetowa sprawa. Dobrze, że nie powiedzieliśmy mu, jak nam zginął Kafer nad Tybrem – powiedział drugi i wyjął z kieszeni marynarki paczkę marlboro.

* * *

Niebieska alfa romeo alfetta mknęła wzdłuż via Cristoforo Colombo.

– Kochany... co się dzieje, że musimy wymykać się z hotelu do samochodu, który wcześniej ukryłeś wśród tych cholernie wąskich uliczek? – Spojrzała pytającym wzrokiem na Stefana, ale ten nic nie odpowiedział. – A na tych śliskich schodkach za bramą prawie bym się wywróciła. Już

chyba wiem, dlaczego kazałeś mi włożyć buty na płaskim obcasie, którego nie cierpię – odezwała się Francesca, gdy już trochę ochłonęła po intensywnym marszu z walizkami.

– Później ci wyjaśnię, ale zaufaj mi: nic złego się nie dzieje. Jak się potem wszystkiego dowiesz, to na pewno zrozumiesz. – Stefan uśmiechnął się, jakby chcąc zbagatelizować całą sytuację.

– No dobrze, ale dlaczego taki pośpiech?

– Bo później chcę mieć więcej czasu dla ciebie. Podjadę jeszcze tylko w jedno miejsce. Obiecuję! – Znowu się uśmiechnął.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

Jego odpowiedź uspokoiła Francescę. Oparła się wygodnie na siedzeniu, opuściła lusterko i zaczęła poprawiać fryzurę. Po chwili wyjęła z torebki kosmetyczkę. Zupełnie nie interesowały jej widoki. Skupiła się na poprawianiu makijażu.

Przez kilkanaście minut jechali w milczeniu. Francesca spojrzała jeszcze raz w lusterko. Pokręciła głową. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– W pracy wzięłam urlop na dwa tygodnie, tak jak prosiłeś.

– To świetnie! – odparł zdawkowo, nie odwracając się do niej, tylko wpatrując się w przednią szybę.

– Jeszcze wypowiedziałam wynajem mieszkania. Tak jak mi kazałeś, nikomu o tym nie wspomniałam. Nawet najbliższym przyjaciółkom – powiedziała i poczuła radość, bo to, o co ją prosił Stefan, oznaczało, że ma wobec niej poważne plany. – Tylko wciąż nie wiem, po co to wszystko. Ta tajemniczość.

Ich ostatnia rozmowa telefoniczna bardzo ją zaskoczyła. Stefan zadzwonił do jej biura, czego nigdy wcześniej nie robił. Był jakiś inny niż zwykle. Zmieniony. Wydawał się bardziej czuły i troskliwy. Teraz ogarnął ją jakiś trudny do zdefiniowania wewnętrzny spokój, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

– Dobrze się spisałaś. Wytłumaczę wszystko, już ci mówiłem, kochanie – odpowiedział po dłuższej chwili, mocniej ścisnął obleczonej skórą kierownicę alfy i przyspieszył.

Oboje się nie odzywali. Ciszę przerywały jedynie odgłosy towarzyszące zmienianiu przez Francescę stacji radiowych. Nie mogła się zdecydować, czy chce słuchać wiadomości, czy muzyki. W końcu ustawiła na jeden

z przebojów niedawnego festiwalu w San Remo, *Romeo and Juliet* w wykonaniu Dire Straits.

– Znasz to? – zapytała z uśmiechem i pocałowała go w policzek.

– Nie, nie znam. Nie mam czasu na słuchanie muzyki. Ale teraz chętnie posłucham – odpowiedział i zaczęli nucić wraz z Knopflerem refren utworu.

W końcu zwolnili i zjechali z via Cristoforo Colombo. Po kilkunastu minutach zaparkowali samochód na dużym, przykościelnym parkingu, na Viale di Castel Porziano.

* * *

– O! Widzisz? To ten nasz bułgarski religijny chłopak – powiedział Woronow, kiwając głową w stronę Dancza wynoszącego narzędzia murarskie z kościoła.

– Widzę, że świetnie wkomponował się w otoczenie. – Nikołow uśmiechnął się i po chwili dodał: – Tego, który go chciał poturbować, już nie ma w Rzymie. Ma trafić na jakieś zadupie u nas, w Bułgarii.

Siedzący za kierownicą ciemnozielonego volkswagena golfa Klimow zaczął z nudów wystukiwać na palcach jakiś sobie tylko znany rytm. Czas im się dłużył. Zabranie Nikołowa, by pokazać, jak Danczo pracuje przy remoncie kościoła, od początku wydawało mu się kiepskim pomysłem. Dla niego najważniejsze było doprowadzenie do końca tego, co miał zrobić Kafer. Czas się dłużył, a tego ciągle nie było.

– Towarzyszu, a ta historia z wczasami waszego konsula w Dongyangu w Chinach jest prawdziwa? – zapytał w końcu Klimow coraz bardziej zniecierpliwionego Nikołowa.

– A! To już chyba wszyscy o tym wiedzą. – Bułgar się ożywił. – No pewnie, że prawdziwa. Pojechał z naszej ambasady w Pekinie na wycieczkę do Dongyangu. Za przewodnika miał oficera, któremu wcześniej dymał żonę. Oficer nie mógł znaleźć lepszej okazji do zemsty. Ugościł go słynnym lokalnym przysmakiem *tong zi dan*. Ten zżarł wszystko i jeszcze o dokładkę podobno prosił.

– O kurwa! – Woronow skrzywił się, jakby wiedział, co znaczy tajemnicza nazwa *tong zi dan*.

– A jak wiecie, to „jaja prawiczków”. Jaja kurze gotuje się na twardo w moczu młodych chłopców. Kiedy są już gotowe, to obiera się je ze

skorupek i znowu gotuje w tym moczu, aż całe zżółkną. To ich lokalny przysmak... kurwa mać!

– A on się dowiedział, co tak naprawdę zjadł? – zapytał Klimow i porozumiewawczo spojrzął na Woronowa, kiedy minęła ich niebieska alfa romeo alfetta i zatrzymała się nieopodal kościoła.

– Tak. Podobno rzygał kilka dni. – Nikołow się roześmiał, widać było, że się rozkręcił, i zaczął opowiadać inną, podobną historię.

Woronow z Klimowem już go nie słuchali. Uważnie spoglądali w kierunku Kafera.

* * *

– Tak jak ci mówiłem. Jeszcze tylko tutaj coś załatwię. – Stefan uśmiechnął się, przytulił Francescę i pocałował w spięte kruczoczarne włosy.

Sięgnął po metalową kasetkę leżącą na tylnym siedzeniu i wysiadł z samochodu. Ruszył w kierunku kościoła.

Przy głównym wejściu trwały porządki przed mającą się odbyć następnego dnia wizytą Ojca Świętego. Z tego powodu przerwano remont i starano się przygotować kościół tak, by otoczenie wyglądało wyjątkowo. Kilka kobiet czyściło posadzkę. Młody mężczyzna o śniadej cerze wynosił fragmenty rusztowań z wnętrza. W pewnym momencie zapytał idącego w stronę głównych drzwi Stefana:

– Pan do naprawy elektryki w zakrystii?

– I tak, i nie. Chciałem tylko na chwilę zajrzeć. Byłem tu niedaleko w pracy i znajomy poprosił mnie, żebym coś sprawdził. Gdzieś tu powinien być. A skąd pan wie, że jestem elektrykiem?

– No widzę. Taka kasetka. Spotykałem już takich inżynierów czy techników. Jak przychodzili w Castel Gandolfo coś naprawiać lub montować – odpowiedział szczerze młody mężczyzna.

– No tak, faktycznie. Można powiedzieć, że to taki nasz znak rozpoznawczy. To pan blisko papieża, jak słyszę. To musi być wielkie przeżycie... tak blisko Ojca Świętego.

– Tak. Wielkie. On jest naprawdę wspaniałym człowiekiem... – Danczo zamyślił się na moment.

– Ale pan ma dziwny akcent. Jakby... wschodnioeuropejski. Rosjanin, Jugosłowianin, Polak? – zapytał Stefan, zmieniając temat.

– Tak, z tamtej części Europy pochodzę. Ale jestem Bułgarem – odpowiedział.

– Miło pana poznać.

– Wzajemnie. Przepraszam, mam jeszcze sporo roboty. Sam pan widzi, ile tu osób kręci się i pracuje. Nie znam ich nawet. Ale wszystkim zależy, żeby papież dobrze zapamiętał to miejsce. Muszę wracać do pracy.

– O której będzie msza? – zapytał Stefan, choć dobrze znał czas przybycia papieża.

– Zaraz po modlitwie *Anioł Pański*. Msza się rozpocznie o szesnastej – odpowiedział głośno młody mężczyzna, nie odwracając się już w stronę Stefana, tylko dźwigając z podłogi duży element drewnianego rusztowania.

Po chwili jednak podszedł do Stefana. Wyciągnął z kieszeni obrazek z ikoną prawosławną.

– To dla pana. Niech pan weźmie! Proszę! – Wręczył obrazek Stefanowi.

– To Święta Zofia. Była pobożną wdową, a swoim córkom dała imiona trzech cnót chrześcijańskich: Wiara, Nadzieja i Miłość. Jak to pięknie brzmi po staro-cerkiewno-słowiańsku. Cierpiała za wiarę, kiedy jej nieletnie córki poddano mękom na jej oczach.

– Dziękuję – odpowiedział Stefan zdziwiony, że ktoś przed kościołem katolickim chce mu podarować prawosławny obrazek.

– Proszę go głęboko schować i niech pana chroni w podróży. Bóg wiele mi w życiu dał, więc i ja staram się codziennie spełniać dobre uczynki. Wierzę, że Święta Zofia przyniesie panu szczęście, tak jak mnie przyniosła. Tutaj tylko pomagam. Na co dzień pracuję w Castel Gandolfo, skąd trafia jedzenie na stół samego papieża.

– Dziękuję – powtórzył Stefan, schował święty obrazek do kieszeni i odszedł.

Przeszło mu przez myśl, że dawno nie widział tak dobrej, szczerzej i wierzącej osoby, a jednocześnie takiej naiwnej. „Że też tacy ludzie są jeszcze na świecie”. Zatrzymał się na chwilę i pomyślał o tym, co mu ten młody Bułgar powiedział.

Rozejrzał się jeszcze raz dyskretnie dookoła. Nie zauważył nic podejrzanego poza stojącym w oddali volkswagenem golfem, w którym siedziało trzech mężczyzn. Widać było, że o czymś rozmawiali, bo jeden z nich gestykulował. Po chwili jednak, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, szybko odwrócił głowę w stronę świątyni. „Pewnie to policja pilnuje kościoła przed jutrzejszą imprezą. A jeśli nie? Jeśli to znowu ci od tego

volkswagena znad Tybru? Nie, nie. Nie mogę popadać w paranoję. Chyba za dużo duchów widzę” – pomyślał i zaraz ruszył pewnym krokiem do środka.

* * *

Edgar stanął przed drzwiami pokoju hotelowego Stefana i Franceski. Rozejrzał się po korytarzu. Nikogo nie było. Wyjął z kieszeni pęk niedużych, krótkich wytrychów, które kiedyś dostał po szkoleniu u specjalistów z Departamentu II MSW. Wybrał jeden z nich i zaczął nim poruszać w otworze zamka, który po chwili odskoczył. Nacisnął klamkę i pchnął delikatnie drzwi. Jego oczom ukazał się zupełnie pusty pokój. Wszystkie rzeczy osobiste i bagaże zniknęły.

– Ja pierdolę! Dali nogę! – szepnął.

Wszedł szybko do łazienki. Jedynie ręczniki porozrzucane po podłodze świadczyły, że ktoś wcześniej tutaj przebywał. Nic więcej nie było, żadnych kosmetyków. Zajrzał do kosza na śmieci. Wyrzucił je na podłogę i zaczął przeglądać, ale nic interesującego nie zauważył. Wszedł do pokoju. Na dużym, małżeńskim łóżku leżała pomięta kołdra. Podniósł ją, potem poduszki. Też nic nie było. Cisnął je ze złości na podłogę. Sprawdził pod łóżkiem. Podniósł się. Zajrzał do szafki nocnej. Wyciągnął szufladę z taką siłą, że wypadła na podłogę. Rozejrzał się znowu po pomieszczeniu. Podeszedł do szafy stojącej tuż obok podestu na walizki. Otworzył ją.

– O kurwa! A co to takiego?

Na dolnej półce stał niewielki czarny worek z szarym napisem *Industrielle Bergbaudienstleistungen GmbH*. Był czymś wypełniony i zawiązany na górze szpagatem. Wyciągnął go z szafy i ruszył w kierunku uchylonych drzwi. W tym momencie usłyszał odgłos wózka, jakim pokojówki przewożą świeżą pościel i ręczniki. Spojrzał przez wizjer. Znieruchomiał na moment. Kobieta pchająca wózek szybkim krokiem minęła jego drzwi. Edgar włożył worek do sportowej torby, którą przyniósł z sobą, ostrożnie otworzył drzwi i rozejrzał się po korytarzu. Potem zamknął je i spokojnym krokiem poszedł do swojego pokoju w drugim skrzydle hotelu.

* * *

– Co ty właściwie miałeś do załatwienia w tym kościele? No i po co ci ta metalowa kasetka, którą ciągle nosisz? Gdybym wiedziała, że będzie ważniejsza ode mnie, tobym ci jej nie przywoziła – zażartowała Francesca, gdy tylko ruszyli alfetą w kierunku Ostii.

– Mają tutaj remont, który potrwa jeszcze jakiś czas, i prosili mnie, żebym im pomógł rozwiązać jedną sprawę w instalacji elektrycznej. Znam tutaj księdza – skłamał Stefan.

– Co może pomóc kościołowi specjalista od ładunków wybuchowych w górnictwie? – Francesca się roześmiała.

– Przecież mówię ci, że chodziło o pewne urządzenie elektryczne. A ty myślisz, że przed eksplozjami w kopalniach czy kamieniołomach z marmurem podpalam lont zapalkami lub od cygara jak w spaghetti westernach?! – odpowiedział żartem Stefan.

Roześmiali się, a ona złapała go za szyję i mocno uścisnęła.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Francesca zaczęła przeglądać kupione dzień wcześniej piątkowe wydanie gazety „la Repubblica”. Powoli przekładała strony, zatrzymując się przy każdej na jakiś czas. W pewnym momencie oderwała wzrok od lektury i jej oczom ukazał się zjazd na *Autostrada del Sole* – A1, prowadzącą do Neapolu.

– Stefan! Co się dzieje? Dokąd jedziemy? Mieliśmy przecież jechać do Ostii! – krzyknęła zdziwiona.

– Jedziemy prosto do Neapolu, kochanie – odpowiedział spokojnie Stefan, jakby dla niego było to oczywiste.

– Nic już z tego nie rozumiem. Myślałam, że chcesz ze mną spędzić romantyczny czas na plaży czy na jakimś tarasie z widokiem na zachodzące słońce. Bo widzisz, chciałam ci coś powiedzieć w takich wyjątkowych okolicznościach, coś ważnego. A teraz pewnie jedziemy do Neapolu, bo chcesz mnie odstawić na prom – powiedziała ze smutkiem Francesca, a wielkie łzy popłynęły jej po śniadych policzkach.

– Nigdzie nie będę cię odstawił na prom. Razem popłyniemy. – Stefan się uśmiechnął.

– Na Sardinie? – zdziwiła się.

– Nie, nie na Sardinie. Do Tunisu. W Neapolu oddamy samochód do wypożyczalni i przesiądziemy się do twojego fiata.

– Do Tunisu? Po co? I co z moim samochodem?

– Stolica Tunezji jest piękna. Sama zobaczysz. Nie zatrzymamy się tam na długo, potem ruszymy do Kairu. Mam już bilety. Wszystko załatwione.

A twój samochód sprzedamy na Sycylii, a jak się uda, to najlepiej w samym Neapolu. Jest w dobrym stanie. Kupią go od nas w każdym komisie. Trochę grosza zawsze się przyda, prawda?

Jej duże czarne oczy stały się jeszcze większe. Łzy nagle wyschły. Otarła ich resztkę z policzka małą chusteczką. Milczała, wpatrując się w niego, jakby chciała się upewnić, że mówi jej prawdę.

– Pamiętasz, gdy ostatnio dzwoniłem do ciebie, do twojego biura? – odezwał się w końcu Stefan, a ona kiwnęła głową. – Kiedy powiedziałem ci, że będziemy już razem, nie kłamałem. Zrozum mnie. Musiałem to wszystko przemyśleć i poukładać sobie w głowie.

– Tak, pamiętam. Naprawdę, kochanie? *Insieme, insieme* – powtarzała z zachwytem.

– Naprawdę. Razem. Posłuchaj. Z Kairu polecimy do Pretorii, a jak nie, to do Bangkoku, i w Azji zaczniemy zupełnie nowe życie. Popłyniemy albo polecimy na jakąś piękną wyspę na Pacyfiku. Kupimy sobie pensjonat na jednej z tych rajskich plaż i będzie wspaniale. Albo zostaniemy w Afryce Południowej i zamieszkamy na jakiejś farmie w okolicy Parku Krugera? Co o tym sądzisz?

– Stefan...

– Słucham.

– Ale ja jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko. *Capisci?*

Stefan popatrzył na nią. Uśmiechnął się i pokiwał głową. Pierwszy raz od wielu lat poczuł się naprawdę szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 18
Włochy – maj 1981 roku

Woronow co chwila wychodził na szeroki taras w hotelu Bellavista w Ostii. Budynek był dwupiętrowy. Bardziej przypominał dużą willę niż hotel. Jasnożółty kolor dodawał mu uroku i kontrastował z równo posadzonymi palmami w niewielkim ogrodzie. Na pierwszym piętrze, gdzie Andriej wynajął pokój, znajdował się duży taras, z którego rozpościerał się widok na morze. Niecierpliwił się. Spoglądał co chwila na zegarek. Jego kolega z I Zarządu Głównego KGB, z którym razem odpowiadali za realizację operacji, spóźniał się. Woronow nalał kolejny kieliszek zmrożonej wódki Stolichnaya. Wychylił go i postawił na stoliku. Zapalił papierosa, zaciągnął się. Oparł się o balustradę i zmrużył oczy, patrząc na zachodzące za horyzont słońce. Daleko na morzu majaczyły sylwetki statków zmierzających być może do Neapolu. Ostatnie jachty ze zwiniętymi żaglami wchodziły do portu, czemu towarzyszył pomruk ich niewielkich silników zaburtowych. Zwinne motorówki, uderzając o małe tego dnia fale, pływały z rozbawionymi damsko-męskimi ekipami na pokładach. Bliżej niego, na piasku gdzieś siedziały wtulone w siebie parki. Inne, elegancko ubrane, zmierzały na kolację w nadmorskich restauracjach. Cykady zaczynały swój wieczorno-nocny koncert. W pewnym momencie Woronow dostrzegł wolno idącego Klimowa. „Mógłby się, kurwa, trochę pospieszyć” – pomyślał, choć jego kolega spóźnił się zaledwie kwadrans. Zamknął drzwi balkonowe i spuścił żaluzje. Po chwili usłyszał pukanie. Otworzył drzwi Klimowowi.

– Wchodź. Spóźniłeś się.

– Tak. Miałem jeszcze spotkanie z szefem naszej rezydentury w Rzymie i sprawdziłem pokój, w którym mieszkał Kafer z tą swoją dziwką z Sardynii.

– I jak? Masz coś?

– Wczoraj się wymeldowali, a w pokoju byli już inni lokatorzy. Ale... Rozmawiałem ze sprzątaczką z piętra. Jak dostała parę dolców, to język jej

się rozwiązał i opowiedziała mi co nieco.

– A co takiego?

– A to, że pokój po ich wyjeździe wyglądał jak po włamaniu albo...? – Zamilkł i zamyślił się.

– Albo?

– Albo... po rewizji policji. Ale powiedziała mi, że poza tym bałaganem nic nie zostawili... Kurwa mać!

– Dziwne to wszystko. Dzisiaj nasz sprzęt pokazywał, że radiowy mechanizm detonujący wciąż jest aktywny w kościele, ale każdy sygnał i próba uruchomienia go pozostawały bez reakcji. Trzeba jeszcze poczekać do jutra. Nie mamy wyjścia! – Uderzył dłonią we framugę drzwi wejściowych. – Może się odezwie? Zgodnie z ustaleniami jutro do południa miał nawiązać kontakt telefoniczny z naszym punktem w Szwajcarii.

– A ja ci mówię, że Kafer spieprzył z pięciuset tysiącami marek należącymi do naszej służby.

– Iwan. Posłuchaj. Jeśli to się nie wyjaśni, to będziemy mieli przejebane! Ale teraz nic nie poradzimy, musimy czekać do jutra. Może coś nie wyszło technicznie, może policja coś wywęszyła albo miejscowy kontrwywiad? Bo wychodzi na to, że semtex wciąż jest w kościele. Gdyby coś wywęszyli miejscowi, to już byłaby afera. – Woronow popatrzył wściekły. – Za dużo tych problemów ostatnio. Siadaj. Napijesz się stakancik? Zmrożona.

– Widzę. Polej – odpowiedział Klimow, a Woronow wlał gęsty alkohol do kieliszków. – Posłuchaj, Centrala daje nam wolną rękę w podjęciu decyzji. Zgadzą się również, że śmierć Legranda nie była przypadkowa... O Kaferze jeszcze nie wiedzą poza tym, że dzisiejszy termin przepadł.

– Wiesz, Iwan – przerwał mu Woronow. – Oni zawsze u nas mówią, że nie ma przypadków. Tylko w tej sytuacji to żadne pocieszenie. Nic nam to nie wnosi do sprawy. Można by wstrzymać wszystko, ale wtedy zapytają, na jakiej podstawie.

– No tak. A my na to, że nie ma przypadków, ale dowodów też nie ma.

– Właśnie. Dlatego sprawę sami musimy załatwić. Tu i teraz. Czasu już nie ma. Jens także przyjechał. Mieszka niedaleko. Ze dwieście metrów stąd.

– Kiedy się widzisz z Alois?

– Za dwie godziny. Ale nie jestem do końca przekonany.

– Andriej, kurwa. Rozmawialiśmy o tym. Możemy się śmiać, że Centrala z założenia nie wierzy w przypadki, ale fakty są takie, że coś tu śmierdzi.

– Na zdrowie – wtrącił Woronow i podniósł znowu napełniony kieliszek.

– Wiesz doskonale, że jedynie Alois zna wszystkie terminy i lokalizacje. Dwie już są nieaktualne. Jednego odpaliło nieznane komando ETA, a drugi uciekł z tą dziwką, zabierając kasę i nie podkładając ładunku wybuchowego. Nie wiem, gdzie musiałyby się teraz schować, żeby nasi go nie dorwali, ale jak go dorwą, to...

– Tylko że to nie była dziwka...

– No nie. Jego regularna kochanka. Pracownica administracyjna kopalni. Spotykali się od pięciu lat i prawdopodobnie chciał zostawić dla niej żonę.

– ETA się przyznała. Słyszałeś, że przysłali do kilku redakcji we Francji i w Hiszpanii oświadczenia z jakimiś szczegółami znanymi tylko śledczym. A Kafera pewnie skusiły kasa i chęć rozpoczęcia nowego życia gdzieś z dala od tej jego niemieckiej suczy. Chyba że ktoś go zajebał i chce, żebyśmy myśleli, że dał nogę. Czy mógł im w tym pomóc nasz gwardzista? Nie sądzę.

– Chyba sam siebie trochę oszukujesz, Andriej. Nie zapominaj, że włoski kontrwywiad zaczął się nim interesować. *Chuj znajet*, czy nie jest to zasłona dymna. Mogą go mieć na widelcu albo, co gorsza, już go zwerbowali.

– Nie, przesadzasz, Iwan. Za dużo, zwłaszcza ostatnio, wartościowych informacji mamy od niego, żeby makaroniarze z tymi z Watykanu to tolerowali. A może to jakiś przeciek od naszych wschodniemieckich towarzyszy ze Stasi?

– Hmm. Też o tym myślałem. Szczególnie że interesują się tą Socjaldemokratyczną Partią Szwajcarii i jej powiązaniami z nami. To może być właściwy trop. Chyba że jest jeszcze ktoś?

– Kto? Nie ci papiescy od tego ich biskupa, jak mu tam?

– Luigi Poggi... – podsunął Klimow.

– Właśnie. A jeśli nie Włosi, nie przeciek u towarzyszy w Berlinie, to kto wchodzi jeszcze w rachubę?

– A to, co się przydarzyło tobie i Danczowi kilka miesięcy temu w Splicie? Kurwa! Zapomniałeś? Przecież gdyby nie twoja pomoc, też by go zajebali. A potem to, co parę dni temu stało się w Amsterdamie – wyliczał Klimow. – Za dużo tego, Andriej, za dużo...

– Kurwa! Ten świr z Szarych Wilków normalnie by go odpalił i chuj by strzelił całą operację. W dodatku ta jego siostra, która nagle zapalała do brata miłością.

– Może trzeba było się jej... pozbyć?

– Iwan. I tak już za dużo trupów! To nie pomaga w cichej operacji wywiadowczej. Cholera wie, czy policja holenderska lub niemiecka czegoś nie zwąchały.

– Hmm... A może jednak coś od naszych bułgarskich sojuszników przecieka? Przecież wiedzą o Danczu i Mehmedzie! – dodał Klimow.

– To jeszcze o niczym nie świadczy, Iwan.

– A ta bułgarska cipa, ten Danczo? Jak udało ci się namówić go do współpracy?

– Z tym nie było większego problemu. Nacisnąłem jego najczulszy punkt, czyli wiarę i Kościół. Powiedziałem, że tylko on może oczyścić Watykan z pedofilów. Dorzuciłem mu historyjki o trzech moich synach i prywatnej inicjatywie oficerów radzieckiego wywiadu, którym zależy na uprzątnięciu tego syfu.

– Żartujesz? I uwierzył?! – Klimow się roześmiał.

– A jak myślisz?! Jak zobaczył te zdjęcia! Mówię ci... Poza tym on wszystko by dał, żeby tu mieszkać. Zrobi dla nas, co zechcemy.

– A właśnie, miałem się spytać. Od kogo dostałeś te zdjęcia?

– Od ludzi naczelnika Bykowa z naszego Wydziału V. Pilnym kurierem mi to dostarczyli.

– I jak zareagował, gdy zobaczył biskupie kutasy?

– Iwan! To był dla niego prawdziwy szok. Zaczął płakać.

– Hmm. Czyli wychodzi na to, że on chyba jest poza podejrzeniami... – Zamilkł na chwilę. – Czyli wiemy na pewno, że jedyny, który wie o interesujących nas miejscach i czasie, to...

– Tak, to jest pewne.

– Andriej. Pamiętaj także, że szef służb papieskich ma kontakty z tymi z CIA, Mosadu i ze wścibskimi Angolami. Może to oni gdzieś są w sprawie? Słuchaj, tak sobie teraz myślę. A może Francuzi coś zwąchali i chcą się wykazać w nowej rzeczywistości politycznej we Francji?

– Hmm... Mieli tyle afer. Indochiny, Algieria, Bliski Wschód... Więc może? – Woronow się zastanawiał. – Czyli myślisz, że oni prowadzą z nami jakąś grę z wykorzystaniem Alois? – dodał po dłuższej chwili.

– Kto wie, Andriej, kto wie?

Spojrzeni na siebie, jakby chcieli zdwoić wysiłki, żeby podjąć najlepszą możliwą decyzję, od której zależeć będzie przyszłość operacji. Stawka była wysoka. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że od jej powodzenia zależy ich przyszłość w KGB. W końcu pierwszy odezwał się Iwan Klimow:

– Andriej, nie wiem na sto procent, kto może mieszać nam szyki. Założmy, że oba zdarzenia nie były przypadkowe. Że Legranda zajębały jakieś służby, a Kafer też gdzieś leży zakopany i upozorowano jego ucieczkę...

– To co? – zapytał Woronow.

– To trzeba wyeliminować niebezpieczeństwo dla całej operacji na podstawie tego, co wiemy, co nam podpowiada logika i doświadczenie. To chyba dla ciebie oczywiste, prawda?

– Tak, oczywiście. Tylko zawsze może być jakiś nieznaną czynnik, a wtedy możemy popełnić cholerną pomyłkę – odparł Woronow i spojrzał na zegarek. – Godzina do spotkania. Muszę zadzwonić jeszcze do Jensa i podać mu miejsce. Niedaleko jest budka telefoniczna. Czeka tu na mnie. Jedzenie masz w lodówce, coś do wypicia też. Telewizor z kilkoma programami. No i piękny widok na Morze Śródziemne. Pewnie jeszcze nie zdążyłeś się w nim wykapać. Ciepłutka woda jak w naszym Morzu Czarnym na Krymie. – Puścił do niego oko.

– Nie, nie zdążyłem. Załatw sprawę, Andriej. Powodzenia.

* * *

Ristorante Al Pescatore znajdowała się tuż przy sztucznym kanale Pescatori prowadzącym do Morza Tyrreńskiego. Stojącą niemal nieruchomo wodę kanału wypełniały niewielkie jachty i łódki zacumowane wzdłuż jego brzegu. Okolica nie była dobrze oświetlona. Panował półmrok, co dodawało temu miejscu nieco tajemniczości. Niewielki ogródek przy restauracji był niemal pusty. Jedynie kilka miejsc było zajętych.

Alois już siedział przy stoliku. Był spokojny. Spoglądał w kierunku szumiącego w oddali morza i wyglądał, jakby zaciągał się zapachem morskiej bryzy. Miał radosny wyraz twarzy. Stał przed nim kieliszek z campari. Woronow zbliżał się na miejsce spotkania wolnym krokiem, jak zawsze. Oglądał się za dziewczętami, zatrzymywał przy wejściach do restauracji i kawiarni. Czytał wszystkie jadłospisy, czasem wchodził na moment do środka. Interesował się wciąż czynnymi straganami z pamiątkami, pocztówkami i różnym asortymentem plażowym. Wszystkie te czynności wykorzystywał do kontroli, czy nie jest śledzony. W końcu znalazł się w kawiarni, w której czekał na niego Alois. Woronow po drodze do stolika zamówił przy barze martini z lodem. Spojrzał na znak

bezpieczeństwa agenta. Odczekał chwilę i ze szklanką w dłoni przysiadł się do Szwajcara.

– Witaj, Alois.

– Witaj, Andriej.

– Dziękuję za informacje o winie. Wszystko gotowe. Dasz mi tylko z wyprzedzeniem cynk o dacie transportu. Jak zawsze zadzwonisz pod znany ci numer telefonu w Szwajcarii. Jasne?

– Tak, jasne.

– Zakładamy, że będzie to po piętnastym maja. Musisz wtedy bezwzględnie nadzorować transport do końca. Do samego końca! Aż do rąk tych zakonnic, które go obsługują. To też dla ciebie jasne?

– Tak. Jasne, jasne... – odpowiedział ten z jakąś rezygnacją w głosie.

– Coś bez przekonania to mówisz. Zdajesz sobie sprawę, że nie jest to takie łatwe, wymaga skupienia i zaangażowania. Weź się w garść, Alois.

– Tak, zdaję sobie sprawę. – Spojrzał na Woronowa i dodał po wyraźnej przerwie z nieukrywaną satysfakcją: – I wiem, co kombinujecie!

– To dobrze się składa. Nie będę ci musiał wciąż powtarzać pewnych oczywistych rzeczy. – Rosjanin zamilkł na dłuższą chwilę. – Alois. Nie zapominaj, o jaką stawkę toczy się gra. I nie zapominaj też, że ty jesteś elementem tej układanki. W dodatku kluczowym elementem. Jeśli to nie wypali, będziesz musiał wtedy poszukać innego, dogodnego momentu, aby zrobić to... własnoręcznie. A wtedy... Wiesz, co wtedy, prawda?

– Wszystko się mocno komplikuje.

– Właśnie.

– Rozumiem, że... potem więcej się nie spotkamy.

– Tak. Dobrze rozumiesz. A powiedz mi tak prywatnie, dokąd zamierzasz wyjechać? Skoro tak sobie tu szczerze rozmawiamy.

– Jeszcze nie wiem. Może tam, gdzie mnie nie znajdziecie. Amazonia? Argentyńska Patagonia? A może Vanuatu?! – odpowiedział już pewniej.

Woronow się roześmiał. Poklepał Szwajcara po ramieniu. Wyprostował się na krześle. Potem dopił alkohol. Pokręcił resztkami kostek lodu i postawił szklankę na niewielkim stoliku. Popatrzył swojemu rozmówcy głęboko w oczy.

– Przed nami trudno się ukryć. Świat nie jest taki duży, jak ci się wydaje. Wierz mi.

Chciał coś jeszcze dodać, ale zdecydował, że nie będzie psuć mu dobrego nastroju.

– No cóż, Alois. Życzę ci powodzenia na nowej drodze życia gdzieś daleko w świecie. I powtórzę jeszcze raz. Mam naprawdę nadzieję, że nie będziemy musieli poprawiać twojej roboty – powiedział Woronow, uśmiechnął się do Alois i wyszedł z kawiarni.

Radziecki oficer, tak jak przed spotkaniem, znów szedł powoli i kontrolował bacznie otoczenie, wykorzystując nadarzające się okazje.

* * *

Po kilku minutach za Woronowem z kawiarni wyszedł Alois i skierował się w inną stronę, oddalając się od morza. Szedł wzdłuż via dei Pescatori. Miał do przejścia kilkaset metrów. Niedaleko, przy niewielkim skwerze, postawił swój samochód – srebrnego fiata 131 mirafiori. Zwykle parkował nieco dalej, żeby wykorzystać pieszą trasę sprawdzeniową. Jednak od pewnego czasu coraz mniejszą wagę przykładał do spraw bezpieczeństwa. Męczyło go to ciągle ukrywanie się, sprawdzanie, konspiracja spotkań, te szczegółowe pytania do przekazywanych przez niego informacji. Ale teraz pierwszy raz od momentu rozmowy z Jensem na wzgórzu wznoszącym się nad Zermatt Alois czuł jakiś wewnętrzny spokój. „Wreszcie to się kończy. Uwolnię się od tych czerwonych skurwieli!”. Droga na miejsce prowadziła pod parasolami sosen nadmorskich, poprzetykanych pióropuszcami sagowców i sadzonych równo zamii z ich strzelistymi pałkami pełnymi grubych liści. Gdzieniegdzie widać było duże białe kwiaty drzewiastych piwonii. Alois uwielbiał te zapachy śródziemnomorskiej zieleni. Ile razy miał czas, to spacerował po ogrodach watykańskich i wdychał woń olejków eterycznych bujnej roślinności. Co chwila przystawał i zamykał oczy. Potem z jakąś nadzieją spoglądał na prawo w kierunku płynącego bardzo powoli kanału Pescatori, który migotał w świetle odległych, ledwie widocznych latarni. Wokół nie było nikogo. Szum oddalającego się morza stawał się coraz mniej słyszalny, aż w końcu zapanowała zupełna cisza.

– Alois! Alois! – Usłyszał za sobą męski, znany mu doskonale głos.

Odwrócił się gwałtownie. W tym momencie po jego szyi przesunęło się błyskawicznie ostrze noża.

– Jens?! Dlaczego?! Jens... – wyrzucił Szwajcar, a z jego ust wypłynęła obficie krew i dołączyła do tej płynącej z równo rozciętej szyi.

Jens szybko chwycił Alois, gdy ten klęknął. Momentalnie odciągnął go w pobliskie zarośla. Zaczął nasłuchiwać. Ale nikogo nie było. Miejsce było

wyjatkowo słabo oświetlone. Najbliższa latarnia uszkodzona. Ciało Szwajcara jeszcze drgało w konwulsjach. Jednak z każdą chwilą życie z niego uchodziło. Aż w końcu spoglądające z przerażeniem oczy znieruchomiały.

Mehmet

Rzym – maj 1981 roku

– *Buenos días.*

– *Buenos días* – odpowiedziała po hiszpańsku Basia, która właśnie odkurzała lobby w Domu Pielgrzyma przy via Pfeiffer. – W czym mogę państwu pomóc?

Było bardzo wczesnie rano. Wszyscy lokatorzy jeszcze spali. W okresie wiosennym panował w tym miejscu względny spokój.

– Jesteśmy pielgrzymami. Przyjechaliśmy z Hiszpanii większą grupą. My szukamy tylko dwóch miejsc noclegowych – odpowiedział mężczyzna już po polsku.

– To pan Polak? – zapytała, słysząc prawie czystą polszczyznę. – Ale akcent jakby... francuski? – dodała i spojrzała na mężczyznę.

– Tak. Ale mieszkam z żoną od kilku lat w Hiszpanii, w Kraju Basków, a dokładnie w Bilbao. – Uśmiechnął się i spojrzał na towarzyszącą mu kobietę o ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach. – A akcent pewnie przez to, że przed przyjazdem do Hiszpanii mieszkałem ze dwa lata koło Carcassone w Langwedocji, na południu Francji. Właśnie tam, w czasie jednego z winobrań, na których pracowałem, poznałem przyszłą żonę.

Mężczyzna w jednej ręce trzymał czarny kask motocyklowy, a w drugiej dwie duże sakwy podróżne. Basia zaczęła przerzucać kartki w dużym zeszycie i coś sprawdzać.

– Mamy wolny jeden pokój. Nie trzeba będzie czekać do południa, aż coś się zwolni. Proszę przygotować paszporty – powiedziała i spojrzała na

stojącą obok mężczyzny kobietę, która zaczęła dłonią rozczesywać przygniezione przez kask włosy.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni skórzanych spodni hiszpański paszport i podał go Basi. Na grafitowej okładce widniał orzeł w złotym kolorze trzymający tarczę herbową, a pod spodem był napis *España Pasaporte*. Po chwili stojąca obok niego kobieta, po postawieniu podobnych motocyklowych sakw, z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki również wyjęła swój paszport i podała go Basi.

– A ja myślałam, że pan przyjechał prosto z Polski. – Basia się uśmiechnęła.

– Kilka lat temu udało mi się wyemigrować z kraju. We Włoszech jesteśmy z pielgrzymką motocyklową. Co roku organizujemy wyjazd w inne miejsce. Teraz jedziemy w zasadzie prosto z Hiszpanii, choć zatrzymaliśmy się po drodze zobaczyć opactwo Świętego Piotra w Montmajour w Prowansji.

– A tak, znam to miejsce. Koło Arles. – Mężczyzna pokiwał głową. – To cudowny zabytek. Byłam tam kiedyś przy okazji odwiedzenia Awinionu. Niestety, ta perła Prowansji z dziesiątego wieku została zniszczona podczas rewolucji francuskiej. – Basia jakby się zamyśliła. – A w zeszłym roku gdzieś byliście?

– Przejechaliśmy szlak Świętego Jakuba z Pirenejów do Santiago de Compostella.

– Ach... To musiała być piękna podróż, panie... Dawidzie. – Zerknęła na pierwszą stronę w paszporcie mężczyzny i zaczęła spisywać dane do księgi gości. – Chyba niecałe dwa tygodnie temu czytałam w gazecie, że hiszpańska Galicja uzyskała autonomię. Bo dobrze myślę, że Santiago de Compostella jest w Galicji?

– Tak, tak, w Galicji – odpowiedział krótko Dawid.

– W zeszłym roku mieliśmy tutaj pielgrzymów, którzy też jak wy przeszli szlak Świętego Jakuba z Francji. Mówili, że pozdrowienie na szlaku to *buen camino*? Zapamiętałam to, bo zawsze gdy rano schodzili, witali się z wszystkimi tymi słowami.

– Zgadza się.

– A gdzie nocują inni pielgrzymi?

– Reszta grupy zatrzymała się pod Rzymem. Ale wszyscy planujemy wybrać się na audiencję generalną w najbliższą środę.

– A pan z żoną osobno. Macie szczęście, bo dla dwóch osób to zawsze coś się znajdzie, ale dla grup trzeba wcześniej rezerwować miejsca. – Uśmiechnęła się i znowu zaczęła coś przepisywać z paszportów.

Dawid nie dawał tego po sobie poznać, ale coraz bardziej go irytowała ta wścibska kobieta. Jednak taka rozmowa umożliwiała też zdobycie informacji.

– Jak pani uważa, czy na najbliższej audiencji generalnej na placu Świętego Piotra będzie dużo pielgrzymów?

– Na audiencji generalnej zawsze jest sporo osób. Zwykle tak... około dwudziestu tysięcy.

– Rozumiem. Cudownie, że tyle ludzi chce posłuchać Ojca Świętego.

– Proszę. – Oddała Dawidowi paszporty. – Tak. Wspaniale jest tak podróżować na motocyklach. To daje taką... wolność. Właśnie, a gdzie je zaparkowaliście?

– Na razie zostawiliśmy je na via della Konziliazione.

– Koniecznie przestawcie je tutaj na placzyk przy naszym budynku. Będą tu bezpieczne. – Wskazała ręką i podała im klucz do pokoju.

* * *

Mehmet obudził się później niż zwykle. Leżał i patrzył w sufit. Poprzedniego dnia wybrał się na codzienny spacer po Polu Marsowym. Miejsce to tak bardzo go zaabsorbowało, że ani się obejrzał, a zastał go tam wieczór. Teatr Marcellusa i portyk Oktawii zrobiły na nim ogromne wrażenie. Żałował jedynie, że kolumna Marka Aureliusza była w tym czasie remontowana, więc nie udało mu się wejść wąskimi schodkami na jej wierzchołek. Rzym go zafascynował. Jego potęgę i siłę czuł na każdym kroku. A tutejsi mieszkańcy jakże różnili się od jego ubogich rodaków z rodzinnej prowincji Malatyia. „Przecież raptem jedno morze nas dzieli! A zupełnie inny świat! Dlaczego oni tak tu mają, a my nie? Przecież moja Turcja była jeszcze niedawno potęgą, której armie stawały pod murami Wiednia!” – rozmyślał, siedząc na murku przy wejściu do mauzoleum Augusta ze wzrokiem utkwionym w Panteonie ufundowanym przez cesarza Hadriana. „Oni też przeminęli. Ale ich budowle i pamięć po nich przetrwały, stając się podstawą silnego, bogatego, współczesnego państwa. A Turcja, jej potęga? Co z niej zostało?”

Kiedy pierwszego wieczoru po przyjeździe do Rzymu wracał z Pola Marsowego, wysłał pocztówkę do swojej siostry w Pforzheim. Poinformował ją, gdzie jest, gdzie mieszka, jak wielkie wrażenie robi na nim Wieczne Miasto. Kartkę napisał, siedząc przy mauzoleum Augusta, które zaczął traktować jako miejsce do swoich egzystencjalnych rozważań. Pragnął, by po tym, co się stało w Holandii, nie martwiła się o niego. Teraz była jedyną osobą, dla której dobra chciał wykonać powierzone mu zadanie. Dla swoich braci z Szarych Wilków stał się wrogiem i dlatego obiecana mu przez Woronowa zmiana tożsamości była jedynym wyjściem, aby zerwać z przeszłością. To właśnie przez te dwie sprawy był zdeterminowany wykonać misję. Jednak o wysłanej do Niemiec pocztówce nie wspomniał Woronowowi, kiedy spotkał się z nim następnego wieczoru.

Okazało się, że nawet gdyby nie rozjaśniał włosów, i tak nie wzbudzałby większego zainteresowania w Domu Pielgrzyma. Najbarwniejsza tutejsza pracownica – przewodniczka Basia – miała co najmniej kilku zaprzyjaźnionych Turków cypryjskich. Szybko dowiedział się od pracujących tu polskich zakonnic, że często zabierała ich na audyencje razem z polskimi grupami. Nikogo już nie dziwił widok mężczyzn o śniadej cerze, którzy przewijali się przez budynek przy via Pfeiffer. Mehmet się zorientował, że pielgrzymi z Polski zawsze brali udział w audyencjach generalnych.

Nagle zerwał się z łóżka. „Muszę się pospieszyć, bo o dwunastej mam iść na plac Świętego Piotra. Dzisiaj będzie *Anioł Pański*” – przypomniał sobie. Wychylił się przez otwarte okno i spojrzał w lewą stronę, gdzie po ulicy Borgo Santo Spirito spacerowali już turyści, którzy kierowali się w stronę bazyliki. Leżąc wcześniej na łóżku, Mehmet doszedł do wniosku, że musi zrobić dokładniejszy rekonesans, aby nic go nie zaskoczyło. Chociaż na plac Świętego Piotra chodził codziennie, to nigdy nie czuł się zrelaksowany tak, jak to było na jego ulubionym Polu Marsowym. Zawsze starał się być w tym rejonie skoncentrowany. Wiedział, że nie może uśpić czujności, bo wtedy mogłoby się to źle dla niego skończyć. Ale jako chrześcijanin z Cypru mający rekomendację ojca Maurycego z kościoła Świętego Krzyża w Nikozji czuł się dość swobodnie, kiedy przebywał wśród pielgrzymów. Nikt się nim nie interesował i łatwo wtapiał się w tłum. Pewności dodawali mu również ci cypryjscy Turcy, którzy dobrze znali się z pracownikami. Nie nawiązał jednak z nimi kontaktu, by nie

narażać się na dekonspirację. Jedynie wymieniał z nimi codzienne uprzejmości.

Po kilku dniach był pewien, że najbezpieczniej i bez wzbudzania podejrzeń będzie wejść za mury Watykanu z polską grupą. Dlatego starał się nawiązywać kontakty z Polakami, którzy tak jak i on przebywali w Domu Pielgrzyma. „Wtedy bez kontroli wejść jako jeden z turystów z Polski! Wystarczy, że któraś przewodniczka wskaże mnie jako członka swojej grupy pielgrzymkowej!”. Postanowił, że najlepszy kamuflaż i zabezpieczenie realizacji zadania zapewni grupa, którą będzie prowadzić Basia.

* * *

Grupa pod opieką Basi ruszyła w stronę bramek, przez które prowadziło wejście na plac Świętego Piotra. Mehmet nie wyróżniał się spośród pozostałych polskich pątników. Miał na sobie dżinsy i niebieską koszulkę polo. Na ramieniu zawiesił niewielką skórzaną torbę z grubym paskiem. Okulary przeciwsłoneczne w srebrnej oprawce nadawały mu wygląd typowego turysty.

Drugiego wieczoru, kiedy spotkał się z Woronowem, Rosjanin dokładnie opisał mu, jak wygląda system zabezpieczeń w Watykanie. Wyjaśnił, gdzie znajduje się posterunek włoskiej policji w rejonie bazyliki, którego zadaniem jest pilnowanie bezpieczeństwa podczas publicznych zgromadzeń z udziałem papieża. Wyjaśnił zasady, jakie karabinierzy stosują w zakresie ogólnego bezpieczeństwa. Szczególną uwagę zwrócił Mehmetowi na służby watykańskie, w tym papieskich gwardzistów. Przedstawił mu mapę z systemem bramek, gdzie dokonywana jest kontrola. Uspokoił go, mówiąc mu, że na bramkach wejściowych nie ma wykrywaczy metalu.

– *Questo è il mio gruppo!* – krzyknęła Basia do karabinierów przy bramkach, wskazując na grupę osób stojących obok niej i wrywając z zamyślenia Mehmeta.

Jeden z nich uśmiechnął się do niej i ruchem ręki dał znać, by wszyscy weszli na plac. „Chyba dobrze się znają? W środę też nie powinno być problemu z wejściem” – pomyślał Mehmet i poczuł ulgę.

Plac Świętego Piotra otaczał portyk Berniniego – olbrzymia, czterorzędowa kolumnada w stylu tokańskim, uwieńczona attyką, z której na pielgrzymów spogląda sto czterdzieści posągów świętych. Mehmet przez

chwilę przyglądał się ich figurom. Wydawały mu się takie do siebie podobne. Po chwili minęli środek placu ozdobiony egipskim obeliskiem liczącym ponad trzy tysiące lat.

– Według tradycji miał być świadkiem męczeńskiej śmierci wielu chrześcijan i samego Świętego Piotra – mówiła Basia donośnym głosem, a jeden z polskich pielgrzymów szybko przetłumaczył Mehmetowi jej słowa.

„Jak to możliwe, że pogański obelisk stoi w miejscu tak ważnym dla chrześcijan?! Jakieś to wszystko dziwne” – pomyślał Mehmet, który cały czas miał dziwne odczucia. Mimo że był skoncentrowany, uważny i starał się zapamiętywać wszystkie szczegóły, czuł się tutaj taki przytłoczony, nic nieznaczący. Ponownie do niego dotarło, że nie czuł się tu tak komfortowo jak na Polu Marsowym. Otuchy dodawała mu jedynie świadomość, że za kilka dni skończy się jego męka. Jego siostra będzie bezpieczna, a on sam uwolni się wreszcie od swojej przeszłości i zacznie zupełnie nowe życie.

– Proszę się nie rozchodzić! – krzyknęła Basia do pielgrzymów, którzy oddalili się w stronę jednej z dwóch fontann znajdujących się na placu.

Tym razem Mehmet nie miał problemów z jej zrozumieniem, machanie przez nią ręką było wystarczająco czytelne.

– Spójrzcie w lewo, tutaj między kolumnami a bazyliką jest Spiżowa Brama. – Wskazała na duże wrota strzeżone przez dwóch gwardzistów.

W tym samym momencie Mehmet zobaczył, że Basia zaczęła rozmawiać z jakąś parą z innej grupy. Wydawało mu się, że już ich gdzieś widział. „Nie kręcili się dzisiaj na dole, kiedy wychodziłem z Domu Pielgrzyma?” Odszukał w pamięci poranną scenę. Kobieta miała kruczoczarne włosy spięte w kucyk i wyglądała jak hiszpańska tancerka z plakatu, jaki Mehmet widział wczoraj na jednej z ulic. „Brakuje jej tylko długiej sukni z falbanami i kastanietów” – pomyślał. Mężczyzna był szczupły, choć dobrze zbudowany. Miał na sobie rzucającą się w oczy koszulkę z krótkimi rękawami. Był na niej wizerunek dużej muszli z czerwonym krzyżem, a pod spodem napis *¡Buen Camino! 1980.* Mężczyzna rozmawiał w jakimś dziwnym języku i tłumaczył kobiecie na hiszpański rozmowę z przewodniczką. Po chwili Basia znowu spojrzała na Mehmeta i przetłumaczyła po angielsku informację o Spiżowej Bramie. Na końcu uśmiechnęła się do niego. Mehmet odwzajemnił się tym samym.

W pewnym momencie rozszedł się jakiś szum wśród zgromadzonych na placu pielgrzymów, a oczy wszystkich skierowały się nad portyk

Berniniego, gdzie na najwyższym piętrze, w oknie Pałacu Papieskiego pojawiła się biała postać. Spojrzenie Mehmeta również skierowało się na stojącego w oknie papieża.

* * *

Dawid z ciemnowłosą kobietą stał przy obelisku, skąd miał najlepszy widok na otoczenie. Obejmował ją ramieniem i co jakiś czas nachylał się, jakby coś jej mówił do ucha.

– Praktycznie nie ma tutaj żadnych zabezpieczeń. Można wnieść niemal wszystko – szepnął po francusku.

– Metalowe przedmioty przede wszystkim – odpowiedziała i kiwnęła głową.

Głos papieża wydawał się spokojny, opanowany i charyzmatyczny. Niósł się po całym placu. Dawid nawet na moment nie spuszczał z oka Mehmeta, który z podniesioną głową zastygł w bezruchu, jakby z wielką uwagą słuchał tego, co papież mówi do wiernych.

– Myślisz, że to, co mówił major na odprawie o tym Turku, to w stu procentach prawda? – zapytał partnerkę wyglądającą na znudzoną.

– Tak. Są tego pewni. Major mówił mi jeszcze przed odprawą, że przycisnęli niejakiego... Mustafę, który ukrywał się pod Paryżem. Ponadto z Interpolu dostali informację, że ten cały Mustafa to brat jakiegoś aktywisty z Szarych Wilków, którego ciało zostało znalezione niedawno w rzece Waal w Holandii. Ale jest jeszcze coś zagadkowego... – Przerwała, bo tłum zaczął głośno odmawiać modlitwę.

– Co masz na myśli? – zapytał po kilku minutach Dawid.

– Ten Mustafa, jak go nasi... przycisnęli w areszcie, coś bredził o Bułgarach.

– Jakich Bułgarach?

– Jakich, jakich. O bułgarskim wywiadzie. A skoro bułgarski, to pewnie gdzieś jest i sowieckie KGB. Tak myślę. Kierownictwo chyba też tak zakłada, jak mi się wydaje. Bo w końcu jesteśmy tu większą ekipą – odpowiedziała pewnym głosem.

– *Putain!* A ja mam problem z inną sprawą – szepnął, a kobieta spojrzała pytającym wzrokiem.

– Co ci chodzi po głowie?

– Czy on jest tak głupi, czy zleceniodawcy go nie kontrolują, że wysłał do siostry pocztówkę z Rzymu? Niezależnie od tego, kim są ci zleceniodawcy. A zwłaszcza, jak mówisz, że Bułgarzy czy Sowieci mogą się przy tym kręcić... – Zamilkł, ale po chwili dodał: – W końcu to nie idioci! – Kobieta znów przytaknęła, dotykając lekko językiem czerwonych ust.

– Wiesz, Dawid. On nie jest taki głupi. Rozjaśnił włosy i przyłączył się do grupy pielgrzymów, bo wie, że wtedy będzie niewidzialny – odpowiedziała, uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie, ponieważ właśnie papież pozdrowił pielgrzymów po hiszpańsku. – Tylko popatrz na niego. Z daleka wygląda jak jakiś twój rodak z Polski, co? – Skinęła lekko głową w kierunku Mehmeta.

– Masz rację. Niespecjalnie się wyróżnia – odpowiedział i baczniej zaczął się mu przyglądać.

– Nie gap się tak, bo się połapie, że go ktoś obserwuje.

– *Oui... mon amour* – odpowiedział i mrugnął do niej.

– A zauważyłeś, że w tym Domu Pielgrzyma kręcą się Turcy? To dosyć dziwne, bo oficjalnie to miejsce dla pielgrzymów z Polski.

– Tak. Wychodzi na to, że to znajomi tej upierdliwej przewodniczki. Może z niektórymi po prostu się pieprzy? Wiesz, jak jest, oni tacy prawie Włosi z południa. A poza tym odnoszę wrażenie, że tam panuje wielki bałagan.

– Masz rację. Nie trzeba się specjalnie przyglądać. A myślisz, że dlaczego akurat w to miejsce wysłano tego Turka? Lepszą bazę wypadową do Watykanu trudno byłoby mu znaleźć.

– *Putain!* – znowu zaklął pod nosem.

– Dawid! Nie zapominaj, gdzie jesteś – skarciła go szeptem.

– Przez syf, jaki tutaj panuje, odnoszę czasem wrażenie, że to wcale nie musi być ten nasz farbowany cypryjski Turek, a każdy z tych, którzy się tu kręcą. Ten chaos okropnie dezorientuje.

– Spokojnie, spokojnie. Musimy się trzymać ustaleń starego i tego, co nam mówił na odprawie. Ja też się już w tym trochę gubię, choć nawet całego dnia tutaj nie spędziliśmy. – Uśmiechnęła się i szturchnęła go w ramię, by się przeżegnał, gdyż właśnie rozpoczęło się błogosławieństwo.

Przez chwilę milczeli, po czym kobieta nachyliła się do ucha Dawida i powiedziała:

– Wiem, że się gubisz, ale mnie to nie dziwi, bo przecież czego mogli cię nauczyć w tej Legii Cudzoziemskiej. – Wykonała znak krzyża. – Chyba już to się kończy. Uważaj, żeby nam nie zginął. – Kiwnęła głową, widząc, że grupa Basi ruszyła.

* * *

Po zakończeniu modlitwy *Anioł Pański* plac powoli pustoszał. Mehmet chciał jeszcze kupić papierosy w kiosku Poczty Watykańskiej znajdującej się przy kolumnadzie Berniniego, jednak odstraszyła go długa kolejka. Zrezygnował więc i razem z grupą Basi wrócił do Domu Pielgrzyma.

* * *

Do ruin mauzoleum Augusta prowadziło wąskie wejście otoczone wysokim na kilka metrów zniszczonym murem. Mehmet dwa razy okrążył Pole Marsowe, rozglądając się dokładnie, czy nikt go nie obserwuje. Gdy nic podejrzanego nie zauważył, włożył pod pachę gazetę „la Repubblica” nagłówkiem na zewnątrz, tak jak to było ustalone w systemie znaków. Zatrzymał się na chwilę i niczym rasowy turysta zaczął przyglądać się fasadzie budowli, następnie wolnym krokiem wszedł w ruiny.

* * *

– Jest! Patrz! Znowu idzie w kierunku ruin mauzoleum Augusta. Po jaką cholere?! – powiedział Dawid do swojej partnerki. – Coś kombinuje, bez dwóch zdań.

– Widzę. Nie możemy go ani na chwilę spuścić z oczu – odpowiedziała i skinęła głową na dwóch mężczyzn wyglądających na amerykańskich turystów, którzy weszli do wnętrza mauzoleum.

Po krótkiej chwili Mehmet opuścił ruiny i skierował się w stronę zagajnika porośniętego tujami.

– Odczekajmy parę minut i idziemy za chłopakami! Mają dobre aparaty, więc niech teraz trochę oni popracują – rzuciła krótko kobieta do Dawida. – Trzymajmy się nieco dalej w strefie.

* * *

– Na pewno nikt cię nie widział? – Usłyszał za sobą głos Woronowa.

– Tak. Nikogo nie zauważyłem. Dwa razy okrążyłem Pole Marsowe, zanim tutaj przyszedłem – odpowiedział, odwracając się powoli do Rosjanina.

– Następnym razem nie kręć się dwa razy, tylko wybieraj różne miejsca.
– Mehmet dyskretnie skinął głową. – Usiądźmy na chwilę. – Woronow wskazał dłonią niewysoki kamienny murek.

Mehmet podłożył pod siedzenie złożoną gazetę i usiadł w niewielkiej odległości od Woronowa.

– Dobrze. Mniejsza o to. Posłuchaj... – Zamilkł na chwilę i dyskretnie się rozejrzał. – Tutaj przy mnie – Woronow skinął głową na niebieską torbę sportową z białym napisem *Adidas*, stojącą pod samym murkiem między nimi – jest dla ciebie w środku browning HP i izraelskie uzi. Dodatkowo masz tam po dwa magazynki do każdej sztuki broni. Wybierzesz w zależności od sytuacji, jasne?

– Tak – odpowiedział krótko Mehmet.

– Czy potwierdziłeś, że z wniesieniem sprzętu na plac Świętego Piotra nie będzie problemu? – zapytał Rosjanin.

– Nie będzie. Na bramkach nie sprawdzają za dokładnie, a wykrywaczy metalu tam nie ma.

– Świetnie. – Woronow pokiwał głową.

– Po wykonaniu zadania będziecie na mnie czekać na via della Conciliazione, tak jak się umawialiśmy? Czy coś się zmienia? – zapytał, jakby chciał się jeszcze raz upewnić, czy Rosjanin dotrzyma danego mu słowa.

– Tak. Tak jak się umawialiśmy. Dojdiesz do końca via della Conciliazione, aż do Tybru. Tam wyrzucisz broń do rzeki. Zaraz potem wywieziemy cię poza Rzym. Gdy już będziesz bezpieczny, trochę się uspokoi, dostaniesz nowy paszport i środki potrzebne do rozpoczęcia nowego życia. Proponujemy Amerykę Południową. Argentyna albo Paragwaj. I zapominamy o tobie – powiedział z pełną powagą Woronow.

– A moja siostra będzie bezpieczna?

– Będzie bezpiecznie mieszkać w Niemczech. Dałem ci słowo. Ale pamiętaj: przez kilka lat nie nawiązuj z nią żadnego kontaktu. Bo wtedy nasza umowa przestanie obowiązywać. Rozumiemy się?

– Tak.

– To powodzenia. Widzimy się po akcji.

Woronow wstał i wyszedł powoli z zagajnika. Mehmet odczekał jakiś czas i wstał. Nie rozglądając się, ruszył pewnym krokiem przed siebie w kierunku Pola Marsowego, ściskając w dłoni niebieską torbę.

* * *

– Widziałaś tego faceta, który nas wyminął przed chwilą?

– Widziałam. I co ci się w nim nie podobało?

– Jego twarz. Taka... słowiańska! Jakby... sam nie wiem.

– Dawid, skręcamy. Idzie! Tam – rzuciła krótko, a Dawid, nie namyślając się, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Kiedy Mehmet był już blisko, Dawid objął swoją partnerkę i pocałował w usta. Drugą dłonią delikatnie gładził jej rozpuszczone kruczoczarne włosy.

– Ooo! Jestem pod wrażeniem – odpowiedziała po chwili, lekko go odpychając.

– Mam nadzieję. – Uśmiechnął się wymownie.

– Dawid! Turek miał ze sobą niebieską torbę. A przecież wszedł tylko z gazetą pod pachą!

– *Merde!* Dostał ją od kogoś w środku!

– Dostał. Dostał. Pewnie od tego faceta, na którego zwróciłeś uwagę. Idziemy do samochodu. Poczekamy na chłopaków i jedziemy do nich do hotelu. Niech szybko wywołają u siebie zdjęcia i zaraz poznamy tę... słowiańską twarz.

Danczo

Włochy – maj 1981 roku

Było dość wcześnie rano, kiedy Danczo dotarł do papieskiej rezydencji w Castel Gandolfo, oddalonej zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od Watykanu. Podróż pociągiem z dworca Termini w Rzymie trwała około czterdziestu minut i przebiegła spokojnie. Podróżnych nie było za wielu. Pociąg jechał zgodnie z rozkładem. Pracę w letniej rezydencji papieskiej Danczo bardzo sobie cenił. Była spełnieniem jego marzeń. Czuł, że jest bliżej Boga. Każdy kawałek tej ziemi traktował niemal jak świętość. Pracował tutaj zawsze w środy i czwartki, od szóstej rano do osiemnastej.

Danczo, zanim tutaj trafił, przestudiował całą historię tego miejsca. Traktował je jak drugi Watykan – tak samo ważny i tak samo magiczny. Pamiętał, że od siedemnastego wieku miejsce to pełniło na stałe funkcję letniej rezydencji papieża, a dzięki traktatom laterańskim zawartym przed wojną uzyskało status eksterytorialny.

Trochę nie pasował mu do tego *sacrum* nieduży, kryty basen, w którym pływał obecny papież, gdy tylko tutaj gościł. Któregoś dnia jedna z usługujących polskich zakonnice poinformowała go z satysfakcją, że basen został wybudowany na prośbę papieża i że był w dużej mierze sfinansowany przez polskich emigrantów osiadłych w Stanach Zjednoczonych.

Jak to miał w zwyczaju, Danczo przed rozpoczęciem pracy stawał odwrócony plecami do zbocza i odmawiał krótką modlitwę, którą kończył słowami:

– Boże, dziękuję Ci, że sprawiłeś, abym był w tym miejscu. Wcześniej nawet nie marzyłem, że będzie mi dane za życia wejść do raju.

Potem podziwiał widoki rozpościerające się ze wzgórza Castel Gandolfo. Wpatrywał się w nieruchomą taflę jeziora Albano i mający w oddali Rzym. O tej porze roku było tutaj wyjątkowo zielono. Miejscowa, powulkaniczna gleba sprawiała, że roślinność i płody rolne rosły szybciej i były bardziej obfite niż w innych miejscach. „Jak to możliwe, że cały ten obszar to krater wygasłego dawno wulkanu? Tego musiała dokonać boska ręka” – zastanawiał się Danczo i dochodził zawsze do tego samego wniosku.

Od swojego współlokatora, księdza Diego, dowiedział się, że trzy najgorętsze letnie miesiące papież spędza właśnie tutaj.

– Teraz to Ojciec Święty błyskawicznie przybywa do Castel Gandolfo! Niczym jakiś anioł! – żartował Diego. – Odkąd przed pięcioma laty wybudowano lądowisko dla helikopterów, droga między Watykanem a letnią rezydencją papieża pokonywana jest w dwanaście minut!

Danczo wiedział od innych tutejszych pracowników, że papież często podczas spacerów po ogrodach odwiedza również farmę. Interesuje go życie tutejszych pracowników. Po cichu liczył, że już niedługo uda mu się poznać papieża osobiście, a może nawet z nim porozmawiać. Dlatego często, kiedy zasypiał w swoim mieszkaniu na Zatybrzu, przygotowywał się w myślach do tej rozmowy.

Jednak od pewnego czasu ten spokój i harmonię, jakie go teraz otaczały, zakłócały obrazy, jakie widział na zdjęciach pokazanych mu przez Woronowa. Przerażone twarze chłopców wykorzystywanych seksualnie przez wysokich hierarchów kościelnych tak bardzo wryły mu się w pamięć, że nie potrafił ich już wymazać. Starał się, chciał, ale było to silniejsze od niego. Czuł, że wzbiera w nim nienawiść. Chociaż wiedział, że nienawidzić bliźniego jest grzechem, to nie potrafił się wyzbyć tego uczucia. Często modlił się do Boga, prosząc go o dar przebaczenia i zapomnienia. Dlatego tak mocno trzymał się tego, o czym zapewniał go Woronow, że papież będzie bezpieczny, a ucierpią jedynie ci, którzy krzywdzą niewinnych.

Transport wina, które potem miało trafić do Watykanu, zaplanowano na następny dzień. Danczo postanowił właśnie tego dnia się upewnić, kto będzie je pakować i które butelki wina będą ładowane do większej skrzyni, przeznaczonej dla dostojników kurii rzymskiej.

– Danczo! Ty znowu jesteś w jakimś transie?! – Usłyszał wołanie w łamanym języku włoskim.

Odwrócił się i zobaczył, że idzie do niego jeden z Polaków pracujących na farmie. Porozumiewali się ze sobą po włosku, choć ani Danczo, ani polscy pracownicy nie mówili płynnie w tym języku. Umiejętności wystarczyło im jednak, żeby się porozumieć.

Odruchowo przesunął do tyłu przewieszoną przez ramię torbę z narzędziami. Ukryty miał tam specjalny dozownik z igłą, zasilany niewielką butlą ze sprężonym powietrzem, który po naciśnięciu spustu wypychał dawkę trucizny. Woronow tłumaczył i zapewniał kilka razy, że substancja ta nie powoduje natychmiastowych objawów. Natomiast przez parę tygodni stopniowo będzie następowało zaburzenie chodu, spowolnienie ruchów i osłabienie siły mięśni. Pojawią się tiki nerwowe, nieskoordynowane ruszanie palcami i kiwanie głową. Ci, którzy ją spożyją, nie będą wkrótce mogli normalnie funkcjonować, a na pewno nikogo krzywdzić w ten sposób jak dotychczas. Ale wszystko miało być uzależnione od stanu ich zdrowia, podkreślał Rosjanin.

„A na to nawet u nas w KGB nie mamy wpływu” – żartował Woronow, co uspokoiło Dancza.

W tym czasie Polak podszedł do chłopaka i przywitał się z nim.

– Pamiętaj, że dzisiaj pracujemy krócej, do jedenastej – powiedział mężczyzna i spojrzął na drugiego Polaka idącego w ich kierunku.

– Jak to? – zdziwił się Danczo.

– Dzisiaj wymieniają instalację elektryczną w oborach i ze względów bezpieczeństwa powinniśmy, a właściwie musimy opuścić teren farmy do południa. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie mieszkasz, to dalibyśmy ci znać wcześniej, wtedy nie musiałbyś przyjeżdżać.

– Nic nie szkodzi. To nawet dobrze się składa. Wreszcie po długiej przerwie będę mógł zobaczyć papieża z bliska, jak błogosławi wiernych ze swojego *papamobile* – odpowiedział zaskoczony.

To burzyło jego plany. Bo w czwartek, czternastego maja, miał wykonać swoje zadanie. Chciał się odwrócić i iść do pomieszczenia, gdzie pracownicy trzymali swoje ubrania, ale zapytał niepewnie:

– Aaa... jutro?

– Jutro normalnie, jak co czwartek. Ale dzisiaj jeszcze jedną sprawę załatw. Mamy jeszcze z godzinę. Trzeba spakować skrzynie z jedzeniem i winem.

- Czyli jednak dzisiaj mamy to spakować?!
- Tak, jeszcze dzisiaj. Sporo tego się nazbierało. Takie dostaliśmy polecenie. Nie martw się. Pomożemy ci. Ale wcześniej musimy coś przynieść z magazynu na jutrzejszy transport. A ty, chłopie, już tam idź. Zaraz do ciebie dołączymy.

* * *

– Chodźmy teraz się umyć i przebrać – powiedział jeden z Polaków i poklepał Dancza po ramieniu, kiedy skończyli po półgodzinie ładowanie produktów spożywczych i wina. – Mówiliśmy, że damy radę. Jutro, jak tu przyjdiesz dokończyć pracę, nie będziesz miał ciężkiej roboty. Tylko poranny udój i świeże warzywa, co je siostrzyczki zrywają o wschodzie słońca.

– Podobno mają szczególny smak i moc – wtrącił drugi z Polaków.

Gdy Danczo wkładał białą koszulkę polo, coś go podkusiło i zapytał jednego z mężczyzn:

- Mam pewną prośbę do was, to znaczy... chciałem o coś zapytać.
- Pytaj, Danczo. Co cię dręczy, chłopie? – Polak się uśmiechnął.
- Powiedzcie mi, proszę... – zaczął dosyć niepewnie. – Co sądzicie o tych duchownych z otoczenia papieża? Jacy to ludzie? Też tacy dobrzy, wspaniali i ciepłi jak nasz Ojciec Święty?
- Zależy, o kogo pytasz. Bo jak o takiego jednego z otoczenia papieża, to... – Roześmiał się, a po chwili drugi powiedział po polsku:
- Się dziwisz, bo ni wiesz! – Obydwaj zaczęli się głośno śmiać.
- Nie rozumiem. Co to znaczy?
- Kiedyś ci opowiemy. Chodź, idziemy na stację.

* * *

Danczo, skręcając w via di Calisto, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, był w dobrym humorze. Co jakiś czas uśmiechał się pod nosem, jakby mijany właśnie świat zupełnie dla niego nie istniał. Jakby coś się zmieniło, a on dokonał czegoś szczególnego. Był pełen optymizmu. Jednocześnie myślami szybował już zupełnie gdzie indziej. Nawet nie odczuwał upału, jaki wśród murów Wiecznego Miasta panował o tej porze dnia. Pierwsze, co zamierzał zrobić po przybyciu do mieszkania, to wziąć zimny prysznic

i przebrać się w ciemne spodnie i białą, przewiewną koszulę z krótkimi rękawami i wykrochmalonym kołnierzykiem. Ubrania te trzymał w szafie na specjalne okazje. Dzisiaj był właśnie taki dzień. Chciał go celebrować, jak tylko potrafi najlepiej. „Środa, środa. Dzięki tej wymianie elektryki w oborze wreszcie zobaczę z bliska Ojca Świętego podczas audiencji generalnej” – mówił do siebie w myślach. Chociaż do siedemnastej było jeszcze sporo czasu, to emocje związane z tym wydarzeniem zawładnęły nim bez reszty.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów zauważył, że na ulicy stoi zaparkowany volkswagen polo, taki sam, jak ma Diego. Stał w nieco innym miejscu, oddalony ze sto metrów od kamienicy, w której Danczo mieszkał. Zaczął mu się dokładnie przyglądać. „Czy to jest samochód Diego, czy nie?” – zastanawiał się. Podeszedł bliżej. Spojrzał na rejestrację i nie miał już żadnych wątpliwości. „Dziwne. Przecież o tej porze Diego nigdy nie ma w mieszkaniu?! Może czegoś zapomniał? Może coś mu się stało? Zachorował albo zasłabł od tego gorąca – myślał trochę zdezorientowany Danczo. – Ale jak on tam wytrzymuje na górze? Przecież teraz w naszym mieszkaniu panuje okropny skwar... a może nie taki okropny?”

Ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku drzwi wejściowych do swojej kamienicy.

Danczo pamiętał, że Diego pracował w swojej parafii przeważnie od świtu do zmroku. Z jego opowieści wynikało, że obowiązków ma tak dużo, iż ledwo starcza mu dnia. Będąc już blisko drzwi, chłopak przypomniał sobie niedawny incydent z napadem na klatce schodowej. „Gdyby nie Diego, to ten napastnik zrobiłby mi krzywdę. A może nawet mnie zabił. Po tych tępakach z bułgarskiej bezpieki można się wszystkiego spodziewać”.

Podeszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Poczuł tak upragniony chłód, jaki panował w zamkniętej, betonowej klatce schodowej, która w ciągu dnia chroniła przed upałem niczym bunkier. Zatrzymał się na chwilę, chcąc się trochę ochłodzić. Po kilku minutach powoli, krok po kroku, ruszył do góry, stąpając po zniszczonych, wyslizganych kamiennych schodach. Idąc, patrzył pod nogi na kolejne stopnie. Dopadły go jakieś przemyślenia o przemijaniu i nieuchronnej śmierci. Robiło się coraz cieplej.

Gdy stanął przed drzwiami swojego mieszkania, chciał nacisnąć klamkę, lecz cofnął dłoń. Usłyszał wewnątrz dziwny, stłumiony głos, jakby charczenie przeplatane z pojękiwaniem. Po chwili nasłuchiwania chwycił za klamkę i delikatnie nacisnął. Popchnął drzwi, ale nawet nie drgnęły. Były

zamknięte. Westchnął, pokręcił głową i wyciągnął klucz. Włożył go do zamka i przekręcił raz. W tym momencie przeszła mu przez głowę najgorsza myśl. „Być może Diego nie jest w stanie znieść już tego upału i coś się z nim dzieje niedobrego. Może zemdleł?” Szybko przekręcił klucz drugi raz.

Pchnął drzwi i z impetem wszedł do środka. Zamarł w bezruchu. Trzymany w dłoni klucz wypadł mu na podłogę. Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy, ani powieka. Poczował suchość w ustach. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Miał ściśnięte gardło, jakby ktoś go dusił. Wzrok wbił w swojego współlokatora. Wszystko trwało sekundę, a jemu wydawało się, że całą wieczność. W końcu krzyknął z całych sił:

– Diego! Zostaw go! Co ty z nim robisz?! – I ruszył do przodu.

Diego zastygł w takim samym bezruchu jak przed chwilą Danczo, z rozpiętą sutanną. Z przodu trzymał młodego chłopaka, może czternastoletniego, odwróconego do niego tyłem. Był to jeden z tych chłopców, których Danczo zawoził kiedyś do rezydencji pod Rzymem. Zapamiętał go, bo tak jak on pochodził z Bułgarii. W odróżnieniu od innych milczących chłopców ten był radosny i bardzo rozmowny. Nawet mieli się jakoś umówić. Danczo chciał go zabrać któregoś dnia do Castel Gandolfo i pokazać mu rezydencję papieską.

Diego jedną ręką trzymał chłopca od tyłu za twarz, aby ten nie krzyczał, a drugą dociskał do siebie za biodra.

– ¡Vete a la mierda! – krzyknął po hiszpańsku do Dancza, żeby ten wyszedł.

Danczo znowu stał przez chwilę w bezruchu. Teraz już cały świat naprawdę mu się zawalił. Nie wiedział, co ma zrobić, jak się zachować. Uciekać, wołać, płakać, prosić. Widząc go, chłopiec zaczął wierzgać jeszcze bardziej i próbował wyrwać się z uścisku. Gdy przez chwilę trzymająca jego usta ręka Diego się obsunęła, krzyknął, szlochając, po bułgarsku:

– *Pomogni mi! Pomogni mi!*

Danczo rozejrzał się błyskawicznie, jakby czegoś szukał. Chwycił wąską rzymską cegłę, która tak jak u niego w pokoju podpierała okno, aby się nie zamykało. Ścisnął ją w obydwu rękach i z całych sił zaczął uderzać raz po raz Diego w głowę, aż ten puścił chłopca. Diego upadł na plecy. Wtedy Danczo dwukrotnie uderzył go już zakrwawioną cegłą w twarz. Zrobił to z taką siłą i energią, jakiej nigdy wcześniej z siebie nie wykrzeszał. Słysząc

było trzask pękającej kości jarzmowej. Jego oczodół się zapadł. Po chwili z powstałego wgłębienia w twarzoczaszce zaczęła tryskać krew wymieszana z poszarpaną gałką oczną, która wypłynęła na zewnątrz. Ciało mężczyzny zaczęło drgać w agonii, aż w końcu zastygło w wykrzywionej pozie.

Chłopiec odskoczył na bok. Podciągnął spodnie i usiadł w kącie pokoju, zasłaniając twarz dłońmi. Zaczął głośno płakać. Danczo podszedł do niego. Usiadł obok, na drewnianej podłodze i objął go ramieniem.

– Nie bój się. Nie bój. Już ci nic nie grozi. On cię już nie skrzywdzi – powiedział, a wielkie łzy spływały mu powoli po policzkach.

W pewnym momencie chłopiec zerwał się i bez słowa wybiegł z mieszkania. Danczo nie zareagował. Siedział otępiały. Patrzył na martwego Diego i płynącą ciemną krew. Jej słodki i mdlący zapach rozchodził się po pokoju. Jednak nie widział swojego współlokatora, tylko spokojne wody Morza Czarnego u wybrzeży Aktopolu, zieleniące się wiosną wzgórza koło Szumenu, a potem twarz Mariki i twarze wszystkich świętych, których widział w cerkwiach i na reprodukcjach, a którzy teraz jakby spoglądali na niego z ikon. Przesuwali się wokół niego niczym w tańcu, tworząc złocisty krąg. Otworzył usta i chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Spróbował jeszcze raz:

– Boże, dlaczego tak mnie doświadczasz? Dlaczego mi to robisz? Właśnie mnie. Chciałem Ci jedynie służyć, a Ty na mojej drodze postawiłeś tak wiele przeciwności losu, tak wiele chwastów, których nie jestem w stanie wyplenić – szeptał. – Jestem taki słaby. Taki mały. Nie udźwignąłem ciężaru, jaki przede mną postawiłeś. – Zaczął szlochać.

Jego wzrok stawał się coraz bardziej nieobecny. Wielkie czarne źrenice rozszerzyły się do granic możliwości. Powieki ani drgnęły. Zakrył w końcu twarz dłońmi, po czym powoli rozmazał na niej krew Diego. Następnie zakrwawionymi palcami przecesał włosy do tyłu. Po chwili wstał i obojętnym krokiem podszedł do drzwi wejściowych. Po drodze ominął ciało Diego, podniósł z kałuży krwi klucz i włożył go do zamka. Zdecydowanym ruchem przekręcił go, zamykając drzwi. Zdjął buty i przeżegnał się, jak to robią prawosławni wierzący. Wszedł do swojego pokoju.

Mehmet

Rzym – maj 1981 roku

W nocy Mehmet nie mógł spać. Przewracał się z boku na bok i na siłę próbował zasnąć. Tak trwał w tym stanie do trzeciej nad ranem. Zerwał się z łóżka obudzony jakimś koszmarem. Poduszka była cała przepocona. Po chwili leżał już przebudzony, wpatrując się w sufit niewielkiego pokoju, który wynajmował w Domu Pielgrzyma Polskiego przy via Pfeiffer. Spojrzał w kierunku okna. Na zewnątrz było już całkiem jasno. Po blisko dwóch godzinach beczynnego leżenia podniósł się w końcu i wyjrzał przez okno, zza którego dobiegały już głosy turystów. Zatrzasnął je po kilku minutach i zastygł w bezruchu, wciąż ściskając mosiężną klamkę w dłoni.

– Dzisiaj wszystko się wyjaśni – powiedział szeptem, nie okazując przy tym zupełnie emocji.

Spojrzał na zegarek. Do audiencji generalnej na placu Świętego Piotra pozostało jeszcze dużo czasu. Nie chciał siedzieć sam w zamkniętym pomieszczeniu i czekać beczynn timer. Z doświadczenia wiedział, że do tego zadania trzeba podejść na chłodno i z wyrachowaniem. Dlatego postanowił wybrać się wcześniej na spacer po mieście, żeby zapanować nad emocjami i do końca zachować jasność umysłu. Umył się, a potem szybko włożył jedną z białych koszulek polo z granatowymi paskami i białe dżinsowe biodrówki. Uklęknął przy łóżku. Upewnił się, czy broń schowana pod materacem leży bezpiecznie. Dopił zimną resztkę herbaty i wyszedł z budynku. Założył przeciwsłoneczne okulary w metalowych oprawkach i skierował się w stronę via Della Conciliazione. Szybko dotarło do niego, że to właśnie tą ulicą w stronę Tybru będzie uciekał po wykonaniu zadania,

by potem wyrzucić broń do rzeki i dotrzeć do samochodu, który wywiezie go w bezpieczne miejsce.

Szedł powoli poboczem szerokiej, wybrukowanej ulicy, która dla wielu pielgrzymów była symboliczną trasą prowadzącą wprost do Bazyliki Świętego Piotra. Wymijał pojedynczych turystów i małe grupki ludzi. Gdy doszedł do Castel Sant Angelo, czyli dawnego mauzoleum Hadriana, a obecnie siedziby watykańskiego muzeum średniowiecznej broni, skręcił w lewo. Najpierw w Piazza Pia, a potem w Piazza Adriana. Po kilku dniach spędzonych w Rzymie wiedział, jak dotrzeć do ulubionego Pola Marsowego i ruin mauzoleum Augusta. Chodząc po Rzymie, za każdym razem nie mógł się napatrzeć na jego zamożnych mieszkańców spacerujących dumnie po ulicach miasta. Z jednej strony podziwiał ich i chciałby być taki jak oni, a z drugiej czuł do nich jakieś obrzydzenie.

Kiedy wszedł w via Cicerone, minął budynek pensjonatu Isa, do którego wejście mieściło się za dużą bramą prowadzącą do oficyny. Po kilkudziesięciu metrach zauważył wystawione na ulicy stoliki jednej z niewielkich kawiarenek o dziwnie brzmiącej nazwie Chicchi Di Caffè' Srl. O tej porze klientów nie było wielu. Popatrzył na nich od niechcienia. Przy skrajnym stoliku siedziała młoda kobieta, która nerwowo spoglądała na niewielki srebrny zegarek, jakby na kogoś czekała. Najbliżej ściany kamienicy siedział mężczyzna, który czytał gazetę. Mehmet spojrzął na niego badawczym wzrokiem. Nagle przeszył go jakiś dreszcz. Niemał potknął się o wysoki krawężnik, ale się nie przewrócił. *Siktir git!* – zaklął w myślach. I w momencie gdy już się wyprostował, uświadomił sobie, że mężczyzna siedzący przy stoliku to kapitan Nikołów z bułgarskiego wywiadu. Ten sam, którego spotkał po wyjeździe z Turcji w Mineralnych Baniach, przed wejściem na basen. Mehmet nie wiedział, jak ma się zachować. „Czy on wie, że jestem w Rzymie? Czy współpracuje tutaj z Woronowem? Czy powinienem do niego podejść, czy udać, że go nie widzę? Czy może na mnie czeka? A może w ogóle nic o mnie nie wie? Może to zwykły przypadek, że znalazł się właśnie tutaj? Czy mnie rozpoznał? Po co tu przyjechał?” – W głowie Mehmeta kłębiły się pytania. Ale szybko dotarło do niego, że ma rozjaśnione włosy, zmienioną fryzurę, modne okulary przeciwsłoneczne na nosie i inne ubranie. Nie przypomina wyglądem tamtego, uciekającego z Turcji Mehmeta. Odwrócił głowę i spokojnym krokiem minął kawiarnię.

Przez chwilę żałował, że poszedł dłuższą trasą przez most Regina Margherita na Pole Marsowe, zamiast wybrać mało uczęszczany o tej porze Ponte Cavour.

„Mam nadzieję, że Woronow dotrzyma obietnicy, a pojawienie się tego Bułgara nie ma żadnego znaczenia dla mojej sprawy. Muszę powiedzieć o nim Woronowowi! Ciekawe, czy się zdziwi”

Gdy dotarł wreszcie do mauzoleum Augusta, usiadł na niewielkim kamieniu, pod rosnącymi nieopodal cyprysami. Tutaj był sam, z dala od tego całego zgiełku. Było chłodno. Promienie słoneczne nie docierały jeszcze w to miejsce. Zaczął uspokajać swoje myśli. Zastanawiał się i doszedł po chwili do wniosku, że akcję chce wykonać nie tylko dla Allaha, ale przede wszystkim dla siebie i siostry. Marzył o tym, by wkrótce znaleźć się gdzieś daleko z dużą sumą pieniędzy, która wystarczy mu na godne życie aż do śmierci. Zamknął oczy i wrócił myślami do przeszłości. Przypomniały mu się spokojna tafla jeziora Hazar i odbijające się w nim górskie szczyty. Jałowe pola w Malatyi. Dostojna i tajemnicza góra Zurbahan, pod którą rozłożyły się piękne sady morelowe pooddzielane od siebie zieleniącymi się wąwozami. Być może już nigdy nie zobaczy tych miejsc. Jednak nie czuł strachu przed tym, co go czeka. Potem przed jego oczami zaczęły przebiegać inne obrazy z przeszłości. Były to twarze osób, które zabił. Nigdy nie czuł żalu z tego powodu. Los rodzin i przyjaciół jego ofiar był mu zupełnie obojętny.

– Allahu, wspieraj mnie dzisiaj – wyszeptał pod nosem Mehmet i zaczął w myślach recytować dziewiątą surę Skrucza: *A kiedy miną święte miesiące, wtedy zabijcie bałwochwalców, tam gdzie ich znajdziecie, chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki.* Odkąd dla Szarych Wilków stał się zdrajcą, religia nie odgrywała już w jego życiu tak znaczącej roli. Mimo to potrzebował wsparcia jedyne Boga, którego znał. Tak podpowiadał mu jego instynkt samozachowawczy.

Po godzinie takiego trwania w zadumie upał zaczął dawać się mu we znaki. Mehmet wstał i ruszył szybko przed siebie. Pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy, to żeby jak najszybciej wrócić do Domu Pielgrzyma, wziąć zimny prysznic i przygotować się do wyjścia na audiencję generalną. Po chwili jednak wyraźnie zwolnił. Pomyślał, że to w końcu jego ostatni dzień w Wiecznym Mieście. I być może nigdy tutaj nie wróci, tak jak do swojego kraju. Skierował się już wolniejszym krokiem w stronę Piazza della Repubblica. Chciał jeszcze zobaczyć Bazylikę Matki Bożej Anielskiej

i Męczenników. Zatrzymał się przed wejściem i popatrzył na ceglaną, półokrągłą fasadę świątyni. Zdziwił się, ponieważ bazylika nie wyglądała okazale. Bardziej przypominała mu podniszczoną ceglaną przybudówkę przy innej, zadbanej monumentalnej kamienicy. „Dziwne. Nie tak ją sobie wyobrażałem. Bardziej przypomina jakąś niedokończoną budowlę czy ruiny”. Zaczął powoli iść wzdłuż budynku. Kiedyś Yusuf opowiadał mu, że świątynia ta powstała na ruinach term Dioklecjana. Do tej pory pamiętał słowa Yusufa:

„Pamiętaj, bracie. Ta religia jest tak ekspansywna i zaborcza, że nie ma dla niej świętości. Nawet starożytne budowle zniszczyła i przejęła dla swoich potrzeb. Jeśli my się jej nie przeciwstawimy, krzyżowcy zawładną naszymi umysłami i naszym życiem. Nigdy z tego nie zrezygnują”.

Nagle Mehmet przystanął i zrobił krok do tyłu.

– A co oni tutaj robią?! Znowu jakiś przypadek? Jak wcześniej z tym całym Nikołowem! – powiedział cicho.

Zdziwił się, widząc grupę czterech śniadych mężczyzn rozmawiających ze sobą po turecku. Dwóch z nich kojarzył z Domu Pielgrzyma. To właśnie oni przyjaźnili się z przewodniczką Basią i kilka razy towarzyszyli grupie pielgrzymkowej na placu Świętego Piotra. Trzeci, wysoki, szczupły, o wydatnych kościach policzkowych, wyglądał jak Kurd. Czwarty, niższy, łysiejący na czubku głowy i z pokaźnym brzuchem, przypominał z wyglądu Bułgara lub Greka.

Mehmet przez chwilę przyglądał się im uważnie, zachowując bezpieczny dystans. „Lepiej, żeby mnie nie dostrzegli” – zdecydował. Dwóch znanych mu z widzenia Turków cypryjskich coś tłumaczyło wysokiemu szczupłemu mężczyźnie o kurdyjskich rysach twarzy. Ten stał w bezruchu z głową skierowaną w stronę placu i miarowo potakiwał, dając do zrozumienia, że rozumie lub zgadza się z tym, co mówią. Czwarty przysłuchiwał się tej rozmowie i co jakiś czas się rozglądał, jakby chciał mieć pewność, że nikt ich nie obserwuje. Po chwili wszyscy skierowali się w stronę wejścia do metra.

* * *

W drzwiach do Domu Pielgrzyma Mehmet natknął się na znanych mu z widzenia turystów z Hiszpanii, którzy zapewne wracali z zakupów. Dźwigali pełne reklamówki z pieczywem, serami, mlekiem, sokami

i butelkami wina. Patrząc na wypchane plastikowe torby Hiszpanów, poczuł, że jest głodny. Wbiegł szybko po schodach. Po wejściu do pokoju wyjął z szafki banana i jabłko, które dzień wcześniej kupił na pobliskim straganie, i ze smakiem zjadł. Nie chciał dużo jeść przed akcją. Potem wziął zimny, orzeźwiający prysznic. Wyjrzał przez okno. Zauważył, że dużą część nieba przykryły chmury. Poczuł wyraźnie, że zrobiło się nieco chłodniej. Nabrał głęboko powietrza. Zamknął okno. Rozejrzał się dookoła i ogarnęło go jakieś dziwne przeczucie. Dopiero teraz to zauważył. Miał wrażenie, że nie tak zostawił swoje rzeczy w pokoju. „Może mi się tylko wydaje? Może to nerwy?” – pomyślał, po czym prawie rzucił się w kierunku łóżka. Uklęknął błyskawicznie i podniósł energicznie materac. Drugą ręką zaczął nerwowo przeszukiwać drewnianą ramę. Poczuł zimny pot na czole. Gardło miał ściśnięte. Wydawało mu się, że broń schował bliżej brzegu łóżka. Sięgnął dalej. W końcu wyciągnął spod materaca pistolet Browning HP kalibru 9 milimetrów. Wypiął magazynek. Sprawdził go. Pełny. Podpiął go ponownie. Położył browning na łóżku. Wyciągnął następnie pistolet maszynowy Uzi. Poklepał go i odłożył. Wstał. Odsunął szafkę nocną w rogu pokoju i podniósł deskę podłogową. Ustalił z Woronowem, że tam zrobi schowek na niewykorzystaną do akcji broń i odpowiednio go zakamufluje. Dokładnie wyczyścił serwetką z szafki broń, usuwając odciski palców, i wcisnął ją głębiej pod podłogę. Wpasował deskę między inne i dodatkowo przybił ją dwoma gwoździami, wykorzystując do tego metalową podstawę stojącej na szafce lampki. Przesunął mały mebel na swoje miejsce.

Uznał, że choć siła rażenia broni maszynowej jest o wiele większa, to nie chce ryzykować wpadki podczas przechodzenia przez bramki. Słyszał od Basi, że dzisiaj będzie panowało duże zamieszanie, gdyż z Polski przyjeżdża spora grupa pielgrzymów z miasta o nazwie Poznań. A zawsze w takich sytuacjach procedury bezpieczeństwa są mniej restrykcyjnie przestrzegane.

Włożył białą koszulę. Z pietyzmem zaczął zapinać jeden guzik po drugim. Ubrał się w ciemnoszarą, przewiewną marynarkę i spodnie w tym samym kolorze. Przez krótką chwilę siedział bez ruchu na łóżku. Po pewnym czasie wyjął z torby podróżnej zwinięty, niepozorny dywanik modlitewny. Rozłożył go na podłodze. Ukląkł i skierował się, jak mniemał, w stronę Mekki. Rozpoczął modlitwę. Jego *kital*, czyli walka na śmierć i życie przeciwko krzyżowcom, przez których Wielka Turcja umiera,

właśnie się rozpoczął. Mehmet wiedział, że nie ma już odwrotu. Wsunął na stopy buty i zawiązał sznurowadła. Przeładowany, gotowy do strzału pistolet ukrył w marynarce, w specjalnie doszytej wewnętrznej kieszeni. Zapakował wszystkie swoje rzeczy i wyszedł.

Przed Domem Pielgrzyma robiło się coraz tłoczniej i gwarniej. Grupy pątników gromadziły się tutaj, by przed wyruszeniem w stronę Bazyliki Świętego Piotra przebrać się w odświętne ubrania lub skorzystać z toalety. Wszędzie wyczuwało się atmosferę święta i radości.

Mehmet szybko się zorientował, że byli to krajanie papieża. Przecisnął się powoli między podekscytowanymi pielgrzymami z Polski. Potem odszedł szybkim krokiem. Kilkadziesiąt metrów dalej obejrzał się za siebie, skręcił w zaułek i wrzucił do śmietnika swoją torbę. Następnie wrócił i wmieszał się w tłum Polaków. Po chwili jego uwagę zwróciły cztery kobiety, które niosły ze sobą dużą płaskorzeźbę stworzoną w całości ze słomy i z ziaren zbóż, kukurydzy i gorczycy. Przedstawiała jakąś młodą dziewczynę trzymającą małe dziecko.

– To pielgrzymi z Wielkopolski. Taki region w Polsce – wyjaśniła Basia po angielsku, widząc, że Mehmet przygląda się uważnie misternie wykonanemu dziełu.

– *I see. Thanks* – odpowiedział, uśmiechnął się i pokiwał ze zrozumieniem głową.

Wśród turystów zauważył grupę Turków, których kilka godzin wcześniej widział na Piazza della Repubblica. Wśród nich wyróżniał się szczupły, wysoki mężczyzna o wydatnych kościach policzkowych. Coś mówił i gestykułował. W pewnym momencie Mehmet zauważył, że stojąca dotychczas za nim Basia zaczęła przeciskać się przez tłum i dotarła po kilkunastu metrach do grupy Turków. Po chwili zaczęli rozmawiać, a następnie ruszyli w stronę bramek, przez które trzeba było przejść, żeby dostać się na plac Świętego Piotra. Zaraz zniknęli mu z pola widzenia, wtapiając się w tłum innych pielgrzymów. Mehmet też się poddał tłumowi i ruszył z nim w kierunku bramek. Poczuł przyływ adrenaliny. Chociaż trasę tę przemierzał już kilkakrotnie, to czuł się, jakby był tu pierwszy raz. Niesiony tłumem podekscytowanych pielgrzymów, odkrywał to miejsce na nowo. Kiedy już miał wchodzić przez bramki ochrony, zauważył kątem oka grupę kilku osób ubranych w skórzane stroje do jazdy na motocyklach. Wśród nich był Hiszpan, którego spotkał w Domu Pielgrzyma, razem z ładną, niezwykle seksowną, ciemnowłosą partnerką.

„On rozmawiał z Basią w tym dziwnym języku, pewnie po polsku! Polak? Z Hiszpanii?” – pomyślał Mehmet, przypomniawszy sobie tę sytuację. Przyspieszył kroku i poczuł narastający ucisk w gardle i żołądku.

– *Attendere prego!* – Usłyszał w pewnym momencie od stojącego przy bramkach policjanta, żeby poczekał.

Wyciągnięta przed nim ręka w mundurze tak go sparaliżowała, że nie wiedział, jak ma się zachować. „Przeszukanie?! Dlaczego?! Co się stało?! – przebiegło mu przez głowę. – Spokój, tylko spokój. Przecież nigdy tego nie robią. Sprawdziłem to, Woronow też to mówił”. Starał się opanować zdenerwowanie. Policjant dał znać, by ruszył dalej. Mehmet zrozumiał, że wstrzymał przechodzenie przez bramki tylko dlatego, żeby rozładować zator. Ruszył więc przed siebie i pewnym krokiem wszedł na plac. Rozejrzał się wokół. Plac wyglądał inaczej niż zwykle. Pojawiły się drewniane barierki, wzdłuż których miał przejeżdżać papież. Jego uwagę zwróciły też setki gołębi niezdarnie chodzących tuż pod kolumnadą Berniniego.

* * *

– Minął bramki bezpieczeństwa. Poszedł już chyba do sektora. Kieruje się w stronę barierek. Dawid! Idź szybko za nim! – szepnęła ciemnowłosa kobieta i delikatnie szturchnęła mężczyznę łokciem, pokazując kierunek, w którym poszedł Mehmet.

Skinęła do dwóch mężczyzn z grupy, by podążali za Dawidem. Po chwili byli już za bramkami kontrolnymi. Dawid i dwaj mężczyźni z grupy motocyklistów stanęli w tym samym sektorze co Mehmet. Była za kwadrans siedemnasta.

* * *

„Dobrze, że stoję obok samej barierki” – pomyślał Mehmet, gdy wreszcie udało mu się precyzyjnie wśród innych pielgrzymów do samego ogrodzenia oddzielającego ludzi od trasy, którą będzie jechał papież w swoim *papamobile*. Nie zwracał uwagi na odgłosy niezadowolenia innych osób, kiedy rozpychał się łokciami, chcąc za wszelką cenę dotrzeć do celu. Dyskretnie sprawdził pistolet w wewnętrznej kieszeni marynarki. Spojrzał na zegarek. Przez plac niósł się coraz głośniejszy śpiew pielgrzymów

z Polski. Mehmet rozejrzał się dookoła. Zobaczył niedaleko siebie duży transparent z napisem: *Polonia semper fidelis*.

Przestał obserwować pielgrzymów z Polski i zaczął wnikliwie analizować sytuację. Porównywał ją do tego, co zakładał. O czym rozmawiali z Woronowem. Tak jak sobie założył wcześniej, stał tuż obok trasy tradycyjnego przejazdu głowy Kościoła katolickiego. Z rozmów w Domu Pielgrzyma i ustaleń Woronowa wiedział, że papież przejedzie tędy dwukrotnie. Zauważył też, że w zasięgu strzału znajduje się również podest z fotelem dla papieża, skąd będzie przemawiał. Zrozumiał, że ta okoliczność daje mu dodatkową szansę, jeśli nie uda mu się strzelić podczas pierwszego i drugiego przejazdu. „Allah czuwa nade mną i szczęście mi sprzyja. Daje mi inne możliwości” – pomyślał. Z pewnej euforii, że jest w doskonałym miejscu do przeprowadzenia zamachu, wyrwała go myśl o ucieczce. Założył, że po oddaniu strzałów przeskoczy przez barierkę i pobiegnie w stronę bocznej ulicy Borgo Santo Spirito, gdzie wtopi się w spanikowany tłum. To zdezorientuje służby bezpieczeństwa i da mu szansę zbiec w stronę Tybru. Tam, zgodnie z zapewnieniami Woronowa, ma czekać na niego żółty fiat 125 na mediolańskich numerach rejestracyjnych, którym zostanie wywieziony z Rzymu.

* * *

Dawid i dwóch towarzyszących mu w niewielkiej odległości mężczyźni cały czas bacznie obserwowali Mehmeta. Zauważyli, że ten rozgląda się dyskretnie, jakby wnikliwie kontrolował bezpośrednie otoczenie. Dawid skinął na jednego z mężczyźni. Ten podszedł i stanął obok niego. Dawid wycofał się z zajmowanego do tej pory miejsca. Zbliżył się do ciemnowłosej kobiety.

- Czemu go odpuściłeś? – zapytała zdziwiona.
- Mamy go na oku. Chyba mnie wyłapał. Nie chciałem ryzykować – odpowiedział i gestem dał znać, by się wycofali.

* * *

Mehmet odwrócił się jeszcze w stronę, gdzie wcześniej widział Hiszpana. Nie dostrzegł go. Uspokoił się. W tym momencie na placu rozległy się

oklaski. Przez Bramę Dzwonów wyjechał biały fiat nuova campagnola, nazywany popularnie *papamobile*. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn ubranych w ciemne garnitury. Na tylnym siedzeniu, tuż za białą zabezpieczającą ramą, stał papież, który z uśmiechem witał pielgrzymów przybyłych na audiencję. Obok niego siedział inny mężczyzna ubrany w czarną sutannę. Papież miał uniesione ręce i co jakiś czas ścisnął dłonie pielgrzymom ustawionym tuż przy drewnianych barierkach. Mehmet, zaskoczony dynamiką całej sytuacji, przegapił pierwszy moment, kiedy *papamobile* przejechał tuż obok niego. Zdażył jedynie sięgnąć do kieszeni i złapać za rękojeść browninga.

– *Sikir git!* – zaklął pod nosem.

Odprowadzał wzrokiem samochód, który przemieszczał się bardzo powoli i co jakiś czas się zatrzymywał. Wtedy papież błogosławił wiernych. Wokoło powiewały flagi różnych krajów. Mijały minuty, które Mehmetowi ciągnęły się w nieskończoność. Zaczął się coraz bardziej niecierpliwić. Wyciągnął pistolet z kieszeni i odbezpieczył, cały czas trzymając broń pod marynarką. Znowu spojrzął na zegarek. Samochód papieża robił już drugie okrążenie. Mehmet wiedział, że lada moment pojawi się tuż obok niego, w miejscu idealnym do oddania celnych strzałów. Spojrzał w stronę zbliżającego się *papamobile*. Papież stał wyprostowany. Mehmet wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Zaczął wyciągać dłoń z pistoletem. „Chyba tylko ślepiec mógłby spudłować z takiej odległości” – przeszło mu przez głowę. Spojrzał w kierunku zbliżającego się papieża i zobaczył, jak ten wziął na rękę kilkuletnią dziewczynkę, która w dłoni trzymała niebieski balonik. Następnie pobłogosławił ją, ucałował i oddał dziecko w ręce rodziców. Mehmet zaczął miarowo oddychać. Wyjęty spod marynarki pistolet trzymał przyciśnięty do nogi. Chciał go podnieść, wycelować i opróżnić cały magazynek, gdy w pobliżu rozległ się huk trzech wystrzałów. Spod kolumnady Berniniego w powietrze wzbily się setki gołębi. Mehmet spojrzął w stronę papieskiego samochodu. Papież osunął się w ramiona księdza siedzącego obok niego. W pierwszym momencie ochroniarze szczelnie otoczyli *papamobile*. Jednak po chwili kierowca zdecydowanie przyspieszył i samochód, okrążając bazylikę, ruszył wzdłuż *via delle Fondamenta*. „Co się dzieje?! Kto to zrobił?!” – pomyślał Mehmet. Zabezpieczył pistolet i szybko schował go do kieszeni. Wśród pielgrzymów zapanował chaos. Niektórzy, nieświadomi tragedii, zaczęli robić zdjęcia

gołębiami, które przez moment zasłoniły niebo nad Watykanem. Inni najwyraźniej byli zupełnie dezorientowani. Twarze pielgrzymów stojących na placu Świętego Piotra zamarły w wielkim oczekiwaniu. Każdy reagował na swój sposób. Kiedy jednak minęło początkowe niedowierzenie, na twarzach pielgrzymów pojawiły się strach i niepokój o życie papieża. Nie tracąc czasu, Mehmet zaczął się między nimi przesuwać. Niektórych odpychał. Jedna z kobiet przewróciła się po jego ciosie łokciem w plecy. W końcu nieniekuszony przez nikogo dotarł do ulicy Borgo Santo Spirito. Poczł ulgę, lecz w głowie miał totalny chaos. Był dezorientowany. Zdawał sobie sprawę, że nie wykonał powierzonego mu zadania, więc nie dostanie nagrody, że jego życie się nie zmieni, że cały jego plan runął w gruzy.

– Co teraz? – warknął szeptem.

Nie był pewny, czy iść w umówione miejsce na końcu via della Conciliazione, czy ukryć się gdzieś i przeczekać całe zamieszanie. „Tylko co ze mną będzie potem?! Może wrócić do Domu Pielgrzyma? Nie! Nie! Muszę najpierw pozbyć się broni!” – pomyślał. Ruszył szybkim krokiem ulicą Borgo Santo Spirito. W oddali słyszał cichnący odgłos klaksonu samochodowego, który w końcu zaniknął.

– Dziwne. Nie było słycać syreny ambulansu, a jedynie nerwowo naciskany klakson – zastanawiał się, idąc szybkim krokiem.

Przyspieszył. Już prawie biegł. Kiedy dotarł do prostopadłej via Scossacavalli, poczuł nagle silne uderzenie w kark. Na chwilę stracił przytomność. Kiedy się ocknął, jak przez mgłę zauważył, że jest wnoszony na jakieś podwórko. Rzucili go na ziemię. Widział wszystko niewyraźnie, jakby rozmyte. Próbował rozpoznać twarze. Napastnicy mówili po francusku, tyle się zorientował. W pewnym momencie jedna z osób zacisnęła silnie przedramię na jego szyi. Zaczął się dusić. Próbował wierzgać, ale po kilku próbach ktoś mocno przytrzymał mu nogi. Ktoś inny zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Mehmet poczuł zapach słodkich damskich perfum. Zorientował się, że to kobieta. Jednocześnie czuł coraz silniejszy ucisk na szyi. Nie mógł krzycheć. Dostrzegł piękną czarnowłosą kobietę i jej duże ciemne oczy. Przetrasła mu energicznie kieszenie. „To ona, ta Hiszpanka z Domu Pielgrzyma!” – pomyślał, a obraz jej gwałtownie się zamazał, jakby przysłonięty ciemną zasłoną.

– *Finis-le, David* – usłyszał jeszcze.

Trzymający go za szyję mężczyzna wyciągnął nóż i zamaszystym ruchem przeciągnął nim wzdłuż gardła. Krew trysnęła obficie na rozgrzane kamienie podwórka. Głowa Mehmeta opadła bezwładnie. Martwe oczy spoglądały na skrawek niebieskiego nieba nad podwórkiem oficyny.

ROZDZIAŁ 22
Warszawa – lipiec 1981 roku

Tortak jak zawsze energicznie otworzył drzwi windy na trzecim piętrze, skąd korytarzem w lewo ruszył do gabinetu dyrektora Departamentu I MSW. I jak zawsze, kiedy stawał przed drzwiami sekretariatu dyrekcji, zatrzymał się i nabrał głęboko powietrza. Wszedł. Sekretarka skinęła jedynie głową, wskazując na drzwi.

– Melduję się, towarzyszu...!

– Dobra, dobra. Siadaj, Mieciu – przerwał mu dyrektor. – Jesteśmy wszyscy. – Spojrzał na swoich podwładnych: naczelnika Wydziału X, naczelnika Wydziału XIV i Edgara, który też był obecny na odprawie.

Przez chwilę przeglądał dokumenty i zdjęcia zgromadzone w sprawie, przyklejone do tekturowych kart. Tak jak miał w zwyczaju, na ważnych odprawach ze swoimi podwładnymi uciekał wzrokiem w kierunku widocznego jak na dłoni kościoła ewangelicko-augsburskiego Wniebowstąpienia Pańskiego, a potem w stronę Supersamu przy placu Unii Lubelskiej z charakterystycznym, wygiętym do góry dachem. Po chwili spojrzał na wszystkich i zwrócił się krótko do naczelnika Wydziału X:

– Zaczynaj.

– Towarzyszu generale, może zacznę od przeczytania ostatniego szyfrogramu z naszej rezydentury w Rzymie, który otrzymaliśmy dzisiaj rano. Chłopcy nad ranem wrócili z Neapolu i zaraz napisali. A ta informacja w uzupełnieniu przysłała godzinę temu rezydenckim. Szczegóły wraz z rozliczeniem wyślą kurierem.

Generał skinął głową.

Poprzez nasz kontakt w dowództwie Arma dei Carabinieri w Rzymie ustaliliśmy, że samochód, którym dysponowała znajoma Kafera, ob. Włoch Francesca Revanolli, marki Alfa Romeo Alfetta, koloru niebieskiego, należy do wypożyczalni samochodów Budget

Autonoleggio mieszczącej się w Neapolu, w rejonie portu. Z przeprowadzonych ustaleń wynika, że po zdaniu pojazdu spod wypożyczalni odjechali żółtym fiatem 128 należącym do ww. kobiety, który jest zarejestrowany w Cagliari na Sardynii. W rozmowie z właścicielem wypożyczalni uzyskano informację, że figuranci pytali o możliwość sprzedaży ww. samochodu. Właściciel wypożyczalni przekazał im adres swojego szwagra, który prowadzi w sąsiedztwie portu autokomis Auto per Tutti. W rezultacie figuranci sprzedali tam fiata 128. Potem z bagażem udali się pieszo w kierunku pałacu Immacolatella. Właściciel komisju wspominał, że rozmawiali o podróży promem.

Uwaga. Z przeprowadzonego rozpoznania wynika, że tego dnia odpływały jedynie promy linii Caremar. Do wieczora odchodziły jednostki do Cagliari, Palermo i Sorrento. Stąd nasz wniosek, że odpłynęli prawdopodobnie do jednego z tych portów. Ustalenia w porcie, w kasach biletowych, u przedstawicieli przewoźnika nie dały żadnych rezultatów.

– Więc mamy miejsca, do których mogli skierować się Kafer i jego kochanka. Według mnie Sorrento odpada, bo to za blisko. Podobnie jak Cagliari, nie sprzedawaliby samochodu, skoro jechaliby do niej, na Sardynię. Zostaje Palermo... Przy czym dodam od siebie, że Palermo jako miejsce ukrycia się po ucieczce... nie jest za dobre. Tam wszyscy się znają. To tyle – zakończył naczelnik.

– Jeśli towarzysz dyrektor pozwoli – wtrącił się Edgar.

– Tak, mówcie. Proszę.

– Z mojej wiedzy wynika, że odpływające z Neapolu promy do Palermo są skoordynowane z promami kursującymi do Tunisu. Te połączenia obsługiwane są przez linię... – zawiesił głos, szukając nazwy w pamięci – Tirrenia. Tak. Tirrenia. Czas podróży wynosi około jedenastu godzin.

– Skąd to wiesz? To pewne? – zapytał naczelnik Wydziału X.

– W pociągu z Wiednia do Rzymu, kiedy miałem... załatwić sprawę z Kaferem, przysłuchiwałem się rozmowie dwóch biznesmenów z Niemiec Zachodnich, którzy prowadzili interesy w Libii i pływali promami z Włoch do Tunezji.

– Całkiem możliwe. Słyszałem, że nasz pułkownik z Libii otworzył się na pracowników z całej Europy. Podobno dobrze płaci – włączył się Tortak.

– Tak, właśnie. Potem jadą z Tunisu samochodami do Libii – dokończył Edgar.

– Mam pytanie. Czy znaleziono coś jeszcze, co potwierdzałoby, że Kafer był zamieszany w planowanie zamachu na Wojtyłę? – wtrącił naczelnik Wydziału XIV.

– Towarzyszu, to już wcześniej ustalono. Skąd nagle teraz te wątpliwości?

– Po prostu powinniśmy mieć jednoznaczne dowody rzeczowe.

– A co ty taki szczegółarz? Przecież my nie milicja! Były potwierdzone informacje, to po co to w ogóle roztrząsać?! – obruszył się naczelnik Wydziału X.

– Nie żaden szczegółarz, tylko zapytałem.

– Towarzysze, towarzysze... – przerwał im generał.

– To może ja wyjaśnię naczelnikowi. Bo nie było jeszcze okazji – powiedział Edgar, a generał przytaknął. – Po ucieczce Kafera z Rzymu zrobiłem przeszukanie pokoju hotelowego. W szafie na dolnej półce znalazłem czarny worek z szarym napisem *Industrielle Bergbaudienstleistungen GmbH*, związany na górze szpagatem.

– Co oznacza ten napis? – zapytał naczelnik Wydziału X.

– Ten napis to nazwa firmy, w której pracował Kafer. Bez znaczenia dla sprawy – kontynuował Edgar. – Zabrałem worek ze sobą. Gdy go otworzyłem w swoim pokoju hotelowym, znalazłem w nim czasowy mechanizm detonujący, sporo przewodów i kilkanaście kostek semtexu. Wykonałem pełną dokumentację fotograficzną...

– To gdzie są te zdjęcia? – zapytał naczelnik Wydziału XIV.

– Zdecydowałem, zresztą nie tylko ja, że część dokumentacji sprawy zostanie zniszczona. Rozumiecie? Kontynuujcie – zwrócił się generał do Edgara.

– Potem włożyłem całą zawartość worka do papierowej torby na zakupy. W nocy pojechałem za Rzym i wszystko wyrzuciłem do Tybru.

– A jednak... – powiedział naczelnik Wydziału XIV.

– Tak. Niestety – odpowiedział generał i zamilkł, a po chwili kontynuował: – Czyli podsumowując, towarzysze. Kafer z tą swoją Włoszką wyjechali zapewne do Afryki Północnej. Choć na mój nos to gdzieś dalej. A to już... szukanie igły w stogu siana! Ale ja bym jej jednak

poszukał. Taka jest decyzja ministra. I tym się zajmie towarzyszu... Tortak. W końcu to twój wychowanek, Mieciu, prawda? – Spojrzał na Tortaka, a ten kiwnął głową. – Dobrze. To teraz co tam się działo w Rzymie, a związane było z Watykanem, od zamachu na Wojtyłę do dzisiaj? Co nasze bystrzaki w rzymskiej rezydenturze odkryły w kronikach kryminalnych Wiecznego Miasta? – Generał uśmiechnął się lekko.

– Towarzyszu dyrektorze. W zasadzie mamy trzy zdarzenia – zaczął naczelnik Wydziału X. – Od tego samego źródła u karabinierów... – Zawahał się i przerwał. – Może ja lepiej przeczytam szyfrogram, żeby być precyzyjnym:

W dniu 2 maja br., w kamienicy przy via di Calisto, w rzymskiej dzielnicy Zatybrze, odkryto zwłoki Danczo Kowaczewa, emigranta z Ludowej Republiki Bułgarii. Policję zawiadomili lokatorzy kamienicy, których niepokoił nieprawdopodobny smród dochodzący z mieszkania na poddaszu. Po wejściu funkcjonariuszy policji do ww. mieszkania wyfrunęły z niego chmary much. Spuchnięte zwłoki DK przerwane były w połowie. W obu częściach ciała ujawniono liczne białe larwy. Najwięcej wychodziło ich z uszu i oczodołów. Wypływały ociekliny gnojne i inne żółtawe, przezroczyste płyny ustrojowe...

– Towarzyszu naczelniku! Dajcie już spokój z tym opisem. Konkretnie, co dla nas z tego operacyjnie wynika?!

– Tak. Jeszcze tylko jeden fragment:

W mieszkaniu ujawniono również zwłoki księdza, ob. Argentyny Diego Rodrigueza. Denat miał roztrzaskaną czaszkę. Jak wynika ze wstępnych ustaleń, obaj wynajmowali to mieszkanie na Zatybrzu. Rodriguez pracował w jednej z niewielkich parafii pod Rzymem. Ponadto biegli ustalili, że na członku DR znaleziono śladowe ilości bakterii E.coli, sugerujące, że mógł on przed śmiercią odbyć analny stosunek płciowy.

- I są jakieś związki z naszą sprawą? – zapytał generał.
- Tak. Z tą drugą niewyjaśnioną śmiercią czy w zasadzie zabójstwem. Czyli znalezionymi zwłokami oficera Gwardii Szwajcarskiej.

W dn. 30 maja br. w Ostii, w sztucznym kanale Pescatori łączącym się z morzem, znaleziono zwłoki Alois Elsmanna. Ofierze poderżnięto gardło. Ciało miało zaawansowane przeobrażenia tłuszczowoskowe, było spuchnięte i nadgryzione przez ryby i liczne w kanale pizniki.

- Ale nas dzisiaj katujecie, towarzyszu naczelniku. No nic, kontynuujcie
- ponownie wtrącił generał.

...AE odpowiedzialny był za ochronę osobistą papieża, w tym nadzór nad letnią rezydencją w Castel Gandolfo. Dodatkowo ustalono, że AE był bywalcem nocnych klubów dla homoseksualistów.

Naczelnik przerwał i popatrzył na resztę. Generał milczał. Spojrzał na zdjęcia rozłożone na jego biurku. Po chwili przeniósł wzrok na oficerów. Wszyscy popatrywali jeden na drugiego. Milczeli. Generał znowu spojrzał w okno. Wreszcie odezwał się do siedzących w napięciu oficerów:

– Dwóch pederastów i ta rezydencja w Castel Gandolfo. Hmm. W każdym razie coś nam się łączy w sprawie.

– Tak jest, towarzyszu dyrektorze – odpowiedział naczelnik. – Ale ostatnia ze spraw jest najciekawsza.

– Dobrze. Dalej, naczelniku.

W dn. 13 maja br., kilka godzin po zamachu na Wojtyłę, w jednej z bram przy ulicy Borgo Santo Spirito, bezpośrednio wychodzącej z placu Świętego Piotra, odnaleziono zwłoki ob. Cypru Arslana Polata. Ofiara miała przy sobie pocztówkę zaadresowaną do Pforzheim, do Elif Polanski, podpisaną imieniem Mehmet. Jak

ustalono, ofiara to brat zamieszkałej od kilku lat w Niemczech Zachodnich ob. Turcji Elify Polanski, żony emigranta z Polski. Jak ustalono, ww. miał profesjonalnie sfałszowane dokumenty cypryjskie.

– O, coś dla was do roboty, towarzyszu naczelniku – zwrócił się do kierującego pracami Wydziału XIV generał. – Mówię o tym aptekarzu. Czytajcie, czytajcie.

Jak wynika z ustaleń śledczych, ww. przed śmiercią zamieszkiwał w Domu Pielgrzyma Polskiego. Odnotowano, że kilkakrotnie interesowały się nim osoby z grupy pielgrzymkowej z Hiszpanii. Wyjechały nagle w dniu zamachu. Nie ustalono ich danych. Są poszukiwane przez policję.

Nastąpiła chwila ciszy. Jedynie z zewnątrz dobiegały pomrukiwania lipcowej burzy, która nadciągała od wschodu zza Wisły.

– W tym Domu Pielgrzyma zawsze panował wielki bałagan – przerwał ciszę naczelnik Wydziału X. – Jest jeszcze jedna kwestia. Prawa ręka dyrektora Domu Pielgrzyma – przewodniczka grup pielgrzymkowych, nasza obywatelka, niejaka Barbara Nowek, to figurantka Departamentu IV, która ma wielką słabość do mężczyzn o oliwkowej karnacji... – W tym momencie naczelnik zrobił krótką pauzę.

– W końcu jakieś normalne preferencje. Ci z Czwórki przekazali nam jej teczkę czy jeszcze trzymają? – zapytał generał, znowu lekko się uśmiechając.

– Trzymają. Mieli to już dawno zrobić, ale wiecie, jak z nimi jest.

– Tak. Muszę to jutro załatwić z towarzyszem ministrem. No, mówcie dalej – ponaglił dyrektor.

– Hmm... Mamy potwierdzone informacje, że przez kilka tygodni przed zamachem często widywano ją w towarzystwie Turków, którzy bywali na placu Świętego Piotra razem z polskimi pielgrzymkami. A teraz jakby zapadła się pod ziemię. Po Domu Pielgrzyma krąży plotka, że wstąpiła do jakiegoś klasztoru na terenie Rzymu.

– Ukryli ją, bo boją się skandalu i oskarżeń, że przez swoje bałaganiarstwo pomagali organizatorom zamachu – powiedział ściszo głosem Edgar.

Zza okna dobiegały coraz głośniejsze odgłosy nadciągającej burzy.

– To wszystko.

– Wszystko, mówicie, naczelniku. Ktoś z towarzyszy chce coś dodać, coś uzupełnić?

– Może ja – powiedział milczący dotąd naczelnik Wydziału XIV.

– Tak. Proszę.

– Towarzysze. Zwróćcie uwagę na tę grupę hiszpańską. Czy nie kojarzy się wam ona ze sprawą zamordowania w Monte Carlo przez ETA Jeana Legranda, którego to my w końcu wystawiliśmy Francuzom?

– Chcesz powiedzieć, że ETA w dziwny sposób uprzedziła jego aresztowanie? – wtrącił Tortak.

– Albo że to żadni baskijscy separatyści czy terroryści, tylko wielka mistyfikacja, za którą stoją Francuzi.

– Też tak pomyślałem – skomentował dyrektor. – Ale którzy? Wywiad czy kontrwywiad?

– Jeśli mogę. Ja obstawiam wywiad. To ich styl. Na sto procent – dodał naczelnik Wydziału X.

– Ale to oznacza, że Francuzi poza wskazaniem czy sygnałem od nas wyszli też na tego Turka z poderżniętym gardłem. To pasowałoby do siebie. Ale te dwa wcześniejsze zgony? – Generał znowu się zamyślił i chciał ponownie spojrzeć przez okno, ale przerwał mu Edgar.

– Towarzyszu generale. A może śmierć tego Bułgara ma jakiś związek ze sprawą wpadki wywiadu włoskiego w Bułgarii? Może chcieli się jakoś odegrać na towarzyszach bułgarskich? Bo i ten Bułgar, i ten topielec, też z rozciętym gardłem, prawdopodobnie się znali. A może to ci sami ludzie załatwili i Turka, i tego z Gwardii Szwajcarskiej?

– O czym ty mówisz, Edgar? W kontekście jakiej wpadki? W mieszkaniu, gdzie mieszkał Bułgar, znaleziono jeszcze ciało księdza z Argentyny. O co ci chodzi? – zapytał naczelnik Wydziału X.

– No jak to. Nie pamiętasz? Na początku lat siedemdziesiątych kontrwywiad bułgarski wykrył całą siatkę wywiadu włoskiego. To była największa porażka Włochów w historii. Kiedy ich ambasador został wezwany do MSZ w Sofii, to z wrażenia zemdłał. Od tamtej pory Włosi na pewno szukali pretekstu, żeby się odegrać.

– Towarzysze, ale to wszystko są poszlaki albo przypuszczenia. Nie mamy pewności, czy w sprawę aż tak byli zaangażowani Francuzi, mimo naszego sygnału. Nie wiemy, czy to Włosi, czy Turcy z tej ich organizacji Szare Wilki, czy w końcu siedzieli w tym towarzysze bułgarscy i radzieccy. A może to była jakaś prowokacja, aby skierować podejrzenia na służby państw naszego bloku, co można by przez całe lata wykorzystywać propagandowo? – powiedział prawie jednym tchem generał i przerwał na chwilę, aby wziąć duży łyk zimnej herbaty. – Dla nas najważniejsze jest to, że udało się odsunąć wszelkie podejrzenia od naszego kraju. Bo to, przypomnę towarzyszom... był główny cel naszych działań – dodał.

– Towarzysz naczelnik czytał, że ten Turek, jak mu tam... Mehmet, miał profesjonalnie sfalszowane dokumenty. Może to jest ślad... – wtrącił Edgar.

– Dobrze, już dobrze. Zamykam sprawę z wyjątkiem jednego wątku, czyli odnalezienia Kafera. – Generał zatrzasnął grubą teczkę i ją poklepał.

Spuścił głowę. Potem podniósł ją i popatrzył na każdego z obecnych na odprawie z nieukrywaną satysfakcją.

– Podsumowując. Towarzysz minister oraz towarzysz... wiecie kto, są zadowoleni z przebiegu sprawy i sposobu jej rozwiązania. Niech się teraz inni martwią i obrzucają błotem. Nasz kraj ma swoje problemy. Sami wiecie jakie. – Zamilkł na parę sekund. – Chciałem wam na koniec zakomunikować, że decyzją towarzysza ministra na mój wniosek otrzymacie premie w dwukrotnej wysokości waszych zarobków, od następnego miesiąca przeseregowane zostaną wasze dodatki operacyjne, skierowałem również wnioski o nadanie wszystkim odznaczeń państwowych: Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi. Od siebie mogę dodać, że towarzysze naczelnicy w ciągu roku, zgodnie ze swoimi preferencjami kierunkowymi, wyjadą na placówkę do Sztokholmu i Kopenhagi. Ty, Edgar... – Popatrzył na oficera. – Ty na placówkę w Los Angeles. Niestety, nie została zaakceptowana kandydatura towarzysza Tortaka na wyjazd do Sydney. Zresztą ma tu jeszcze coś do załatwienia. Gratuluję wszystkim.

* * *

Zamyślony Tortak czekał na windę. Wszyscy po spotkaniu rozeszli się po budynku. Kiedy winda się zatrzymała i chciał pociągnąć za uchwyt w jej drzwiach, usłyszał za sobą głos dyrektora.

– Mieciu, pozwól jeszcze na chwilę – powiedział generał i rozejrzył się, czy nikogo nie ma na korytarzu.

Weszli do sekretariatu.

– Mieciu! Musiałem przy innych udawać, że nic więcej nie mogłem zrobić i dlatego nie zostałeś zakwalifikowany do wyjazdu na placówkę. Powiem ci, o co chodzi. – Dyrektor zaprosił Tortaka do gabinetu. – Proszę, żeby mi nikt teraz nie przeszkadzał – zwrócił się do sekretarki i zamknął drzwi.

Tortak i szef wywiadu znali się od wielu lat i darzyli dużą sympatią. Usiedli przy stole.

– Czego się napijesz? Whisky? Wódka? Koniak?

– Whisky – odpowiedział Tortak.

– Wiesz, kto parę dni temu został powołany przez papieża na głównego hierarchę kościelnego w Polsce? – zapytał generał, nalewając do szklanek bursztynowy alkohol.

– Tak. Słyszałem. Zdziwiło mnie to trochę, bo przecież sam pisałem raport na temat tego skandalu obyczajowego z jego udziałem. Informację wstępną dostaliśmy od naszego agenta we włoskim MON.

– Mówisz o tym jego romansie z żoną pułkownika Ludowego Wojska Polskiego?

– Tak.

– Zapomnieliśmy mu ten występek. Dlatego sprawa ucichła. Teraz liczymy, że on też wykaże się rozsądkiem. To co, zdrowie, Mieciu.

Tortak ledwie widocznie się uśmiechnął.

– No tak. To zrozumiałe – odpowiedział.

– Ale ja nie o tym. Posłuchaj. To zostanie tylko między nami. Nikt nie może o tym wiedzieć u nas w departamencie. Musisz znaleźć tego Kafera i... pogadać z nim. Niech powie, kto stał za zamachem. Taka informacja może się nam kiedyś przydać. Nie wiadomo, jak to się ułoży na świecie. Pierwsze poważne pęknięcia w systemie już są. Tego nie da się zatrzymać. Może kiedyś, w przyszłości... będzie to można wykorzystać dla Polski. Rozumiesz?

– Tak.

– To bierzesz się do roboty od jutra. Ale nie zakładasz żadnej sprawy osobowej. Założysz jedynie sprawę tematyczną. Coś wymyślisz. Do niej będziesz robić rozliczenia, wyjeżdżać w delegacje krajowe i zagraniczne,

prowadzić korespondencję. Sam zresztą dobrze wiesz... – Generał napił się whisky.

– Czy to jest... hmm? Czy to jest...? Jak by to powiedzieć...

– Czy to jest ustalone z górami, chcesz zapytać.

Tortak skinął głową, pociągnął whisky i odpowiedział krótko:

– Tak.

– Pytasz, Mieciu, czy wiedzą. Kurwa, oni to wymyślili. Rozumiesz? I ciebie wskazali. To wyróżnienie. Tu idzie gra o wysoką stawkę.

– Domyślam się.

ROZDZIAŁ 23

Nowy Targ – grudzień 1992 roku

Ciemnoniebieska taksówka mercedes na krakowskich numerach rejestracyjnych zatrzymała się na ulicy Zacisze w Nowym Targu. Wszedł z niej postawny mężczyzna w długim, granatowym płaszczu i gustownym, grafitowym kapeluszu typu homburg. W ręku trzymał skórzany neseser. W tym samym momencie wysiadł kierowca i otworzył bagażnik. Wyjął, a następnie podał mężczyźnie dużą wiązkę białych róż. Pasażer dał znać dłonią taksówkarzowi, by ten na niego poczekał. Wyglądał na dość zmęczonego. Ruszył. Zachmurzone niebo, drzewa pozbawione liści, które zalegały wokół nich, wszystko to sprawiało, że czuć było późnojesienną aurę i zbliżającą się zimą. „Na szczęście jest ciepło, śnieg nie pada, wiatr ledwie odczuwalny. Bo te kilka stopni to przecież o tej porze tutaj... to ciepło!” – pomyślał.

Mężczyzna dzień wcześniej przyleciał rejsowym samolotem Lufthansy do Warszawy z Frankfurtu nad Menem. Potem pierwszym porannym pociągiem ekspresowym dotarł do Krakowa. Dużo rozmyślał o swoim życiu, patrząc na mijane za oknem polskie krajobrazy. Czytał też polską prasę, zarówno tę kolorową, jak i codzienną. W kiosku na Dworcu Centralnym w Warszawie przed odjazdem porządnie się obkupił. Jednak najbardziej dłużyła mu się droga w taksówce, gdzie nieco nieokrzesany taksówkarz z krakowskiego Kazimierza starał się go ciągle zagadywać. A może to było napięcie, które narastało z każdą mijaną beskidzką wioską. Poczuł pewien dreszcz ekscytacji, kiedy samochód zjeżdżał do Rabki, kiedy mignęły mu na horyzoncie lekko oprószone śniegiem tatrzańskie szczyty.

Po kilkunastu krokach się zatrzymał. Rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie dostrzegł niewielką drewnianą stodołę, oborę i dom. Widać było, że budynki są bardzo leciwe i dawno nieremontowane. Po lewej stał niezmiennie piętnastowieczny drewniany kościółek pod wezwaniem Świętej Anny. Na wprost schody prowadziły do celu jego długiej podróży – cmentarza komunalnego.

Mężczyzna mocniej ścisnął świerkowe gałęzie, na których ułożono kwiaty. Zaczął iść po schodach w kierunku bramy wejściowej. Szedł powoli, jakby ważył każdy kolejny krok. Gdy znalazł się na głównej alejce, odrobinę przyspieszył. Minął po drodze okazałe rodzinne grobowce dawnych elit Nowego Targu, które coraz bardziej niszczały wraz z upływem czasu. Kiedy dotarł do pomnika upamiętniającego żołnierzy radzieckich poległych w walce o wyzwolenie Podhala, zatrzymał się na moment. Chciał sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Zlustrował otoczenie. Zauważył kilka osób porządkujących groby, jednak wszyscy byli zajęci swoimi sprawami i odniósł wrażenie, że nikt nie zwraca na niego uwagi. „Pewnie już robią porządki na święta Bożego Narodzenia” – doszedł do wniosku, dostrzegając świerkowe wianuszki z bombkami i wysokimi świeczkami.

Po chwili skręcił w prawo i zaczął iść wąskimi drózkami obok gęsto postawionych nagrobków. Podniósł na chwilę wzrok i zauważył za ogrodzeniem cmentarnym okazały budynek. Na pierwszy rzut oka wyglądał na szpital. Przeszedł jeszcze kilkanaście metrów i w końcu zatrzymał się obok zadbanego i dobrze utrzymanego granitowego nagrobka. Zdjął z głowy kapelusz, po czym położył na płycie wianuskę. Wyprostował się i stał tak przez moment w bezruchu, jakby rozmawiał ze spoczywającą w grobie osobą. Trwało to może kilkanaście minut. Po jego policzkach popłynęły łzy. Wyjął w końcu z kieszeni płaszcza chusteczkę i delikatnie otarł nią policzki. Nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Nie odrywał wzroku od napisu na nagrobku. Przyklęknął i dotknął zimnej kamiennej płyty. Podniósł się i nagle tuż za nim odezwał się niski męski głos:

– Wiedziałem, że kiedyś się tutaj zjawisz.

Mężczyzna się wzdrygnął. Powoli się odwrócił, próbując nie okazywać zaskoczenia. Nałożył kapelusz. Później odezwał się do nieznajomego, który postawił kołnierz w czarnej, rozpiętej kurtce skórzanej:

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pan mówi.

– Dobrze wiesz. Dobrze wiesz. – Zamilkł, ale po chwili dodał: – W tym roku wyjątkowo nie było kwiatów szóstego października, w dniu jej śmierci. Ile to już lat? Dwadzieścia cztery. To była niedziela. Prawda? Ostatni raz szósty października wypadł w niedzielę zeszłego roku. Jak zawsze pojawiły się tutaj kwiaty. Myślałem wtedy, że ty też się pojawisz pewnego dnia. Trochę miałem z tym roboty. – Znowu zamilkł. Poprawił

tweedowy kaszkiet. – Widzę, że wprawny chirurg zmienił ci wolumetrię twarzy. Jednak ja rozpoznałbym cię zawsze i wszędzie...

Mężczyzna w granatowym płaszczu zmrużył oczy. Szukał w pamięci twarzy nieznanego. Kojarzył jakby z oddali jego tembr głosu. Zdenerwował się.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił, proszę pana. Przyjechałem do Polski na bardzo krótko z Nowej Zelandii.

– Być może. Nie zaprzeczam. Kwiaty na jej grób. – Nieznajomy podszedł bliżej i skinął głową w stronę nagrobka. – Kwiaty na jej grób od siedmiu lat co roku szóstego października i pierwszego listopada kładzie niejaka Bizoniowa – właścicielka kwiaciarni przy ulicy Długiej, i zapala też znicze. Pieniądze za kwiaty przelewane są przez właścicieli sklepu spożywczego Podhale na Greenpoincie w Nowym Jorku. Zgadza się, prawda?

– Dalej nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz? To rodzina tej twojej studenckiej miłości. Jak jej tam było? Krystyna! Ładna kobieta, trzeba przyznać. Pamiętasz, jak to z wami było, prawda? Ona tam teraz w Ameryce pracuje w sumie dzięki nam. To my wydaliśmy jej paszport osiem lat temu. Domyślaliśmy się, że jeśli będziesz szukał z kimś kontaktu, to właśnie z nią.

– O co... panu chodzi? Co to za opowieści rodzinne?

– Nie pamiętasz mnie? Nie przypominasz sobie? Szukasz teraz w najdalszych zakamarkach pamięci.

Mężczyzna w granatowym płaszczu nie odpowiedział. Ciągłe sprawiał wrażenie zaskoczono całej sytuacją.

– Ja nie jestem tutaj, by wymierzać ci sprawiedliwość, osądzać cię czy mścić się na tobie. Wszystko się w Polsce zmieniło. Jesteś wolnym człowiekiem, Stefan. Tak, wolnym. – Zdjął czapkę i przeczesał włosy.

Po chwili odezwał się mężczyzna w granatowym płaszczu.

– Nie spodziewałem się aż takiej determinacji... Mieczysławie – odpowiedział, jakby bardziej ośmielony.

– Stefan. Od osiemdziesiątego pierwszego roku zawsze tutaj jestem w rocznicę jej śmierci. Nad grobem twojej matki czuwaliśmy od wielu lat. Sprawdzane były wszystkie ślady, poszlaki i sygnały mogące pomóc w namierzeniu ciebie. Kiedy pojawiły się pierwszy raz kwiaty, potem dość drogi granitowy nagrobek, wiedziałem, że to ty za tym stoisz. Że kiedyś się tutaj zjawisz. Po prostu czułem to.

– Krystyna z wami współpracuje? Zwerbowaliście ją przy procedurze paszportowej? – zapytał Tortaka, ale ten nawet na niego nie spojrział.

– Dzisiaj, gdy zatrzymała się taksówka, byłem pewien, że to ty. Cały cmentarz jest teraz obstawiony. Mysz się nie prześlizgnie.

– I co dalej? Poniosłem już wystarczającą karę w swoim życiu.

– Oj, Kafer, miałem jednak dobrego nosa co do ciebie. Wbrew temu, co mówiono w firmie – powiedział Tortak i uśmiechnął się lekko.

– Nie nazywam się już Kafer. Wróciłem do dawnego nazwiska Chrobak. Takie samo nazwisko nosi mój syn Franek.

– O! A jak się miewa ta twoja włoska ślicznotka z Sardynii?

– Nie żyje od pięciu lat.

– Przykro mi. Pamiętam ją. Świetnie wychodziła na zdjęciach. Trochę ich natrzaskaliśmy w Rzymie. Co się stało, jeśli mogę zapytać?

– Zginęła w wypadku samochodowym na przedmieściach Sydney. Ktoś przeciął przewody hamulcowe w naszym aucie, którym jechała. Auto spadło z klifu do oceanu. To ja miałem tego dnia nim jechać. Policja prowadziła śledztwo, ale... – Wziął głęboki oddech i zawiesił głos.

Teraz Tortak popatrzył na niego badawczo i pokiwał głową.

– Hmm. – Westchnął. – Powiedz mi, Stefan, dlaczego wycofałeś się z zadania? Przecież wiedziałeś albo podejrzewałeś, że to Moskwa. A oni mają długie ręce.

– Chodźmy tam, ledwo się mieszczę między tymi grobami – zasugerował Stefan i mężczyźni ruszyli w kierunku głównej alei.

Kiedy powoli schodzili w dół, do bramy cmentarza, Stefan zatrzymał się w pewnym momencie i zaczął mówić:

– Mieczysław, zrozum. Na początku chodziło mi jedynie o pieniądze. Czas spędzony w Niemczech Zachodnich sprawił, że zupełnie straciłem kontrolę nad swoim życiem. Potem chciałem zacząć wszystko od nowa. Rzucić to, uciec... – Zamilkł na chwilę. – Wtedy pojawili się oni. Kiedy w końcu się zorientowałem, że firma Golden Ring Capitals to jedynie przykrywką KGB, wiedziałem, że sprawy posunęły się za daleko.

– A kiedy dokładnie to do ciebie dotarło?

– Pamiętam, jakby to było wczoraj. Pojechałem nad Tyber na spacer. Chciałem sobie to jakoś poukładać w głowie, przemyśleć wszystko jeszcze raz... Ocenić. Wtedy wyłapałem, że ktoś mnie obserwuje. Bardzo często miałem wrażenie, że jestem obserwowany. Ale to były przeczucia, nic po

tym nie następowało. Tu było inaczej, czułem, że pętla mi się zaciska na szyi. Musiałem się z tego wyrwać.

– A nie wcześniej przypadkiem? Nie pieprz mi tu takich farmazonów! Przecież dobrze zdawałeś sobie sprawę, że to KGB, choćby już w nocnym pociągu z Wiednia do Rzymu! Co, nie wiedziałeś, że biznesmeni z USA rosyjskiego pochodzenia nie posługują się paszportami dyplomatycznymi?!

Popatrzył na Stefana z wyrzutem, a ten pokiwał z rezygnacją głową.

– A nad Tybrem, Stefan... Nad Tybrem to byli akurat nasi – powiedział Tortak.

– Ach tak! – Ruszyli powoli. – I co teraz? – zapytał Chrobak.

– Posłuchaj mnie. To ważne, co teraz powiem. Jeszcze nic nie jest stracone. Jeszcze wszystko można naprawić. Tamte kłamstwa, a w zasadzie tamtą zdradę także.

– *Fucking shit!* O czym ty mówisz, Mietek?! Co nie jest stracone? Czy ty wiesz, co ja przeżyłem? Jak się ukrywaliśmy z Francescą po jakichś dziurach w Afryce Południowej. Jak płynęliśmy obokurnym frachtowcem z Bombaju, a potem tułaliśmy się po tym cholernym piekle – australijskim interiorze. I to z małym Frankiem. Przecież dawnego życia już nie odzyskam! – powiedział z takim samym wyrzutem jak przed chwilą Tortak i umilkł.

– Spokojnie, Stefan. Spokojnie. Wyłumaczę ci. Czekać. – Znowu się zatrzymali. – Dawnego życia nie odzyskasz. To prawda. Ale przypomnij sobie, co ci zawsze mówiła matka. Pamiętasz jeszcze?

– Tak. Żebym wyrósł na porządnego człowieka.

– Właśnie. A ja ci mogę to umożliwić – powiedział Tortak, kiwając głową i patrząc mu głęboko w oczy.

– Wiesz. W zeszłym roku poleciałem razem z Frankiem do Ludwigshafen. Chciałem, żeby chłopak poznał swoje siostry. To nie było takie proste. Myślałem o tym długo. Ucieszyłem się, jak Erika zgodziła się na spotkanie. Opowiedziałem jej wtedy całą prawdę. Chyba po raz pierwszy w życiu byłem do końca szczery. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przetarł nią oczy. – Czy ty sobie wyobrażasz, że po tym, jak zniknąłem, ona nigdy nie była z facetem? To znaczy z nikim się nie związała na stałe, choć jest atrakcyjną, dobrze sytuowaną kobietą. Chętnych zapewne nie brakowało. I nie brakuje do dzisiaj.

– I co, wybaczyła ci?

– Chyba nie, raczej nie wybaczyła, ale zrozumiała mnie... Tak po prostu, po ludzku zrozumiała. Wiesz, ona chyba wciąż mnie kocha. Tak na mnie patrzyła... Tak nie patrzą kobiety, którym mężczyźni są obojętni. To było takie... – Przerwał.

– A twoje córki?

– Córki mnie nie poznały. To już duże dziewczyny, nastolatki. Fakt, że może inaczej teraz wyglądam, ale... Ech... – Westchnął i znowu zaczął ocierać mokre od łez oczy. – To nie było takie łatwe. Ale udało się. Wyobrażasz sobie, staliśmy się... jakby rodziną. Choćby na ten jeden, krótki moment.

– Tak. To wzruszające, co mówisz. Stefan, powiedz mi, jakie masz plany pobytowe.

– Jutro po południu mam powrotny samolot z Warszawy do Frankfurtu. Pojadę po Franka do Eriki i moich córek... no i wracamy później do Auckland. Ale dopiero po świętach.

– A więc teraz mieszkasz w Auckland... Hmm, to mamy trochę czasu dla siebie...

Tortak nagle wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swojej kurtki kilka zdjęć.

– Czy kiedykolwiek widziałeś te osoby? – zapytał, podając fotografie Stefanowi.

Ten wziął je w dłonie i zaczął się każdej uważnie przyglądać. W pewnym momencie zatrzymał się przy jednym zdjęciu. Zamyślił się, jakby coś sobie przypominał. Po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– Tego chłopaka widziałem w Rzymie, przy kościele... Świętego Tomasza. Tak, dobrze go pamiętam. Rozmawiałem z nim. Wiesz, on podarował mi wtedy święty obrazek z prawosławną ikoną. To w sumie było dość dziwne. Katolik rozdający prawosławne święte obrazki? Aha. Jeszcze jedno. Mówił mi, że pracuje w letniej rezydencji papieża w Castel Gandolfo. Ale chyba okazjonalnie tam bywał.

– Tak? Ciekawe...

– Pozostałych raczej nigdy nie widziałem. Tego Turasa, co strzelał do papieża, też nigdy nie widziałem. A co to za chłopak ten Bułgar?

– Ten chłopak, którego rozpoznałeś na zdjęciu, powiesił się w dniu zamachu. Jego ciało w zaawansowanym rozkładzie znaleziono po dłuższym czasie w mieszkaniu na Zatybrzu. W drugim pokoju z rozbitą czaszką znaleziono jakiegoś księdza z Argentyny. Sprawa nie została wyjaśniona. Odnieśliśmy wrażenie, że włoscy śledczy chcieli ją szybko umorzyć.

Podobno związana była z jakąś aferą obyczajową wśród hierarchów kościelnych. Ale to były tylko plotki. Nic pewnego.

– Ach tak. Przykre.

– A ten blondyn? – Tortak wskazał na kolejne zdjęcie. – Na pewno go nie widziałeś? Jesteś pewien?

– Nie. Na pewno nie widziałem. A to kto?

– To osobisty ochroniarz papieża. Był odpowiedzialny również za ochronę letniej rezydencji w Castel Gandolfo. Jego ciało wyłowiono z kanału w Ostii. Wcześniej ktoś poderżnął mu gardło.

– Miał jakiś związek z tamtym chłopakiem?

– Nie wiemy.

– A ten wyglądający na Turka z rozjaśnionymi włosami też nieboszczyk?

– Też. Jego ciało z raną ciętą szyi znaleziono w dzień zamachu na podwórku oficyny, przy ulicy biegnącej na plac Świętego Piotra.

– Za dużo tych trupów jak na jeden czas. Kto ich mordował? Ten sam sprawca? – zapytał Stefan.

– Tego nie wiemy. Na pewno coś było na rzeczy. Nam nie udało się tego dowiedzieć. Ale powiem ci, że było jeszcze jedno zabójstwo. W zasadzie mistyfikacja zamachu terrorystycznego ETA na pewnego bankiera z Marsylii w Monte Carlo. Grupę tę zidentyfikowaliśmy przy zabójstwie w Rzymie tego Turka z rozjaśnionymi włosami.

– Bankier z Marsylii? ETA we Francji taką robotę odwaliała...?! I to w Monte Carlo?! A potem grupa od tej mistyfikacji jedzie załatwić jakiegoś Turasa w Rzymie! To śmierdzi na kilometr jakimiś służbami.

– No właśnie. My to nawet wiemy ponad wszelką wątpliwość jakimi.

– Francuzi...

Tortak nic nie odpowiedział, tylko wyciągnął po chwili spod pachy zwiniętą gazetę.

Było to „Życie Warszawy”. Rozłożył ją i otworzył gdzieś w środku. Wskazał na nią głową.

– Znasz kogoś z tej fotorelacji? Z tego artykułu.

– Mieczysław. Ale tam jest Bill Clinton i chyba znany polski polityk. Widziałem go dzisiaj w jakimś tygodniku.

– Nie! Nie te zdjęcia! To dalej, ci piłkarze stojący na boisku po meczu. I ten jedyny elegant w garniturze. – Postukał kilka razy palcem w gazetę trzymaną przez Stefana.

– A co to w ogóle za zdjęcia?

– To artykuł o zdrowym stylu życia polityków, dyplomatów, znanych ludzi czy coś takiego – odpowiedział, a Stefan popatrzył na Tortaka pytającym wzrokiem. – To drużyna piłkarska z bułgarskiej ambasady w Warszawie – wyjaśnił. – Widziałeś go kiedykolwiek w Rzymie? Może przy tym kościele... Świętego Tomasza?

Stefan zaczął się uważnie przyglądać. Zaskoczyła go wyrazistość fotografii.

– Dobra jakość zdjęcia jak na polskie warunki.

– Tak. Odkąd gazetę przejęli Włosi i zainwestowali w dobry sprzęt poligraficzny, to jakość zdjęć i druku znacząco się poprawiła.

– Nie. Nie kojarzę. Nigdy go nie widziałem – powiedział Chrobak po chwili zastanowienia. – Czy to ktoś związany z zamachem? Bo tyle mówiło się o tym wątku bułgarskim.

– To pierwszy radca ambasady Bułgarii, niejaki Nikołow. Oficer ich wywiadu. Oni teraz się starają zacieśnić z nami na nowo relacje, bo widzą, że my jesteśmy bliżej NATO i Unii Europejskiej. Pewnie też złożą w końcu swój akces.

– Szukają u was poparcia.

– Tak. Chodźmy, bo zaczyna padać deszcz, pewnie zaraz w śnieg się zamieni, temperatura ma spaść po południu.

Ruszyli dalej w dół alejką w stronę bramy wyjściowej. Po chwili znów odezwał się Stefan:

– Ale dlaczego pytasz, czy widziałem go w Rzymie?

– Według naszych źródeł we włoskim MON w czasie poprzedzającym zamach ten Nikołow miał na terenie Włoch obsługiwać agenturę ich wywiadu. Działał pod przykryciem dyrektora firmy handlującej winami.

– No tak. To ten ślad bułgarski.

Mężczyźni doszli do taksówki.

– Stefan. Jedź prosto do Krakowa do hotelu Polonia. Tam się spotkamy. Ja tu muszę jeszcze z ekipą z obserwacji pogadać, niech zdejmą część wywiadowców, bo wymarзли przy tych nagrobkach ze stroikami. Muszą tu jeszcze zostać na wszelki wypadek przez kilka godzin.

– Myślisz, że...

– Mówiłem ci, Stefan, towarzysze z Moskwy mają długie ręce. Zresztą jak usłyszałem, sam o tym doskonale wiesz. Posłuchaj. Widzimy się, powiedzmy... hmm... za cztery godziny. Dobrze?

– Ale czekaj. Powiedz mi, Mieczysław. Dlaczego tak bardzo chcieliście mnie znaleźć? Przecież nie mogliście przewidzieć w osiemdziesiątym pierwszym, że to wszystko się rozpadnie...

– I tutaj się mylisz. – Tortak się uśmiechnął i po chwili dodał: – Już wtedy były oznaki, że nasza socjalistyczna ojczyzna wraz z całym blokiem państw tak zwanej demokracji ludowej chyli się ku upadkowi.

– Pierwsze rysy?

– Tak. Wtedy zapewne towarzysze radzieccy w Moskwie słusznie oceniali, że proces ten będzie się szerzyć, jak to mówili... jak wrzód na zdrowym internacjonalistycznym organizmie. I zapewne podjęli stosowne działania. Oni wiedzieli, że jeśli nie zareagują szybko i zdecydowanie... To będzie początek końca. A papież Polak... On był takim początkiem końca.

– No tak. A wrzód najlepiej usunąć cięciem chirurgicznym.

– Tak. Ty byłeś jednym z tych... chirurgów. A my chcemy dowiedzieć się o innych chirurgach i o innych działaniach, nie tylko w sprawie zamachu. Możesz nam w tym pomóc. Korea Północna...

– Amerykanie?

– To chyba oczywiste.

– Chcecie pohandlować z Zachodem. Coś im wnieść w posagu do NATO czy Unii Europejskiej.

– Właśnie.

– To już stare dzieje... Zaczyna padać śnieg z deszczem i wiać. Już czuć, że mroźne powietrze schodzi do kotliny z gór. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Paskudna grudniowa pogoda. Jedźmy już do tego Krakowa – powiedział Stefan i pierwszy raz od przyjazdu do Polski lekko się uśmiechnął.

Podziękowania

Oto osoby, które miały wpływ na kształt niniejszej powieści i którym pragniemy podziękować:

Dr ppłk Edward Kotowski. Oficer polskiego wywiadu (Departament I MSW), prywatnie historyk sztuki. Rezydent wywiadu w Watykanie o pseudonimie „Pietro”, oficjalnie dyplomata akredytowany przy Watykanie i Kwirynale w latach 1979–1983. W przeszłości pracownik naukowy i kierownik Muzeum Zamkowego w Lidzbarku Warmińskim. Późniejszy dyrektor w Urzędzie ds. Wyznań. Uczestnik procesu normalizacji stosunków państwo–Kościół, brał również udział w przywróceniu stosunków dyplomatycznych między PRL a Watykanem. Współorganizator pierwszej uroczystości religijnej polskich kapelanów wojskowych na cmentarzu pomordowanych polskich oficerów w Katyniu w 1988 r.

Krasimir Krumov. Absolwent filologii rosyjskiej oraz filologii bułgarskiej na Uniwersytecie im. Biskupa Konstantyna Presławskiego. Od 1993 r. dziennikarz w czołowych gazetach bułgarskich – „Kontynent”, „Monitor”, „Telegraf”. W przeszłości współpracownik „Gazety Wyborczej”, TVN oraz Polsatu. Prowadzący programy publicystyczne w TOP, TV Bułgaria. Uczestnik kursów i szkoleń na Uniwersytecie Warszawskim i UMCS w Lublinie, na uniwersytecie w Debreczynie (Węgry) oraz Missouri School of Journalism – University of Missouri (USA). Obecnie pracujący naukowo nad stosunkami polsko-bułgarskimi w 20-leciu międzywojennym.

Dr Jakub Krzemiński. Rosyjski naukowiec polskiego pochodzenia. Absolwent studiów medycznych. Uczestnik kursów dyplomatycznych przy MSZ ZSRR. Jako lekarz, naukowiec, dyplomata oraz ekspert ds. bezpieczeństwa przebywał w krajach Europy, m.in. na Ukrainie, Bliskim Wschodzie oraz w Izraelu. Autor szesnastu książek wydanych w Polsce na

ten temat. Ekspert ds. bezpieczeństwa międzynarodowego w agencji analitycznej CMISS w Kanadzie.

Ponadto chcielibyśmy podziękować **Paulowi van der Veer** za informacje o Holandii oraz **Fjodorowi Klariciowi** za bogatą dokumentację fotograficzną Splitu.

Nieocenionej pomocy udzielili nam również oficerowie Departamentu I MSW, ZW UOP i Agencji Wywiadu.